

KINGA

WOLU

CIK

Prószyński i S-ka

SZREŃ

SERIA O KOMISARZ
LENIE RUDNICKIEJ

KINGA

WÓJ

CIK

SZREŃ

**SERIA O KOMISARZ
LENIE RUDNICKIEJ**

Prószyński i S-ka

Copyright © Kinga Wójcik, 2021

Projekt okładki

Paweł Panczakiewicz

Zdjęcie na okładce

© Alison Archinuk/Arcangel Images

Redaktor prowadzący

Anna Derengowska

Redakcja

Joanna Habiera

Korekta

Małgorzata Denys

ISBN 978-83-8234-841-5

Warszawa 2021

Wydawca

Prószyński Media Sp. z o.o.

02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28

www.proszynski.pl

Rozdział I

1

Takiej zimy już dawno w Polsce nie było.

Wiatr targał gołymi gałęziami, a mróz wdzierał się pod ubrania, szczypał w nos i policzki. W powietrzu wirowały płaty śniegu; nie był to żaden delikatny puszek, ale ostre drobinki lodu, które smagały twarz niczym zmrożone kamyki.

Komisarz Lena Rudnicka zatrzasnęła drzwi samochodu i powiodła wzrokiem wokół siebie. Ściana sosnowego lasu chwiała się w stronę, w którą pogał wiatr. Drzewa skrzypiały ciężko, jakby zmęczone życiem. Śnieg padał coraz gęstszy, lecz komisarz nie ruszyła się z miejsca, postawiła jedynie kołnierz kurtki, aby osłonić się od zimna. Co jakiś czas przejeżdżał samochód i choć droga wojewódzka numer 713 należała do uczęszczanych, dzisiaj ruch jakby zamarł. Po lewej stronie ulicy, w oddali, stał piętrowy dom, do którego prowadziła szutrowa droga. Kawałek dalej zaczynał się las należący do kompleksu Spalskiego Parku Krajobrazowego i ciągnął się przez dobrych kilkanaście kilometrów. Po drugiej stronie jezdnii, w miejscu, gdzie po kostki w śniegu stała komisarz Rudnicka, znajdował się drewniany dom; stara leśniczówka, która już za chwilę miała stać się nowym domem Leny Rudnickiej.

Gruby facet w puchowej kurtce i czapce uszatce stał tuż obok i pocierał zmarznięte dłonie. Czekał na klientkę zdecydowanie zbyt długo, temperatura na zewnątrz spadła do dziesięciu stopni poniżej zera, ciało przenikał chłód, ale kobieta zdawała się tego nie zauważać. Wpatrywała się w dom, jakby patrzyła na obiekt pochodzący z innej planety.

– Należałoby odśnieżyć ogród – rzucił agent nieruchomości w nadziei, że klientka postanowi wejść do środka, ale ona tylko obrzuciła go chłodnym spojrzeniem. – Narzędzia znajdzie pani w składziku – podjął próbę. – Właściciel wszystko zostawił.

Na dachu zalegała gruba warstwa nieodgarniętego śniegu. Podwórko było nieduże, w kształcie kwadratu. W lewym rogu znajdowała się studnia z wyciągniętym na zewnątrz metalowym wiadrem. Dalej, w głębi podwórka, stał drewniany wychodek. Silny podmuch wiatru sprawił, że drzwi otworzyły się i zamknęły z głośnym skrzypnięciem.

– W domu jest łazienka? – zapytała Rudnicka i były to pierwsze słowa, jakie wypowiedziała w obecności agenta, który wyprostował plecy, wyczuwając zainteresowanie klientki.

– Oczywiście, że jest – zapewnił. – Proszę, możemy zobaczyć. Wejdzmy do środka, a wszystko pani pokażę i opowiem. – Nie czekając na odpowiedź, ruszył przed siebie, pchnął furtkę i wszedł na podwórko. – Niestety właściciel nie odnowił ogrodzenia! – zawołał. – Ale myślę, że to nie będzie wielki problem. Nie zdarzyło się, żeby leśne zwierzęta podchodziły pod dom. Jednak jeśli zechciałaby pani odnowić płot, to już na własny koszt.

Komisarz Rudnicka zawahała się i ruszyła za mężczyzną. W otoczeniu przyrody czuła się obco. Wieś Białe Brzegi liczyła około trzech i pół tysiąca mieszkańców i była otoczona lasami i podmokłymi łąkami. Trudno o gorsze miejsce dla mieszczucha. Dostała tu przydział na kilka miesięcy, ale najchętniej uciekłaby już teraz.

Mariusz Tabaczuk, agent nieruchomości, stanął pośrodku salonu i obrócił się wokół własnej osi. Pokazał piękny widok za oknem i z uśmiechem przeszedł do aneksu kuchennego, lecz gdy nowe meble prosto z Ikei nie zrobiły na komisarz odpowiedniego wrażenia, uśmiech Tabaczuka przygasł. Zależało mu na tym, by wynająć ten dom, a tymczasem klientka nie

podzielała jego entuzjazmu.

Dom składał się z dwóch niedużych pokoi, kuchni połączonej z salonem i mikroskopijnej łazienki. Był umeblowany, jedynie mniejszy pokój pozostał pusty, a gdy pośrednik nieruchomości zachwalał możliwość urządzenia tu kąpika do pracy, komisarz Rudnicka wymownie wypuściła powietrze z płuc.

– Mówi pan, że to idealne miejsce na biuro – bąknęła.

– To już wszystko – podsumował Tabaczuk, bo nic lepszego nie przyszło do głowy. – Jak pani widzi, meble są nowe. Wnętrze zostało odnowione. Nic, tylko się wprowadzać!

Komisarz nie zamierzała kręcić nosem, całość wyglądała całkiem przytulnie, lecz nie mogła zgodzić się zbyt szybko. Wsunęła dłonie w kieszenie spranych dżinsów i przeszła się po pokoju. Zatrzymała się przy balkonowym oknie, wychodzącym na werandę.

– A to co? – zagadnęła.

Mężczyzna wyjrzał przez szybę, a jego twarz wykrzywił grymas. Po posesji biegał długonogi, rudy pies o krótkiej sierści.

Rudnicka skrzyżowała ramiona.

– Nie wiem, co to za pies – odparł. – Może sąsiadów? Pewnie wbiegł przez otwartą furtkę. Musiała pani nie domknąć.

– Domknęłam.

Mężczyzna spojrział zmieszany i przestąpił z nogi na nogę.

– To tylko pies – powiedział. – Możliwe, że w ogrodzeniu jest dziura.

– Świetnie.

– Można naprawić.

– Na własny koszt?

– Mógłbym zadzwonić do właściciela i ponegocjować.

Rudnicka uśmiechnęła się i spojrzała w okno, ale już nie dostrzegła rudego psa. Nie miała nic przeciwko zwierzętom, ale dziura w ogrodzeniu stanowiła idealny punkt do negocjacji ceny wynajmu.

– Dobra – odezwała się. – Biorę.

– Och, naprawdę?

– Ale opuścisz pan stówę.

Agent nieruchomości namyślał się chwilę, masując dłonią kark. Właściciel domu nie przewidział negocjacji, ale od kilku tygodni nikt nie zainteresował się ofertą. Właściwie ta kobieta była pierwszą klientką, która zadzwoniła w sprawie leśniczówki. Kiedy Tabaczuk usłyszał, którym domem jest zainteresowana, był przeszczęśliwy. Każdy pośrednik nieruchomości ma swoją martwą ofertę – dom, mieszkanie lub inną nieruchomość, której za cholerę nie może sprzedać ani wynająć. Dla Tabaczuka takim przypadkiem była właśnie leśniczówka.

– Cena i tak nie jest wygórowana – oznajmił, ale wiedział, że przystanie na jej propozycję.

– Stówa w dół i biorę.

– Ceny nieruchomości poszły w górę, no nie wiem, nie wiem. Właściciel nie będzie zadowolony...

– Ogłoszenie już trochę wisi na stronie, więc chyba nie macie wielu chętnych, co?

Jednak go przejrzała.

– Tak po prawdzie to pani jest pierwsza – odparł.

Rudnicka nie była zaskoczona. Nikt z własnej woli nie zamieszkałby na takim odludziu, na końcu wsi, pod ścianą lasu, gdzie do najbliższego marketu trzeba jechać do miasta. Ludzie

pewnie chętniej stąd uciekają, niż się osiedlają.

– To jak? – spytała.

Mężczyzna pokręcił głową i szybkim ruchem ściągnął z głowy czapkę, jakby nagle przypomniał sobie, że już dawno powinien ją zdjąć. Przez chwilę miętosił ją w dłoniach.

– No dobrze – powiedział. – Umowa stoi. Ale kaucję zapłaci pani jednorazowo.

– Pod jednym warunkiem.

– Jakim?

– Odśnieży mi pan podjazd.

Pośrednik zaśmiał się nazbyt głośno, lecz szybko spoważniał, gdy dotarło do niego, że kobieta nie żartuje. Westchnął przeciągle i kiwnął głową.

Gdy Rudnicka podpisywała umowę najmu, śnieg przestał padać. Bagaży nie miała dużo. Najpotrzebniejsze rzeczy zmieściły się w dwóch walizkach. Nie miała zamiaru zabawić tu długo. Raptem kilka miesięcy, może trzy, maksymalnie cztery, i wróci do miasta, czyli tam, gdzie jej miejsce.

2

Mróz i paskudna pogoda nikomu nie przeszkadzały.

Według ogłoszenia, wiszącego na tablicy informacyjnej przy sklepie spożywczym, w programie imprezy nazwanej Festynem Łodu miały się znaleźć: degustacja lokalnych produktów, potańcówka oraz drużynowa bitwa na śnieżki. Były stoiska z grillowaną kiełbasą, ziemniakami i serami; namiot z rzędami ławek, obok których przygrywał lokalny zespół; barek z grzonym winem i wódką sprzedawaną na pięćdziesiątki. Stoły wypełnione bigosem, unosząca się dookoła woń grochówki, a w tym wszystkim tłumy mieszkańców, głośne śmiechy i gwar rozmów.

Rudnicka rozpoznała Kozakową, która prowadziła we wsi sklep spożywczy przy głównej ulicy. Wieść o tym, że ktoś wynajął dom pod lasem, rozeszła się lotem błyskawicy i ekspresowo dotarła do sklepikarki. Twarda babka koło sześćdziesiątki była wścibska i przy okazji zakupów wypytała Lenę o rozmaite rzeczy. Na festynie nie wylewała za kołnierz i bawiła się przednio, zagadując mężczyzn.

Zmierchało. Wokół namiotu rozbłysły girlandy, co mieszkańcy wsi nagrodzili gromkimi oklaskami. Bawili się wspólnie, sąsiedzi z sąsiadami, wszyscy się znali i wiedzieli o sobie znacznie więcej, niżby im się zdawało.

W kieszeni Rudnickiej zabrzączał telefon, wyjęła komórkę i ze zdziwieniem spojrzała na migający ekran. Dzwonił Marcel Wolski, człowiek, z którym od dawna nie miała kontaktu. Zawahała się i poczuła, że zaschło jej w gardle. Ojciec Wolskiego, komendant miejski policji w Łodzi, został śmiertelnie ranny podczas jednej z akcji. Po jego śmierci Marcel odciął się od wszystkich, wziął bezpłatny urlop i zniknął, Lena zaś w ramach kary została wysłana do pracy w wiejskim komisariacie.

Odchrząknęła i przeciągnęła zieloną słuchawkę.

– Czym sobie zasłużyłam na taki zaszczyt? – zapytała.

Przez kilka sekund po drugiej stronie panowała cisza.

– Miałem nieodebrane połączenia od ciebie – odparł w końcu Marcel, a Rudnicka wyczuła w jego głosie jakąś zmianę.

– Owszem, dzwoniłam chyba sto razy.

– Tak, widziałem.

– I pisałam esemesy. Nie zapominaj o esemesach. W dzisiejszych czasach liczy się komunikacja tekstowa i obrazkowa.

– Chyba pozostanę przy zwykłej rozmowie. Co ty na to?

– Jak wolisz.

– Jeśli przeszkadzam, mogę zadzwonić kiedy indziej.

Komisarz Rudnicka nie należała do osób wylewnych i za nic w świecie nie przyznałaby się Wolskiemu, że czekała na telefon od niego. Bała się tej rozmowy, ale jednocześnie poczuła ulgę. Tak długo nie odpowiadał na jej wiadomości, że zaczęła się martwić.

To uczucie również było jej obce.

– Dlaczego dzwoniisz? – zapytała.

– Ty do mnie dzwoniłaś. Mam w zwyczaju oddzwaniać.

– Po dwóch miesiącach?

Oczami wyobraźni widziała, jak Marcel wzrusza ramionami.

– Wybacz – powiedział. – Było ze mną kiepsko. Nie miałem siły na pouczające rozmowy.

– Jestem ostatnią osobą, która serwuje tego typu gadki.

– Wiem. Nie chodziło o ciebie.

– Rozumiem.

Milczeli długą chwilę, jakby oboje obawiali się poruszyć drażliwy temat; dotknąć sprawy, która mogła poróżnić ich na zawsze. Marcel zabrał głos jako pierwszy.

– Po tym wszystkim... zatrzymałem się u matki. Potrzebowałem chwili dla siebie, zresztą i tak wysłali mnie na przymusowy urlop. Nie wiedziałem, co ze sobą zrobić, ale teraz już wiem, że te kilka dni u matki to był błąd.

– Pewnie było jej tak samo ciężko jak tobie.

– Ciągle mówiła o ojcu. Nie mogłem tego znieść.

Choć Marcel jej nie widział, pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Mówiła o nim codziennie – dodał, lecz głos mu się łamał. – Przeglądała stare albumy, nie pozwoliła wyrzucić jego rzeczy, płakała... To było ponad moje siły. Chciałem jej pomóc, ale nie wiedziałem jak... Poza tym...

– Sam potrzebowałeś wsparcia.

– W końcu spakowałem się i wyjechałem. Musiałem pobyć sam.

– Dokąd się wybrałeś?

– Połączyłem trochę po górach.

– Ty i góry?

– To było oczyszczające.

– Nie wątpię. Odciałeś się od codzienności, a łażąc po górach, miałeś sporo czasu na przemyślenia.

– Dokładnie tak.

– Czyli zwyczajnie uciekłeś od problemów.

Marcel był silnie związany z ojcem, a Rudnicka mogła tylko się domyślać, jak bolesnym ciosem była dla niego jego śmierć. Nie wiedziała, czy ją znienawidził; nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Ale już się pozbierałem – powiedział. – Gdybyś pytała.

– Nie pytałam. Ale dobrze wiedzieć, że się ogarnąłeś.

– Trochę mi to zajęło. – Zawiesił głos. – A co u ciebie?

Przełożyła telefon do drugiej dłoni. Miała nadzieję, że po tym wszystkim w ich relacji nic się nie zmieniło. Wiele razem przeszli, ale potrafiłaby zrozumieć, gdyby Wolski nie chciał jej znać.

– Hm, właśnie jestem na wiejskiej imprezie – odparła. – Wszystko gra, łącznie z orkiestrą weselną, którą zaprosili lokalni włodarze.

– Słyszałam, że wylądowałaś na wsi. Jak przypuszczam, nie jesteś zachwycona.
– No – odbąknęła. – Kurewsko się z tego cieszę. Ponoć miałam się tutaj wyciszyć, ale skacze mi ciśnienie, kiedy myślę, że to dopiero początek mojej przygody na Festynie Lodu.
– Czego?
– Program imprezy obejmuje obrzucanie się śnieżkami albo rzeźbienie w bryle lodu. Naprawdę cudowna impreza. W twoim klimacie. Byłbyś zachwycony.
– Jest grochówka?
– Owszem. Śmierdzi na odległość.
– Narobiłaś mi smaka.
– Dają też grzane wino. Swoją drogą niezłe.
– Brzmi jak zaproszenie.
Uśmiechnęła się mimo woli. Czas leczy rany, musiało go trochę minąć, aby między nimi było normalnie, ale przynajmniej uniknęli sztuczności. Nie cierpiała wymuszonych, grzecznościowych rozmów.
– Marcel, na pewno wszystko w porządku? – zapytała.
– Tak – odparł, ale uwadze Leny nie umknęło wahanie w jego głosie. – Jest okej. Potrzebowałem czasu. Przepracowałem w głowie tę sytuację i chcę, żebyś wiedziała, że... – Wolski wziął głęboki wdech. – Nie mam do ciebie żalu. Wiem, że to nie twoja wina. To wszystko przeze mnie...
– Wcale nie!
– Nie rozmawiajmy o tym. Nie teraz.
– Ale...
– Chciałem tylko, żebyś wiedziała, że wbrew plotkom, jakie krążą na komendzie, jestem po twojej stronie. W śmierci mojego ojca nie ma twojej winy. To wszystko. Nie chcę, żebyś myślała, że chowam urazę.
– Skąd pomyśł, że tak pomyślałam?
– Znam cię, Lena, lepiej, niż myślisz.
To była prawda. Wolski znał ją lepiej niż jej własny mąż, ale co z tego?
Rudnicka powiodła wzrokiem dookoła.
– Wpadnij kiedyś do mnie – zaproponowała.
Milczał długą chwilę.
– Może kiedyś – odparł, a potem się rozłączył.

3

Niebo nad Białymi Brzegami gęstniało, chmury przybrały odcień spranej pościeli i leniwie sunęły na zachód. Komisarz Rudnicka zatrzasnęła drzwi swojego jaguara x-type i wzięła głęboki wdech, a mroźne powietrze zakłuło ją w płuca. Zerknęła na ekran telefonu, by się upewnić, czy męski głos z Google Maps doprowadził ją, tam gdzie powinien.

Prostokątny, dwupiętrowy klocek z płaskim dachem przez najbliższe tygodnie miał stać się jej nowym miejscem pracy. Wyglądał obskurnie, podobnie jak parking wyłożony dziurawymi płytami chodnikowymi z zaparkowanymi chaotycznie samochodami – kilka prostopadłe, inne równoległe, a dwa radiowozy ustawione centralnie zatarasowały wyjazd dwóm volkswagenom. Komisarz pomyślała, że zawsze mogło być gorzej. Ale nie, nie mogło. Poczula, że ogarnia ją rozpacz. Była niezłą śledczą, wykonywała swoją robotę jak należy, zajmowała się głośnymi sprawami, walczyła o równouprawnienie w tym zawodzie, niejednokrotnie udawadniała, że kobieta może być tak samo dobrym gliną jak mężczyzna. Przydzielenie do pracy w wiejskim komisariacie to była rażąca degradacja. Bolało ją to bardziej, niż przyznawała się nawet przed

sobą. Była pewna, że najbliższe miesiące spędzi na wypisywaniu mandatów za drobne przewinienia i tępieniu nieletnich amatorów piwa.

Tyle że nikt nie dał jej wyboru. Przełożeni musieli adekwatnie zareagować na wydarzenia sprzed trzech miesięcy, a równie dobrze mogli ją wywalić dyscyplinarnie, zamiast zsyłać na wieś. Pozostanie w łódzkiej komendzie było niemożliwe. Wprawdzie nikt nie zwrócił się do niej bezpośrednio, ale nie była głupia, wyłapała ukradkowe spojrzenia, słyszała szepty za plecami. Koledzy obwiniali ją o śmierć komendanta. Dlatego musiała na jakiś czas zniknąć, a wiejski komisariat idealnie się do tego nadawał.

Ruszyła przed siebie, pokonała dwa schodki prowadzące do głównego wejścia, pchnęła drzwi, a w nozdrza uderzył ją zapach wilgoci. W budynku było równie zimno jak na zewnątrz. Powiodła wzrokiem po oliwkowych ścianach, które przywodziły na myśl szkolny korytarz, kiedy się otworzyły drzwi jednego z pokoi po prawej stronie.

– Witam, witam! – zawołał mężczyzna.

Rudnicka zerknęła za siebie, by się upewnić, że mówi do niej. Mężczyzna pokonał dzielącą ich odległość i wyciągnął rękę. Uścisk miał pewny, lecz nieprzesadnie silny.

– Leon Dziedzic – przedstawił się.

– Dzień dobry, panie komendancie.

Mężczyzna uśmiechnął się, jakby rzeczywiście ucieszyło go przybycie Rudnickiej. Dobiegał pięćdziesiątki, miał bystry, przenikliwy wzrok. Pomyślała, że Dziedzic przypomina Andrzeja Wolskiego. Wydawał się człowiekiem serdecznym, łączącym zawodowy dystans z wyrozumiałością.

– Proszę powiedzieć, jak się pani u nas podoba. Zaaklimatyzowała się pani w naszych skromnych progach?

– Przyjechałam dopiero wczoraj.

– Ach, tak. – Rozłożył ręce i powiódł wzrokiem po korytarzu. – Pewnie w Łodzi pracowała pani w lepszych warunkach. Słyszałem, że jakiś czas temu mieliście remont komendy.

– Nie da się ukryć.

– Nasza placówka od dawna wymaga odświeżenia, ale wciąż brakuje na to pieniędzy. Ale coś pani powiem. Nie liczą się ściany, ale ludzie. A ci, którzy tutaj pracują, są naprawdę wspaniali.

Komisarz pokiwała głową, przyznając Dziedzicowi rację.

– Padło nam ogrzewanie – ciągnął, prowadząc nową podwładną do swojego gabinetu. Otworzył drzwi i puścił ją przodem. – Budynek od lat nie był remontowany. Jakies dziesięć lat temu go ocieplono, ale wciąż nie możemy doprosić się wymiany okien. Pani zobaczy. – Pokazał na drewniane ramy. – Wiatr hula przez szpary. No i teraz to ogrzewanie... Szkoda gadać. Ale mamy farelki. Jakoś sobie radzimy. – Dziedzic obszedł biurko i usiadł na wysłużonym fotelu. – Pracowała pani w kryminalnym – powiedział tonem, jakby uważał to za coś niezwykłego. – Nie będę owijał w bawełnę. Wiem, co się stało.

Rudnicka drgnęła.

– Jasne – odparła.

– Muszę się przyznać, że nie byłem przekonany do decyzji o przydzieleniu pani do mojego zespołu.

– Proszę mi wierzyć, że również nie zabiegałam o przydział do pańskiej jednostki.

Zabrzmiało zbyt chłodno. Nie planowała tego.

– Nie miałem nic złego na myśli. – Uniósł dłonie w obronnym geście.

– Wiem, co miał pan na myśli.

Dziedzic długą chwilę obracał jej słowa w głowie. To oczywiste, że słyszał o akcji

z udziałem komendanta Wolskiego. Wieści szybko się rozchodzą.

Rudnicka usiadła po drugiej stronie biurka.

– Pani komisarz, będę z panią szczerą. – Dziedzic pochylił się nad blatem. – Prowadziła pani wiele głośnych śledztw i jest pani świetna w swojej robocie, a dla moich policjantów praca z panią będzie ciekawym doświadczeniem. Rzecz w tym, że nie wiem, czy pani będzie zadowolona z pracy u nas. To znaczy... – Podrapał się w skroń. – Chciałem powiedzieć, że...

– Chce pan powiedzieć, że w okolicy nie dzieje się nic ciekawego i pana zdaniem zwyczajnie się tu wynudzę. – Opadła na oparcie krzesła. – Może tak być. Może właśnie o to chodziło komuś na górze. Żeby utrzyć mi nosa, co w gruncie rzeczy mi się należało.

Dziedzic milczał, zdumiony bezpośredniością nowej podwładnej. Cenił swoich ludzi, ale przyszło mu do głowy, że chciałby mieć kogoś takiego jak Lena Rudnicka na stałe w zespole.

– Hm, właściwie ma pani rację. – Splótł dłonie na brzuchu. – Cholewka, właśnie o to mi chodziło. Chciałem powiedzieć, że u nas na wsi nie ma brutalnych morderstw ani głośnych spraw. Mówiąc szczerze, przez dwadzieścia lat nie zdarzyło się żadne zabójstwo. Prowadzimy zwykłe sprawy, pracujemy w terenie. Codzienna policyjna robota.

– Powiem panu coś.

– Tak?

– Po śmierci Andrzeja Wolskiego wysłano mnie do policyjnego psychologa. Uważałam, że to zbędne, że nie powinnam tam iść i że sama najlepiej poradzę sobie z całą sytuacją. Według moich przełożonych i szanownej pani psycholog potrzebowałam spokoju. Kilku miesięcy bez stresu i nadgodzin. Właśnie dlatego tutaj jestem.

– Sporo pani przeszła. Rozmowa z psychologiem wydaje mi się naturalną konsekwencją tej sytuacji.

– Nie mam urazu psychicznego, jeśli o to panu chodziło.

– Gdyby pani miała, nie siedziałyby pani tutaj.

Komisarz pstryknęła palcami.

– Celna uwaga, szefie – odparła.

Jeżeli chciała pozostać w szeregach policji, musiała zgodzić się na rozmowę z policyjną psycholog. Była pewna siebie, przekonana, że dobrze jej poszło, ale werdykt długonogiej psycholożki wprowadził ją w zdumienie:

Ostatnio była pani narażona na silny stres, więc sugeruję tymczasową zmianę pracy w terenie na pracę biurową.

To zabrzmiało cholernie źle.

– Nasza okolica jest spokojna – zapewnił Dziedzic. – Skoro potrzebuje pani spokoju, z pewnością tutaj go pani znajdzie.

Komisarz westchnęła z rezygnacją.

– Są chociaż jakieś awantury pod klubem? – spytała.

– Nie ma u nas żadnego klubu – odparł z lekkim uśmiechem. – Za chwilę załatwimy sprawy papierkowe. Mam tutaj do wypełnienia...

Zadzwoił telefon leżący na biurku. Leon Dziedzic przeprosił Lenę, uniósł słuchawkę i przez chwilę milczał, słuchając rozmówcy. Komendant wyglądał na zszokowanego. Jego brwi zsuwały się coraz bliżej siebie, aż w końcu się spotkały, tworząc jedną linię. Lena nawet nie próbowała zgadywać, co się stało. W gruncie rzeczy niewiele ją to obchodziło. Z niechęcią myślała tylko o tym, że za dwa dni będzie zmuszona zacząć pracę w tym miejscu.

– O tym spokoju u nas we wsi to chyba wykrakałem w złą godzinę... – odezwał się niepewnym głosem, odkładając telefon na biurko. – Właśnie dostałem informację o znalezieniu zwłok.

Jeśli ta informacja zrobiła na komisarz Rudnickiej wrażenie, nie dała nic po sobie poznać. Dziedzic wstał, podszedł do okna i zawiesił wzrok w przestrzeni za szybą.

– To pewnie pomyłka – podsumował. – Zadzwoiła kobieta, która twierdzi, że w swoim obejściu znalazła zwłoki dziewczyny. To pewnie pomyłka – powtórzył, jakby chciał przekonać samego siebie. – Ale rozumiesz, że musimy to sprawdzić?

Rudnicka nie skomentowała nagłego przejścia na ty.

– Oczywiście.

– Miałaś zacząć dopiero za dwa dni, ale... – zawahał się Dziedzic. – Na miejsce jadą moi ludzie, twoi przyszli koledzy, więc... Byłoby dobrze, gdybyś tam zajrzała i rzuciła okiem. O ile dysponujesz czasem. Formalnie jesteś jeszcze na urlopie, ale jeśli tamta kobieta faktycznie znalazła martwą dziewczynę... Mój zespół, jak mówiłem, nie ma doświadczenia ze zwłokami. A ty masz. I to spore.

4

Kierując się instrukcjami Dziedzica, Rudnicka wjechała w ślepą uliczkę. Po obu jej stronach zalegały hałdy brudnego śniegu, tworząc wąski korytarz, przejezdny dla jednego samochodu. Rudnicka nie ryzykowała, zatrzymała jaguara na poboczu i w dalszą drogę ruszyła piechotą. Zmarznięty śnieg skrzypiał pod podszewkami. Choć to nie przystawało do sytuacji, z twarzy komisarz nie schodził uśmiech. Broń Boże, nie cieszyła się z czyjejś śmierci, pomyślała jednak, że istnieje cień szansy, iż praca w Białych Brzegach nie będzie taka nudna, jak sądziła.

Na ulicy Długiej stały trzy domy. Przy ogrodzeniu jednego z nich miały leżeć zwłoki młodej dziewczyny.

Przy policyjnej taśmie zebrało się kilka osób. Osiem, może dziewięć par ludzkich oczu zwróciło się w stronę nadchodzącej komisarz. Rzucali zaciekawione spojrzenia, szepcząc między sobą.

– Chyba ściągnęli kogoś z zewnątrz – powiedziała jakaś kobieta, gdy Lena prześlizgnęła się pod taśmą. Mróz wciskał się pod ubranie. Zasunęła kurtkę, a dłonie wcisnęła do kieszeni.

– Tutaj nie wolno wchodzić.

Spojrzała w kierunku, skąd dochodził głos.

– Słyszysz pani?! – warknął mężczyzna. – Nie wolno. Proszę odejść za taśmę.

– Wasz szef kazał mi rzucić okiem.

Facet zatrzymał się w pół kroku. Za wysokim kołnierzem kurtki chował zaczerwienioną od mrozu twarz. Między jego wargami tlił się papieros.

– Komisarz Rudnicka. – Lena wyciągnęła dłoń.

– Aspirant Dawid Sadowski. – Od niechcenia uścisnął jej dłoń i błyskawicznie, jakby z odrazą schował swoją do kieszeni. – Czyli to ty jesteś ta nowa. Wybacz, że cię nie rozpoznałem.

Usłyszała pogardę w jego głosie. Mimo że była wyższa stopniem, dla niego była tylko „nowa”. Widział w niej kobietę w mundurze, która powinna siedzieć za biurkiem, zamiast pałętać się w terenie.

Sadowski zaciągnął się głęboko. Papierosowy dym zawirował ponad ich głowami.

– Akurat byłam u Dziedzica, gdy dostał informację o zwłokach. Poprosił, żebym do was zajrzała, bo podobno nie macie doświadczenia z podobnymi sprawami.

Gliniarz przekrzywił głowę, jakby rozważał, czy zareagować na zaczepkę. Najchętniej spławiłby Rudnicką, ale wolał się nie narażać przełożonemu.

– Białe Brzegi to spokojne miejsce – odparł, jakby to wszystko wyjaśniało.

– W spokojnych miejscach morderstwa również się zdarzają.

Sadowski spojrzał na nią wyzywająco.

– Przyjechałaś z miejskiej w Łodzi, prawda?

– Tak wyszło.

– I myślisz, że będziesz tu dowodzić?

– Niczego takiego nie sugerowałam.

– Wy, ważniacy z miasta, zawsze chcecie nami rządzić.

– Widzę, że ktoś na złe doświadczenia.

Sadowski strzelił niedopałkiem w hałdę śniegu.

– Był tu taki jeden – odparł. – Szybko odpuścił i wyjechał.

– To już teraz?

– Słucham?

– Mam się wystraszyć?

Rudnicka przypuszczała, że miejscowi gliniarze nie będą zachwyceni obecnością miastowej policjantki, ale tak jawna niechęć ją zaskoczyła. Sadowski nie owijał w bawełnę. Nie zamierzała zabiegać o jego względy, ale jeśli mają współpracować, powinni odłożyć kłótnie na bok.

– Broń Boże, nie chciałem cię straszyć.

– Posłuchaj, chcę wam pomóc.

– Oboje wiemy, jak kończy się twoja pomoc. – Splunął, a potem popatrzył na Rudnicką dziwnym wzrokiem. – Ale to nie ja wydaję tu rozkazy. Jeśli stary cię przysłał, jego decyzja. Pamiętaj tylko, że nikt nie będzie ci nadskakiwał tylko dlatego, że jesteś tą komisarz Rudnicką.

Te słowa wywołały na jej twarzy uśmiech. Sadowski okazał się dobrze przygotowany.

On też się uśmiechnął.

– No dobra – rzucił. – Chodź, bo zaraz zamrzniemy. – Ruszyli wydeptaną w śniegu ścieżką. – Denatka to Karina Cieślak.

– Miała przy sobie dokumenty?

– Nie musiała. Jest stąd. Znam ją z widzenia.

– Ach, no tak.

Zwłoki leżały tuż pod ogrodzeniem. Włosy dziewczyny, lepkie od śniegu, przykleiły się do jej wykrzywionej w grymasie twarzy. Karina Cieślak była ubrana w turkusową spódnicę i pasiasty sweter. Kończyny miała powykręcane, zaciśnięte w pięści ręce rozrzucone nad głową, a nogi podkurczone, jakby chciała się zwinąć w kulkę, lecz ból jej na to nie pozwolił.

Rudnicka poczuła, jak uderza w nią podmuch lodowatego wiatru.

– Czyli macie zabójstwo – orzekła, obejmując się ramionami.

– Nie przesadzajmy sprawy. To mogło być samobójstwo. Albo śmierć z wychłodzenia.

Miała ochotę zapytać Sadowskiego, czy naprawdę jest tak głupi, aby tak myśleć, lecz w porę się powstrzymała.

– Rzeczywiście w nocy było zimno – przyznała. – Dziewczyna mogła umrzeć z wychłodzenia, ale obstawiałabym, że ktoś jej w tym pomógł. – Przykucnęła, by przyjrzeć się zwłokom. – Została zgwałcona.

– Zgwałcona?

– Myślę, że tak. Spójrz. Na wewnętrznej stronie ud jest krew.

Aspirant zmarszczył brwi, jakby dotarło do niego, że sam powinien na to wpaść. Szybko jednak się zreflektował i wyprostował plecy.

– U nas takie rzeczy się nie zdarzają – odparł.

– Już to przerabialiśmy.

– Kiedy to prawda.

Rudnicka zmrużyła oczy.

– Takie rzeczy mogą zdarzyć się wszędzie – powiedziała. – Nawet na dworze królowej angielskiej.

Sadowski prychnął, zapalił kolejnego papierosa i wtłoczył dym do płuc z taką mocą, jakby od tego zależało jego życie. Nie dopuszczał do siebie myśli, że w jego rodzinnych stronach mogło dojść do zbrodni. Gdzieś w wielkowiejskiej Polsce owszem, ale nie tu, nie w Białych Brzegach.

Rudnicka przyjrzała się swojemu towarzyszowi i pomyślała, że sprawia wrażenie zmęczonego. Jego ręce wyglądały, jakby pracował fizycznie, nieogolone policzki, siatka zmarszczek na twarzy, zaczerwienione spojówki. Zmęczonego lub wczorajszego, przyszło jej do głowy.

Lewa dłoń aspiranta mimowolnie zaciśnęła się w pięść. Spojrzał w kierunku leżącej na śniegu dziewczyny.

– Znałem ją – powiedział. – Czasem mijaliśmy się w sklepie albo na ulicy. – Potrząsnął głową, jakby chciał odgonić od siebie nieprzyjemne myśli. – Cholera... Kto mógł to zrobić?

– Znalazłeś jakieś ślady wokół ciała?

– Nawet jeśli były, zasypał je śnieg.

Milczeli przez chwilę.

– Kiedy przyjedzie technik?

– Już go wezwałem. Zaraz powinien być. Nieźle się zdziwił, kiedy mu powiedziałem, do jakiej sprawy ma przyjechać. Zwłoki znalazła Balbina Adamska. Mieszka tutaj. – Skinął głową na dom z brudnożółtą elewacją. Z komina ulatywały kłęby czarnego dymu. – Wyszła nakarmić kury i coś ją tknęło, żeby zajrzeć za płot.

– Coś ją tknęło?

– Tak twierdzi.

– Ciekawe.

Zwłoki leżały w takim miejscu, że żaden przypadkowy przechodzień by ich nie zauważył. Za domem rozciągały się pola, a pół kilometra dalej zaczynał się las.

– Nie ma kurtki – powiedziała komisarz.

– Słucham?

– Dziewczyna nie ma na sobie kurtki.

– Może wyszła tylko na chwilę i zapomniała włożyć?

– Jest zima, do cholery. Nawet jeśli zapomniałeś czegoś z samochodu i musisz wyskoczyć z domu, zakładasz kurtkę.

Nagle poruszenie sprawiło, że policjanci spojrzeli w kierunku osób tłoczących się za policyjną taśmą. Jakaś kobieta usiłowała przedostać się na drugą stronę. Mundurowy próbował ją przytrzymać, lecz wtedy popchnął go mężczyzna stojący za nią. Kobieta ruszyła w stronę Sadowskiego i Rudnickiej. Miała zaciśnięte usta, a na jej twarzy malowało się czyste przerażenie.

Rudnicka spojrzała na Sadowskiego, który skinieniem głowy potwierdził jej przypuszczenia. To byli rodzice Kariny Cieślak. Sadowski wyszedł jej naprzeciw, a wtedy kobieta nagle przystanęła i wbiła wzrok w jeden punkt, tuż za plecami policjantów.

Wpatrywała się w ciało swojej zmarłej córki.

– To ona? – Jej pytanie przepełnione było cierpieniem i strachem. Zadygotała, zdawało się, że zaraz osunie się na ziemię, lecz tak się nie stało. Objęła się ramionami, kręcąc głową w osłupieniu. Zaraz dołączył do niej mąż, który położył dłonie na jej ramionach, usiłując przyciągnąć ją do siebie. Spojrzał na Sadowskiego.

– Dawidzie? – Głos mu się łamał. – To Karinka, prawda?

- Chodźmy. Nie powinniście oglądać jej w...
 - To nasze dziecko.
 - Lepiej będzie, jeśli...
 - Nasza Karinka...
 - Proszę, dla dobra żony.
- Mężczyzna się zawahał. Popatrzył na żonę i krótko skinął głową.
- Chodźmy, kochanie – szepnął.
 - Nie, ja...
 - Chodźmy.

Kobieta nie protestowała. Pozwoliła, by mąż odprowadził ją na bok. Komisarz pomyślała, że matce Kariny przydałaby się rozmowa z psychologiem. Podzieliła się swoim przemyśleniem z aspirantem.

– Spróbuję to załatwić – odparł Sadowski. – Porozmawiamy z nimi później. Są w szoku. Teraz i tak nie będą w stanie z nami rozmawiać.

– Nie muszą przecież składać oficjalnych zeznań.

– Właśnie się dowiedzieli, że ich córka nie żyje. Myślę, że to kiepski moment. Znam tę rodzinę. To dobrzy ludzie. Musimy dać im czas.

Rudnicka miała inne zdanie, ale nie zamierzała podważać kompetencji Sadowskiego. W końcu była tu tylko po to, żeby pomóc w śledztwie.

Poszukała wzrokiem kobiety, która znalazła ciało dziewczyny, i ruszyła w jej stronę.

Balbina Adamska stała za policyjną taśmą, nieco z boku. Zadbana sześćdziesięcioletka miała na sobie kurtkę z futrzanym kołnierzem, który nerwowo skubała palcami. Był wczesny ranek, a ona już zdążyła starannie ułożyć włosy i zrobić pełny makijaż. Teraz na widok zbliżającej się policjantki wyprostowała plecy. Sprawiała wrażenie zdenerwowanej.

– Dzień dobry, komisarz Rudnicka. Możemy chwilę porozmawiać?

– Już rozmawiałam z Dawidem – odparła Adamska zaczepnym tonem. – Pani chyba nie jest z naszego komisariatu? Nie znam pani i nie wiem, czy mogę z panią rozmawiać.

Wyniosły ton sprawił, że gapie ciekawie zerkali w ich stronę.

Rudnicka machnęła kobiecie odznaką przed nosem.

– Nie ma pani wyjścia – oznajmiła.

– Pani nie jest stąd.

I to by było na tyle, jeśli chodzi o stosunek wiejskiej społeczności do przyjezdnych.

– Aspirant Sadowski mówił, że to pani znalazła ciało. Proszę powiedzieć, jak do tego doszło.

– Już mówiłam.

– Proszę powiedzieć raz jeszcze.

Adamska rozejrzała się dookoła, jakby chciała upewnić się, że wszyscy usłyszą jej słowa.

– To nie pani zajmuje się tą sprawą, więc nie ma pani prawa mnie wypytywać – odparowała.

Tłumek wydał z siebie głośne westchnienie.

Na twarzy Rudnickiej pojawił się uśmiech, który nie spodobał się Balbinie Adamskiej. Spojrzała na policjantkę zbita z tropu.

– Pani zeznania nie są dla mnie jasne – odparła. – Ponieważ zastanawia mnie, jakim cudem znalazła pani ciało tej biednej dziewczyny. Zeznała pani, że rankiem wybrała się nakarmić kury i coś panią tknęło, żeby podejść do ogrodzenia. Moje pytanie brzmi więc, co takiego panią tknęło. Czy co rano zagląda pani za płot, żeby sprawdzić, czy nie leżą za nim zwłoki pani sąsiadki?

Zebrani ludzie zerknęli po sobie, kiwając głowami.

– Przejdźmy kawałek dalej. – Adamska ruszyła przed siebie. Komisarz poszła za nią. – We wsi wieści szybko się roznoszą. Ale było tak, jak mówię. Poszłam nakarmić kury i zobaczyłam tę dziewczynę. Nie powinna się pani doszukiwać drugiego dna w tej sprawie.

– Gdzie jest kurnik?

– O tam. – Adamska wskazała budkę na skraju podwórka. – Zawsze karmię rano kury. Mąż nie ma czasu.

– Dlaczego więc przyszła pani tutaj? To nie po drodze do kurnika.

– Słucham?

– Zboczyła pani ze ścieżki prowadzącej do kurnika. Dlaczego?

Kobieta mimowolnie się cofnęła.

– Coś mnie tknęło – mruknęła.

– Co takiego?

– Nie wiem, o co pani pyta.

– Co panią tknęło, że postanowiła pani zajrzeć, czy za płotem nie leżą przypadkiem zwłoki miejscowej dziewczyny? To nie brzmi wiarygodnie. Proszę powiedzieć prawdę.

– Pani mnie o coś oskarża?

– Skądże. To zwykłe pytanie.

– Po prostu coś mnie tknęło. Jakby Bóg kazał mi tam iść. I wtedy zobaczyłam Cieślakównę...

– W tę sprawę nie mieszałabym Boga. – Rudnicka wsunęła dłonie do kieszeni spodni. – Więc zobaczyła pani zwłoki?

– Tak. Przecież właśnie to powiedziałam.

– Skąd pani wiedziała, że to zwłoki?

Balbina Adamska znów się cofnęła. Sprawiała wrażenie, jakby opracowywała w głowie drogę ewentualnej ucieczki.

– No bo... – zająknęła się niepewnie.

– Od razu założyła pani, że dziewczyna nie żyje?

– Nie...

– Powiedziała pani, że zobaczyła zwłoki. A czy przyszło pani do głowy, żeby sprawdzić funkcje życiowe? Że ta dziewczyna leżąca na śniegu mogła zasłabnąć i wypadałoby wezwać pogotowie? Dlaczego od razu założyła pani, że za płotem są zwłoki?

– Ja... – Balbina Adamska spuściła wzrok. – Bo mój mąż tak powiedział.

5

Adamscy mieszkali w piętrowym domu z lat siedemdziesiątych, którego wystrój niewiele zmienił się od tamtego czasu. Gospodyni zaprowadziła policjantów do dużego pokoju i poszła po męża. W salonie panował półmrok rozpraszany przez słabe światło stojącej w rogu lampy. Ciężkie meble z przetartą na podłokietnikach skórą, okrągły dębowy stół, regał wypełniony książkami o grzbietach poźółkłych ze starości. Rudnicka przeszła przez pokój i spojrzała na siedzącego przy stole Sadowskiego. Zdenerwowanie aspiranta było aż nader widoczne. Nerwowo pocierał przedramię, a na jego twarzy pojawiły się krople potu. Stał je ze złością i splótł dłonie na kolanach.

– Nie powinnaś zaczynać tak konfrontacyjnie – powiedział.

– Że co?

– Pani Balbina mówiła, że oskarżyłaś ją o kłamstwo. Łapiesz ją za słówka, ale nie mamy podstaw, by sądzić, że Adamscy coś ukrywają.

– Coś jej się pomyliło.

Sadowski wyglądał na nieprzekonanego. Mlasnął przeciągle i skrzyżował ramiona, jakby szykował się do starcia.

– Nie wiem, czy rozmowa z Adamskimi to dobry pomysł – oznajmił. – Cała ta sytuacja to dla nich duży stres.

– Udam, że tego nie słyszałam.

– Nie znamy szczegółów śmierci Kariny. Powinniśmy poczekać na oficjalne wyniki sekcji.

– Bez technika i patologa niewiele zdołamy, a nie możemy tracić czasu na bezproduktywne snucie się po miejscu zbrodni. Rozmowa z Adamskimi jest konieczna, bo nie wiem, czy pamiętasz, ale obok ich posesji znaleziono martwą dziewczynę, której najprawdopodobniej ktoś pomógł umrzeć.

– Znam tę rodzinę i nie wierzę, że mogliby zrobić komuś krzywdę.

– Twoja wiara nie ma tu znaczenia.

– Chcę powiedzieć, żebyś nie wyciągała pochopnych wniosków.

– Tobie mogłabym poradzić to samo.

Pełną napięcia ciszę przerwała Balbina Adamska. Pojawiła się w salonie ze srebrną tacą w rękach. Postawiła na stole parujący dzbanek i talerz pełen czekoladowych wafli. Jej mąż, który wszedł tuż za nią, rozstawił filiżanki i nalał do nich kawę. Robił to powoli i ostrożnie, więc Rudnicka miała chwilę, by mu się przyjrzeć. Jerzy Adamski dobiegał sześćdziesiątki i na pierwszy rzut oka w swojej wyciągniętej koszuli w kratę i znoszonych roboczych spodniach nie pasował do eleganckiej żony. Był krępej budowy, a dłonie miał nieproporcjonalnie małe w stosunku do reszty ciała.

– Pomyślałam, że zaparzę kawę na rozgrzanie – odezwała się Adamska i przysiadła na skraju krzesła.

– Wolelibyśmy porozmawiać najpierw z pani mężem.

Adamscy spojrzeli po sobie z zaskoczeniem. Ale nie byli głupi, wiedzieli, że jeśli zaprotestują, wzbudzą podejrzenia nowej policjantki. To, że jej nie ufali, było oczywiste. Jerzy Adamski miał to wypisane na twarzy.

Rudnicka pożałowała, że kilka minut temu Dawid poinformował Adamskiego o planowanej rozmowie. Małżeństwo miało chwilę, by ustalić wspólną wersję wydarzeń. Gdyby to zależało od Rudnickiej, od razu by ich rozdzieliła, tymczasem teraz było już za późno.

Balbina skinęła głową i wyszła z pomieszczenia, zamykając za sobą drzwi. Adamski siedział wyprostowany. Obiema dłońmi objął filiżankę kawy.

– Panie Jerzy, ta rozmowa to czysta formalność – oznajmił Sadowski. – Rozumie pan, niecodziennie w naszej okolicy dzieją się takie rzeczy jak dzisiaj rano.

– Jasne – mruknął. – Ale ja nie mam z tym nic wspólnego.

Jego głos był dziwnie spokojny jak na sytuację, w której się znalazł. Upił łyk kawy, odstawił filiżankę na spodek i opadł na oparcie.

– To się dopiero okaże – powiedziała komisarz, przyciągając wzrok gospodarza.

– Nie mam nic do ukrycia.

– Proszę opowiedzieć, jak doszło do znalezienia zwłok obok pańskiej posesji.

– Rano żona poszła nakarmić kury i znalazła tę dziewczynę. Rozmawiała z nią pani, więc dlaczego pyta pani o to samo?

– Ogląda pan seriale kryminalne?

– Nie oglądam takich bzdur.

– Błąd. Gdyby pan oglądał, wiedziałby pan, że musimy ustalić, czy wersje wydarzeń pana

i pana żony są zbieżne.

Dawid spojrział na Rudnicką z dezaprobatą, lecz komisarz nie zwróciła na niego uwagi.

– Co pan robił w czasie, gdy żona wyszła nakarmić kury? – spytała.

– W domu byłem.

– Co pan robił?

– Nic szczególnego – westchnął, jakby odpowiedź była oczywista. – Włączyłem telewizor, zrobiłem sobie kawę.

– Poranne karmienie kur to obowiązek pańskiej żony?

– Nie rozumiem.

– To proste pytanie.

– Mamy kilka kurek i ktoś je przecież musi nakarmić, prawda? Domyślam się, że dla pani z miasta trzymanie kur może być czymś dziwnym, ale proszę pamiętać, że jajka nie rosną w sklepie.

Ta uszczypliwość nie wytrąciła Rudnickiej z równowagi. Uśmiechnęła się, uznając żart za całkiem udany.

– Proszę odpowiedzieć na pytanie.

– Panie Jerzy, to rutynowe pytania – pospieszył z pomocą Sadowski. – Nie mamy na myśli nic złego.

Adamski zawahał się, po czym wziął głęboki oddech.

– Tak – odparł. – To moja żona karmi rano kury.

– Codziennie?

– Dawidzie, skądś ty ją wziął? – Jerzy kiwnął głowę w stronę komisarz. – Kim pani w ogóle jest?

– Czy odpowiedź na moje pytanie sprawia panu problem?

– Nie, skąd.

– Ale denerwuje się pan.

Zanim Jerzy odpowiedział, zmierzył komisarz wzrokiem.

– Boś pani podejrzliwa – prychnął. – Jakbym to ja tę biedną dziewczynę zabił. Źle pani z oczu patrzy, a znam się na ludziach. Zamiast zadawać głupie pytania niewinnym obywatelom, zajmij się pani lepiej tym, kto ją zabił.

– Co zrobił?

– Zabił Cieślakównę.

– Skąd pan wie, że ktoś ją zabił?

Adamski po raz pierwszy wykazał oznaki zdenerwowania. Odwrócił wzrok, po czym szybkim ruchem złapał czekoladowego wafla i wsunął do ust.

– Ludzie tak mówią – odparł.

Rudnicką zastanowiły jego słowa, ale nie drażyła wątku.

– Twierdzi pan, że żona codziennie karmi kury. Proszę mi powiedzieć, czy zawsze specjalnie układa do tej czynności włosy i robi makijaż?

– Źe co?

– Pani Balbina wygląda tak, jakby się dokądś wybierała.

Jerzy nie miał pojęcia, o czym mówiła policjantka. Ponad trzydzieści lat małżeństwa sprawia, że człowiek przestaje zauważać niektóre rzeczy.

– Nie wiem – odparł. – Poszła to poszła. Ja nie wiem, czy ona się malowała. Może do pracy.

– Gdzie pracuje pana żona?

– A w rybach. Tutaj, u nas. Hurtownię mamy na wsi, to i praca jest.

– Co pan robił wczoraj wieczorem?

Co prawda nie znali dokładnej godziny śmierci dziewczyny. Na wsi kryminalne procedury przebiegały znacznie wolniej, jednak po szybkich oględzinach zwłok Rudnicka uznała, że dziewczyna zmarła około godziny trzeciej, może czwartej nad ranem. Oczywiście będą musieli poczekać na potwierdzenie tych przypuszczeń.

– Byłem na festynie – odparł Jerzy. – A potem wróciłem do domu.

– Z kim był pan na festynie?

– Sam.

– A żona?

– Też była.

– Czyli był pan z żoną?

– Nie, byłem sam. Ona przyszła później. Ja spotkałem kolegów i trochę postaliśmy, ale niedługo, bo mróz brał.

– O której wrócił pan do domu?

– Czy ja wiem? Może o dwudziestej?

– I co pan robił po powrocie?

– Nie no, ja naprawdę nie wiem, do czego pani zmierza.

– Proszę odpowiedzieć.

Jerzy wstał i przeszedł się po salonie.

– Oglądałem telewizję.

– A czy ktoś może potwierdzić, że był pan w domu?

– Moja żona. Wróciła chwilę po mnie.

– Czy słyszał pan lub widział coś albo kogoś podejrzanego w pobliżu domu?

– Nie. Ludzie kręcili się po wsi. Jak to na festynie. Niektórzy pijani. Nie zwracałem uwagi.

– Myślę, że na dzisiaj wystarczy. – Dawid wstał i wsunął dłonie do kieszeni spodni.

Rudnicka nie ruszyła się z miejsca.

– Jeszcze nie skończyłam – oznajmiła. – Chciałabym zamienić słowo z pańską żoną.

– Już z nią pani rozmawiała.

– Mógłby pan ją poprosić?

Jerzy Adamski stał z rękoma zwieszonymi wzdłuż ciała. Z ociąganiem otworzył drzwi i zawołał żonę w sposób, jakby przywoływał do porządku niesfornego psa.

Balbina Adamska błyskawicznie pojawiła się w progu. Przelotnie zerknęła na męża, jak gdyby szukała w nim oparcia, ale na próżno. Ta dwójka nie stanowiła przykładu idealnego małżeństwa.

– Pani Balbino, mam tylko jedno pytanie – powiedziała komisarz, zbierając się do wyjścia. – Być może Dawid ma rację i faktycznie nie powinniśmy zabierać wam więcej czasu, ale pozwólcie, że zadam jeszcze jedno pytanie. Mogę?

Małżeństwo jednomyślnie skinęło głowami. Na ich twarzach odmalował się wyraz ulgi, jakby ktoś zdjął im z ramion wielki ciężar. Pragnęli, by policjanci jak najszybciej opuścili ich dom, ale przecież nie mogli ich wyprosić.

– Proszę pytać – powiedziała Adamska i instynktownie przysunęła się do męża.

– Pamięta pani, co pani powiedziała, kiedy rozmawialiśmy przed domem?

– Nie wiem... chyba nie.

– Powiedziała pani, że za płotem były zwłoki. Kiedy zapytałam, dlaczego uznała pani, że są to zwłoki, a nie na przykład nieprzytomna dziewczyna, odparła pani, że tak powiedział pani mąż. A według waszych zeznań pani wyszła z domu pierwsza, żeby nakarmić kury. Jakim więc

cudem pan Jerzy poinformował panią, że za płotem leży ciało martwej dziewczyny?

Jerzy przeniósł wzrok na żonę.

Balbina skuliła się w sobie, lecz po chwili wyprostowała plecy.

– Ja nic takiego nie mówiłam – powiedziała, hardo patrząc Lenie w oczy.

6

Dawid Sadowski zapalił papierosa, zgniół pustą paczkę i rzucił ją na tylne siedzenie opłastry. Z westchnieniem wypuścił dym i spojrzał na Rudnicką, która wpatrywała się w przestrzeń za szybą.

– Może się przesłyszałaś – podsunął. – Może Balbina wcale nie mówiła, że to mąż...

– Jaja sobie robisz?

– Czasami dopowiadamy sobie to, co chcielibyśmy usłyszeć.

– Ponawiam pytanie. – Odwróciła się do niego. – Jaja sobie robisz?

– Dobra. – Uniósł otwarte dłonie w geście kapitulacji. – Wybacz. Po prostu nie sądzę, żeby Adamska kłamała. Niby jaki miałyby mieć powód?

– Tego nie wiem.

– No właśnie. Myślę, że po prostu była w szoku i palnęła, że to mąż powiedział jej o Karinie, a ty niepotrzebnie się jej czepiasz. Wiesz, niecodziennie pod twoim płotem leży martwa dziewczyna. Adamska miała prawo być zestresowana całą sytuacją.

– To jakaś twoja rodzina?

– Kto?

– Adamscy.

– Nie, dlaczego?

– Bo za wszelką cenę usiłujesz mnie przekonać, że są niewinni. Nie twierdzą, że mają z tym coś wspólnego, ale w tej sprawie oboje kręcą. I to mi się nie podoba.

Sadowski zaciągnął się dymem i przez uchyloną szybę wyrzucił niedopałek. Przekręcił kluczyk w stacyjce, włączył silnik, ale nie ruszył. Spojrzał na Rudnicką.

– Nie bronię ich – odparł. – Znam ich od lat i wiem, że nie zrobiliby Karinie krzywdy.

– Na mnie nie wywarli dobrego wrażenia.

– Jerzy jest specyficzny, to prawda. Ale to nie oznacza, że jest złym człowiekiem.

– Żona się go boi. Musi mieć chyba jakiś powód.

– Boi się go? Skąd ten pomysł?

– Nie widziałeś, jak zachowuje się w jego obecności? Jest zastraszona i boi się powiedzieć własne zdanie na głos.

– Wywnioskowałaś to po piętnastu minutach rozmowy?

– Więcej mi nie potrzeba.

– Wydaje ci się.

Rudnicka pokręciła głową.

– To jak? – zagadnął. – Jedziemy do rodziców Kariny? Może zdążyli nieco ochłonać. Tak czy inaczej rozmowa z nimi nie będzie należała do najłatwiejszych.

– Rozmowa z bliskimi ofiar nigdy nie jest łatwa.

Wnętrze samochodu było przesiąknięte papierosowym dymem. Pod nogami siedzenia pasażera wały się puste puszki po red bullach i opakowania po chipsach. Dywanik był zabłocony i mocno zapiaszczony.

– Radio mi padło. – Dawid wrzucił pierwszy bieg. – Mogę włączyć jakąś płytę, jeśli chcesz.

– Obejdzie się.

– Powinienem posprzątać. – Rzucił okiem na walające się po podłodze śmieci. – Nigdy nie mam na to czasu.

– To twój samochód. Mógłbyś wozić w nim krowie gówno i to wciąż będzie twoja sprawa.

Na twarzy Sadowskiego po raz pierwszy pojawił się szczerzy uśmiech.

– Nie żebym się usprawiedliwiał, ale po rozstaniu z żoną trochę zaniedbałem porządku. Nie tylko w samochodzie.

– Na przyszłość będę wiedziała, żeby nie wsiadać do twojego wozu.

– Rozstaliśmy się jakieś trzy lata temu i od tamtej pory bywa ze mną różnie.

– Nie musisz mi się tłumaczyć.

– Masz rację.

Lena mimowolnie pomyślała o tym, co zostawiła w Łodzi. O mieszkaniu na Księzym Młynie i Krzysztofie. Po raz pierwszy od kilku lat poczuła się naprawdę wolna, ale świadomość, że kiedyś będzie musiała wrócić, napawała ją lękiem.

– Już prawie jesteśmy. – Skręcił w zasypaną śniegiem ulicę, zredukował bieg i stanął przy jednym z domów.

Cieślakowie mieszkali w okazałym domu z ogromnymi balkonowymi oknami wychodzącymi na ogród. Sieć ścieżek wysypanych drobnymi kamykami, altana wielkości dwupokojowego mieszkania na Polesiu, basen, murowany grill, ozdobne drzewka otulone ochronną włókniną. Dom i jego otoczenie wyglądało na zadbane i kosztowne. Cieślakowie musieli mieć sporo pieniędzy.

Policjanci pokonali drogę na ganek. Dawid wcisnął dzwonek. Po chwili drzwi otworzył ojciec Kariny, Henryk Cieślak. Był to postawny mężczyzna o surowych rysach twarzy, haczykowatym nosie i inteligentnych oczach. Dłonią przyglądał koszulę i zaprosił policjantów do środka. Na jego twarzy było widać ślady łez.

Podążali za nim szerokim korytarzem, we wnętrzu nowoczesnym, choć surowym. Dominowały chłodne kolory, minimalizm, marmurowa posadzka. Henryk Cieślak otworzył drzwi pokoju na końcu korytarza. Pod regałem z książkami stało masywne dębowe biurko, przy którym usiadł, uniósł szklaneczkę szkockiej whisky i spojrzał na policjantów pytającym wzrokiem.

– Jesteśmy na służbie – odparła komisarz, zajmując miejsce naprzeciwko.

Dawid tylko się uśmiechnął, usiadł obok Rudnickiej i pomasaował kark, jakby dopadł go skurcz.

– Wybaczcie, że przyjmuję was tutaj, w gabinecie, a nie w salonie – odezwał się Cieślak.

– Jestem architektem. To moje miejsce pracy, a stąd jest daleko do głównej sypialni. Wolałbym, żeby moja żona nie słyszała naszej rozmowy. Wzięła proszki uspokajające. Możecie przełożyć rozmowę z nią na inny dzień? Po prostu... Cholera, wolałbym jej tego oszczędzić.

Zanim policjanci zdążyli odpowiedzieć, drzwi otworzyła Anna Cieślak, żona Henryka. Stanęła w progu, podpierając się pod boki. Nie wyglądała na zaskoczoną. W prawej ręce ścisnęła telefon komórkowy w diamentowym etui.

– Nie powiedziałaś, że mamy gości – odezwała się, a w jej głosie wybrzmiała pretensja.

Nawet bez makijażu Anna była bardzo ładną kobietą, o twarzy w kształcie migdała, delikatnie zarysowanych kościach policzkowych i mięsistych wargach. W kącikach jej ust powstały niewielkie zmarszczki, co kazało sądzić, że często się uśmiechała. W innych okolicznościach Anna byłaby duszą towarzystwa, lecz teraz dawniej radosne oczy były przekrwione i zamglone, co potwierdzałyby słowa Henryka. Anna musiała połknąć o kilka tabletek uspokajających za dużo.

– Nie chciałem cię denerwować – usprawiedliwił się Henryk. – Sądziłem, że śpisz.
– Przecież wiesz, że czekałam na telefon. – Uniosła komórkę do góry. – Henryk, nie traktuj mnie w ten sposób. Karina to również moja córka.

– Przepraszam. Chciałem dobrze. – Henryk wstał i przysunął żonie krzesło. – Usiądź.
Dopiero przyszli.

– Pijesz?

– Szklaneczkę.

Anna zacisnęła wargi i usiadła obok męża, odłożyła telefon na blat biurka, dłonie spłótła na kolanach, unikając wzroku policjantów.

Małżeństwo Cieślaków wyglądało na zgodne i kochające się. Henryk martwił się o żonę i dbał o nią. Z pewnością żyli na wysokim poziomie. Wystarczyło spojrzeć na dom. Wystrój z pewnością nie należał do tanich. Ale tragedia, jaka ich spotkała, będzie próbą dla ich związku. Poradzenie sobie ze śmiercią własnego dziecka jest wielkim wyzwaniem.

– Nie naciskamy – zapewnił Dawid. – Jeżeli wolicie porozmawiać w innym terminie...

– Chcemy mieć to za sobą – przerwał mu Cieślak, a wtedy Anna skinęła głową. – Muszę wiedzieć, kto jej to zrobił. Dowiedzieć się, kto zabił moją córkę.

– Obiecuję, że zrobimy wszystko, co w naszej...

– Nie, Dawidzie. Macie znaleźć tego sukinsyna. A potem...

– Henryku. – Anna położyła dłoń na ramieniu męża.

– Przepraszam. – Pokręcił głową i napił się whisky. – Nerwy mi puszczej. Gdybym wiedział, kto to zrobił... Nie ręczę za siebie.

– Rozumiemy wasz gniew – odezwała się Rudnicka. – Znajdziemy tego człowieka i obiecuję, że spotka go kara. – Odczekała kilka sekund i dodała: – Nie ma jeszcze wyników sekcji i nie znamy bezpośredniej przyczyny zgonu. Natychmiast was poinformujemy, kiedy to się zmieni.

– Dziękuję – szepnął Henryk.

– Proszę opowiedzieć o wczorajszym dniu. Karina mówiła, dokąd idzie? Może wspominała, że ma się z kimś spotkać?

– Wczoraj był Festyn Lodu. – Anna poprawiła się na krześle. – Córka wybierała się tam z koleżankami. Nie wiem, jakie dokładnie miały plany. Karina skończyła dwadzieścia pięć lat. Nie zwierzała mi się. A ja nie wnikałam. W końcu jest dorosła, prawda? Ale coż one tam mogły robić?

– Pewnie to, co się robi na festynie – wtrącił Henryk. – Może coś wypily, potańczyły. Powinniście z porozmawiać z jej koleżankami. One na pewno wiedzą coś więcej.

– Byliście na festynie? – upewnił się Sadowski.

Cieślakowie zaprzeczyli.

– Jak nazywają się koleżanki Kariny? – zapytała Rudnicka.

– Barbara Mielcarz i Natalia Wiśniewska.

– To jej najlepsze przyjaciółki?

– Hm... – Anna się zawahała. – Można tak powiedzieć. Znały się od dziecka.

– Porozmawiamy z nimi. A teraz proszę opowiedzieć o wczorajszym wieczorze. Karina nie wróciła na noc do domu, nie martwiliście się, że mogło się coś stać?

– Karinka miała wrócić około północy. – Anna mówiła bardzo cicho, jakby resztką sił. – Ale wie pani, jak to jest z młodymi. Dzisiejszej nocy nie spałam. Kręciłam się po domu, oglądałam coś w telewizji. Kiedy wybiła dwunasta, jeszcze się nie martwiłam. Karina nigdy nie była szczególnie punktualna. Pomyślałam, że pewnie impreza się przedłużyła, może poszły do którejś z dziewczyn. Ale pół godziny później coś mnie tknęło i sprawdziłam telefon. Karina

miała w zwyczaju wysyłać esemesa. Zdawała sobie sprawę, że lubię wiedzieć, gdzie jest i czy wszystko z nią w porządku. Nie dostałam jednak żadnej wiadomości. Wtedy naszły mnie złe przeczucia, ale tłumaczyłam sobie, że córka pewnie wróci za kilka minut cała i zdrowa. Nie chciałam do niej dzwonić. Uznałam, że jest za wcześnie, by wszczynać alarm. Karina zdenerwowałaby się, że jej przeszkadzam. Napisałam więc wiadomość. Zapytałam, jak się bawi, ale nie odpisała. No i wtedy zaczęłam się martwić. Obudziłam męża. – Zerknęła na Henryka, który kiwnął głową. – Powiedział, żebym kładła się spać, bo Karina pewnie nie słyszała wiadomości, a telefon ma w torebce i niedługo wróci. Tak też zrobiłam, ale zasnąć, proszę państwa, to już nie dałam rady. Leżałam do jakiejś piątej nad ranem, a Kariny wciąż nie było...

– Żona mnie obudziła – włączył się Henryk. – Była mocno zdenerwowana. Sprawdziliśmy pokój Kariny. Nie było jej. Moja żona miała numer telefonu do koleżanki Kariny, Baški. Zadzwoiła do niej i zapytała, czy Karina została u niej na noc. Pomyśleliśmy, że dziewczyny popiły i Karina uznała, że lepiej będzie, jeśli prześpi się u koleżanki...

– Nie wydawało mi się to prawdopodobne – weszła mu w słowo Anna. – Jeśli Karina zostawałaby u kogoś na noc, napisałaby wiadomość, że nie wróci do domu.

– Nie przyszło mi do głowy, że coś złego mogło się jej stać. Uważałem, że wystarczy podzwonić po jej koleżankach i się znajdzie. Co prawda nigdy nie widziałem mojej córki pijanej, ale jest młoda. Może wstydziła się pić przy rodzicach, a kiedy spotykała się ze znajomymi, to jednak coś tam sobie chlapnęła. No i pomyślałem, że może przesadziła, bała się wrócić w takim stanie do domu...

– Henryk, daj spokój.

– Tak wtedy myślałem. Anka zadzwoniła do Baški Mielcarz, ale ona powiedziała, że Kariny u niej nie ma. Nie mieliśmy numeru do tej drugiej koleżanki.

– Czy Barbara Mielcarz powiedziała, o której rozstały się z Kariną? – zapytała Rudnicka.

– Powiedziała, że poszła do domu chwilę przed dziewiątą.

– Podobno bolał ją brzuch – dodała Anna.

– Proszę kontynuować.

Henryk wziął głęboki wdech.

– Nie mieliśmy innego pomysłu. Pojechaliśmy szukać Kariny.

– Obeszliśmy boisko, na którym był festyn – mówiła Anna. – Nie wiem po co. Po prostu nie mieliśmy innego pomysłu. Potem poszliśmy do Baški Mielcarz.

– Ona mieszka zaraz przy... – Henryk odwrócił wzrok. – Mielcarzowie mieszkają obok Adamskich.

Rudnicka poczuła, że krew w jej żyłach nagle przyspieszyła.

– Chwilę – wtrąciła. – Chce pan powiedzieć, że Adamscy i Mielcarzowie mieszkają obok siebie?

– Tak, płot w płot. A Nowakowie kawałek dalej.

– O której byliście u Mielcarzów?

– Jeśli dąży pani do tego, czy widzieliśmy ciało naszej córki w drodze do Mielcarzów, od razu odpowiem, że nie. Wiecie, że naszą Karinkę... znaleziono po drugiej stronie posesji Adamskich. Szliśmy do Basi główną drogą i nie byliśmy w stanie jej zobaczyć...

Rudnicka przypomniała sobie miejsce, w którym znaleziono zwłoki. Adamscy, Mielcarzowie i Nowakowie mieszkali obok siebie. Uliczka była wąska i ślepa, budynki stały tuż obok siebie, a Karinę znaleziono za domem Adamskich. Idąc drogą do Mielcarzów, nie sposób zobaczyć, co znajduje się na tyłach posesji Adamskich.

– Rozumiem – odparła. – Proszę kontynuować.

– Poszliśmy do Baški – zaczęła Anna. – Spała. Otworzył nam jej mąż. Bo ona już

zameżna jest. Dom po rodzicach dostali. Poszedł ją obudzić. Baśka wyszła w piżamie, zaspana, nie miała pojęcia, o co chodzi. Powiedziała, że kiedy się rozstawały, Karina wybierała się do domu.

– Ale nie dotarła – dodał Henryk.

– Po drodze musiało się coś wydarzyć.

– Koleżanka powiedziała, że poszła do domu przed dziewiątą? – zapytała Rudnicka.

Małżeństwo zgodnie przytaknęło.

– A co z drugą koleżanką?

– U niej również byliśmy – wyjaśniła Anna. – Podobno też rozstała się z dziewczynami około dziewiątej.

– Kiedy wracaliśmy od Baśki, spotkaliśmy starego Adamskiego. – Henryk nerwowym ruchem obracał w dłoniach szklankę z whisky. – Od boiska, gdzie odbywał się festyn, jest do Adamskich jakieś pięć minut piechotą. Zapytałem, czy widział Karinę, ale zaprzeczył.

Rudnicka się wyprostowała.

– O której to było godzinie? – spytała.

– Koło siódmej?

Lena zerknęła na Dawida. Wyglądał na zaintrygowanego.

– Co robił Adamski? – zapytała Lena.

– Chyba szedł karmić kury, bo niósł wiadro z ziarnem.

7

Centrum wsi wyznaczało skrzyżowanie Radomskiej, Gminnej i Wąwalskiej. W znajdującym się tu sklepie spożywczym miejscowi robili zakupy, a do pobliskiego baru o wątpliwej renomie zaglądali jedynie lokalni pijaczkowie. Kawalek dalej mieścił się komisariat, naprzeciwko którego stała drewniana chatka do wynajęcia, tyle że żaden lokator nie zagrzał tu miejsca. Mieszkańcy szeptali między sobą, że nad chatką wisi kłątwa. Jakies sto pięćdziesiąt, może dwieście metrów dalej wznosił się kościół pod wezwaniem Świętego Marcina, moloch z czerwonej cegły, na planie koła. Jego wysoka dzwonnica niczym królowa spoglądała z góry na okoliczne domy.

Idąc dalej Gminną, można napotkać jeszcze jeden kościół – tym razem malutki i drewniany, otoczony grubym murem i zamkniętą na kłódkę bramą. Według oficjalnego stanowiska urzędującego proboszcza niepewna konstrukcja świątyni wybudowanej w 1746 roku nie pozwala wpuścić wiernych do środka. Tuż za kościółkiem mieści się plebania. O strzegącą głównej bramy figurkę Matki Boskiej pieczołowicie dbały miejscowe parafianki.

Mówiło się, że Białe Brzegi to dawna szlachecka wieś, a Jerzy Adamski głęboko w to wierzył. Jego rodzina od pokoleń zamieszkiwała te tereny, a on sam czuł się lokalnym patriotą. Z tego właśnie powodu nie ufał obcym, którzy panoszyli się po wsi, a szczególnie tej nowej policjantce.

Jerzy Adamski był surowym mężczyzną, wymagającym ojcem i mężem. Jego żona stale powtarzała, że miał trudny charakter, ale nawet ona zdawała sobie sprawę, że to żadne usprawiedliwienie. Jerzy był konserwatywnym człowiekiem. Jego zdaniem mężczyzna powinien być głową rodziny i jego najważniejszym zadaniem, oprócz spłodzenia dziecka, było utrzymanie żony i syna, ale czasy były, jakie były, a gdy Jerzy stracił pracę, Balbina zaproponowała, że przejmie obowiązki głowy rodziny, czyli pójdzie do pracy. Jerzy nie był z tego zadowolony ani dumny. Czuł, że poniósł porażkę, ale niewiele mógł zrobić. W końcu musieli coś jeść. Odkąd dostała pracę w hurtowni ryb, sprawiała wrażenie, jakby zyskała nowe życie, a on czuł się coraz bardziej sfrustrowany. Wprawdzie większość kobiet we wsi pracowała lub dorabiała na pół etatu,

żadna jednak nie utrzymywała rodziny. Dla Jerzego był to niewątpliwy powód do wstydu.

W każdej sprawie musiał mieć decydujące zdanie. Słuchał argumentów żony, ale zawsze, koniec końców, wychodziło na jego. Nie lubił, jak mu się sprzeciwiała. Dawniej, kiedy tylko on zarabiał na chleb – miał więcej do powiedzenia, ale teraz Balbina przynosiła pieniądze do domu, więc sytuacja uległa zmianie. Żona stawała się coraz bardziej niezależna. Ich relacje z każdym tygodniem się pogarszały. Jerzy przy każdej okazji usiłował postawić na swoim, przywołać żonę do posłuszeństwa, ale ona coraz częściej się stawiała.

Ale teraz, gdy patrzył na swoją żonę, czuł, że jej buta i opór wyparowały. Znowu była tamtą strachliwą kobietą, którą poznał przed laty. Oczy miała zamysłone, nieobecne, usta ściągnięte w wąską linię. Siedziała przy stole przygarbiona niczym staruszka i grzebała widelcem w jajecznicy.

– Czego nie jesz? – zapytał.

Balbina wzruszyła ramionami.

– Po tym wszystkim straciłam apetyt.

– Daj mi to. Nie będę marnował jedzenia.

Podsunęła mu talerz. Jerzy wepchnął sobie do ust solidną porcję jajecznicy.

– Zadzwoniłam do szefa i wzięłam wolne. Nie mogłabym pracować, wiedząc, że...

– Że niby co?

– Jerzy, niepotrzebnie nakłamaliśmy policji. Boję się, że będą z tego problemy.

Powinniśmy powiedzieć prawdę.

– Jakie problemy? Właśnie po to żeśmy nakłamali, żeby ich uniknąć. Psiarnia nie będzie mi się po domu kręcić. Co się stało, to się nie odstanie.

– Ale ta dziewczyna nie żyje.

Jerzy zagryzł chlebem i przeżuwał przez chwilę.

– No nie żyje – odburknął. – Ale to nie nasza wina.

– Nie nasza – przytaknęła Balbina bez przekonania.

– Lepiej się nie mieszać. Ja ci mówię. Tak będzie lepiej. Chociaż raz męża posłuchaj.

– Ta nowa policjantka chyba coś przeczuwa.

– Pies ją trącał. Miastowa nie będzie mi w moim życiu grzebać. Niech wraca, skąd przysła. A Dawid jest nasz, swój chłop. Jeśli będzie trzeba, pogadam z nim, żeby ją trochę utemperował.

Balbina napiła się gorącej herbaty, obejmując kubek obiema dłońmi. Jerzy miał nadzieję, że żona nie pęknie. Wszyscy powinni trzymać się jednej wersji. A ona już na początku dała płamę. Zawsze miała za długi język.

– To twoja wina – burknął.

– Wymknęło mi się. Byłam zdenerwowana.

– Lepiej się pilnuj, bo chłapiasz jęzorem na prawo i lewo.

– Zestresowała mnie.

– Jakoś się to rozplącze. Poza tym już mówiłem, że Dawid jest nasz. Nie uwierzy jej.

Rozmawialiście bez świadków, więc jak przyjdzie co do czego, to się wyprzesz.

W kuchni na chwilę zapadło milczenie. Jerzy dojadł jajecznicę i popił herbatą, po czym rękawem otarł usta. Spojrzał na żonę, która przyglądała mu się podejrzliwie.

– To ty znalazłeś tę dziewczynę – powiedziała.

– I co z tego?

– Dlaczego kazałeś mi powiedzieć, że ja ją znalazłam?

– Ktoś ją zgwałcił. Miała krew, no wiesz, tam...

Balbina patrzyła na niego tępym wzrokiem.

– Na pewno by mnie podejrzewali – wyjaśnił. – Nie rozumiesz? A ty nie mogłaś jej zgwałcić. Logiczne, nie? Czego nie rozumiesz?

– A gdzie byłeś pół nocy?

– W policję się bawisz? – Zaśmiał się nerwowo.

– Nie wróciłeś tak wcześniej, jak powiedziałeś policji.

– No, nie wróciłem.

– Gdzie byłeś?

Jerzy wstał i mimo mrozu uchylił okno. Do kuchni wpadło chłodne powietrze. Zapalił papierosa i wydmuchał dym na zewnątrz. Jeszcze tak nisko nie upadł, żeby własnej żonie się spowiadać. Lepiej, jeśli kobiety nie wiedzą wszystkiego. Mimo to jej spojrzenie paliło go w plecy.

– Chyba nie myślisz, że mam coś wspólnego ze śmiercią Cieślakówny? – spytał.

– Nie – zapewniła pospiesznie. – Ale chcę wiedzieć, gdzie byłeś. Jeśli ktoś cię widział, kłamstwo się wyda.

– Moja sprawa, gdzie byłem. Nic się nie wyda. Wystarczy, że będziesz mówić, że to ty ją znalazłaś i tyle.

Balbina wstała.

– Gdzie byłeś, Jerzy? – nie ustępowała. – Nakłamałeś policji, że byłeś w domu wcześniej, a wcale cię nie było.

– Daj spokój. – Zaciągnął się. – Lepiej powiedz, gdzie Patryk?

Balbina podparła się po boki. Zawahała się. Miała świadomość, że jeśli teraz odpuści Jerzemu, być może nigdy nie dowie się, co robił minionej nocy.

Nie miała siły z nim walczyć.

– Śpi – odparła.

– Schlał się wczoraj na festynie, to śpi. Tak żeś syna wychowała, że pijany do domu przyłazi. No i dobrze. Przynajmniej ten cyrk go ominął. – Jerzy zgasił papierosa. – Ale nie będzie mi gówniarz do południa spał, niech się za robotę weźmie. Obudź go.

Balbina skinęła krótko głową i ruszyła na piętro. W tym czasie Jerzy duszkiem wypił gorącą herbatę i już miał wychodzić z domu, kiedy usłyszał przerażony głos żony.

– Jerzy! Nie ma go!

8

Marcel Wolski wyciągnął słuchawki z uszu. Głos Jordana Dreyera z La Dispute przycichł. Ze słuchawek płynął jedynie pogłos melodii. Marcel wsunął ręce pod głowę i przez kilka minut wpatrywał się w poszarzały sufit wynajętej kawalerki, za małej nawet dla jednej osoby. W mieszkaniu brakowało przestrzeni na dodatkowe meble, więc pod ścianą piętrzyły się rzędy tekturowych pudeł, wypełnione głównie ubraniami, lecz na samym spodzie stało większe pudło, rozerwane i zniszczone. Marcel trzymał w nim swoje ulubione płyty.

Podciągnął się do pozycji siedzącej i spuścił nogi na podłogę. Stopy przykleiły się do parkietu, bo trzy dni temu w tym właśnie miejscu wylał półlitrową butelkę mirindy. Zapomniał posprzątać. Napój wyparował, wsiąkł w podłogę i pozostała po nim lepka plama. Przeszedł do kuchni, wyciągnął z lodówki butelkę gazowanej wody i pokonując rozrzucone na podłodze puszki po piwie, wrócił na materac leżący pod ścianą. Pomyślał o tym, że nie dorobił się nawet łóżka, co do tej pory niespecjalnie mu przeszkadzało, ale teraz powoli docierało do niego, jak beznadziejne życie prowadził. Zaklął pod nosem, przysunął wypełniony petami słoik i zapalił westa ice. Dym uciekł przez uchylone okno, jedyne, jakie było w tym mieszkaniu.

Ostatnie dni minęły Marcelowi bardzo szybko. Wrócił do Łodzi, zaszył się w kawalerce

i rozmyślał. Całe dni spędzał w mieszkaniu, wyjścia ograniczył do krótkich spacerów do pobliskiej Żabki po papierosy, piwo i coś do jedzenia – najczęściej mrożoną riggę lub zapiekanekę – a potem pół dnia czytał lub grał na konsoli, czasami słuchał muzyki. Kiepsko się czuł. Od śmierci ojca prowadził niezdrowy tryb życia, a do tego przybyło mu parę kilogramów, spodnie zrobiły się dziwnie przyciasne.

Pomyślał o ojcu i poczuł, że do oczu napływają mu łzy. Stał je ze złością, bo nie chciał więcej płakać. Najwyższa pora wziąć się w garść.

Z kuchennej szafki wyciągnął worki, pozbierał śmieci z podłogi i wystawił za drzwi, wziął prysznic i z kawą w termicznym kubku ruszył do galerii handlowej. Odchudzanie na razie nie wchodziło w grę, uznał więc, że wymieni ubrania na rozmiar większe. Szybko się przekonał, że rozmiar podskoczył mu o dwa oczka.

Niedobrze.

Ubrany w świeże i luźniejsze w pasie ciuchy, wrócił do domu i zapalił papierosa, zastanawiając się, czy zrealizować pomysł, jaki przyszedł mu do głowy. Nie potrafił przewidzieć reakcji Rudnickiej na jego widok, ale w końcu sama go zaprosiła. Trzymał się tej myśli, bo wreszcie znalazł cel, który był w stanie zrealizować.

Do pracy na razie nie zamierzał wracać. Zresztą, pragnienie, by odejść ze służby, stawało się coraz silniejsze. Nigdy nie uważał się za dobrego policjanta. Tymczasem postanowił dać sobie trochę więcej czasu i poprosić o przedłużenie urlopu.

Spakował trochę ubrań, dodatkową parę butów upchnął do podręcznego plecaka, wsunął telefon w kieszeń spodni, po czym obrzucił niechętnym spojrzeniem wynajmowaną kawalerkę. Po powrocie do Łodzi rozejrzy się za nowym mieszkaniem.

Gdy wsiadał do samochodu, prosił śnieg. Wolski nie miał pojęcia, co zastanie w Białych Brzegach, ale cieszył się, że zobaczy Rudnicką. Często o niej myślał. Tęsknił za nią, nie tylko ze względów zawodowych. Wiele razem przeszli i Wolski miał nadzieję, że ich relacja nie uległa zmianie.

Zostało jeszcze czterdzieści kilometrów. Za godzinę powinien być na miejscu.

9

Mam nauczkę, żeby nie jeździć z tobą samochodem – mruknęła Rudnicka, wysiadając z astry.

– Następnym razem posprzątam – obiecał Sadowski, zatrzasnął drzwi kierowcy i zapalił papierosa.

– Nie będzie następnego razu.

– Wszystkie tak mówią.

Rudnicka posłała mu kpiący uśmiech.

Po rozmowie z rodzicami Kariny Cieślak postanowili jeszcze raz porozmawiać z Adamskimi. To komisarz naciskała na spotkanie, Sadowski nie protestował, choć nie wyglądał na zachwyconego. Rudnicka zapukała do drzwi, odczekała kilka sekund i zapukała ponownie.

– Nie ma samochodu – zauważył Dawid i wydmuchał dym.

Komisarz zaklęła pod nosem. Nie chciała odjeżdżać z niczym.

– Zajrzymy do Mielcarzów – rzuciła.

– Jesteś pewna?

– Mieszkają obok, a i tak musimy porozmawiać z koleżankami Kariny. Jedną mamy pod nosem, więc nie widzę przeszkód.

– Okej. – Sadowski wdeptał niedopałek w ziemię. – Jak chcesz.

Mróz szczypał w twarz. Pokonali oblodzoną drogę do domu Mielcarzów. Dawid trzymał

się z tyłu. Szedł z dłońmi w kieszeniach kurtki, wyraźnie niezadowolony. Jego zdaniem powinni zaczekać na wyniki sekcji zwłok Kariny, ale zachował te przemyślenia dla siebie.

Drzwi otworzył mężczyzna w popielatym swetrze. Przesunął dłonią po mocno przerzedzonych włosach i obrzucił policjantów niechętnym spojrzeniem.

– Jasne – mruknął. – Wiedziałem, że przyjdziecie.

– Jesteś tu służbowo – wyjaśnił Dawid. – To jest komisarz Rudnicka z łódzkiej komendy.

Zdaniem Leny chciał w ten sposób usprawiedliwić się przed Mielcarzem, że ta wizyta nie była jego pomysłem.

Gospodarz przeniósł wzrok na komisarz.

– Czyli to prawda, co mówią ludzie – powiedział. – Sprawę przejęła komenda w Łodzi.

– Pan Tomasz Mielcarz? – upewniła się.

– Tak.

– Zastaliśmy pańską żonę Barbarę?

Mielcarz zawahał się.

– Nie ma jej w domu – odparł. – Coś się stało?

– Chciałabym z nią porozmawiać.

– Kto przyszedł? – Z wnętrza domu dobiegł kobiecy głos, a twarz Mielcarza oblała się purpurą.

– Kiepski początek. – Rudnicka oparła się ramieniem o framugę. – Kłamstwo ma krótkie nogi, panie Mielcarz. Ale my się nie gniewamy, prawda, Dawidzie?

Sadowski zignorował pytanie komisarz. Odchrząknął, przykładając zaciśniętą pięść do ust.

– Musimy pogadać z Bašką – powiedział. – Wiesz, że była wczoraj z Kariną. To standardowa rozmowa. Może zauważyła coś podejrzanego albo wie, czy Karina miała się z kimś spotkać. Ona nie żyje, Tomasz. – Sadowski podniósł wzrok na Mielcarza. – Musimy znaleźć człowieka, kto zrobił jej krzywdę.

– Jasne, przepraszam. – Tomasz uniósł otwarte dłonie i zwrócił się do Rudnickiej. – Żle zacząłem. Nie wiem, dlaczego skłamałem. Pani wybaczy, zwykła ludzka głupota.

– Mhm.

Komisarz nie czekała na zaproszenie i wparowała do środka. Na zdziwioną minę gospodarza Dawid odpowiedział bezradnym rozłożeniem rąk. Ruszyli za Rudnicką.

Przeszła długim korytarzem i sprawdziła pierwszy pokój, a potem pchnęła następne drzwi, ale Barbary Mielcarz nie znalazła. Zajrzała do kolejnego pomieszczenia po lewej stronie, weszła i uśmiechnęła się na widok drobnej kobiety stojącej przy kuchni. Gospodyni w osłupieniu patrzyła na policjantkę. Ciszę wypełniało bulgotanie gotującej się wody w elektrycznym czajniku.

– Kim pani jest?

– Komisarz Lena Rudnicka.

Barbara bezmyślnie wpatrywała się w policyjną legitymację i dopiero gdy w progu stanął jej mąż, a za nim Sadowski, uniosła wzrok i kiwnęła głową. Lena schowała legitymację.

– Chciałabym z panią porozmawiać. – Komisarz usiadła przy stole i zabębniła palcami w blat. – Myślę, że mamy sobie sporo do powiedzenia. Ach, i chętnie napiję się kawy.

Barbara stała nieruchomo. Pytającym wzrokiem spojrzała na męża, ale Tomasz wyglądał na równie zaskoczonego. W końcu sięgnęła po czajnik i zalała dwie kawy, jeden z kubków postawiła przed policjantką.

Rudnicka upiła łyk.

– Straszne siki – oceniła. – Za cholere niedobre.
– Nie mam innej – wyjaśniła Barbara zgodnie z prawdą.
– No trudno. – Lena wzruszyła ramionami. – Pani usiądzie. A męża poproszę, żeby zostawił nas same.

– Nie ma mowy. – Mielcarz skrzyżował ramiona. – Nie mam zamiaru się stąd ruszać.
Rudnicka powątpiewała, by jego opór wynikał z troski o żonę.

– Dawidzie, wyprowadź pana.

Sadowski się zawahał.

– Nie wiem, czy... – bąknął.

– Przesłuchasz pana Tomasza, a ja porozmawiam z panią Barbarą. Oszczędzimy tym samym trochę czasu. – Rudnicka spojrzała na kobietę. – Przecież wiecie, co wydarzyło się dzisiejszego ranka, i macie świadomość, że i tak będziecie musieli złożyć zeznania. Nieopodal waszego domu znaleziono martwą dziewczynę, a według rodziców zmarłej była pani z Kariną minionej nocy. W takiej sytuacji chyba musieliście się spodziewać wizyty policji. Naprawdę jesteście zaskoczeni?

– Ach, no tak, ma pani rację. – Barbara przysiadła na krześle, kładąc dłonie na kolanach.

– Nie mamy przecież nic do ukrycia. Po prostu... po prostu oboje jesteśmy w szoku. Bo Karina... – Ukryła twarz w dłoniach, jakby miała się rozplakać. Rudnicka nie mogła oprzeć się wrażeniu, że smutek Barbary był nieszczerzy. – Nie mieści mi się w głowie, że ktoś mógł zrobić Karinie krzywdę.

– Jaką krzywdę?

– Została zgwałcona, prawda?

– Skąd pani wie?

– Ludzie gadają.

Komisarz pokiwała głową i znacząco spojrzała na Dawida.

– Dobrze – mruknął. – Chodź.

Tomasz nie ruszył się z miejsca.

– No chodź. – Dawid lekko pchnął go w stronę korytarza. – Pogadamy w dużym pokoju.

Po wyjściu mężczyzn Rudnicka upiła łyk kawy. W tych okolicznościach każda dawka kofeiny była na wagę złota. Dzień zaczął się pracowicie, a wszystko wskazywało na to, że to dopiero początek.

– Chciałabym, żebyś opowiedziała o wczorajszym wieczorze – odezwała się. – Wybacz, że przesłałam na ty, ale szkoda czasu na konwenanse. Mało kto je lubi, nie sądzisz?

Mielcarz nieśmiało się uśmiechnęła.

– Opowiedz mi wszystko, co pamiętasz. Może coś wydało ci się podejrzane?

– Ale ja naprawdę niewiele wiem. Wczoraj odbył się u nas Festyn Lodu. Wybrałyśmy się tam z Kariną i Natalią. Rozstałyśmy się i każda poszła w swoją stronę.

– Rodzice Kariny powiedzieli, że dzisiejszego ranka byli u ciebie.

– Tak. Przyszli strasznie zdenerwowani, pytali, czy Karina u mnie spała. Odpowiedziałam, że nie, że poszła do domu, ale mi nie wierzyli. Cieślak wparował nam do mieszkania. Tomek trochę się z nim posprzeczał, no bo kto by pomyślał tak się zachowywać. Ale wtedy... wtedy jeszcze nie widzieliśmy, że ona... Jej rodzice też nie wiedzieli, że tam leży, za domem Adamskich. Pomyśleliśmy z mężem, że ojciec Kariny przesadza, no ale się okazało, że... To zrozumiałe.

– O której przyszli?

– Nie wiem, chyba około siódmej. Nie miałam pojęcia, że Karina nie wróciła do domu na noc. Dowiedziałam się później, kiedy za płotem Adamskich zebrała się policja i ludzie z okolicy.

To straszne, co się stało.

– Skupmy się na wczorajszym wieczorze. Dotarliście na festyn...

– I trochę się pokręciłyśmy. – Barbara westchnęła. – Wie pani, na wsi nie ma żadnych rozrywek. Dyskoteki są w mieście. Niby niedaleko, ale jednak to wyprawa. Trzeba dzwonić na taksówkę albo telepać się autobusem. A na takiej imprezie to znajomego się spotka, coś się wypije i potańczy.

– Karina dużo wczoraj wypila?

– Fakt, była zawiana. Zmieszała grzane wino z piwem i trochę ją wciąło, ale była w stanie sama dojść do domu.

– Według ciebie wypila tyle, że nie była w stanie bronić się przed napastnikiem?

– Trzymała pion, ale trzeźwa nie była. Dlatego postanowiła iść do domu. Zresztą ja też chciałam się już zbierać. Strasznie bolał mnie brzuch. Wie pani, kobiece sprawy.

– Rozumiem. O której się rozstałyście?

– Wydaje mi się, że kilka minut przed dziewiątą.

Rudnicka mimowolnie pomyślała o rodzicach Kariny. Dziewczyna wyszła z koleżankami na niewinną imprezę, z której już nigdy nie wróciła.

– Mieszkasz niedaleko – zauważyła. – Słyszałaś w nocy coś dziwnego? Coś, co wzbudziło twój niepokój?

– Pyta pani, czy słyszałam, jak ktoś gwałci moją przyjaciółkę?

– Skoro tak stawiasz sprawę.

Baśka pokręciła głową.

– Nic podejrzanego nie słyszałam. Wzięłam proszki przeciwbólowe i poszłam spać. Poza tym trwał festyn. Było głośno. Grał zespół na żywo...

– Kto mógł zrobić Karinie krzywdę? – zapytała Rudnicka prosto z mostu.

Jeśli Cieślakówna miała z kimś na pieńku, przyjaciółka powinna o tym wiedzieć.

Dziewczyny mówią sobie takie rzeczy.

– Nie mam pojęcia – zapewniła Barbara. – Naprawdę!

– Karina miała chłopaka?

Barbara przez ułamek sekundy się zawahała.

– Nie – powiedziała stanowczo.

– Na pewno?

Kobieta pospieszenie skinęła głową i napiła się kawy, ujmując kubek oburącz. Skłamała.

Rudnicka jednak zostawiła tę kwestię na później.

– Opowiedz mi o niej – poprosiła.

Barbara odetchnęła z wyraźną ulgą.

– To znaczy, co chce pani wiedzieć?

– Długo się znacie?

– Och, od dziecka. Wszyscy się tutaj znają. Dawida też znam, chociaż jest od nas starszy.

Wszyscy chodziliśmy do tego samego przedszkola, potem do podstawówki i gimnazjum. Dopiero do liceum musieliśmy dojeżdżać do miasta. Tak wygląda życie na wsi, pani komisarz, tutaj wszyscy się znają, choćby z widzenia.

– Czy Karina pracowała?

– Skończyła studia inżynierskie, ale nie mogła znaleźć pracy. Szukała już kilka miesięcy i nic. Zaczęła przebąkiwać o wyjeździe za granicę.

– Jaka była?

To pytanie zbiło Barbarę z tropu. Zadumała się wpatrzona w kubek z kawą.

– Była... dobrą przyjaciółką. Mogłam na nią liczyć. Wiedziałam, że cokolwiek zrobię,

stanie po mojej stronie. Wsparcie jest w przyjaźni chyba najważniejsze.

Rudnicka wstała i wyrzała przez kuchenne okno.

– Co myślisz o Adamskich? – zapytała.

Barbara westchnęła, jakby spodziewała się, że to pytanie w końcu padnie.

– Sąsiedzi jak sąsiedzi – odparła. – Z jednymi żyje się gorzej, z innymi lepiej.

– A jak z Adamskimi?

– Czasem wychodziły niesnaski, że dym z naszego komina brudny leci. Stary Adamski oskarżał nas, że śmieciami palimy, że smog, wie pani. Ale ogólnie byli w porządku. Zawsze mogło być gorzej.

Rudnicka zauważyła zmianę w wyrazie twarzy Barbary, która odstawiała kubek i zapatrzyła się w okno.

– Kiedy zapytała pani o Adamskich – powiedziała. – Coś mi się przypomniało.

– Co takiego?

– Nie wiem, czy to ważne. Nie chcę nikogo oskarżać.

– O co chodzi?

– O syna Adamskich, Patryka. Karina mówiła, że w ostatnim czasie strasznie się jej naprzykrzał. Wypisywał do niej dziwne esemesy, nalegał na spotkanie, chociaż usiłowała dać mu do zrozumienia, że nie jest zainteresowana. Podobno był strasznie natrętny.

10

Gdyby Lena i Dawid zapukali do Adamskich pięć minut wcześniej, najprawdopodobniej by ich zastali. Ale kiedy Balbina i Jerzy odkryli, że syna nie ma w pokoju, wsiedli do samochodu i wyruszyli na poszukiwania. Może gdyby Balbina знаła prawdę, byłaby nieco spokojniejsza, ale Jerzy nie zamierzał zdradzać żonie powodu nieobecności syna. Mężczyzna powinien mieć swoje tajemnice.

Zdenerwowana Balbina popędzała męża, żeby dodał gazu, a kiedy dotarli na boisko, wyskoczyła z samochodu i popędziła przed siebie, nie oglądając się na Jerzego. Adamscy robili dokładnie to samo, co kilka godzin temu rodzice Kariny Cieślak – szukali własnego dziecka. Zaczęli od miejsca, gdzie wczoraj odbywał się festyn. Balbina nie miała pojęcia, co począć, więc stanęła pośrodku boiska i spojrzała na męża.

– Gdzie on jest? – zapytała.

– Mówiłem ci, żebyś się uspokoiła. Pewnie chłopak zabalował i śpi u kolegi.

Balbina poczuła, że się czerwieni. Jak zawsze, kiedy była zdenerwowana, na jej policzkach wykwitwały okrągłe rumieńce.

– Co ty wygadujesz? – zaatakowała męża. – Dzisiejszej nocy ktoś pastwił się nad tą biedną dziewczyną, a naszego syna nie ma w domu. Może jemu też się coś stało, nie przyszło ci to do głowy?

– Złego diabli nie wezmą. A nasz syn święty nie jest, sama wiesz. Mówię ci, że zabalował. Niepotrzebnie się przejmujesz.

Patryk był krnąbrny, nie chciał się uczyć, a jakiś czas temu – jak dowiedział się Jerzy – wpadł w nieciekawe towarzystwo. Kilka razy widział go z podejrzanymi typami i postanowił z nim porozmawiać, bo obawiał się, że Patryk wciągnął się w narkotyki, ale chłopak nie był skłonny do zwierzeń, a dobre intencje ojca potraktował jako atak. Nie mówił, dokąd wychodzi, wracał późno, ale jakiś czas temu się zmienił. Stał się cichy i wycofany, przestał pyskować, rzadko wychodził z pokoju, więc gdy oznajmił, że wybiera się na festyn, Jerzy bardzo się ucieszył. Uznał to za dobrą wróżbę i pomyślał, że syn wreszcie wrócił do normalności.

Z zamyślenia wyrwał go głos żony.

– Powinniśmy to zgłosić na policję.

– Co?

– Zaginięcie Patryka.

Jerzy z rozbawieniem pokręcił głową, uznając propozycję za żart, ale uświadomił sobie, że mówiła poważnie. Głupia baba niczego nie rozumiała. Musi ją powstrzymać. Dość mieli kłopotów przez tę zabita dziewczynę. Gliniarze zaczęli węszyć zdecydowanie zbyt blisko jego rodziny.

– Zwariowałaś? – burknął.

– Naszego syna nie ma w domu i nie odbiera komórki. Powinniśmy coś z tym zrobić. Chyba nie zamierzasz tak tutaj stać i czekać na cud?

– Uspokój się. Nic mu nie jest.

– Idę na policję. Jeśli grozi mu niebezpieczeństwo, nigdy bym sobie nie wybaczyła, że nic nie zrobiłam.

Ruszyła przed siebie, ale Jerzy szarpnął ją za ramię.

– Nie pójdziesz na żadną policję! – warknął. – Wracamy do domu. Zapewniam cię, że nic mu nie jest.

Obrzuciła go podejrzliwym spojrzeniem.

– Ty coś wiesz.

– Ja? Skąd! Nic nie wiem.

– Kłamiesz. Przecież cię znam.

– No coś ty, Babi...

Balbina podparła się pod bok. Miała już pewność, że mąż coś ukrywa. Tak ją nazywał tylko wtedy, kiedy miał coś na sumieniu.

11

Arkadia Ząbek pracowała na plebanii przeszło dwadzieścia lat i traktowała swoją pracę bardzo poważnie. Bycie gospodynią u księdza to powołanie, a nie każdy się do tego nadaje. W miastach ludzie odeszli od Kościoła, ale nie na wsi. Tutaj, choć może nie patrzy się już na księży jak na wyrocznie, to wciąż traktuje się ich z szacunkiem. Część tego szacunku spływała także gosposię – ludzie podchodzili do niej z respektem, kłaniali się na ulicy i pytali o zdanie w różnych kwestiach dotyczących życia parafii. Choć Arkadia nie przyznałaby się do tego nikomu, była nieco próżna, a poważanie, jakim cieszyła się wśród miejscowych, lechtało jej dumę. W każdą sobotę parafianki przychodziły na cotygodniowe sprzątanie kościoła, a wtedy Arkadia mogła pokazać, jak dobrą jest organizatorką. Kobiety patrzyły na nią z podziwem i wykonywały jej polecenia. W takich chwilach Arkadia czuła się ważna.

Plebania była przepiękna. Wysypana drobnymi kamyczkami ścieżka prowadziła do głównego wejścia na przeszklony ganek. Przybyłych witały szerokie drzwi ze stylową kołatką, potem wchodziło się na korytarz wyłożony wzorzystym dywanem, na ścianach wisiały obrazy świętych, pokoje zdobiły świeczniki, mosiężne figury...

Arkadia zajmowała pokój na parterze od wschodniej strony. Ksiądz Leopold dał jej wybór. Zimą na piętrze było znacznie cieplej, ale Arkadia wolała zostać na dole, skąd miała bliżej do kuchni lub pokoju dziennego. Poza tym wolała odstąpić piętro księżom. Powinni mieć trochę prywatności. Obecność kobiety – jakkolwiek stara by była – mogła ich krępować. Dlatego pokoje na górze zajmował proboszcz Leopold Babecki oraz wikary Jacek Kowalczyk.

Ksiądz Jacek dołączył do nich stosunkowo niedawno, może dwa, trzy lata temu. Okazał się bardzo miłym, młodym człowiekiem z prawdziwym powołaniem. Co do tego Arkadia nie miała wątpliwości. Spotkała na swojej drodze wielu księży, którzy odwiedzali proboszcza

Leopolda, ale nigdy nie spotkała kogoś obdarzonego równie głęboką wiarą jak ksiądz Jacek. Codziennie wstawał o piątej nad ranem i modlił się ze szczerym zapalem. Arkadia również była wierząca, ale zapalała, by modlić się każdego ranka, zdecydowanie jej brakowało. Nawet proboszcz Leopold zaczynał dzień od kawy, nie od modlitwy.

Arkadia przygotowywała śniadanie dla księży. Najpierw w jadalni pojawiał się ksiądz Jacek. To on odprawiał poranną mszę. Najczęściej jadał jajecznicę na boczku, posypaną szczypiorkiem. Przepadał też za sadzonym jajkiem na ciepłym toście. Nie mogło zabraknąć również filiżanki mocnego espresso. Kiedy wikary wychodził do kościoła, budził się ksiądz proboszcz. Rankiem Arkadia krzątała się po kuchni niemal do ósmej.

Tego dnia ksiądz Jacek z porannej mszy przyniósł tragiczne wieści. Parafianie donieśli mu, że w obejściu rodziny Adamskich znaleziono martwą dziewczynę. Najprawdopodobniej zgwałconą. Arkadia spojrzała na księży. Obaj wyglądali na przerażonych. Proboszcz podniósł się z krzesła i wyjrzał za okno, pytając, czy policja zna tożsamość sprawcy, lecz wikary zaprzeczył.

– Straszna tragedia – westchnął Babecki. – Musimy coś z tym zrobić.

– Co, księżo proboszczu?

W zadumie potarł podbródek i spojrzał najpierw na Arkadię, potem przeniósł wzrok na księdza Jacka, który tylko czekał na instrukcje przełożonego.

– Odprawimy mszę za duszę tej biednej dziewczyny – powiedział. – Taka tragedia.... I to u nas! – Pokręcił głową. – Odprawię mszę i wygłoszę kazanie. Jeśli nie złapano sprawcy, być może któryś z mieszkańców wie coś, z czym boi się pójść na policję.

– Nigdy nie spodziewałbym się, że u nas...

– Nikt się tego nie spodziewał, Jacku. Przypuszczam, że ludzie są przerażeni. Musimy dać im wsparcie.

– To prawda. Rozmawiałem z panią Danusią, co ma męża alkoholika...

– Ona mieszka przy Krętej, prawda?

– Zgadza się. Mówiła, że boi się o siebie i swoje dzieci. Nie dziwota, księżo proboszczu, gwałciciel na wolności...

Arkadia z niedowierzaniem przysłuchiwała się tej wymianie zdań. Kto by pomyślał! Białe Brzegi to przecież spokojna wieś... Po wyjściu księży przysiadła na krzesło przy oknie. Podparła brodę i zapłakała. Powinna uprzątnąć stół po śniadaniu, ale nie miała do tego głowy. Myślała o tym, czy warto przejść się do sklepu i dowiedzieć czegoś więcej. Kozakowa na pewno jest dobrze poinformowana.

Z zamyślenia wyrwał ją dźwięk kołatki. Mocne, miarowe uderzenia. Arkadia popędziła do drzwi i zamarła. Takiego gościa się nie spodziewała.

– Dzień dobry – powiedziała Anna Cieślak, przebierając nogami. Mróz trzymał od rana, a do mieszkania wpadł podmuch zimnego powietrza.

– Dzień dobry, kochana. – Arkadia wpuściła kobietę do środka i prędko zamknęła drzwi.

– Ja... ja do księdza.

– Proszę, zdejmij kurtkę, kochana. Zimno dzisiaj, prawda?

Anna popatrzyła na nią tępym wzrokiem, a Arkadia pomyślała, że powinna łupnąć się czymś ciężkim w głowę. Cieślakowa właśnie straciła córkę, a ona gędzi o pogodzie. Anna miała oczy zapuchnięte od płaczu i na ten widok serce Arkadii aż się ścisnęło.

– Zawołam księdza – rzuciła i zniknęła na piętrze.

– Dziękuję.

W korytarzu zjawił się ksiądz proboszcz ubrany w oliwkową koszulę, ciemne spodnie i kapcie. Nie miał koloratki.

– Pani Anno?

– Przepraszam za najście. Naprawdę przepraszam. Wiem, że powinnam się zapowiedzieć, ale... sama nie wiem. Boże...

– Nie ma pani za co przepraszać. – Babecki położył dłoń na jej ramieniu. – I niech się pani nie tłumaczy.

– Po prostu... Chciałam porozmawiać.

– Rozumiem. Zapraszam do mojego gabinetu. Arkadio? Zaparzysz nam po filiżance herbaty?

– Oczywiście – zapewniła pospiesznie gosposia. – Przyniosę też coś słodkiego. Upiekłam przepyszną karpatkę.

– Dziękuję. – Anna naciągnęła rękawy swetra na dłonie. – Ale chyba nic nie przełknę.

Proboszcz poprowadził gościa w głąb domu. Weszli do przestronnego gabinetu, w którym stało szerokie, mosiężne biurko, a za nim regały z segregatorami i teczkami. Ksiądz przyniósł sobie krzesło z za biurka, by usiąść bliżej parafianki. Anna zawahała się, ale po chwili opadła na siedzenie obok. Schowała twarz w dłoniach.

– Dlaczego Bóg mi ją zabrał? – jęknęła.

Babecki żył na tym świecie ponad sześćdziesiąt lat, lecz do tej pory nie znalazł odpowiedzi na podobne pytania. Okrucieństwo, jakiego zaznała ta biedna dziewczyna, było niewyobrażalne.

Położył dłonie na kolanach i westchnął przeciągle. Pozwolił, by Cieślakowa mówiła dalej.

– Moja Karinka. – Pociągnęła nosem. – Proszę księdza, dlaczego moja córka? To było dobre dziecko. Nigdy nikomu nie zrobiła krzywdy. Dlaczego ona?

– Nie powinnaś teraz tracić wiary, Anno.

– Już ją straciłam.

– Nawet tak nie myśl.

Twarzy Anny nagle pociemniała. Wyprostowała plecy i popatrzyła na proboszcza dziwnym wzrokiem.

– Gdybym spotkała człowieka, który jej to zrobił... zabiłabym go. Nie zawahałabym się ani chwili.

– Anno...

Proboszcz odchylił się na krześle. Rozumiał złość i rozżalenie Cieślakowej, ale wiedział też, że nie byłaby w stanie nikogo skrzywdzić. Znał tę rodzinę od dawna. Anna i Henryk byli dobrymi ludźmi. Gościnnymi i zaangażowanymi w życie parafii. Co roku chętnie przyjmowali księdza po kołędzie, częstowali ciastem i kawą.

– Wszyscy parafianie wam głęboko współczują – zapewnił. – Dzisiejszego wieczoru odprawimy mszę za duszę Kariny.

– Msza nie zwróci mi dziecka.

– Rozumiem twój ból, ale pamiętaj, że powinnaś być silna. Módl się za swoją córkę.

– Modlitwa w niczym nie pomoże, proszę księdza.

– Uspokoisz nerwy. Najbliższe dni będą wymagały od ciebie i od Henryka wyjątkowych pokładów siły. Musicie się wspierać.

– Niepotrzebnie tu przyszłam.

Anna gwałtownie wstała.

– Szukasz wsparcia – rzekł proboszcz. – To zrozumiałe. Pamiętaj, że zawsze możesz do mnie przyjść i porozmawiać.

– Znajdę tego sukinsyna, który jej to zrobił. Przysięgam.

– Anno, zostaw tę sprawę policji.

– Pomoże mi ksiądz?

Babecki wstał i przeszedł się po gabinecie. Anna była bliska płaczu. Wpatrywała się w niego z nadzieją.

– W jaki sposób? – zapytał.

Anna się zawahała.

– Może ten zwyrodnialec poczuje wyrzuty sumienia...

– Chcesz żebym zdradził tajemnicę spowiedzi?

– Wiem, że proszę o wiele, ale księdzu również powinno zależeć na sprawiedliwości.

– Anno, nie mogę. Nie w ten sposób.

Zagryzła wargi. Spodziewała się takiej odpowiedzi, ale musiała spróbować.

– Proszę więc o jedno – odparła. – Jeśli ksiądz cokolwiek się dowie, proszę mi o tym powiedzieć. Nie chodzi mi o spowiedź. Ludzie lubią mówić i jestem pewna, że zaraz pojawią się jakieś plotki. A w każdej może być ziarno prawdy. Może któryś z parafian powie coś, co ksiądz uzna za ważne. Czy chociaż to może ksiądz dla mnie zrobić?

– Jeśli nie będzie mnie obowiązywała tajemnica spowiedzi.

– Mam na myśli rozmowy z księdzem. Ksiądz ma dobry kontakt z ludźmi.

Babecki skinął głową. Tyle mógł dla niej zrobić.

– Był ksiądz wczoraj na festynie? – zapytała. – Może widział ksiądz moją córkę?

– Niestety, nie. – Uśmiechnął się przyjaźnie. – Mam swoje lata, chodzenie po mrozie to nie dla mnie. A wczoraj naprawdę było zimno.

– A wikary?

– O, tak. Ksiądz Jacek wybrał się na festyn.

– Proszę go zapytać. Może widział Karinę w towarzystwie jakichś podejrzanych ludzi.

– Oczywiście, że zapytam. Jeśli się czegoś dowiem, dam znać. Obiecuję.

– Dziękuję księdzu.

W tym momencie wikary odsunął się od drzwi. Po przyjściu Cieślakowej zszedł po cichu na parter i zatrzymał się przed gabinetem proboszcza.

Podstuchiwał.

12

W pomieszczeniu było zimno. Komisarz Rudnicka siedziała w kurtce przy jednym ze stłoczonych przy ścianie biur. Przez szpary w oknach wpadał wiatr, którego poświstywanie po chwili zagłuszył szum farelki. Sadowski powiesił kurtkę na oparciu krzesła i usiadł przy sąsiednim biurku, na którego blacie panował bałagan. Po lewej stronie piętrzyły się podniszczone teczki i biurowy przybornik wypełniony papierkami po cukierkach czekoladowych, po prawej stał monitor komputera, stary, z poźółką obudową, a tuż pod nim leżało kilka pustych paczek po papierosach i wypełniona po brzegi popielniczka.

– Kawy? – zaproponował Dawid.

– Chętnie.

Policjant dźwignął się z krzesła i podszedł do stolika na cienkich nóżkach. Do dwóch kubków wysypał rozpuszczalną kawę i uruchomił elektryczny czajnik. Czekali w milczeniu, aż woda się zagotuje.

Dawid postawił parujący kubek przed Rudnicką.

– Dałbyś jeszcze cukier – bąknęła komisarz.

Sadowski westchnął przeciągle, wrócił po kilogramową paczkę i postawił ją przed Leną.

Odwinęła papier, wysypała pięć łyżeczek i odsunęła opakowanie na bok. Upiła łyk. Kawa rozlała się jej w żołądku falą przyjemnego ciepła.

– I co? – spytała.

Sadowski patrzył na nią, jakby nie rozumiał pytania.

– Pytam o to, co powiedział patolog.

– Ach, tak. Wybacz, zamyśliłem się.

– Mhm.

Dawid nie odpowiedział od razu. Napił się kawy i długą chwilę wpatrywał się w widok za oknem. Sypał śnieg. Drobne płatki opadały na parapet. Co jakiś czas ulicą przejeżdżał samochód, wolno i ostrożnie, w obawie przed poślizgiem.

– Miałaś rację – odezwał się w końcu, a Lena nie wiedziała, czy przygnębienie Sadowskiego wynika z tego, że musiał przyznać rację kobiecie, czy spowodowały je informacje uzyskane od patologa. Postanowiła nie naciskać. – Karina została zgwałcona. I to brutalnie. Chociaż to i tak mało powiedziane. – Nerwowym ruchem potarł skronie. – Nie wiem, co o tym myśleć. Cholera. Pierwszy raz mam z czymś takim do czynienia. Ktoś użył do tego celu... tępego narzędzia.

Komisarz odstawiła kubek z kawą i splotła dłonie na blacie. Stąd tyle krwi, pomyślała, a kiedy uświadomiła sobie, co spotkało tę biedną dziewczynę, zrobiło jej się niedobrze.

– Patolog zasugerował kawałek drewna. – Sadowski przesunął w kierunku Rudnickiej odbitkę. – Była mocno poturbowana. Ktoś ją uderzył i kopał. Mamy ślad odcisku buta, a raczej przednią część podeszwy.

Lena przyjrzała się fotografii.

– Wygląda na odcisk trapera – zauważyła. – Ale nie sposób określić rozmiaru.

– Też o tym pomyślałem. Z sekcji wynika, że ktoś torturował Karinę i bestialsko się nad nią znęcał. Była mocno porozrywana w dolnych partiach. Znalezione również jej kał.

Rudnicka odwróciła wzrok od zdjęcia i wyciągnęła paczkę papierosów. Zapaliła jednego i zaciągnęła się głęboko, a Dawid podsunął jej popielniczkę.

– Brutalnie zgwałcona i pobita dziewczyna – mruknęła pod nosem. – Wykrwawiła się na śmierć? Umarła z wychłodzenia?

– Tak.

– Szacunkowy czas zgonu?

– Między trzecią a czwartą nad ranem.

Przypuszczenia komisarz się potwierdziły, ale wcale nie była z tego powodu zadowolona. Czuła się sfrustrowana. Chciałaby jak najszybciej znaleźć człowieka, który pozbawił życia Karinę, ale miała świadomość, że są dopiero na początku śledztwa.

– Co z kurtką? – zapytała.

– Nie znaleziono.

– A u Adamskich?

Sadowski spojrzał pobłaźliwie.

– Na zewnątrz szalał mróz – ciągnęła. – A ona nie miała ze sobą kurtki. To o czymś świadczy.

– O czym?

– Wyszła na chwilę i uznała, że zdąży wrócić, zanim zmarznie. Na przykład jeśli chciała przejść z jednego domu do drugiego.

– Nie rozumiem?

– Z domu Mielcarzów do Adamskich.

– Nie było jej u nich.

– Skąd wiesz?

– Niczego takiego nie potwierdzili.

– Droga z jednego domu do drugiego trwa raptem dwie minuty. Taki kawałek można

przebiec bez kurtki.

– Sugerujesz, że ktoś nas okłamał?

– Tego jestem pewna.

Sadowski skrzywił się i zapalił papierosa.

– Mogła zapomnieć o kurtce – mówiła Rudnicka. – Może się spieszyła? Uciekała przed kimś?

– Przed Mielcarzami albo Adamskimi, jak rozumiem? – podsumował kpiąco Sadowski.

– Nie wykluczam tego.

Napiła się kawy i zdusiła niedopałek. Usiadła naprzeciwko Dawida i przyglądała mu się chwilę.

– Jest jeszcze jedna możliwość.

– Słucham.

– Ktoś tę kurtkę zabrał.

– Sprawca?

– Może.

– Kto inny mógł ją zabrać?

– Nie wiem, ale się dowiem.

– Okej. – Sadowski opadł na oparcie krzesła. – Powiedzmy, że sprawca zabrał kurtkę. Po co?

– Sprawcy często zabierają rzeczy należące do ofiary.

– Ale kurtkę? Rozumiem, gdyby zabrałby pierścioneł albo kolczyk. Kurtka zajmuje sporo miejsca. Jak miałby ją schować?

– Celna uwaga. Musiał mieć inny powód.

– Nie nadążam.

– Może sprawca się skaleczył i na kurtce znaleźlibyśmy krew nie tylko Kariny.

To brzmiało logicznie.

– A co z tym kawałkiem drewna? – zapytała. – Znalaziono go w obejściu Adamskich?

– Nie.

– Śmiesz przypuszczać, że już go nie znajdziemy.

– Dlaczego?

– Sprawca zdążył go spalić. Zleciłeś przeszukanie domu Adamskich?

– Jeszcze nie.

– Żartujesz sobie?

Sadowski nie odpowiedział.

– Do cholery, nie możesz ich wykluczyć!

– Nie wykluczam.

– Nie? A wiesz, ile mieli czasu na pozbycie się z domu ewentualnych śladów?

Aspirant zaklął pod nosem. Zgniół niedopałek w popielniczkę.

– Dobrze – powiedział. – Zlecę przeszukanie.

– Nie wierzę, że jeszcze tego nie zrobiłeś.

– Oskarżasz mnie o coś?

Komisarz zmierzyła go wzrokiem. Zachowanie Sadowskiego coraz bardziej jej się nie podobało. Podobnie jak fakt, że to on dowodził śledztwem. Gdyby sprawa zależała od niej, każdy kąt w domu Adamskich zostałby już dawno sprawdzony.

Nie miała pojęcia, czy zachowanie Dawida wynikało z niewiedzy, bo nigdy wcześniej nie pracował przy podobnej sprawie, czy z głupiej łatwowierności. Jeśli chodziło o to drugie, Dawid powinien zrozumieć, że relacje sąsiedzkie powinien odłożyć na bok.

– Czego dowiedziałeś się od męża Barbary Mielcarz? – spytała.
– Podobno nie był na festynie. Cały wieczór spędził w domu. Potwierdził, że Barbara wróciła wcześniej, ponieważ bolał ją brzuch.

– Wróciła sama?

Dawid przytaknął.

– Musimy pogadać z drugą koleżanką Kariny. Zaraz do niej pojedziemy, ale najpierw skoczę do łazienki.

– Jasne.

Rudnicka wyszła na korytarz i skierowała się do toalety. Tam ochlapała wodą twarz, oparła dłonie o umywalkę i spojrzała w swoje odbicie w lustrze. Miała podkrążone oczy i ziemistą cerę. Brak snu powoli odbijał się na jej zdrowiu.

Wyjęła komórkę i spojrzała na ekran, na którym wyświetliła się informacja o nieodebranych połączeniach. Trzy od Marcela. Zawahała się, ale postanowiła oddzwonić dopiero po powrocie do domu. Wśród nieodebranych połączeń było również jedno od męża. W tym przypadku Lena nie zwlekała. Odebrał po trzecim sygnale. Miał wesoły, niemal rozbawiony głos, zupełnie do niego niepodobny. Zapytał, czy wszystko w porządku, i przeprosił, że w najbliższym czasie nie znajdzie chwili, by odwiedzić Lenę w Białych Brzegach. Był zavalony pracą.

Odetchnęła z ulgą.

Wyszła z łazienki i ruszyła z powrotem do pokoju, gdy Dawid wyszedł jej naprzeciw.

– Mamy gościa – oznajmił. – To kobieta. Twierdzi, że ma ważne informacje w sprawie Kariny.

13

Barbara Mielcarz przebierała nogami, pocierając dłonie. Robiło się coraz zimniej. Płatki śniegu wirowały jej nad głową, opadały na twarz i ramiona niczym łupież. Skrzypiały gałęzie starych drzew. Kolorowe wstęgi zawieszane przy kapliczce łopotały szarpane wiatrem. W oddali mignęły światła samochodu. Barbara cofnęła się w mrok lasu. Nie chciała, by kierowca ją zauważył. Wyrzała zza rzeźbionej Matki Boskiej, samochód przejechał, na rozwidleniu skręcił w Cegielnianą. Był tam tylko jeden dom oraz firma brukarska. Auto skręciło na posesję, światła zgasły, a wtedy kobieta odetchnęła z ulgą. Stamtąd kierowca już nie mógł jej dostrzec.

Stała tak jeszcze dziesięć minut, marznąc i obserwując dom. Chuchała w zmarznięte dłonie. Powoli kostniały jej palce.

W końcu się doczekała.

– Kurwa, dłużej się nie dało! – warknęła. – Myślisz, że nie mam niczego innego do roboty niż stanie na mrozie.

– To ty chciałaś się spotkać.

Baśka z wyrzutem spojrzała na koleżankę. Natalia Wiśniewska, niewysoka, filigranowa dziewczyna o drobnej twarzy i delikatnych rysach, w drodze zdążyła już porządnie zmarznąć, bo policzki miała zaróżowione od mrozu.

– Po co ta konspiracja? – spytała, poprawiając sobie czapkę.

– Ciszej.

– Przecież nikogo tu nie ma.

Wiśniewska rozejrzała się wokół.

– Mimo wszystko musimy uważać – odparła Baśka. – Lepiej, żeby nikt nie wiedział o tym spotkaniu. Wiesz, jacy są ludzie. Zaraz zaczną gadać.

– Wciąż nie wiem, o co chodzi. I o czym mają gadać.

– Nie udawaj, kurwa, głupiej.

Natalia głośno wciągnęła powietrze i odwróciła się w stronę ulicy, by sprawdzić, czy nikt nie nadjeżdża.

– Dobra – powiedziała. – Chodzi o Karinę. Nie jestem głupia. Ale pytałam o to, dlaczego chciałaś się ze mną spotkać. I dlaczego nalegałaś na spotkanie w lesie, a nie na przykład u mnie w domu?

– Może jeszcze dzisiaj nie połączą nas z tą paskudną sprawą, ale wiadomość, że byliśmy wczoraj z Kariną, szybko się rozniesie. Widziała nas cała wieś. Nie chcę, żeby ludzie zaczęli gadać, że mamy coś wspólnego z jej śmiercią.

– Jasne, ale wciąż nie rozumiem, dlaczego chciałaś się ze mną spotkać. – Natalia zawiesiła głos i kopnęła bryłę śniegu. – Cholera, Karina nie żyje. Nie mogę tego pojąć. Wczoraj byliśmy z nią na festynie, rozmawialiśmy, a dzisiaj... a dzisiaj jej nie ma. To straszne. I cholernie niesprawiedliwe.

– Wiem, Nati. Od rana nie robię nic innego, tylko zastanawiam się, dlaczego spotkało to akurat Karinę.

Natalia zerknęła na ścianę lasu. Zdawało jej się, że usłyszała trzask łamanej gałązki, ale nikogo nie zobaczyła. To pewnie jakieś zwierzę.

– Była u ciebie policja? – zapytała Baśka.

– Jeszcze nie.

– Na pewno przyjdą. I co im wtedy powiesz?

Wiśniewska wsunęła dłonie w kieszenie kurtki i pokręciła głową z rezygnacją. To wszystko wydawało się nierealne. Śmierć Kariny, a teraz to spotkanie z Baśką. Natalia odniosła wrażenie, że koleżance chodzi o coś więcej niż zwykłą rozmowę.

– Powiedziałam policji, że wróciłam wcześniej do domu – wypaliła Mielcarzowa.

– Co?

– Okłamałam ich.

– Dlaczego?

– Nie wiem! – Baśka zagryzła wargę. – Spanikowałam. To znaczy najpierw powiedziałam tak rodzicom Kariny, a potem policji. Wolę trzymać się jednej wersji. Mój Tomek ją potwierdził.

– Zwariowałaś?!

– Co miałam zrobić?

Natalii nie przyszło do głowy, by okłamywać policję. Nie mogła uwierzyć, że koleżanka popełniła taki głupi błąd. Przecież prędzej czy później odkryją prawdę, a Baśka wpadnie w tarapaty. Może gdyby sprawę prowadził sam Dawid, rozeszłoby się po kościach, ale Natalia usłyszała w sklepie, że towarzyszy mu policjantka z Łodzi, a więc śledztwo przybrało poważny obrót. Pewnie przysłali kogoś z zewnątrz, by nadzorował sprawę. A z miastowymi nie ma żartów.

– Jak mogłaś coś takiego zrobić? – spytała, krzyżując ramiona.

– Jezu, daj spokój. Stało się.

– Co im powiedziałaś?

– Że przed dziewiątą byłam w domu. Wymyśliłam, że bolał mnie brzuch, i zwinęłam się wcześniej.

– Baśka...

– Taka mądra jesteś? Nawet nie wiesz, jaki to stres gadać z gliniarzami. Jeszcze z Sadowskim dałabym radę, ale ta babka z Łodzi wszędzie węszy i zadaje dziwne pytania. Ona mnie przeraża, kurwa, niby jest miła, ale wystarczy, że na ciebie spojrzy, a jesteś pewna, że zna

twoje myśli. Nie wiem, czy się zorientowała, że ściemnam. Oby nie.

Natalia najchętniej wróciłaby do domu, ale wiedziała, że to nie koniec. Im dłużej słuchała Baśki, tym bardziej cała ta sytuacja wydawała się absurdalna. Znały Karinę od lat, a Baśka zachowywała się tak, jakby śmierć przyjaciółki w ogóle jej nie obchodziła.

– Jest jeszcze jedna sprawa – odezwała się Mielcarzowa.

Natalia spojrzała na nią z niepokojem.

– Co takiego?

– Pytali, czy Karina miała chłopaka.

– I co im powiedziałaś?

– Że nie miała. – Mielcarzowa wzruszyła ramionami. – Wiem, to głupie.

– Baśka, do cholery.

– Posłuchaj, nie chcę żadnych problemów ani skandalu, rozumiesz? Mam gdzieś, co robiła Karina. Naprawdę mnie to nie obchodzi. Muszę chronić siebie i mojego męża. A jestem pewna, że prędzej czy później ta policjantka odkryje prawdę, a ja nie zamierzam mieć z tym nic wspólnego. Rozumiesz? Karina kazała nikomu nie mówić.

– Ona nie żyje.

– No właśnie. Zresztą, jak chcesz, to sama ich poinformuj.

Baśka wyduła wargi niczym małe dziecko. Zanim zadzwoniła do Natalii i poprosiła o spotkanie, długo nad tym myślała. Natalia nie umiała kłamać, była zbyt dobroduszną, ale Baśka miała nadzieję, że dla dobrego imienia zmarłej przyjaciółki przystanie na jej propozycję. Jeśli razem opracują wspólną wersję wydarzeń, będą miały święty spokój. Policja znajdzie człowieka, który doprowadził do śmierci Kariny, i sprawa rozejdzie się po kościach.

– I tak nie zwrócimy jej życia – powiedziała. – Pamiętaj o tym.

– Jak możesz tak mówić?

– Taka jest prawda.

– Była naszą przyjaciółką. Ktoś ją zabił, a ty robisz wszystko, żeby uratować własny tyłek? To świństwo, Baśka, cholerne świństwo. Nie spodziewałam się tego po tobie!

– Nie krzycz.

– Bo co? Ktoś usłyszy? I bardzo dobrze.

– Zamknij jadaczkę, głupia krowo.

Baśka słyszała urywany oddech Natalii. Rozmowa zmierzała w złym kierunku.

– Dlatego chciałaś się ze mną spotkać? – spytała Wiśniewska. – Żeby potwierdziła policji twoje kłamstwa?

– Czyli odmawiasz?

Baśka modliła się w duchu, by Natalia zgodziła się na jej propozycję. Inaczej będzie zmuszona do czegoś gorszego. Znacznie gorszego. Zrobi wszystko, aby chronić siebie, nawet gdyby miała zrobić krzywdę najlepszej przyjaciółce.

– Natalia, proszę cię – nalegała.

– Nie wiem, co o tym myśleć. Nie wiem, czy jest sens kłamać. Policja i tak dojdzie do prawdy.

– Nie dojdzie, jeśli będziemy trzymać się jednej wersji. Karina nie powiedziała rodzicom o swoim związku. Nikt nie wiedział. A on... Wiesz, wątpię, żeby się wygadał. Dla niego też będzie lepiej, jeżeli wszystko pozostanie w tajemnicy.

– Niby racja.

– No więc jak?

Natalia wyglądała na nieprzekonaną. Właściwie nie była pewna, dlaczego Baśce aż tak bardzo zależy, by zataić prawdę o Karinie. Rodzice i mieszkańcy wsi jakoś by to zniesli,

a składanie fałszywych zeznań to słaby pomysł. Z jej zaciętej miny wywnioskowała jednak, że nie przyjmie odmowy. W oczach Baśki dostrzegła zawziętość i upór. Była pewna, że przyjaciółka coś ukrywa.

– Podrzuciłam im pewien trop – odezwała się Mielcarz. – Może zajmą się nim na jakiś czas.

– Jaki?

– Wspomniałam o Adamskim.

– Ach, Adamski.

– Może ten pajac rzeczywiście jej coś zrobił. – Baśka westchnęła. – To świr. Z takimi nigdy nic nie wiadomo. Wystarczy, że go sprawdzą, i od razu się przekonają, że ma nierówno pod sufitem.

– Nie wydaje mi się, żeby zrobił Karinie krzywdę. Wydawał się niegroźny... Chociaż...

– Sama widziałas, że na festynie cały czas się koło nas kręcił. Parszywy oblech. Gówniarz miał nadzieję, że coś wskóra. Boże, dlaczego rodzą się tacy ludzie, pojęcia nie mam.

– Karina faktycznie miała go dosyć.

– Wcale się jej nie dziwię. Ty byś nie miała dosyć, gdyby jakiś świr cię prześladował? Gdyby wypisywał do ciebie obleśne esemesy? Szkoda, że jego nikt nie sprzątnął. Byłoby o jednego kretyna mniej na tym świecie.

– Nie mów tak.

– Równie dobrze to on mógł ją zgwałcić. Nie chciała mu dać po dobroci, więc wziął ją siłą.

Natalia aż się wzdrygnęła.

– Przestań – mruknęła. – To okropne. Mam nadzieję, że policja znajdzie sukinsyna, który jej to zrobił.

– Ja też, ale wiesz, tak jak mówiłam, powinniśmy trzymać się jednej wersji.

– Może masz rację.

Baśka uśmiechnęła się w duchu.

– Zadzwońisz do mnie po rozmowie z policją? – zapytała.

– Postaram się.

– Obiecuj, że zadzwonisz.

Baśka wolała mieć pewność, że Natalia przedstawi policji ustaloną wcześniej wersję.

– Obiecuję.

– Teraz musimy się rozejść. Może idź pierwsza, a ja odczekam pięć minut.

– Masz paranoję.

– Ostrożność nie zawadzi.

– Przecież nie zrobiliśmy nic złego. Dlaczego musimy się ukrywać?

– Leć już. Strasznie zimno.

Natalia się zawahała, lecz po chwili skinęła głową i ruszyła w stronę zabudowań. Baśka patrzyła za koleżanką i kiedy ta oddaliła się na znaczną odległość, uniosła rękę.

– Gdzie ty jesteś? – zapytała, lecz nikt jej nie odpowiedział. – Wyłaż, do cholery, nie rób sobie jaj.

– Coś taka nerwowa?

Z mroku wyłonił się Tomasz. Jego kurtka na ramionach była pokryta śniegiem. Strząsnął go i zdjął z głowy kaptur.

– Dobrze poszło – ocenił.

– Na szczęście.

Popatrzył na nóż, który trzymał w dłoni, zadowolony, że Natalia zgodziła się na wspólną

wersję dla policji. W innym wypadku on i Baśka musieliby zrobić coś strasznego.

14

Za Dawidem szła niepozorna pięćdziesięciolatka w kurtce z wysokim kołnierzem oraz w nieodpowiednich na tę porę roku adidasach. W jednej dłoni ścisnęła niewielką torebkę, a drugą poprawiała ciasny kok na czubku głowy. Kiedy przekroczyła próg pokoju, jej wzrok od razu powędrował w stronę komisarz Rudnickiej.

– Dzień dobry – powiedziała uprzejmie, a w jej głosie brzmiało zaniepokojenie. – Słyszałam, że mamy nową policjantkę. Nazywam się Regina Nowak, bardzo mi miło panią poznać.

Lena uśmiechnęła się zachowawczo.

– Komisarz Rudnicka – odparła. – Widzę, że wieści szybko się rozchodzą.

– Ludzie uwielbiają plotkować. Nie ma znaczenia, czy w mieście, czy na wsi. Po prostu uwielbiają. Taka już nasza ludzka natura.

Rudnicka skinieniem głowy przyznała jej rację.

– Zastanawiałam się, czy tutaj przyjść – ciągnęła Regina. – Długo nad tym myślałam, rozważałam za i przeciw, ale w końcu uznałam, że być może to, co mam do powiedzenia, rzuci na sprawę śmierci tej biednej dziewczyny trochę inne światło. Sama nie wiem, czy dobrze robię, ale pewnie i tak byście się u mnie zjawili, prawda?

Regina Nowak była sąsiadką Adamskich i Mielcarzów, mieszkanką trzeciego domu na ulicy Długiej, gdzie minionej nocy zabito Cieślakównę.

– Jak rozumiem, mieszka pani przy tej samej ulicy, co państwo Adamscy? – upewniła się Lena.

– Zgadza się.

– Proszę powiedzieć, co panią sprowadza.

– Och, nie jestem pewna, czy to się przyda w śledztwie, ale przeczytałam masę powieści kryminalnych i wiem, że byle drobiazg może mieć znaczenie w śledztwie.

– To prawda. Czasem nawet błahy szczegół okazuje się ważny.

Kobieta uniosła wyżej podbródek, dumna ze swojej obywatelskiej postawy.

– Czy mogę już mówić?

– Oczywiście.

Rudnicka przysiadła na parapecie, krzyżując ramiona. Wybrała to miejsce nieprzypadkowo. Z tej perspektywy miała dobry widok na Nowakową i Sadowskiego, który siedział przy biurku i nerwowo uderzał długopisem w blat.

Regina odchrząknęła i wymownie przeniosła wzrok z Leny na Dawida.

– Byłam wczoraj na festynie – powiedziała powoli. – I widziałam tę zmarłą dziewczynę. Podobno została zgwałcona, to prawda?

– Nie możemy zdradzać szczegółów śledztwa – odezwał się Sadowski.

– Rozumiem. Taka praca. Ale wiem, że to prawda. Ludzie gadają i jestem pewna, że w tej sprawie nie kłamią. – Regina wzięła głęboki wdech. – No więc byłam na festynie. To bardzo miła impreza. Przyznaję, że w tym roku sołtys naprawdę się postarał. Różne rzeczy na niego mówią, ale naprawdę dba o swoich mieszkańców.

– Do brzegu, pani Nowak – upomniała ją Rudnicka.

Regina przekrzywiła głowę, jakby poczuła się urażona.

– Zostałam trochę dłużej, niż planowałam – kontynuowała. – Spotkałam koleżanki. Z niektórymi na co dzień trudno się spotkać, a taka impreza jest idealnym miejscem na pogawędkę. Do rozmowy trochę winka żeśmy wypili, ale ja niedużo, bo leki biorę. Takie grzane

winko w mroźne dni jest jak znalazł, nieprawdaż?

– Mhm.

– Widziałam tam Cieślakównę. Była z dwoma mężczyznami.

Regina Nowak wreszcie doczekała się żywego zainteresowania ze strony komisarz, która zeskoczyła z parapetu i podeszła bliżej.

– Z jakimi mężczyznami? – zapytała. – Zna ich pani?

– Jednego tak, oczywiście, że znam. – Uśmiechnęła się i zawiesiła głos, dozując napięcie.

– To mój sąsiad.

– Który sąsiad?

– Młody Adamski! Tego nicponia wszędzie bym poznała. Paskudny chłopak.

– A drugi z mężczyzn? Kto to był?

– Nie wiem, nie znam go. Pierwszy raz go na oczy widziałam. Jestem pewna, że nie pochodzi z Białych Brzegów. Może mieszka w sąsiedniej wsi? Starszych ludzi z okolicy to ja kojarzę, ale młodzi to już zupełnie inna bajka. Zresztą kiedyś częściej wyjeżdżałam ze wsi, a teraz nie mam po co. Mąż jeździ na ciężarówce, nie ma go całymi tygodniami, ale ja nie mogę do pracy chodzić. Mam problemy z kręgosłupem i jestem na rencie. A powiem państwu szczerze, że też nie bardzo mam dokąd wychodzić. Siedzę więc w domu i coś tam dłubię, a to w ogródku, czasem na drutach i tak sobie żyję.

– Jak wyglądał ten drugi mężczyzna?

Kobieta się stropiła.

– Nie bardzo pamiętam, ale jestem pewna, że ten łobuz Adamski go zna. A przynajmniej tak mi się wydawało, kiedy ich widziałam. Byli razem, więc musieli się znać, prawda? Niech pani Adamskiego zapyta, on pewno będzie wiedział.

– O której godzinie ich pani widziała?

– Około północy. Szłam już do domu, więc pewnie chwilę przed dwunastą.

– W którym kierunku szli?

– Mijałam ich tuż przy naszej uliczce.

Rudnicka spojrzała na Dawida. Baśka Mielcarz twierdziła, że syn Adamskich naprzykrzał się Karinie. To nie mógł być przypadek, że sąsiadka widziała Patryka w towarzystwie Kariny krótko przed jej śmiercią.

Należało jak najszybciej namierzyć chłopaka.

– Słyszała pani, o czym rozmawiali? – pytała Rudnicka.

– Karina głośno się śmiała. Chyba nie była trzeźwa.

– Słyszała pani ich rozmowę?

– Nie, ona tylko się śmiała. Ślizgała się po lodzie, bo mróz trzyma, a piaskarka jeszcze do nas nie dotarła. Było naprawdę ślisko, a Cieślakówna nie mogła utrzymać równowagi. Patryk i ten drugi jej pomagali. Obaj trzymali ją pod ramię, żeby nie upadła, a ona wciąż chichotała. Mijałam ich, ale nie słyszałam, o czym rozmawiali. Gdybym wiedziała, że wydarzy się taka tragedia, nie zostawiłabym tej dziewczyny samej. Nigdy, przysięgam.

– Nie mogła pani tego przewidzieć.

– Dręcą mnie wyrzuty sumienia. W końcu dwóch mężczyzn i pijana dziewczyna... – Pokręciła głową z rezygnacją. – Czuję się winna, bo mogłam podejść i jej pomóc. Zaprowadzić do domu albo zadzwonić po rodziców. Może... może wtedy nic by się nie wydarzyło.

– Proszę się nie obwiniać.

– Ach, Bóg dla każdego ma inny scenariusz.

Rudnicka milczała przez chwilę.

– Kiedy poszła pani do domu, słyszała pani jakieś odgłosy z zewnątrz?

– Chodzi pani o to, czy słyszałam, że Karinie dzieje się krzywda?

– Tak, dokładnie o to pytam.

– Nic nie słyszałam. Włączyłam telewizor i zasnąłam w fotelu. Przebudziłam się około drugiej i wróciłam do łóżka. No i... tak... Wtedy wydawało mi się, że ktoś kręci się wokół mojego domu, ale byłam tak zasnana, że nawet nie pomyślałam, żeby to sprawdzić. Doszłam do wniosku, że mi się przewidziało. Bo w końcu najlepszym łupem dla złodzieja to ja nie jestem. Pieniędzy jak na lekarstwo. – Zaśmiała się gorzko i machnęła ręką. – Zresztą trwał festyn. Młodzież popiła i może kręciła się po drodze. W życiu nie pomyślałabym, że wydarzy się... coś takiego.

Rudnicka zagryzła wargę.

– Co pani wie o rodzinie Adamskich? – zapytała.

– Och, o nich mogłabym mówić godzinami. Stary Adamski to kawał drania. A jego synalek nie lepszy.

– Co ma pani na myśli?

Nowakowa usiadła wygodniej. Jej policzki nabrały rumieńców. Rudnicka ewidentnie trafiła w jej ulubiony temat.

– Ten dureń Adamski, ojciec, to straszna maruda – zaczęła. – To się nie podoba, tamto się nie podoba. Drogę kiedyś utwardzaliśmy, uliczkę naszą, i wszyscy mieszkańcy mieli się zrzucić, no ale zanim on się dołożył, to się nagadał, że głowa mała. Trochę się z nim poprzytykałam wtedy, jakieś trzy lata temu, i od tamtej pory on i ten jego pozał się Boże synuś uprzykrzają mi życie.

– W jaki sposób?

– A to drogę zastawiają, jak mój mąż ma wrócić. Mówiłam, że mąż tirem jeździ? No i musi gdzieś parkować, jak wraca, prawda? A oni, że nie, bo nawierzchnię drogi zepsuje i wjechać mu nie pozwalają. A to dzwonią na policję, że mój pies szczeka za głośno. Wyobraża sobie to pani? Pies szczeka za głośno. – Zaśmiała się. – Owczarka niemieckiego miałam. Dobre psisko, bardzo mądre, no ale pewnego razu wyszedł z podwórka i nie wrócił. Jestem pewna, że tamci dwaj coś mu zrobili. Nie mam dowodów, ale na pewno maczali w tym palce. Od tamtej pory nie wzięłam innego psa, bo stałoby się z nim to samo, co z Czarnym. Takie dobre psisko było, szkoda mi go strasznie.

– A młody Adamski?

– Dzieciak jest pod dużym wpływem ojca. Poza tym znam starego od smarkacza. Synalek jest taki sam jak on wtedy. Wyszczekany i arogancki. Nawet „dzień dobry” mi nie mówi, bo ojciec go nastawił przeciwko sąsiadom. Zresztą od małego sprawiał im duże problemy. Parę razy słyszałam u nich awanturę. O młodego chodziło. W pijaństwo się wdał, towarzystwo jakieś szemrane. Stary Adamski mu nie raz złoił skórę. On się nie patyczkuje, taki już jest. Nie jestem za biciem dzieci, ale w tym przypadku inne metody by nie poskutkowały, mówię wam. Straszny łobuz. Ale tak sobie myślę, że ostatnio ten młody się uspokoił. Powiem pani, że nigdy nie widziałam, żeby podwórko odśnieżał na przykład albo ojcu przy samochodzie pomagał. Miał inne sprawy, dziewczyny i koleżków, a ostatnio parę razy widziałam, jak kręci się po obejściu. Może coś do niego dotarło? Chociaż tacy jak on to chyba nigdy nie zmądrzeją.

– Zna pani tę rodzinę długo... – Rudnicka zawiesiła głos. – Czy... czy pani zdaniem Patryk Adamski byłby w stanie zrobić komuś krzywdę?

Regina ścisnęła mocniej torebkę i namyślała się chwilę.

– Powiem pani szczerze, że nie wiem – odparła. – Nie chciałabym nikogo oskarżać.

– Rozumiem.

– To był łobuz, ale żeby do takiego stopnia, żeby zgwałcić Bogu ducha winną dziewczynę? – Podrapała się w skroń. – Nie wiem, nie wiem. Nie przepadam za tym dzieciakiem,

ale nie mogę go bezpodstawnie oskarżać.

Rudnicka przeszła się po pokoju.

– A Mielcarzowie? – zapytała.

– Och, to porządni ludzie. Barbara jest bardzo miłą dziewczyną. Zresztą kolegowaly się z Kariną. Nie raz widziałam, jak Karina przychodzi do nich do domu. Latem robili wspólne grille. Przyjaźniły się od małego.

– A mąż Barbary?

– Tomasz... – Regina nerwowo potarła kark. – Słabo go znam, ale wydaje się dobrym mężem. Dużo pracuje. Ma firmę, wie pani, remonty, wykończeniówka. Dla takiego człowieka zawsze znajdzie się robota, jeśli jest pracowity, w końcu ludzie zawsze będą remontować i budować domy. Ten biznes nigdy nie zginie. A pan Tomek jest robotny i pomocny. Zatrudniłam go nawet, kiedy z mężem zorganizowaliśmy malowanie ścian w domu. Mamy trochę tych pokoi, więc uznałam, że lepiej, jeśli zrobi to ktoś, kto się na tym zna. Mąż zjechał właśnie z trasy, musiał odpocząć, dlatego zatrudniłam pana Tomka. Robił u nas po godzinach. Sama mu to zaproponowałam jako dodatkową fuchę. Bardzo ładnie nam zrobił te ściany. Naprawdę, nie mogę złego słowa o nim powiedzieć.

– Kiedy wracała pani wczoraj z festynu, Mielcarzowie byli w domu?

Regina się zawahała.

– Wiem jedno – odparła po chwili. – Na pewno pan Tomek jechał dokądś w trakcie festynu. Widziałam, jak przejeżdżał samochodem niedaleko boiska.

15

Jerzy Adamski wybiegł z domu i ruszył przed siebie zamaszystym krokiem, rękoma przecinając powietrze. Rudnicka była pewna, że jest wściekły. Nie miał na sobie kurtki, co kazało jej sądzić, że ponowne pojawienie się opla Sawickiego w jego objęciu wytrąciło go z równowagi.

– No i wkurzyliśmy Adamskiego – burknął Dawid, zaparkował przed bramą i wyłączył silnik. – Ja to załatwię. Porozmawiam z nim.

– Proszę bardzo. – Rudnicka rozłożyła dłonie, dając aspirantowi wolną rękę. – Ty tu dowodzisz.

Rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie i wygramolił się z samochodu. Jak przypuszczała, gospodarz nie był zachwycony przeszukaniem, które właśnie przeprowadzano w jego domu. Byłby jednak głupi, gdyby sądził, że tego uniknie. Rudnicka liczyła, że technicy znajdą w domu Adamskich coś, co pozwoliłoby ruszyć ze śledztwem naprzód. Ale na wsi wszystko odbywało się znacznie wolniej. Dawid popełnił błąd. Powinien był zlecić przeszukanie tego domu od razu po znalezieniu ciała Kariny, teraz mogło być już za późno.

Dawid wyciągnął dłoń do Adamskiego, lecz ten minął go, nie zaszczyciwszy nawet spojrzeniem. Świdrował za to nienawistnym wzrokiem Rudnicką, jakby to ona była winna temu, że po jego domu kręcą się obcy i przeszukują każdy kąt.

– Co to ma być?! – warknął. – Co to ma, do chuja, być?

Dawid pospieszył jej z pomocą.

– Takie są procedury, panie Jerzy, naprawdę nie ma powodów do obaw...

– Ty? – Adamski przeniósł wzrok na aspiranta. – Zapłacisz mi za to, gnojku.

– Halo, halo. Czy ja słyszałam groźby karalne?

Adamski splunął.

– Panie Jerzy, nic na to nie poradzę – ciągnął Sadowski, usiłując uspokoić Adamskiego. – Przeszukanie w pańskim domu było nieuniknione. Takie są zasady, więc chyba lepiej, jeśli

będziecie mieć to już za sobą, prawda?

– Sądził pan, że odpuścimy? – zapytała Rudnicka, co Dawid skomentował ciężkim westchnieniem.

Zaczepka podziałała na Adamskiego jak płachta na byka.

– Do mojego domu wparowała banda gliniarzy! – warknął, robiąc krok naprzód. – Sprawdzają każde pomieszczenie, każdy kąt, każdą szufladę. Szperają w naszych prywatnych rzeczach. Jak pani sądzi, pani komisarz, jak znosi to moja żona? – Zrobił pauzę, by po chwili kontynuować. – Powiem pani, jak ona to znosi. Jest kurewsko wystraszona! – Wskazał palcem w stronę, gdzie jeszcze niedawno leżało ciało Kariny. – Dzisiejszego ranka pod naszym płotem leżał trup, a teraz psy ładują mi się do chałupy, kurwa mać, co pani sobie myśli?! Co pomyślą sobie sąsiedzi?!

– Myślę, że pana żona jest wystarczająco silną kobietą – odparła komisarz. – Tyle lat znosi pana humory i paskudny charakter, więc nie powinna mieć problemów z kilkoma policjantami. Jest znacznie mocniejsza psychicznie, niż się panu wydaje.

Gdyby wzrok mógł zabijać, Rudnicka leżałaby już martwa.

– Jak pani śmie? – Adamski poczerwieniał.

– Proponuję, żebyśmy weszli do środka. Musimy porozmawiać.

– Żartuje pani? – Zaśmiał się szyderczo. – Nie mam zamiaru z wami gadać.

– Nie ma pan wyjścia.

– Czyżby?

– Jasne. I zrobi to pan z własnej woli. Dla dobra rodziny i pańskiego syna.

Adamski zeszywniał. Jeśli odmówi policjantom wejścia do domu, najpewniej pogorszy swoją, i tak nie najlepszą, sytuację.

– Dobra – burknął. – Pięć minut.

Odwrócił się i nie oglądając na policjantów, ruszył w stronę domu.

Komisarz postanowiła najpierw porozmawiać z technikiem. Adamscy czekali w kuchni, zaś ona i Dawid udali się na piętro.

Technik policyjny Sebastian Czajka kucał przy walizce, a kiedy policjanci weszli do pokoju, uniósł wzrok, poprawił okrągłe okulary i uśmiechnął się, jakby zobaczył dawno niewidzianych przyjaciół.

– Cześć. Wy się jeszcze nie znacie – powiedział Sadowski. – To jest komisarz Rudnicka. Będzie z nami pracowała przez... jakiś czas.

– Niedługo. – Rudnicka wyciągnęła dłoń. – Przynajmniej mam taką nadzieję.

Technik uścisnął jej rękę. Był szczupłym mężczyzną po trzydziestce, z zaczesanymi na bok włosami i drobnymi, niemal kobiecymi dłońmi. Nie był przystojny, ale miał w sobie pewną delikatność, która mogła podobać się kobietom.

– Bardzo miło poznać – odparł. – Szkoda, że w takich okolicznościach.

Komisarz postanowiła przejść do rzeczy.

– Znalazłeś coś ciekawego? – zapytała.

Czajka podrapał się w głowę i wskazał laptop leżący na biurku. Stara toshiba, przynajmniej pięcioletnia, mocno zniszczona – pęknięty prawy róg obudowy, na klapie kolorowe naklejki grup punkrockowych.

– Sprawdziłem komputer ich syna. W przypadku nastolatków i młodych dorosłych to pierwsza rzecz, jaką powinno się sprawdzić. Trzymają tam wszystko. Dosłownie wszystko. To pokolenie już niczego nie zapisuje na papierze.

Rudnicka pokiwała głową. Ponoć młody Adamski naprzykrzał się Karinie. Jeżeli to prawda, w komputerze powinien zostać jakiś ślad.

– No i jest wesoło – ciągnął. – Chłopak raczej nie jest mistrzem podrywu.
– Co masz na myśli? – spytał Dawid, przechadzając się po pokoju ze splecionymi z tyłu dłońmi.

– Sprawdziłem jego aktywność na portalach społecznościowych. Skupiłem się na wiadomościach. Młody Adamski pisał do denatki. Wiadomości, jakie wysyłał, były raczej... hm... napastliwe.

– Odpisywała mu? – zapytała Rudnicka.

– Czasami, ale głównie to on zagajał rozmowę, a jeśli nie dostawał szybkiej odpowiedzi, po kilku minutach pisał ponaglenie. Wkurzał się na nią, zarzucał, że na pewno nie jest tak zajęta, żeby nie znaleźć dla niego kilku sekund.

– Mhm.

– Mogę wam to wszystko wydrukować.

– Przyda się – odparła komisarz. – Co dokładnie pisał?

– Różne świństwa.

– Chłopaki w tym wieku mają głupie pomysły. – Sadowski rozłożył ręce.

– Wszyscy wiemy, że faceci myślą tylko o jednym – mruknęła Rudnicka. – Ale jeśli druga strona nie jest zainteresowana.

– Co to były za świństwa? – spytał Dawid.

– Domagał się, żeby wysłała mu nagie fotki.

– Wysłała?

– Nie, ale pisał, że jeśli ona wyśle, to on jej wyśle swoje. Kiedy nazwała go zbokiem, przeproszał ją i błagał, żeby nie myślała o nim w ten sposób. Dzieciaki w tym wieku robią naprawdę głupie rzeczy. – Czajka się uśmiechnął. – Ale to wy musicie ocenić, czy ten chłopak był zagrożeniem dla Kariny. Ja jestem od brudnej roboty. Mogę powiedzieć jedno: dzieciak był albo nieźle napalony, albo strasznie zakochany w tej dziewczynie. Te wszystkie wiadomości były desperackie, jakby próbował zwrócić na siebie uwagę. Ale jest jeszcze jedna sprawa. Chłopaki znaleźli kurtkę Cieślakówny.

– Gdzie była ta kurtka? – zapytała Rudnicka

– W komórce Adamskich.

– Na podwórku?

– Tak. – Podszedł do okna i wskazał stojącą na skraju podwórka szopę. – Ktoś ukrył tę kurtkę pod stertą desek. Chłopaki od razu dostrzegli, że ktoś niedawno je ruszał, i pod spodem znaleźli kurtkę.

– Mów.

– Na kurtce są ślady krwi.

Dawid z sykiem wciągnął powietrze.

– Oczywiście nie wiadomo, czy to krew denatki – mówił Czajka. – No, ale sami przyznacie, że to wysoce prawdopodobne. W każdym razie zaraz oddamy kurtkę do laboratorium.

Rudnicka zastanowiła się chwilę.

– Nie sądzę, żeby na kurtce była krew Kariny – mruknęła.

– Jak to? – zdziwił się Czajka.

– Jeśli to jej krew, to po co ktoś schował kurtkę, prawda? Dziewczyna i tak była martwa.

Miała przecucie, że znajdą tam ślady krwi sprawcy.

– Ile czasu potrzebuje laboratorium? – spytała.

– Nie wiem – odparł Czajka. – Postaram się to przyspieszyć. Mam tam znajomą, wisi mi przysługę.

Dawid wsunął dłonie w kieszenie spodni i przeszedł się po pokoju. Wskazał na regał stojący pod ścianą.

– Według sąsiadki młody Adamski to łobuz – powiedział. – Ale wychodzi na to, że łobuz czytający książki.

– Faktycznie – przyznała Rudnicka. – Zbiór lektur jest całkiem pokaźny.

– Czytał głównie powieści grozy – wyjaśnił Czajka. – Kinga, Lovecrafta, Strauba.

Rudnicka się skrzywiła.

– Nie znam żadnego z nich – burknęła.

– Nawet Kinga?

Mężczyźni wymienili zaskoczone spojrzenia, ale nie zwróciła na nich uwagi. Skinęła głową Sadowskiemu. Pożegnali się z Czajką i zeszli na parter.

Adamscy zgodnie z poleceniem czekali w kuchni. Balbina siedziała przy stole i piła herbatę, trzymając kubek obiema dłońmi. Jerzy stał w otwartym oknie i palił papierosa. Pod sufitem tańczyły kłęby dymu.

Na widok policjantów Balbina wyprostowała plecy. Miała podkrążone oczy, a gdy spojrzała na komisarz, widać w nich było strach. Podczas pierwszego spotkania sprawiała wrażenie pewnej siebie, ale Rudnicka wiedziała, że pod tą maską kryje się słaba i wrażliwa kobieta.

Komisarz powolnym ruchem odsunęła krzesło i usiadła przy stole. Dawid oparł się plecami o kuchenny blat i skrzyżował ramiona. To na nim skupiła się uwaga Adamskich.

– Powiesz, o co chodzi? – ponaglił aspiranta Jerzy.

– Gdzie podziewa się wasz syn, Patryk? – zapytała Rudnicka.

Małżeństwo nie odpowiedziało. Balbina poruszyła się nerwowo.

– Gdzie on jest? – powtórzyła komisarz. – Chcielibyśmy z nim porozmawiać.

– Niby o czym?! – warknął Adamski.

– Syn jest dorosły i nie wymaga obecności rodziców podczas przesłuchania.

– Ale to mój syn. Nie będzie gadał z glinami, jeśli nie ma takiej potrzeby.

– To ja ocenię, czy zachodzi taka potrzeba, czy nie, panie Adamski.

W oczach Jerzego zapłonęła szczerą nienawiść. Ukrywał coś, to było pewne. Jerzy i Balbina od początku nie mówili prawdy, lecz do tej pory Rudnickiej brakowało argumentów, by ich przycisnąć. Na szczęście to się zmieniło.

– Nie wiemy, gdzie on jest – przyznała Balbina cicho. Odstawiła kubek na stół i splotła dłonie na kolanach. – Kiedy rano poszłam obudzić Patryka, nie było go w pokoju. Nie wiem, czy nie wrócił na noc, czy może wyszedł wczesnym rankiem...

Rudnicka uniosła brwi.

– Nie wiecie, gdzie on jest – mruknęła. – Nie zaniepokoiło was zniknięcie syna?

– Kto powiedział, że nie zaniepokoiło? – obruszył się Adamski. – Zresztą, na pewno się znajdzie. Po co siać niepotrzebną panikę?

– Kiedy pani widziała syna ostatni raz? – Rudnicka zwróciła się do Balbiny, ignorując Jerzego.

– Wczoraj.

– Panie Jerzy, powinniście nam to zgłosić – powiedział Dawid ze szczerą troską w głosie.

– Patrykowi może grozić niebezpieczeństwo. Przecież wiecie, co wydarzyło się minionej nocy.

Adamski zaciągnął się papierosem, wypuścił dym i zdusił papierosa w popielniczce. Nie wyglądał na szczególnie zatroskanego nieobecnością syna. A powinien być, zważywszy na to, co stało się z Kariną. W takiej sytuacji każdy rodzic byłby zaniepokojony.

Może wcale nie mieli powodu, by się martwić, bo dobrze wiedzieli, gdzie jest ich syn?

Ukrył się? W takim razie jaki miał mieć powód, by zniknąć?

– Czy syn kontaktował się z wami? – spytała komisarz.

– Nie.

– Gdzie może być?

– Pewnie zabalował.

Rudnicka zmierzyła Jerzego wzrokiem.

– Powiedziała pani, że widziała Patryka wczoraj – zwróciła się do Balbiny. – O której godzinie?

– Kiedy wychodził na festyn. Chyba koło szóstej? Może siódmej?

– Nie martwi się pani o syna?

– Oczywiście, że się martwię.

– Co to za pytanie? – Głos Jerzego zabrzmiał ostro i protekcyjnie. – Pani ma dzieci?

Na pewno nie! Kiedy rodzic nie wie, co się dzieje z jego dzieckiem...

– Rozmawiam z pańską żoną.

Balbina spuściła głowę.

– Nie wiem, gdzie on może być – powiedziała.

– Zdarzało mu się wcześniej znikać?

– Zdarzało się. – Adamski nie pozwolił żonie odpowiedzieć. – Mówiłem już, że pewnie zabalował i odsypia u któregoś z kumpli.

– Sprawdzimy. Jak nazywają się jego kumple?

– Nie znam ich.

– To mała wieś. Nie zna pan kolegów syna?

– Głucha pani jest? Przecież mówię, że nie. Gdybym znał, tobym powiedział.

Komisarz wzięła głęboki wdech i powiodła wzrokiem po zebranych. Czas trochę przytemperować Jerzego Adamskiego.

– Czy wiedzieliście, że wasz syn, Patryk, zabiegał o względy Kariny Cieślak?

– Co to znaczy? – spytała Balbina wyraźnie zaskoczona.

– Technik policyjny przejrzał komputer Patryka...

– A kto mu pozwolił?! – warknął Adamski. – Kto mu, kurwa, pozwolił?

– Jerzy, proszę cię. – Balbina starała się uspokoić męża.

– Tak jak mówiłam – kontynuowała Rudnicka – w komputerze Patryka technik na portalu społecznościowym znalazł wiadomości Patryka do Kariny. I te wiadomości nie były... przyjemne.

– Nie rozumiem.

– Patryk się jej naprzykrzał. Koleżanka Kariny twierdzi, że był nieznośny.

– Może sama się prosiła, co? – zapytał Adamski.

– Nie sądzę. Z jej odpowiedzi wynika, że nie była zainteresowana znajomością z Patrykiem, ale on najwyraźniej nie mógł się z tym pogodzić.

Do Adamskich powoli docierał sens wypowiedzi komisarz. Zdaniem policjantów ich syn miał idealny motyw, by zrobić dziewczynie krzywdę. Balbina zbladła.

– To do niego niepodobne – szepnęła. – On nie był takim chłopcem.

– No – przytaknął Jerzy. – Mój syn nie płaszczyłby się przed byle jaką lalką, a umówmy się, ta Cieślakówna wcale Miss Polski nie przypominała. Wie pani, że dziewczyny lubią złych chłopców? No właśnie. A mój syn mógł mieć panienek na pęczki. Nie narzekał na brak zainteresowania.

– To naprawdę nie jest w stylu naszego Patryka – zapewniła Balbina, kładąc dłonie na stole. Nerwowo pocierała jednym kciukiem o drugi. – On... Wicie państwo, on nie był łatwym

dzieckiem.

– Nie mów tak! – zganił ją mąż. – To dobrze, że nie jest ślamazarą i ma charakter. Zresztą może Cieślakówna sama sobie napytała biedy. Jeśli innymi mężczyznami bawiła się tak jak naszym synem, to może któryś nie zdzierzył?

Balbina spuściła wzrok.

– Czyli nie wiedzieliście o jego relacji z Kariną? – upewnił się Dawid.

– Kto by pomyślał, żeby się tak płaszczyć przed byle panienką? – Jerzy skrzyżował ramiona na piersi.

– Jest jeszcze jedna sprawa – powiedziała komisarz.

– Co takiego? – Jerzy zmarszczył brwi. Miał już dość tej rozmowy. Najchętniej wyrzuciłby policjantów za drzwi.

– Kurtka.

– Jaka kurtka?

– Kurtka Kariny Cieślak.

– Co z nią?

– Nie wie pan?

– Nie mam pojęcia.

– Była w pańskiej szopie.

– Słucham?

– Ktoś nieporadnie ją tam ukrył.

Rudnicka uważnie obserwowała reakcję Adamskiego, ale nie potrafiła nic wyczytać z jego twarzy. Zaciął usta i wpatrywał się z nią twardym wzrokiem. Nie wyglądał na zszokowanego.

– W waszej szopie znaleźliśmy kurtkę, która najprawdopodobniej należała do ofiary – wycedziła Lena. – Jak to wyjaśnicie?

– Tego już za wiele – syknął Jerzy. – Jaja sobie robicie, co?

– Panie Jerzy, spokojnie. – Dawid uniósł otwarte dłonie.

Rudnicka wstała.

– Próbuje mi pan wmówić, że kurtka sama powędrowała do komórki i ukryła się pod stertą desek?! – warknęła.

– Nic nie wiem o żadnej kurtce.

– Wątpię.

– Dość! Proszę wyjść z mojego domu.

– Jerzy... – stęknęła jego żona.

– Wynoście się stąd! Ja was znam! Co?! – Podszedł do Rudnickiej. – Wcale bym się nie zdziwił, gdyby to pani podrzuciła tę kurtkę. Szukacie frajera, którego będziecie mogli szybko przymknąć, co? Ale pomyliliście adresy! Ja się nie dam!

– Panie Jerzy, nikogo nie chcemy oskarżać – powiedział pojednawczo Dawid i zrobił krok w stronę Adamskiego, kątem oka zerkając na Lenę, jakby chciał się upewnić, że wszystko w porządku.

Komisarz stała niewzruszona.

– Pan ją tam schował? – zapytała.

Pytanie jeszcze bardziej rozsierdziło starego Adamskiego. Obrócił się wokół własnej osi, zaciskając pięści. Poczzerwieniał, a po skroniach spływały mu strużki potu. Balbina poderwała się z krzesła i położyła dłoń na ramieniu męża, ale on ze złością ją strącił.

– Skąd kurtka wzięła się w pańskiej szopie? – naciskała Rudnicka. – Są na niej ślady krwi. Wystarczy, że zrobimy badanie i szybko się wyda, czyja to krew. Może pańska?

– Nie wiem, co tam robi ta cholerna kurtka!
– Kłamie pan.
– Dawidzie, zabierz stąd to babsko, bo nie wytrzymam!
– I nie wierzę w to, że to pańska żona znalazła zwłoki Kariny. Mamy świadka, który twierdzi, że widział pana na podwórku, kiedy rano szedł pan karmić kury.

Adamski pobladł. Wystarczyło kilka pytań, by stracił nad sobą panowanie. Niczym rozjuszony byk ruszył na komisarz, która w tym starciu nie miałaby pewnie szans, ale Sadowski wykazał się refleksem. Jednym ruchem podciął Adamskiemu nogi, a potem wykręcił mu rękę do tyłu i – choć prawdopodobnie wolałby tego uniknąć – założył kajdanki na nadgarstki.

– No... – Dawid uniósł głowę i spojrzał na Lenę. – Teraz to już cała wieś będzie miała o czym gadać.

16

W pokoju na piętrze ksiądz Jacek Kowalczyk siedział w głębokim fotelu przy oknie i wpatrywał się w widok za szybą. Dochodziła osiemnasta, prószył śnieg. Płatki gęstym deszczem opadały na ulicę w blasku latarni.

Ksiądz Jacek był człowiekiem bardzo mocnej wiary. Został księdzem z powołania. Starał się czynić dobro i wierzył, że każdy człowiek, choćby największy grzesznik, posiada w sobie pokłady dobroci, a jego grzechy są wynikiem błędów i zagubienia w życiu. Zawsze powtarzał to jako spowiednik, ale teraz zmuszony był powtarzać to samemu sobie.

Zgrzeszył.

Już w wieku ośmiu lat postanowił, że zostanie księdzem. Mimo sprzeciwu matki dołączył wówczas do ministrantów. Jego rodzina nie należała do wierzących. W niedzielne poranki z zazdrością patrzył, jak koledzy z podwórka wraz z rodzicami wędrują na poranną mszę. On też tak chciał, ale u niego do kościoła chodziło się tylko w święta Bożego Narodzenia. Jacek nigdy nie zapomniał, jak matka wyrażała się o księżach – klechy, mówiła, cholerne klechy.

Mały Jacek szybko nauczył się czytać i zrozumiał, że nie wystarczają mu bajki i książki dla dzieci. Sięgnął po Żeromskiego, a od babci pożyczył Biblię, która zmieniła jego życie. Chciał więcej i więcej. Zapragnął zgłębiać nauki Kościoła, nawet kosztem awantur z matką. A co jak co, umiała się klócić. Była twardą babką, charakterną, lubiącą postawić na swoim. Zawsze radziła sobie sama. Ojca Jacka pogoniła, kiedy syn miał zaledwie roczek, spakowała mu walizki i wystawiła za drzwi, na drugi dzień zażądała rozwodu, trzeciego zaś poszła do spowiedzi, a ksiądz nie udzielił jej rozgrzeszenia.

Wtedy zakończyła swoją relację z Kościołem. Co to za Bóg?, pytała, kiedy Jacek przyjął święcenia, który odmawia rozgrzeszenia kobiecie, ponieważ postawiła się mężczyźnie? Według tego twojego Boga, miałam spędzić życie z pijakiem, który mnie dręczył? To jest ten twój Bóg, synu?

Jacek już nigdy nie spotkał ojca. Pojawił się na sprawie rozwodowej, a potem odszedł w siną dal. Los syna kompletnie go nie interesował.

Po liceum Jacek złożył dokumenty do seminarium. W tamtym czasie był już przekonany co do obranej drogi. Z całego serca pragnął być księdzem. Spodziewał się, że posługa nie zawsze będzie łatwa, ale był gotowy na wszystkie przeciwności losu oraz pokusy, jakie postawi przed nim Najwyższy. A pierwsza pokusa miała na imię Anita.

Była najpiękniejszą dziewczyną, jaką spotkał w swoim – bądź co bądź – krótkim życiu. Miała śliczne bursztynowe oczy, drobną twarz i smukłe kobiece dłonie. Poznali się na kółku katechetycznym, które prowadził. Przychodziła co weekend, czytała fragmenty Pisma Świętego, wygłaszała trafne uwagi, a potem, po oficjalnej części, gdy Jacek brał w rękę gitarę, swoim

cudownym głosem śpiewała z całą grupą. I choć ich znajomość nie miała prawa się rozwinąć, nie zapomniał o Anicie. Przypuszczał, że nie wiedziała, że ksiądz marzy o niej całymi dniami, że nocą budzi się zlany potem, zły na siebie za nieczyste myśli. Był nią zauroczony, ale oparł się pokusie. Bóg mu w tym pomógł.

Mimo to w dalszych latach posługi wracał myślami do tamtej dziewczyny. Zastanawiał się, jak potoczyło się jej życie; co by było, gdyby ich znajomość jednak się rozwinęła. Nie potępiał się za to. Uważał, że każdy człowiek ma jakieś słabości, a o jego sile świadczyło to, że wybrał Boga. Jego wiara była mocna i był pewien, że jeśli Bóg jeszcze raz doświadczyłby go w podobny sposób, oparłby się po raz drugi.

A potem trafił do parafii w Białych Brzegach. Mieszkańcy wsi okazali się bardzo przyjaźni i ciepło przyjęli nowego wikarego. Dzieciaki, które uczęszczały na katechezę, były towarzyskie, chętnie brały udział w rozmowie, pomagały w kościele. Nie mógł też narzekać na nowy dom. Arkadia była doskonałą gospodynią i piekła przepyszną polędwicę. Wszystko układało się znakomicie. Czuł, że żyje i wypełnia swoją misję najlepiej, jak potrafi. Czuł, że Bóg jest z niego zadowolony. A potem wydarzyło się coś, czego się nie spodziewał.

Z zamyślenia wyrwało go ciche pukanie. Potrzebował chwili, by otrząsnąć się z zamyślenia. Pomasował skronie, by wyrzucić wspomnienia z głowy.

– Proszę! – zawołał.

Drzwi uchyliły się na kilka centymetrów.

– Mogę?

To była gospoia. Arkadia rzadko zaglądała na piętro. Szanowała prywatność księży, za co Jacek był jej wdzięczny, ale teraz poczuł niepokój. Pomyślał, że sprawa być naprawdę ważna, skoro pofatygowała się na górę.

– Oczywiście – zapewnił. – Proszę wejść.

Zamknęła za sobą drzwi i splotła dłonie.

– Księżę Jacku – powiedziała niemal szeptem. – Chciałabym porozmawiać.

– Wypowiadać się?

– Tak jakby. Potrzebuję rady.

– Och. – Wikary nie potrafił ukryć zaskoczenia. Podsunął jej krzesło. – Proszę, niech Arkadia usiądzie.

– Dziękuję. – Przycupnęła na skraju siedziska.

– Co się stało?

– Ja w sprawie tej biednej dziewczyny.

Jacek się wyprostował.

– Cieślakówny?

– Tak. – Gospoia posmutniała i spuściła wzrok. – Bo ja wbrew zaleceniom księdza proboszcza poszłam wczoraj na festyn. Ksiądz proboszcz radził, żebym nie szła, ale kiedy on zamknął się w gabinecie, powiedziałam mu, że wychodzę do sklepu. Skłamałam. Wybrałam się na festyn.

– Kłamstwo jest grzechem, Arkadio, ale myślę, że w tym przypadku można to wybaczyć. Nie zrobiłaś przecież nic złego.

– Ale coś widziałam.

– Co takiego?

– Dziewczynę. Tę, która została zgwałcona. Widziałam ją i... chyba wiem coś, co mogłoby pomóc policji. Ale nie chcę nikogo oskarżać.

Natalia Wiśniewska poruszała się po kuchni z lekkością i gracją baletnicy. Energicznym gestem sięgnęła do szafki, postawiła na blacie trzy szklanki, obróciła się i jedną ręką chwyciła słoik z herbatą liściastą, a w drugą łyżeczkę. Nasypała susz do kubków. Czajnik zagwizdał. Zalała napar, postawiła szklanki na stole i usiadła naprzeciwko policjantów.

– To bardzo dobra mieszanka – wyjaśniła. – Czarna herbata, cytryna, mango i płatki kwiatów. Przepyszna. Ale proszę chwilę zaczekać. Powinna parzyć się około pięciu minut.

– Przepraszam, że przyszliśmy bez uprzedzenia. – Dawid uśmiechnął się smutno.

– Spodziewałam się wizyty policji. Nie ma problemu.

Wnętrze domu było bardzo ładnie urządzone – kuchnia w stonowanych kolorach, gdzie dominowała szarość i biel, nowoczesne sprzęty – płyta indukcyjna, dwudrzwiowa lodówka, mikrofała w zabudowie. Oprócz cytrusowej woni, która rozniosła się po pomieszczeniu, czuć było coś jeszcze – specyficzny zapach nowych mebli. Wiśniewska niedawno musiała przeprowadzić remont.

– Dom jest duży – odezwała się dziewczyna. – Zdecydowanie za duży dla jednej osoby, ale cóż, na razie nie mam nikogo. Niedawno zrobiłam mały remont. Na wszystko nie starczyło pieniędzy, ale udało mi się odnowić kuchnię i duży pokój. Po śmierci rodziców postanowiłam coś zmienić. Mama od wielu miesięcy powtarzała, że chciałyby nową kuchnię.

– Czyli mieszka pani sama? – upewniła się Rudnicka.

– Tak. Większość pomieszczeń jest niewykorzystana. Mnie wystarczyłyby pokój z kuchnią. Kiedy rodzice wybudowali ten dom, jakiegoś... – Wiśniewska zastanowiła się – dwadzieścia lat temu, zakładali, że zamieszka tu z rodziną. Piętro można zaadaptować na oddzielne mieszkanie. Wyszłyby jakieś trzy pokoje z niedużą kuchnią. Tata wspominał, że w razie potrzeby można zrobić oddzielne wejście na górę. Z wiatrołapu, po prostu przesunąć drzwi i... – Machnęła ręką. – Nieważne.

– Co się stało z pani rodzicami?

Dziewczyna nagle przygasła.

– Zginęli w wypadku samochodowym – poinformował Dawid. – Pół roku temu. Jeszcze raz wyrazy współczucia, Natalio, naprawdę bardzo mi przykro.

– Dziękuję. – Wiśniewska spojrzała na komisarz. – W samochód, którym jechali moi rodzice, uderzył pijany kierowca. Zginęli na miejscu, a sprawca uciekł. Do tej pory go nie złapano.

Dawid spuścił wzrok.

– Rozumiem – odparła Rudnicka. – Przykro mi.

– Było ze mną kiepsko, ale teraz jakoś sobie radzę. Powoli wychodzę na prostą. Nie mam innego wyjścia, prawda?

W kuchni zapadło milczenie. Rudnicka sięgnęła po herbatę i upiła łyk, parząc sobie wargi. Otarła usta wierzchem dłoni i popatrzyła na dziewczynę. Utrata rodziców to wielka tragedia. Rudnicka doskonale to rozumiała.

– Przyszliście porozmawiać o Karinie? – domyśliła się Natalia.

– Rozmawialiśmy już z rodzicami Kariny, a także z Barbarą Mielcarz – wyjaśnił Sadowski. – Sama rozumiesz, że skoro przyjaźniłaś się z Kariną...

– Oczywiście.

– Byłyście przyjaciółkami, prawda? – spytała komisarz.

– Tak, Karina jest... była świetną kumpelą. Wiecie już, kto jej to zrobił? – Natalia objęła się ramionami. – Boże... To straszne... Nie mogę w to uwierzyć.

– Nie możemy zdradzać szczegółów śledztwa. Rozmawiamy ze wszystkimi jej znajomymi. Dlatego przyszliśmy do ciebie. Wczoraj wieczorem widziałaś się z Kariną.

- No tak, byliśmy na festynie.
- Opowiesz o tym?
- Nie ma o czym. Trochę się pokręciłyśmy i tyle.
- Podobno Karina była pijana.

Wiśniewska uciekła wzrokiem w bok, jakby obawiała się odpowiedzieć na to pytanie. Przygryzała wargę, pocierając znamię na ramieniu. Wyraźnie się denerwowała.

Sprawiała dobre wrażenie, była kulturalną, zwykłą dziewczyną, która nie wchodzi w konflikt z prawem. Wzorową obywatelką. Mimo tego pięknego obrazka Rudnicka przeczuwała, że ma coś na sumieniu. Coś ją gryzło. Być może stresowała się wizytą policji, a może wiedziała coś, o czym nie chciała lub nie mogła powiedzieć?

- Natalio? – zagadnęła Rudnicka, kiedy milczenie dziewczyny się przeciągało.

Wiśniewska uniosła wzrok.

- Fakt – odparła. – Karina trochę wypła. Ale nie jakoś strasznie dużo.
- To znaczy ile?
- Nie wiem.
- Mamy świadka, który twierdzi, że była pijana.

Celowo nie poinformowała dziewczyny, że świadek widział Karinę po tym, jak przyjaciółki rzekomo się rozstały. Równie dobrze mogła się upić, kiedy Natalia i Baśka poszły do domu.

- Zacznijmy od początku – zaproponowała. – Poszłyście na festyn. Co tam robiłyście?

– Spotkałyśmy znajomych, pogadaliśmy. Fakt, wypiliśmy trochę grzanego wina, ale bez przesady.

- O której widziałaś Karinę po raz ostatni?

Natalia się zawahała.

- Rozstałyśmy się chwilę przed dziewiątą.
- Kto?
- No my. To znaczy ja i Karina.
- A Barbara Mielcarz?
- Ach, no i Baśka oczywiście.
- Wszystkie trzy uznałyście, że wracacie do domu?
- No tak. Właśnie tak było.

Rudnicka nie wierzyła w ani jedno jej słowo.

- Dlaczego kłamiesz? – zapytała.

– Ja? Ja nie...

- Spytałem jeszcze raz, o której widziałaś Karinę po raz ostatni?

Natalia spojrzała na Sadowskiego. Aspirant milczał.

- Przed dziewiątą – powtórzyła Wiśniewska. – Wtedy widziałam ją po raz ostatni.

– Wiesz, że możemy cię aresztować za utrudnianie śledztwa?

- Ale ja mówię prawdę! Poszłam do domu przed dwudziestą pierwszą!

– Ty?

– Tak!

- A Baśka i Karina?

Dziewczyna znowu się zawahała.

- One też – trzymała się swojej wersji.
- Widziałaś, jak Barbara Mielcarz idzie do domu?
- Nie, ale... mówiła, że się zbiera. Podobno bolał ją brzuch, bo miała okres.
- Czyli nie masz pewności, że Mielcarz poszła do domu? – Rudnicka przekrzywiła głowę.

– Równie dobrze mogła powiedzieć, że wybiera się do domu, ale wcale tam nie poszła, prawda?
– No niby tak, ale po co miałyby kłamać?
Dobre pytanie, pomyślała Rudnicka.
– Jak wczoraj zachowywała się Karina? – zapytała.
– To znaczy?
– Czy była zdenerwowana, czymś się martwiła? – włączył się Sadowski, popijając herbatę. – Rzeczywiście bardzo smaczna.
Natalia się uśmiechnęła.
– Mówiłam, że to dobra mieszanka.
– Co z Kariną? – ponagliła komisarz.
– Nie wydaje mi się, żeby czymś się martwiła. Jeśli pyta pani, czy gnębiły ją jakieś problemy, to chyba nie. A przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Nie mogła znaleźć pracy, to był jej jedyny problem.
– Od dawna szukała?
– Od paru miesięcy. Nie szło jej. Wysyłała CV w kilka miejsc i nic. Trochę się tym dołowała, ale co mogła poradzić?
– Z czego się utrzymywała?
– Mieszkała z rodzicami. Miała trochę oszczędności.
– Według Barbary Mielcarz miała jednak jakieś problemy. Na przykład z synem Adamskich.
Natalia wyglądała na zaskoczoną.
– No tak – przyznała. – Chociaż ostatnio raczej się nim nie przejmowała.
– Opowiedz o tym?
– Patryk się jej naprzykrzał. Zadurzył się w niej, ale Karina nie była zainteresowana. Wypisywał do niej na Messengerze. Na początku mu odpowiadała, bo chciała być miła, ale z czasem przestała mu odpowiadać. Zresztą, do niego nic nie docierało. Kilka razy mu mówiła, żeby dał sobie spokój, ale on sobie ubzdurał, że będą razem. Sądził, że Karina z nim pogrywa, tylko udaje niedostępną i tak dalej...
– Skąd wiesz?
– Pokazywała mi tę wiadomość. Napisał, że ona się z nim droczy, ale tak naprawdę również coś do niego czuje.
– Powiedziałaś, że ostatnio Karina niespecjalnie się nim przejmowała. – Rudnicka skrzyżowała ramiona. – Dlaczego?
– On był niegroźny.
– Mówiłaś, że jej się naprzykrzał.
– Ale to taka dziecinada była. – Natalia pokręciła głową. – Sama nie wiem. Karina nie uważała Adamskiego za zagrożenie.
– Czy według ciebie Patryk mógł zrobić jej krzywdę?
Natalia się zawahała. Milczała chwilę, po czym wzięła głęboki wdech.
– Nie, Adamski może jest walnięty, ale nie na tyle, żeby zrobić Karinie krzywdę. Poza tym on ma ten swój kodeks.
– Kodeks?
– Jakoś tak to nazywają. Wie pani, on się trzyma z takimi chłopakami. Noszą kaptury, bluzy z patriotycznymi napisami, fascynują się wojskiem. To chyba takie hobby, nie wiem. W każdym razie mają swoje zasady. Znam jednego z tych chłopaków i on mi powiedział, że według ich zasad ten, kto podniesie rękę na kobietę, zasługuje na potępienie. No, a Patryk mocno się wkręcił w to towarzystwo, więc wątpię, żeby zrobił Karinie krzywdę, bo gdyby dowiedzieli

się o tym jego kumple, toby miał problemy.

– Niektórzy świadkowie twierdzą, że Patryk nie należał do najgrzeczniejszych osób.

– Bo taki był. Trochę chamski. Ale to chyba nie dowód na to, że był w stanie kogoś zabić?

Ludzie, z którymi rozmawiali do tej pory, wypowiadali się o Patryku mało pochlebnie. Natalia była pierwszą osobą, która go broniła, a Rudnicka przypuszczała, że musiała mieć powód. Wiedziała jednak, że jeśli zapyta wprost, Wiśniewska nie powie jej prawdy.

– A co myślisz o jego ojcu? – zapytała. – O Jerzym Adamskim? Znasz go?

– Z widzenia. Nie mam o nim dobrego zdania.

– Dlaczego?

– We wsi mówią, że to stary tyran. Uprzykrza innym życie. Parę razy wszczywał burdy pod sklepem. Kłócił się z sąsiadami. Powiem pani, że prędzej jego podejrzewałabym o gwałt niż Patryka. Stary Adamski właśnie taki jest. Rządzi w domu twardą ręką, a jeśli czegoś nie dostaje, bierze siłą. Kto wie, może Karina wpadła mu w oko i postanowił wziąć to, na co miał ochotę?

18

Komisarz wsunęła dłonie w kieszenie spodni, oparła się o maskę samochodu i powiodła wzrokiem po ulicy. Niebo pociemniało. Pod ogrodzeniami okolicznych domów zalegały hałdy śniegu. Z budynku oddalonego o kilkadziesiąt metrów wyszedł mężczyzna. Zniknął na kilka sekund na tyłach ogrodu, by wrócić z łopatą. Popatrzył przed siebie wyraźnie zniechęcony, po czym zabrał się do odśnieżania podjazdu.

– Co o tym myślisz? – zapytał Dawid, usiłując zapalić papierosa. Silny podmuch wiatru zgasił płomień. Sadowski zaklął pod nosem, potrząsnął zapalniczką i spróbował jeszcze raz.

– Powinniśmy jak najszybciej znaleźć Patryka Adamskiego.

– Przekazać patrolom?

Skinęła głową. Chłopaka jeszcze o nic nie oskarżono, ale jego zniknięcie wyglądało podejrzanie. Może się okazać, że nie miał nic wspólnego z tą sprawą, ale komisarz towarzyszyło zgoła inne przeczucie.

Chłopak był nieszczęśliwie zakochany w Karinie. Pisał do niej sprośne wiadomości, nagabywał ją, wystarczająco długo znosił odrzucenie, aż w końcu pękł – na festynie zorientował się, że jest pijana, kto wie, może ją śledził, a gdy została sama, zaatakował. Może wcale nie musiał użyć siły, skoro dziewczyna go znała. Mógł zaproponować, że odprowadzi ją do domu, że tak będzie dla niej bezpieczniej. Mogła być tak pijana, że nie zauważyła, iż prowadzi ją do swojego domu, a potem było już za późno. Znajdowali się zbyt daleko od boiska, gdzie impreza trwała w najlepsze, grała głośna muzyka, nikt nie słyszał jej wołania o pomoc.

A może jest niewinny?

– Nie wierzę – powiedział Dawid, a Rudnicka posłała mu zaskoczone spojrzenie. W końcu udało mu się zapalić papierosa, zaciągnął się i powoli wypuścił dym. – No wiesz. W to, co się stało.

– Zbrodnia może zdarzyć się wszędzie.

– Ale tutaj? W Białych Brzegach? Znam tu wszystkich. Jednych lepiej, drugich gorzej, ale znam. Widuję ich niemal codziennie. Te same twarze, w sklepie, w kościele, na ulicy. Znam ich małe i większe sekrety. Wiesz, jaką mieliśmy ostatnio poważną sprawę? Pobicie. Oczywiście nic ciężkiego. Chłopaki po prostu dali sobie po mordach i tyle. I nagle gwałt, zabita dziewczyna.

– Sadowski wyglądał na skołowanego. – Trudno mi uwierzyć, że to mógł być ktoś z nas. Ktoś, kogo znam.

– Radziłabym więc zmienić nastawienie, bo najbardziej prawdopodobna wersja jest taka,

że zabił właśnie miejscowy.

Sadowski spojrzał na Rudnicką.

– Niekoniecznie – mruknął.

– Co masz na myśli?

– A co z chłopakiem, o którym wspomniała Nowakowa?

– Sądzisz, że to on?

– Chyba tego nie wykluczamy?

Komisarz musiała przyznać Dawidowi rację. Na tym etapie nie mogli nikogo wykluczyć.

– Powinniśmy go znaleźć – powiedziała, otwierając drzwi astry. – Myślę, że może nam w tym pomóc Patryk Adamski. W końcu to razem z nim Nowakowa widziała tamtego chłopaka. Ale prawda jest taka, że być może już dzisiaj rozmawialiśmy ze sprawcą. – Zatrzasnęła za sobą drzwi.

Sadowski bez słowa obszedł samochód, usiadł za kierownicą i włączył silnik. Na komisariat dojechali w milczeniu.

Jerzy Adamski czekał na nich w pokoju przesłuchań. Nie było to pomieszczenie z weneckim lustrem, po prostu zwykły pokój ze stołem i trzema krzesłami. Na nadgarstkach Adamski nie miał już kajdanek. Siedział nieruchomo z dłońmi splecionymi na blacie. Na widok policjantów uniósł wzrok.

– To jakież jaja? – zapytał. – Pierdolony żart?

– Grzeczniej, proszę – burknęła Rudnicka, zajmując miejsce po przeciwnej stronie stołu.

– Jestem zatrzymany?

– Zobaczymy.

– Niech się pani puknie w ten miastowy łeb. Złożę na panią skargę.

– Nie pan pierwszy.

Adamski spaśował i nerwowo poprawił się na krześle. Jego postawa była butna, ale uwadze Rudnickiej nie umknęło zniecierpliwienie mężczyzny. Czy miał się czego obawiać? Komisarz była pewna, że nawet jeśli Adamski jest niewinny, z własnej woli nie ułatwi im dojścia do prawdy.

– Panie Jerzy, powinien pan zrozumieć, że naszym zadaniem jest znalezienie sprawcy – odezwał się Dawid. Stał pod ścianą z dłońmi wsuniętymi w tylne kieszenie spodni. – Nie możemy bagatelizować śladów, jakie znaleźliśmy w pańskim domu. Dlatego się pan tutaj znalazł.

– Również dlatego, że dokonał pan próby napaści na policjanta na służbie – dodała Rudnicka.

– Że niby ja chciałem napaść? Niby na kogo?

– Na mnie.

Adamski zaśmiał się przesadnie głośno.

– Proszę docenić, że komisarz Rudnicka będzie tak uprzejma, że nie wyciągnie z pańskiego zachowania konsekwencji, prawda, pani komisarz? – Sadowski spojrzał na nią wymownie.

Rudnicka skinęła głową. Zrozumiała. Dawid przejął rolę dobrego gliny.

– A niech sobie wyciąga – rzucił pod nosem Adamski. – Niczego się nie boję.

– No jasne, panie nieustraszony. – Komisarz założyła nogę na nogę. – To jak? Pogadamy?

– Macie papierosa?

– Może.

– Muszę zapalić, bo inaczej szlag mnie trafi.

Dawid zerknął na Rudnicką, szukając u niej pozwolenia.

– Proszę. – Położył na stole papierosa razem z zapalniczką.

– Dzięki.

Adamski zapalił papierosa i zaciągnął się z lubością. W niewielkim pomieszczeniu zrobiło się gęsto od dymu. Sadowski otworzył okno. Nie powinien, ponieważ istniało ryzyko, że świadek podejmie próbę ucieczki, wyskoczy i zrobi sobie krzywdę. Ale Jerzy Adamski nie wyglądał na takiego, który by skoczył z pierwszego piętra.

– Pana sytuacja wygląda nieciekawie – odezwała się komisarz.

– Nie wiem, co sobie myślicie, ale nie mam nic wspólnego ze śmiercią tej dziewczyny.

– A jednak w pańskiej szopie znaleziono jej kurtkę.

– Może ktoś ją podrzucił.

– Tak pan sądzi?

– Szukacie winnego na siłę? – spytał, wypuszczając dym. Rzucił niedopałek na ziemię i przygniótł butem. – Akurat ja się trafiłem i chcecie mnie zamknąć, żeby jak najszybciej zamknąć sprawę? Zrobicie ze mnie kozła ofiarnego, co? – Nachylił się ponad blatem. – Nic z tego. Źle trafiliście.

Rudnicka nie wyglądała na przestraszoną.

– Zacznijmy od początku – powiedziała. – Czy to pan zobaczył ciało Kariny jako pierwszy?

– Pana żona zeznała, że to ona znalazła zwłoki – doprecyzował Dawid. – Mamy jednak pewne nieścisłości czasowe.

– Jakie znowu nieścisłości?

– Świadek twierdzi, że widział pana rano, jak szedł pan karmić kury. – Rudnicka postukała długopisem o blat stołu. – Państwo zaś twierdzicie, że kury karmiła dziś żona. Więc? Jak było naprawdę?

Na twarzy Adamskiego pojawiły się kropelki potu. Wsunął dwa palce za kołnierz roboczej koszuli i odsunął go trochę. Zastanawiał się nad odpowiedzią. Kalkulował, czy warto powiedzieć policjantom prawdę, czy jednak upierać się przy wcześniejszym zeznaniu.

– Nic nie wiem o tej cholernej kurtce – odparł zrezygowany. – Ja jej tam nie schowałem. Każdy mógłby wejść do szopy i ją podrzucić.

– Są na niej ślady krwi. Przypuszczamy, że to nie tylko krew Kariny, ale również jej oprawcy. Zdaje pan sobie sprawę, że niedługo otrzymamy wyniki badań z laboratorium i wszystko będzie jasne?

– Badajcie sobie, co chcecie. Nie obchodzi mnie to. – Adamski podrapał się w skroń. – Dlaczego ta dziewczucha musiała leżeć akurat pod moim płotem – mruknął. – Teraz mam same problemy. Jeszcze tego brakowało, żebym trafił do pierdła przez tę panienkę.

Rudnicka popatrzyła na Jerzego. Nie miała pojęcia, czy mężczyzna kłamie, czy rzeczywiście nic nie wie o kurtce ukrytej w szopie. Z jego twarzy trudno było cokolwiek wyczytać. Jerzy był opryskliwym typem, który nie lubi policji, ale to nie oznaczało, że zabił Cieślakównę.

– Gdzie jest pański syn? – zapytała.

– Też chciałbym to wiedzieć.

– Może coś mu się stało?

– Wątpię. Da sobie radę.

– Dzwonił pan do niego?

– Ma wyłączony telefon.

– Patryk w ogóle nie wziął go ze sobą.

Adamski po raz pierwszy wydawał się zaskoczony.

– Telefon znaleźliśmy w jego pokoju – wyjaśnił Dawid.

– Nie rusza się z domu bez tego ustrojstwa – odparł Adamski. – Cały czas nosi telefon przy tyłku. Nie rozstaje się z nim. Czasem daję mu przez to w łeb, bo człowiek coś do niego mówi, a on tylko z nosem w tym pieprzonym smartfonie.

– Może jednak zapomniał? – podsunęła Rudnicka. – Może bardzo się spieszył?

– Co pani sugeruje?

– Pański syn był widziany w towarzystwie Kariny na kilka godzin przed jej śmiercią.

– Co z tego? Znali się przecież, spotkali się na festynie i porozmawiali. To takie dziwne?

– Karina była pijana. Patryk wraz z innym chłopakiem prowadzili ją w stronę pańskiego domu.

– Kim jest ten chłopak?

– Tego nie wiemy.

– Ale podejrzewacie mojego syna? – Jerzy rozłożył dłonie. – Szukaliście winnego i znaleźliście. Teraz tylko dorobić odpowiednią teorię i gotowe. Uwzięliście się na moją rodzinę!

– Nikt się na nikogo nie uwziął – sprostował Sadowski. – Mówimy tylko o tym, co udało nam się do tej pory ustalić.

– Nawet jeśli mojemu synowi podobała się Karina, co z tego? Może i do niej pisał, może ją podrywał, ale to chyba jeszcze nie świadczy o tym, że zrobił jej krzywdę? Może zrobił to ten drugi?

– I ukrył kurtkę akurat w pańskiej szopie?

Adamski uniósł się na krześle i pochylił do przodu, opierając na blacie zaciśnięte pięści. Spoglądając na Lenę, po czym przeniósł wzrok na Dawida.

– Nie przypuszczałem, że kiedykolwiek oskarżysz mnie o coś takiego – powiedział z wyrzutem. – Sądziłem, że jesteś równym gościem.

– Badamy wszystkie tropy – odparł Dawid. – A Karina została znaleziona obok pana obejścia.

– Nie mam nic więcej do powiedzenia.

– To nie działa na pańską korzyść – zauważyła komisarz.

– Nic więcej nie powiem. Jestem niewinny.

– Powinien pan z nami porozmawiać. I powiedzieć prawdę, bo wiem, że pan kłamie.

Adamski wykonał gest, jakby przesuwając po wargach niewidoczny suwak, po czym wyrzucił go za siebie. Splótł dłonie na blacie z bezczelnym uśmiechem.

– Jest pan pewien? – zapytała Lena, ale mężczyzna nie odpowiedział. – Okej, zbierajmy się stąd.

Policjanci wyszli na korytarz. Stojący za drzwiami mundurowy skinął głową, zrozumiałwszy polecenie. Wyprowadził Adamskiego z pokoju. Jerzy nie zaszczycił ich nawet spojrzeniem.

– Poszło nie najlepiej, co? – zagadnął Czajka, poprawił okulary i podszedł bliżej. – Nieciekawy typ, prawda?

– Powiedzmy, że żaden z niego przyjemniaczek – odparła komisarz. – Gość jest śliski.

– Próbowałem po dobroci, ale nie chce współpracować. – Sadowski wzruszył ramionami i wsunął listek miętowej gumy do ust. – Z czasem pęknie.

– Można się było po nim tego spodziewać. – Czajka popatrzył w stronę korytarza, gdzie przed chwilą zniknął Adamski, i przeniósł wzrok na Dawida. – Sam wiesz, co to za facet.

– Sęk w tym, że nikt nigdy nie złożył na niego doniesienia. W papierach jest wzorowym obywatelem.

– O czym wy mówicie? – zapytała Rudnicka.

– Wszyscy wiedzą, że Adamski jest impulsywny.

– Zaliczył kilka bójek pod sklepem – dorzucił Czajka. – Wszyscy wiedzą, że lepiej się z nim nie kłócić, a już w ogóle nie powinno się z nim rozmawiać o polityce. Strasznie się wtedy wścieka.

– Dał paru chłopom po pysku, ale żaden niczego nam nie zgłosił.

Komisarz wyciągnęła paczkę papierosów i zerwała folię. Od początku intuicja jej mówiła, że to nie jest fajny facet. Z daleka wyczuła, że ma coś za uszami. Kilka bójek pod sklepem nie robiło z niego mordercy, ale postanowiła mieć go na oku.

– Jest coś, co może wam pomóc – odezwał się Czajka. – Kiedy kończyliśmy w domu Adamskich, jeden z chłopaków znalazł coś ciekawego. Zdażyliście już się zawinąć, więc uznałem, że powiem wam osobiście.

Dawid zapalił papierosa, zerkając na metalową tabliczkę informującą, że w pomieszczeniu obowiązuje zakaz palenia, i podał zapalniczkę Rudnickiej.

– Co takiego? – ponagliła komisarz.

– Spójrzcie. – Czajka pokazał im teczkę. – To może być coś ważnego.

– Szpadel? – Rudnicka zaciągnęła się głęboko i wypuściła dym. – Gdzie on był?

– Pod płotem od strony podwórka. W ozdobnych roślinach rosnących przy ogrodzeniu. Wygląda to tak, jakby ktoś chciał go użyć po drugiej stronie, dokładnie tam, gdzie leżało ciało dziewczyny, ale mu się nie udało, a może się rozmyślił i rzucił szpadel przez płot na podwórko.

– Chciał zakopać zwłoki?

– Myślę, że mu się nie udało. Trzyma mróz. Ziemia jest bardzo twarda.

Sadowski przestąpił z nogi na nogę i nerwowo wypuścił dym.

– Miejsce gdzie leżał szpadel, dało mi do myślenia, więc uważniej przyjrzałem się okolicy, gdzie leżała denatka, no i znalazłem to... – ciągnął Czajka. – Po drugiej stronie płotu. – Na fotografii w miejscu znalezienia zwłok ktoś odgarnął zalegający na polu śnieg. Na zmrożonej ziemi było widać płytkie poziome wgłębienia.

– To są ślady wbijania łopaty w ziemię? – upewnił się Dawid.

– Tak, ktoś kilkakrotnie próbował, ale nie dał rady. Jak mówiłem, ziemia jest bardzo twarda.

– Odciski pewnie niewiele nam dadzą – mruknęła Rudnicka. – Głównie zostawione przez Adamskich. – Spojrzała na Dawida. – I co robimy? Przyciśniemy Adamskiego?

– Mam lepszy pomysł. Adamskiego możemy zostawić na później. Najpierw zajrzemy do jego żony. Pod nieobecność męża może być bardziej rozmowna.

Rudnicka skinęła głową.

– Ach, Lena? – Sebastian Czajka zapiął teczkę i wsunął ją pod pachę. – Ktoś cię szukał.

– Mnie?

– Nie znam innej komisarz Rudnickiej. – Uśmiechnął się. – Z godzinę temu przyszedł na komisariat jakiś chłopak. Szukał cię. Powiedziałem, że jesteś w terenie, więc poprosił o twój adres.

– Dałeś mu?

– Jasne, że nie. Ale wystarczy, że wejdzie do spóżywczaka i zapyta, gdzie mieszka na nowa policjantka. Wszyscy o tobie plotkują.

Pierwszą myślą Rudnickiej był Patryk Adamski, ale...

– Jak wyglądał ten chłopak? – zapytała.

– Bo ja wiem? – zastanowił się. – Młody, ciemne włosy, wysoki.

– Widziałeś jego samochód?

– Przyjechał skodą fabią.

Żołądek Rudnickiej zacisnął się w pięść.

– Idź do domu – odezwał się Sadowski. – Późno już. Dzisiaj i tak nic nie zdziałamy.

– A Adamska?

– Ja z nią pogadam.

Rudnicka zawahała się, ale skinęła głową i wybiegła z komisariatu, jakby się paliło.

19

Marcel Wolski podkręcił ogrzewanie w samochodzie i rozparł się w fotelu, słuchając wieczornych wiadomości. Pogodynka zapowiadała zimę stulecia. Za kilka dni miało nastąpić ochłodzenie. Marcel zastanowił się, czy może być jeszcze zimniej niż teraz. Ostatnie zimy w Polsce przypominały raczej późną jesień i nikt się nie spodziewał, że w tym roku spadnie tyle śniegu, a temperatura będzie tak niska. A zapowiadało się, że będzie jeszcze gorzej.

Marcel potarł dłonie i przyłożył je pod nawiew. Poczuł przyjemne ciepło. Spojrzał na dom, przed którym zaparkował, i pomyślał, że nigdy by nie przypuszczał, że Lena zamieszka w takim miejscu. Wolski chętnie uciekał od miejskiego zgiełku, ale ona wręcz przeciwnie.

W oddali dostrzegł światła zbliżającego się samochodu, który nieco zwolnił, zjeżdżając na pobocze. Na twarzy Wolskiego mimowolnie pojawił się szeroki uśmiech. Rozpoznał jaguara Rudnickiej. Zatrzymała się kawałek dalej. Czuł się podekscytowany jak na pierwszej randce. Serce biło mu szybciej, a dłonie, mimo chłodu, zaczęły się pocić.

Wyszedł z samochodu i wsunął ręce w kieszenie kurtki. Oparł się o maskę skody fabii, czekając, aż Rudnicka wysiądzie z auta.

– Co ty tu robisz? – zapytała, zatrzymując drzwi od strony kierowcy.

– Zaprosiłaś mnie. Pomyślałem, że...

– Ja cię zaprosiłam?

– Tak...

– Nie przypominam sobie.

Marcel przystanął zaskoczony. Nie był na tyle głupi, aby sądzić, że Rudnicka będzie skakała z radości na jego widok, ale takiego powitania się nie spodziewał.

Pokręcił głową z rezygnacją.

– Okej – powiedział. – Masz rację. Nie powinienem przyjeżdżać bez zapowiedzi. Mogłem zadzwonić. Nie pomyślałem.

Lena patrzyła na niego. Kąciki jej ust drgnęły w uśmiechu.

– Żartowałam, czubku. – Trąciła go ramieniem. – Długo tu kwitniesz?

Wolski odetchnął, jakby ktoś zdjął mu z piersi wielki ciężar.

– Byłem na komendzie – wyjaśnił. – Ale jakiś facet w okularach powiedział, że cię nie ma, więc postanowiłem dowiedzieć się, gdzie mieszkasz, i poczekać. Łatwizna. Zajrzałem do spożywczaka, żeby kupić coś do picia, a sklepowa od razu wyśpiewała mi twój adres.

– Facet w okularach to miejscowy technik.

– Wyglądał na miłego.

Rudnicka wzruszyła ramionami.

– Wychodzi na to, że jestem nową atrakcją lokalną jak pieprzona małpka w cyrku.

– To normalne, że ludzie się interesują. W takiej wiosce nie ma wielu atrakcji.

– Oj, zdziwiłbyś się.

– Festyn Lodu. Pamiętam. Jak było?

– Dla mnie spoko, ale nie wszyscy tę imprezę przeżyli.

Wolski skwitował ten żart grymasem.

– Słyszałem, że macie martwą dziewczynę – powiedział, a Rudnicka obrzuciła go zdziwionym spojrzeniem. – W sklepie gadali – wyjaśnił, otwierając bagażnik. Wyciągnął plecak

i zarzucił go sobie na ramię. – Macie już trop? Ponoć została brutalnie zgwałcona.

– Naprawdę jesteś dobrze poinformowany.

Wolski się uśmiechnął.

– Paskudna sprawa. – Rudnicka pchnęła furtkę i ruszyła w stronę ganku. – Ale o tym pogadamy później. Najpierw wyjaśnij mi, co to jest.

– Co?

Lena wskazała plecak na ramieniu Wolskiego.

– Plecak.

– Widzę. Chodziło mi o to, dlaczego masz go ze sobą.

– Zabrałem najpotrzebniejsze rzeczy i...

– No i co?

– Myślałem, że zatrzymam się u ciebie na parę dni.

– To mały domek. Sam spójrz. Nie mam w nim aż tyle miejsca, żeby...

– Jakoś się pomieścimy – wpadł jej w słowo. – Prawda?

– Nie przeginaj, sierżancie.

– Chyba nie wyślesz mnie do hotelu? Poza tym nie wiem, czy znalazłbym w okolicy jakikolwiek hotel. – Na jego twarzy pojawił się szelmowski uśmiezek. – Przecież nie wypędzisz starego przyjaciela za drzwi?

Rudnickiej nie podobał się ten pomysł, ale musiała przyznać, że przydałoby jej się towarzystwo. Nie widziała Wolskiego tak długo, że ucieszyła się z jego odwiedzin.

– Dobra – rzuciła. – Chodź.

Wsunęła klucz w zamek i przekreśliła. Pchnęła drzwi i poprowadziła Wolskiego przez wąski korytarz do dużego pokoju. Zdjął kurtkę i powiódł wzrokiem po wnętrzu, a potem gwizdnął przeciągle.

– Nieźle – ocenił. – Można by rzec, że przytulnie.

– Śpisz na kanapie.

– Ma się rozumieć.

Z jego twarzy nie zniknął uśmiech. Rudnicka uważnie się mu przyglądała. Nie miała pojęcia, co chodzi mu po głowie.

– Mówię poważnie – zastrzegła.

– Ja również.

– Skoro już tu jesteś, napalisz w piecu.

– Gdzie go znajdę?

– W korytarzu.

Poszedł wykonać polecenie, a ona w tym czasie wstawiła wodę w garnku i zabrała się do krojenia warzyw. Kiedy Marcel ponownie zjawił się w kuchni, nie krył zaskoczenia. Obszedł stół i oparł się o blat obok Leny.

– Nie wiedziałem, że gotujesz.

– Sama nie wiedziałam, dopóki nie zostałam zmuszona. Życie na mrożonych pizzach w końcu traci urok. Nie mam wiele w lodówce, ale z tego, co jest, mogę wyczarować jakiś makaron. Może będzie zjadliwy, jeśli się postaram.

– Brzmi nieźle.

Wrzuciła na rozgrzaną patelnię pokrojoną cebulę i poturlała po blacie czerwone papryki.

– Piwo? – spytała.

– W lodówce?

– Obsłuż się.

Marcel wyciągnął dwie butelki pszenicznego piwa, otworzył, jedną podał Lenie,

a z drugiej sam pociągnął solidny łyk.

– I jak ci się tu mieszka?

– Bywało lepiej.

Wcale jednak nie wyglądała na niezadowoloną.

– A co z ofiarą? – zapytał Wolski i usiadł na stole. – Ponoć sprawa jest paskudna.

– To prawda. No i ta wieś... Mam wrażenie, że jeden drugiego kryje. Nawet glińiarz, z którym pracuję, wydaje się śliski.

– To znaczy?

– Nieważne. – Machnęła ręką. – Nazywa się Sadowski. Objechałam z nim chyba wszystkie osoby, które mogły mieć jakiegokolwiek informacje w sprawie Kariny Cieślak, czyli naszej ofiary.

– I co?

Wzięła głęboki wdech i obtaczając kawałki kurczaka w przyprawie, opowiedziała Wolskiemu, czego dowiedzieli się z rozmów z mieszkańcami Białych Brzegów. Kiedy skończyła, zsunęła mięso na rozgrzaną patelnię.

– Uporządkujmy to – zaproponował. – Znaleźliście martwą dziewczynę.

– Martwą i brutalnie zgwałconą jakimś cholernym kołkiem drewna.

– Tak. – Kiwnął głową. – Dziewczyna była wczoraj na festynie we wsi z dwiema koleżankami. Obie twierdzą, że wróciły do domu przed dwudziestą pierwszą, ale skoro mamy świadka, który widział Karinę w towarzystwie dwóch mężczyzn po dziewiątej wieczorem, oznacza to, że nie poszła do domu. Okłamała koleżanki?

– Albo one okłamują nas.

– W takim razie trzeba się dowiedzieć, co Karina robiła przed śmiercią. Gdzie była? Zgon nastąpił pomiędzy trzecią a czwartą rano, a raczej nie chodziła sama po wsi tyle godzin. Musiała mieć towarzystwo.

– Po pierwsze muszę ustalić tożsamość tego drugiego faceta, z którym sąsiadka Adamskich widziała Karinę.

– Jakież pomysły?

Rudnicka pokręciła głową.

– Rozumiem. – Wolski zamieszał kurczaka na patelni i oparł się o kuchenny blat, przełykając łyk piwa. – Ciało ofiary znaleźliście przy domu Adamskich, tak?

– Owszem.

– Twierdzisz, że dziwnie się zachowują.

– Stary ewidentnie coś kręci. Zresztą jego żona też. Kiedy z nią rozmawiałam, stwierdziła, że mąż kazał jej powiedzieć, że to ona znalazła ciało, ale potem się tego wyparła. Myślę, że jest przez męża zastraszana, dlatego kłamie. Przez przypadek, może w wyniku stresu, wymknęło się jej, że tak naprawdę to Jerzy poinformował ją o zwłokach leżących przy ogrodzeniu. A nie na odwrót. Uważam, że stary Adamski ma coś na sumieniu. Świadczy o tym też znaleziona w szopie kurtka i ślady po łopacie w zmarzniętej ziemi.

– Sądzisz, że usiłował zakopać ciało?

– Nie dał rady, bo ziemia jest za twarda.

Wolski się zamyślił. Sprawa wydawała mu się coraz ciekawsza.

– Ale skoro chciał pozbyć się ciała, mógł to zrobić w inny sposób, prawda? – powiedział.

– Wywieźć, poćwiartować, schować w piwnicy. A tymczasem zostawił je pod własnym płotem? Gdyby to on był sprawcą, moim zdaniem pozbyłby się zwłok.

Rudnicka zagryzła wargę. Marcel miał rację. Gdyby Adamski był sprawcą, zdawałby sobie sprawę, że będzie przesłuchiwany jako pierwszy. To przy jego obejściu policja znalazła

zwłoki dziewczyny. Jeśli próbował zakopać ciało, ale mu się nie udało, logiczne wydaje się, że próbowałby ukryć zwłoki w inny sposób.

– A co z kurtką? – zapytała. – Ktoś wpadł na pomysł, żeby schować kurtkę w szopie Adamskich?

– Nie ktoś, ale sprawca. – Marcel napił się piwa i schylił do leżącego na podłodze plecaka, po czym wyciągnął paczkę westów ice. Usiadł przy stole, ale nie wyciągnął papierosa. – Może właśnie o to chodziło sprawcy?

– O co? Nie łapię.

Rudnicka sięgnęła po popielniczkę i podsunęła Wolskiemu, który w międzyczasie zapalił papierosa.

– Może chciał, byśmy myśleli, że to Adamscy są winni – odparł. – I usiłował podsunąć fałszywy trop policji? W jaki sposób zamykana jest tamta szopa?

– Na zwykłą zasuwę.

– Czyli nie ma kłódki.

– Nie.

– Więc każdy mógł tam wejść?

– Teoretycznie tak. Nie było tam nic wartościowego. Trochę węgla i drewna na zimę.

– Zdjęto odciski z tej zasuw?

– Nie spodziewałabym się rewelacji. Jeśli sprawca usiłował rzucić podejrzenie na Adamskich, przypuszczam, że działał w rękawiczkach. Czajka da nam znać.

Lena patrzyła, jak Wolski zaciąga się papierosem. Zamieszała warzywa i odcedziła makaron. Musiała przyznać, że Marcel rzucił na sprawę nowe światło. Nie przyszło jej do głowy, że ktoś mógł zrobić Adamskich w zabójstwo, ale teraz taka teoria brzmiała wiarygodnie i chociaż Rudnicka wciąż nie wierzyła w niewinność starego Adamskiego, postanowiła sprawdzić również ten trop.

– Jest jeszcze syn Adamskich – powiedziała. – Do tej pory nie wrócił do domu. Szukamy go. Sąsiadka uważa go za łobuza. Z kolei jedna z przyjaciółek Kariny mówiła coś zupełnie odwrotnego. Owszem, potwierdziła, że Patryk zabiegał o względy Kariny, ale według niej nie skrzywdziłby dziewczyny.

– Skąd ta pewność?

– Twierdzi, że chłopaka obowiązuje jakiś kodeks.

– Kodeks?

– Nieważne. – Machnęła ręką.

– Rodzice nie mają pomysłu, gdzie może być ich syn?

– Nie mają albo nie chcą powiedzieć. Myślę, że stary coś wie, ale pary nie puści. Patrole mają zdjęcie chłopaka. Tutaj, w ościennych wioskach i w pobliskim mieście. Ale do tej pory cisza. Nikt go nie widział.

– Ukrywa się?

– Może ma powód.

Marcel po raz pierwszy od dawna poczuł zawodową ciekawość. Tragiczna śmierć dziewczyny i zmowa mieszkańców wsi brzmiały jak wyzwanie. Być może chęć odejścia ze służby była tylko oznaką przejściowego kryzysu po śmierci ojca?

Rudnicka postawiła przed nim parujący talerz z makaronem, warzywami i kurczakiem. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo jest głodny.

– A co z tym policjantem? – spytał, sięgając po widelec.

– Z Sadowskim?

– Mhm.

– Według mnie coś kręci, więc będę go miała na oku.
– To może być dla niego trudne – przesłuchiwać ludzi, których zna od lat... Z niektórymi pewnie chodził do szkoły albo w młodości pił piwo.

– Widzę, że się orientujesz w wiejskich zwyczajach.

– Tak tu wygląda życie.

– Sadowski jest policjantem, więc powinien liczyć się z tym, że kiedyś będzie musiał przesłuchać kogoś znajomego.

– Ale nie w sprawie zabójstwa.

– Bronisz go?

– Próbuję zrozumieć.

Lena obrzuciła go spojrzeniem pełnym politowania.

– Jak zwykle szukasz usprawiedliwienia – mruknęła, wbijając widelec w kawałek kurczaka. – Nawet dla kogoś, kogo nie widziałeś na oczy.

Wolski wzruszył ramionami i napił się piwa.

– Niezła z ciebie kucharka.

– Nie zmieniaj tematu.

– Zastanawiałem się nad odejściem ze służby.

Lena z wrażenia upuściła widelec. W kuchni zapadła pełna napięcia cisza.

Wolski już po chwili żałował swojego wyznania.

– Żartujesz? – spytała Lena, sięgając po butelkę piwa. Wypiła je duszkiem, wstała i wyjęła z lodówki jeszcze dwie butelki. – Powiedz, że żartujesz.

– Naprawdę się nad tym zastanawiałem. To znaczy... chyba już podjąłem decyzję. Chcę dać sobie trochę czasu, żeby nabrać pewności...

– Co ty pieprzysz?

Rudnicka wszystkiego mogła się po nim spodziewać, ale nigdy by nie przypuszczała, że wpadnie mu do głowy równie idiotyczny pomysł. Owszem, nie jest najlepszym gliniarzem pod słońcem. Zbyt wrażliwy, czasami podchodzi do sprawy zbyt emocjonalnie, nawet po kilku latach pracy skręcało mu żołądek na widok ludzkich zwłok, ale może właśnie takich ludzi potrzebowała polska policja? Empatycznych. W tej pracy bardzo łatwo jest zapomnieć o emocjach. Każdy policjant robi wszystko, by w życiu prywatnym zapomnieć o okropieństwach, które widział na służbie, a Marcel w ofierze zawsze potrafił dostrzec człowieka. Człowieka, który kiedyś żył, miał plany, ambicje i marzenia. Lena czasem mu tego zazdrościła. Miał serce do tej roboty. Nie mógł tak po prostu odejść.

– Przemyślałem wiele spraw – zaczął. – Po tym, co stało się z ojcem... – Potarł przeszkłone oczy. – Cholera, myślałem, że mam to za sobą. Wybacz, nie powinienem się rozklejać.

– Masz prawo.

Odwrócił wzrok.

– Co za niefart. – Zaśmiał się gorzko. – Naprawdę sądziłem, że mam to za sobą.

– Marcel, to był twój ojciec. Myślę, że upłynie sporo czasu, zanim będziesz mógł powiedzieć, że masz to za sobą. Żałoba to twoje prawo. Wiem, że masz do mnie żal...

– Nie mam.

– Daj spokój.

– Co ci przyszło do głowy?

– Nie oszukujmy się. Wszyscy na tej pieprzonej komendzie sądzą, że to moja wina. – Rudnicka wstała i z butelką piwa krążyła po kuchni. – Zesłali mnie tutaj, żebym odpoczęła i nabrała dystansu. Jestem wściekła. Wiesz, jak nie znoszę wsi i tego całego

małomiasteczkowego życia. Ale z drugiej strony cholernie się cieszę, że tutaj jestem. Wiem, że do Łodzi nie mam już po co wracać.

– Podobno masz tu spędzić tylko kilka miesięcy.

– Pieprzenie. Wmawiam to sobie, żeby się pocieszyć, ale prawda jest taka, że nigdy tam nie wrócę.

Marcel nie mógł pozbyć się wrażenia, że coś go ominęło. Dostrzegł w Rudnickiej jakąś zmianę.

– Nawet nie myśl o odejściu – powiedziała. – Nawet, kurwa, o tym nie myśl.

– Czuję, że to nie jest moje miejsce.

– Dasz sobie jeszcze parę tygodni i wrócisz. Musisz nabrać dystansu.

Wolski wyglądał na nieprzekonanego. Lena wróciła do stołu i dokończyła makaron. Marcel zrobił to samo. Najedzony odsunął talerz i popił piwem. Patrzył, jak Lena sprząta ze stołu, i na chwilę zapomniał o dramatycznych wspomnieniach, a na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Co się gapisz? – mruknęła.

– Nie, nic.

– Widzę, że jednak coś.

– Przyszło mi do głowy, że ładnie wyglądasz. Wiejskie klimaty jednak ci służą.

– Stul dziób.

– Serio.

Patrzyli na siebie w milczeniu. Lena poczuła, jak płoną jej policzki, więc szybko odwróciła wzrok i skupiła się na zmywaniu naczyń. Marcel na końcu języka miał kąśliwą uwagę, ale rozległo się pukanie do drzwi.

– Spodziewasz się kogoś? – zapytał.

Rudnicka nie odpowiedziała. Nerwowo wyjrzała przez okno, obawiając się, że na podjeździe zobaczy samochód swojego męża, ale wciąż stały tam tylko auta jej i Marcela.

Odetchnęła z ulgą i ruszyła do drzwi.

W progu stała kobieta, może pięćdziesięcioletnia, w oliwkowej chuście na głowie i spódnicy w czerwone kwiaty. Na nogach miała grube rajstopy i niemodne botki, przetarte na czubkach.

– Dobry wieczór – odezwała się. Sprawiała wrażenie onieśmiałej. – Przepraszam za najście o tak późnej porze. Nazywam się Arkadia Ząbek.

Nazwisko nic nie mówiło Rudnickiej. Nie miała pojęcia, kim jest ta kobieta i dlaczego postanowiła złożyć jej wizytę.

– Tak? – zapytała.

– Komisarz Rudnicka?

– Zgadza się.

– Szukałam pani na komisariacie, ale powiedziano mi, że poszła pani do domu. Jeśli przeszkadzam, przyjdę jutro.

– Wszystko w porządku. O co chodzi?

– Myślę, że mam istotne informacje na temat śmierci Kariny Cieślak.

– Proszę mówić.

– Ja... Widziałam coś.

20

Dawid wyjął paczkę i wyciągnął ją w stronę Balbiny Adamskiej. Zawahała się, lecz po chwili sięgnęła po papierosa. Sam zapalił i zaciągnął się głęboko. Ona przez chwilę rolowała

swojego w palcach i także zapaliła.

– Rzuciłam lata temu – powiedziała, jakby się usprawiedliwiając. – Paskudny nałóg.

– W dzisiejszych czasach przede wszystkim kosztowny.

– Och, tak. To prawda.

Sadowski nie miał ochoty na rozmowę z Adamską. Był zmęczony i najchętniej przełożyłby spotkanie z Balbiną na jutro i wrócił do domu, ale przyszło mu do głowy, że nie może zawieść komisarz. Dał jej słowo. Obecność Rudnickiej była mu nie na rękę, ale nie chciał, by uważała go za wiejskiego głupka.

– Co z moim mężem? – zapytała, wrywając Dawida z zamyślenia. – Odpowiedz szczerze, przecież znamy się tyle lat. Czy Jerzy miał coś wspólnego z tym gwałtem?

– A jak pani uważa? Czy byłby zdolny zrobić krzywdę Karinie?

– Nie wiem.

– Pani zna go najlepiej.

– Nie znam go aż tak dobrze, jak ci się wydaje. Mój mąż jest nieprzewidywalny.

– Czyli uważa pani, że byłby do tego zdolny?

– Jerzy bywa trudny w obyciu, szczególnie kiedy ma kiepski humor. Och, jest wtedy złośliwy i uszczypliwy. Nie da się z nim wytrzymać. Ale jeśli pytasz, czy byłby zdolny zrobić krzywdę drugiemu człowiekowi, odpowiem, że nie wiem. Czasami myślę, że tak.

– Zdaje sobie pani sprawę, że dowody wskazują na męża. Patryk również znalazł się w kręgu podejrzanych. Na jego niekorzyść przemawia to, że do tej pory nie wrócił do domu.

– Mój syn nie ma z tym nic wspólnego.

– Rozumiem, ale musimy zbadać każdy wątek, a w komórce na pani podwórku znaleźliśmy kurtkę Kariny...

– Nie wiem, skąd się tam wzięła.

Dawid westchnął. Adamska nie wyglądała na skorą do rozmowy, ale liczył, że pod nieobecność męża trochę rozwiąże się jej język. A może podszedł do sprawy od złej strony?

– Proszę opowiedzieć o synu – zaproponował.

– To dobry chłopak, chociaż trochę pogubiony. Dawniej lubił rozrabiać, ale ostatnio trochę się uspokoił.

– W jakim sensie pogubiony?

– Zakolegował się z takimi chłopakami. Mówiłam mu, że to nie jest dobre towarzystwo dla niego, ale jak to nastolatek, w ogóle mnie nie słucha. Ojca też nie. Wbił sobie do łba, że chcemy dla niego źle, że go blokujemy, tak mówił, że go blokujemy, wyobrażasz sobie?

– W czym go blokowaliście?

– Twierdził, że nauka to nie wszystko, że liczą się inne wartości, że powinniśmy żyć zgodnie z Bogiem, że honor mężczyzny nie pozwala na to, by kobieta zarabiała na życie. Mówił, że nie powinnam pracować, bo ojciec jest przez to nieszczęśliwy. Ciekawe tylko, z czego byśmy żyli. Jerzy od dawna nie zarobił nawet złotówki.

– Jak mąż to komentował?

– Miał podobne zdanie. Nie chciał puścić mnie do pracy, ale ja nie pozwolę zamknąć się w klatce. Co to, to nie.

– Wiedziała pani o znajomości Patryka z Kariną?

– Nie. – Pokręciła głową i nie pytając o pozwolenie, wyjęła z paczki kolejnego papierosa. Zaciągnęła się. – Ale podejrzewałam, że poznał jakąś dziewczynę. Spokojniejszy się zrobił. Mniej pyskował, pomagał ojcu w obejściu. Powiem ci, że byłam zaskoczona. Zachowywał się jak nie on, ale cieszyłam się, bo choć trochę spokoju było.

– Podobno Patryk dokuczał waszej sąsiadce.

– Nowakowa tak nagadała?
Sadowski przytaknął.

– Stara prukwa. Już ja jej pokażę. Porozmawiam z nią sobie! Takie rzeczy o nas policji wygadywać?

– Jak rozumiem między wami a panią Nowak stosunki są nie są najlepsze?

– To paskudna baba. Wygaduje bzdury po wsi i potem ludzie gadają, że mój mąż najgorszy jest. A ona ma w tym interes.

– Jaki?

– Tego nie wiem, ale na pewno jakiś ma. Ona wcale nie jest taka, na jaką wygląda. Nie wierzyłabym w ani jedno jej słowo.

Nowakowa wydawała się sympatyczna, a jej zeznania wiele wniosły do sprawy. To ona wskazała Patryka Adamskiego, mówiąc, że w nocy po festynie widziała go w towarzystwie Kariny i jeszcze jednego mężczyzny. Czy specjalnie rzuciła podejrzenie na sąsiada?

Uznał to za absurdalne.

– Kiedy widziała pani syna po raz ostatni? – zapytał.

– Wczoraj, kiedy wybierał się na festyn.

– A później?

– Już nie.

– Mamy świadka, który twierdzi, że Patryk i jeszcze jeden mężczyzna w towarzystwie Kariny szli w stronę waszego domu.

– To niemożliwe. Patryk nie wrócił na noc.

– A skąd wziął się jego telefon na górze?

– Może zapomniał?

Sadowski nie sądził, by chłopak zapomniał telefonu. Może wrócił do domu tak, by rodzice go nie zauważyli, albo celowo podrzucił komórkę do pokoju? Ale po co? W tej sprawie nic się kupy nie trzymało.

– Rozumiem, że śmierć Cieślakówny to straszna tragedia – odezwała się Adamska. – Ale my naprawdę nie mamy z tym nic wspólnego.

– A pani mąż? Potwierdza pani, że wrócił wcześniej do domu?

Balbina się zawahała.

– Tak – odparła po namyśle.

Sadowski westchnął. Kobieta ewidentnie coś ukrywała.

Wyjął z wewnętrznej kieszeni kurtki zdjęcie.

– Czy to wasz szpadel? – zapytał.

– A co to ma do rzeczy?

– Tak czy nie?

– Nie wiem. Przecież wszystkie łopaty wyglądają identycznie. – Zaśmiała się nerwowo.

– Proszę powiedzieć, co pani wie. – Sadowski mówił powoli, jakby zwracał się do dziecka. – Mamy podejrzenie, że sprawca użył właśnie tego szpadla, by zakopać zwłoki Kariny, ale mu się nie udało.

Adamska nagle pobladła. Zamarła w bezruchu i wpatrywała się w Sadowskiego tępym wzrokiem.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Tak, tak. – Ocknęła się, potrząsając głową. – Lepiej będzie, jak już sobie pójdiesz.

– Coś się stało?

– Kiepsko się czuję. Muszę się położyć.

Sadowski przyglądał się jej przez chwilę, po czym zgarnął kurtkę z oparcia krzesła

i wyszedł. Kiedy zamknął za sobą drzwi, Balbina się rozpląkała. Dotarło do niej, co się stało.

21

Tomasz Mielcarz upił łyk dwunastoletniej chivas regal, opuścił rękę i przez chwilę obracał szklankę z whisky w dłoniach. W tle brzęczał telewizor. Zerknął na ekran, ale nie docierał do niego sens słów wypowiedzianych przez meksykańskich aktorów. Chyba się kłócili, sądząc po emocjach wypisanych na ich twarzach. Facet usiłował udobruchać jakąś laskę, a ona ostentacyjnie go odtrącała. Siedząca na kanapie z wyciągniętymi na stoliku nogami Baśka westchnęła z przejęciem. Ona naprawdę emocjonowała się perypetiami serialowych bohaterów. Uwielbiała wgapiać się w te durnowate opery mydlane, których Tomasz nie znosił.

– Co za bałagan! – warknął. Żona obrzuciła go przelotnym spojrzeniem i znów wbiła wzrok w telewizor. Sięgnęła po koc i okryła się nim po szyję. – Co ty, kurwa, za bzdury oglądasz? Jak można być tak głupim, żeby oglądać takie gówno? Nie masz co w domu robić?

– Odwal się.

– Oglądasz same pierdoły. Nic dziwnego, że potem masz w głowie sieczkę.

– Powiedziałam, żebyś się odwalił. Zajmij się sobą.

– Jak możesz tak spokojnie oglądać telewizję? Wszystko masz w dupie. – Upił whisky. – Zresztą zawsze miałaś. Nic dziwnego.

– O co ci chodzi?

Nie potrafił zebrać myśli ani znaleźć sobie miejsca. Miał wrażenie, że siedzi na tykającej bombie, która w każdej chwili może wybuchnąć. A ona miała wszystko w dupie. Po prostu rozsiała się na kanapie i oglądała telewizję.

Jak zwykle, pomyślał. Jego żona właśnie taka była – cwana i wyrachowana. Nie przejmowała się niczym i zawsze jak kot spadała na cztery łapy. Cholerna szczęściara.

– Przestań się tak na mnie gapić – mruknęła. – Denerwujesz mnie.

– Nie wiem, co robić.

– Zajmij się czymś. Idź do pracy.

Tomasz wstał i przeszedł się po salonie.

– Wziąłem wolne – odparł. – Zadzwoń do chłopaków i powiedz im, że mnie nie będzie.

– Dlaczego? Powinieneś iść do pracy. Przestałbyś się zamartwiać. Pewnie jeszcze nie skończyli. Pomożesz im.

– Pewnie zejdzie im do późna.

– No właśnie.

– Nie mam ochoty. Nie mogę się skupić na niczym.

– Takim łażeniem też nic nie działasz.

Tomasz zatrzymał się w pół kroku, wziął łyk whisky i odstawił szklankę na stół. Popatrzył na Baškę. Była bardzo ładną kobietą. Wciąż mu się podobała. No może nie była tak śliczna jak jej przyjaciółka Karina, ale Baśka miała w sobie to coś, błysk w oku, który go pociągał. Była też niezła w łóżku, lubiła się zabawić.

– Sorry – rzucił. – Trochę mnie nosi. Nie panuję nad tym.

– Widzę. – Oderwała wzrok od telewizora i spojrzała na męża. – Boisz się, że Natalia puści parę?

– Między innymi.

– Nie sądzę. Raczej zrozumiała aluzję.

– No nie wiem. – Pokręcił głową. – Jak człowiek gada z policją, puszczają mu nerwy i chlapie jęzorem. A jeśli ona powie im prawdę? Dzwoniła do ciebie?

Baśka westchnęła ciężko.
– No widzisz – mruknął. – A miała zadzwonić po rozmowie z glinami.
– Może jeszcze u niej nie byli?
– Żartujesz? Byli u ciebie, więc do niej też na pewno zajrzeli. Coś jest nie tak, Baśka, czuję to, kurwa, czuję, że coś tu nie gra.
– Zadzwonię do niej.
Tomasz podał żonie telefon i usiadł na kanapie. Baśka wybrała numer przyjaciółki, odczekała kilka sygnałów i się rozłączyła.
– Nie odbiera.
– Kurwa. Mówiłem.
Baśka spróbowała jeszcze raz. Bez skutku.
– Wsypała nas, mówię ci. – Tomasz poderwał się z kanapy. – Ja pierdolę, i co teraz?
– Czekaaj. Może się kąpie? Przecież nie każdy nosi ze sobą wszędzie komórkę.
– Jasne. – Zaśmiał się ponuro. – Myślisz, że czas działa na naszą korzyść? Ja nie mam zamiaru trafić do pierdła!
– Nikt nie pójdzie siedzieć. Przeszań zachowywać się jak rozwyrzona panienka.
Tomasz przystanął i spojrzał na nią ostro. Baśkę przeszedł nieprzyjemny dreszcz.
– Musimy się jej pozbyć – rzucił.
Nie odpowiedziała. Poruszali ten temat już wcześniej i nie była zachwycona takim pomysłem. Nie chodziło o to, że Natalia jest jej przyjaciółką. Ale gwałt ze skutkiem śmiertelnym to poważna sprawa. Trzeba się odpowiednio przygotować.
Nie, to był zły pomysł. Ale jeśli Natalia rzeczywiście ich wsypała? Przyjaciółka wie dużo rzeczy, o których gliny nie powinny się dowiedzieć.
– Albo my, albo ona. – Tomasz nalał sobie kolejną porcję whisky i wypił jednym haustem. – To nasze być albo nie być. Nie mogę wylądować w pierdłu. Nie dam sobie rady.
– Nie panikuj.
– Kurwa, wyobrażasz sobie mnie w więzieniu?
– Jak pozbędziemy się Natalii, możesz dostać dożywocie.
– Dlatego trzeba to zrobić tak, żeby nikt nas nie podejrzewał.
– Psy oszaleją. Dwa trupy we wsi? Dzień po dniu? Za duże ryzyko. Musimy poczekać.
– Pękasz?
– Nie, ale...
– Zrobimy to fachowo. Nikt się nie zorientuje.
– Mówisz o morderstwie.
– Nie mamy wyjścia.
– Naprawdę chcesz ją zabić? – Baśka odchyliła się do tyłu. – Sądziłam, że żartujesz.
Tomasz podszedł bliżej i spojrzał żonie w oczy.
– Przecież to twój pomysł – przypomniał.
– Wiem, ale od gadania do czynu daleka droga.
Tomasz złapał żonę za ramię i zmusił, by wstała z kanapy. Poczul, że ma erekcję. Brutalnym szarpnięciem obrócił żonę i ściągnął jej spodnie.
Krzyknęła z bólu, gdy w nią wchodził.

Rudnicka postawiła na stole trzy kubki z parującą herbatą. Usiadła obok Wolskiego i popatrzyła na kobietę siedzącą naprzeciwko. Ta skinieniem głowy podziękowała za herbatę i objęła kubek obiema dłońmi, by się ogrzać. W domu robiło się coraz cieplej. Kaloryfery powoli

się nagrzewały, więc Rudnicka zdjęła sweter i powiesiła go na oparciu krzesła.

– Nazywam się Arkadia Ząbek i jestem gospodynią księdza – wyjaśniła kobieta ściszym głosem. – Mieszkam na plebanii – dodała z pewną dumą. Rudnicka pomyślała, że w tych stronach posada na plebanii musi wiele znaczyć.

– Mówiła pani, że przyszła w sprawie zmarłej Kariny Cieślak.

– Tak, tak. Zaraz przejdę do rzeczy. – Arkadia Ząbek nachyliła się ponad stołem. – Zanim jednak powiem, o co chodzi, muszę prosić o dyskrecję.

– Jeżeli informacje, jakie pani posiada, mają dla śledztwa istotne znaczenie...

– Proszę o dyskrecję. Inaczej o niczym nie powiem.

Rudnicka wymieniła spojrzenia z Marcelem.

– No dobrze – odparła po namyśle. – Zobaczę, co da się zrobić.

– Bo wczoraj mieliśmy we wsi festyn, prawda? I tam była też Karinka. Wiem, bo ją widziałam. Też tam poszłam, ale ksiądz proboszcz nie może się o tym dowiedzieć. Wołałabym, żeby nie mówiła pani, że te informacje ma ode mnie.

– Myślę, że to da się zrobić.

– Ksiądz proboszcz potępia takie zabawy.

– Dlaczego?

Arkadia machnęła ręką.

– Jest trochę staroświecki.

– Gospodyni księdza nie wolno chodzić na wiejskie festyny?

– To mój warunek.

Rudnicka pokiwała głową.

– Mieszkam tu już wystarczająco długo. – Ząbek westchnęła ciężko. – Dobrze znam księdza proboszcza i wiem, że nie byłby zadowolony, gdyby się dowiedział, że poszłam na festyn.

– Znała pani Karinę? – spytał Marcel.

– Znać to za duże słowo, ale kojarzyłam ją. Biedne dziecko. Ładna, młoda, a taka tragedia ją spotkała... Znałam jej rodziców. To dobrzy i porządni ludzie. Strach pomyśleć, dlaczego spotkała ich taka kara. – Arkadia starła łzę. – Macie już podejrzanych? Wiecie, kto to zrobił?

– Nie możemy ujawniać tajemnic śledztwa.

– Jaki człowiek mógłby zrobić coś tak okropnego? Tylko potwór!

Komisarz zastanowiła się, czy Arkadia Ząbek rzeczywiście ma istotne dla sprawy informacje, czy przyszła tylko po to, by zebrać wieści z pierwszej ręki i potem przekazać je sąsiadkom. Ale wyglądała na szczerze poruszoną śmiercią Kariny. Rudnicka postanowiła dać jej szansę.

– A więc była pani na festynie... – odezwała się.

– Tak. – Arkadia energicznie pokiwała głową i upiła łyk herbaty. – Pomyślałam, że zajrzę tam na chwilę. Spotkałam koleżanki. Pogadałyśmy sobie. Przydało mi się trochę rozrywki.

– Do której godziny?

– Około dwudziestej trzeciej wróciłam na plebanie.

Rudnicka zabębniła palcami o blat stołu.

– Proszę mówić – powiedział Wolski, dostrzegając napięcie komisarz.

– Karina kolegowiła się z takimi dwoma dziewczynami, prawda? Z Basią i Natalią. Od małego się przyjaźniły. Widywałam je we wsi, jak spacerowały, najczęściej latem. Godzinami tak łąziły i kółka po wsi robiły. Miłe, grzeczne, zawsze „dzień dobry” mówiły.

– Widziała je pani na festynie...

– Tak, tak. Kręciły się po placu. Ale... – Arkadia zawiesiła głos, po czym wzięła głęboki

oddech. – Karina została zgwałcona, prawda? Sprawcą musiał być mężczyzna?

– Prawdopodobnie tak.

– No właśnie. I ja widziałam coś. Pomyślałam, że powinniście wiedzieć. Może to jakiś trop. No bo przecież ani Basia ani Natalka nie mogły tego zrobić.

– Jaki trop ma pani na myśli?

– Nie chciałabym rzucać bezpodstawnych oskarżeń. Lepiej, żeby nikt się nie dowiedział, że wiecie to ode mnie. Bo... bo jeśli ten zwyrodnialec zabił młodą dziewczynę, to pewnie poradzi sobie i ze starą babą. Boję się o swoje życie.

W głosie Arkadii pojawił się przesadny dramatyzm. Rudnicka miała ochotę ponaglić kobietę, ale Marcel ją uprzedził.

– Spokojnie – rzekł. – Proszę powiedzieć, o co chodzi.

– Widziałam Karinę w samochodzie z pewnym mężczyzną.

Rudnicka się ożywiła. Zerknęła na Wolskiego, ale on wpatrywał się w Arkadię Ząbek. Ta informacja też go zaskoczyła.

– Widziała pani Karinę z mężczyzną w samochodzie? – upewniła się Rudnicka.

– Tak.

– O której?

– Około dwudziestej pierwszej.

Według słów przyjaciółek Cieślakówny dziewczyny rozstały się przed dwudziestą pierwszą, ale jak wiadomo, Karina nie dotarła do domu. Informacja, że była w towarzystwie mężczyzny, to rzeczywiście bardzo ważny trop. Być może w końcu uda się odtworzyć ostatnie godziny z życia ofiary.

Arkadia odchrząknęła.

– Karina jechała samochodem z mężczyzną – powiedziała już nieco pewniejszym głosem.

– Co to był za samochód? Może zapamiętała pani rejestrację?

– Nie – odparła kobieta. – Ale wiem, kim był tamten mężczyzna.

23

Natalia ściągnęła mocniej sznurówki i zawiązała buty. Zarzuciła kurtkę na plecy, sprawdziła GPS w zegarku i wyjrzała za okno. Pogoda nie zachęcała do treningu, ale ona nie zamierzała odpuszczać. Biegała regularnie od pół roku. Zawzięła się i nie powstrzymywały jej mróz ani ulewa. Bieganie sprawiało, że zapominała o problemach. Skupiała się na utrzymaniu odpowiedniego tempa i poprawnej postawy.

Nic nie mogło się równać z uczuciem, jakie towarzyszyło jej po treningu. Była szczęśliwa, jakby ktoś przekłuł tkwiący w niej balon wypełniony negatywnymi emocjami. Dzisiaj również nie rezygnowała. Planowała krótką przebieżkę stałą trasą. Chociaż na chwilę przestanie myśleć o śmierci Kariny. O tym, że ktoś ją skrzywdził. Wciąż miała przed oczami uśmiechniętą twarz przyjaciółki.

Kiedy wyszła na zewnątrz, uderzył ją podmuch zimnego powietrza, więc naciągnęła na policzki komin i zamknęła drzwi na klucz.

Drogę oświetlała uliczna latarnia. Pomarańczowe światło padało na śnieżne zaspę ciągnące się wzdłuż drogi. Wieczór był zimny. Mróz ścisnął płuca. Zapowiada się ciężki trening, pomyślała, a potem wykonała kilka szybkich ćwiczeń na rozgrzewkę. Poruszała ramionami, rozgrzała stawy i nadgarstki. Po kilku minutach była gotowa do biegu.

Zaplanowała trasę na dziesięć kilometrów, ale poczuła, że szybko traci siły. Na ósmym kilometrze zatrzymała się i odetchnęła głęboko. Spróbowała pobiec dalej, ale w płucach pojawił się ostry, kłujący ból. Koniec na dziś, pomyślała i skręciła w leśną ścieżkę prowadzącą do domu.

Gdyby kontynuowała trening, wybrałaby okrężną drogę przez wieś, ale teraz uznała, że dotrze do domu przez las. W ten sposób skracala sobie powrót o dobry kilometr. Przypomniała jej się matka, która przestrzegała ją przed tą ścieżką. Twierdziła, że to niebezpieczne. Łatwo o szaleńca, mówiła, dla którego dziewczyna idąca samotnie przez las okaże się wystarczającą pokusą. Mimo wszystko często wracała tędy do domu i nic się nie stało. Teraz przyspieszyła kroku. Zostało jej pół kilometra. Chciała po powrocie zadzwonić do Baśki i poinformować przyjaciółkę, że rozmawiała z policją i postąpiła zgodnie z ustaleniami. Wcześniej wyleciało jej to z głowy.

Przystanęła, bo zdawało jej się, że w oddali dostrzegła jakąś postać. Zmrużyła oczy. Pewnie mi się przywidziało, pomyślała i ruszyła przed siebie, ale bezwiednie przyspieszyła kroku. Las się przeredzał. Była coraz bliżej ulicy, przy której mieszkała. Spomiędzy drzew widziała światło latarni. Już blisko, pocieszyła się w myślach. Serce biło jej coraz szybciej, a po głowie krążyły czarne myśli. To pewnie jakiś zwierzak. Odetchnęła z ulgą, gdy wyszła na oświetloną latarniami drogę. Spojrzała na biegowy zegarek z wbudowanym pulsometrem. Drogi gadżet, ale bardzo przydatny podczas treningu, pokazywał mocno przyspieszone tętno.

W sąsiednich domach paliły się światła. Nieco uspokojona, zwolniła kroku. Pani Kamińska jak zwykle nie miała firanek w oknach i Natalia mogła dostrzec, co sąsiadka ogląda w telewizji.

Zauważyła z przestraszeniem, że wokół jej domu kręci się mężczyzna. Obszedł dom, zaglądając do okien. Chodził szybkim, nerwowym krokiem i co chwilę zerkał na drogę, jakby obawiał się, że ktoś go zobaczy. Natalia sięgnęła po telefon, ale przypomniała sobie, że przecież na treningi nigdy go ze sobą nie zabiera, ponieważ nie mieścił się do żadnej kieszeni. Teraz by się przydał.

Zwolniła. Mężczyzna stał przy drzwiach domu, jakby na nią czekał. Uniósł rękę w geście powitania. Dopiero teraz go rozpoznała.

Uśmiechnęła się i podeszła do niego.

Rozdział II

1

W okno uderzył ptak. Rozległ się trzask i głuchy odgłos spadającego na parapet wróbla.

Dwóch mężczyzn obudziło się w tym samym momencie. Leżeli po przeciwnych stronach pokoju, na oddzielnych łóżkach, przykryci jedynie polarowymi kocami. Jeden z nich, ten młodszy, dostał porządnego kataru. W pomieszczeniu panował dotkliwy ziąb – żadnemu z nich nie przyszło do głowy, by napalić w piecu, poza tym wcześniej byli rozgrzani alkoholem. W oczy rzucał się bałagan. Tak to jest, kiedy mężczyzna mieszka sam. Pod ścianą stała wysłużona meblościanka, którą kupiła jeszcze matka gospodarza, a po jej śmierci nawet nie pomyślał, by ją wyrzucić. Miał sentyment do starych mebli, do poprzecieranych foteli i dwóch wysłużonych tapczanów też. Jeden – ten przykryty czerwoną kapą – na oparciu miał wielką plamę.

Obaj mieli potężnego kaca. Starszy z nich, gospodarz, podniósł się z tapczanu, przetarł zaropiałe oczy i złapał się za głowę. Był grubo po pięćdziesiątce, a z każdym rokiem alkohol wyniszczał jego organizm coraz bardziej. Starzeję się, pomyślał, niechętnie stawiając stopy na lodowatej podłodze.

– Która godzina? – zapytał drugi. Choć młodszy o jakieś trzydzieści lat, fatalnie znosił kaca. Uniósł głowę znad poduszki i natychmiast ją opuścił, gdy wzdłuż skroni pojawił się kłujący ból. – Nie mam siły – zachrypiał, a potem zakaszłał. Gardło miał wysuszone, a język przypominał papier ścierny. – Podaj mi wodę, bo zdechnę.

– Wstań i sobie weź. Nie jestem twoim służącym.

– Nie mogę wstać.

– Chuj mnie to obchodzi.

Gospodarz westchnął i wstał. Zachwiał się i przytrzymał ściany, by nie upaść. Wsunął stopy w kapcie, powłócząc nogami, podszedł do stołu, wziął butelkę wody i pociągnął łyk. Pił długo, czując, jak chłód gazowanej wody rozlewa się w żołądku. Wypił całą półtoralitrową butelkę cisowianki, a potem zgniótł plastik i rzucił na podłogę.

– Ale się rozjebał – mruknął pod nosem.

– Co?

– Ten ptak. Konkretnie przydzwonił.

Młodszy zaczerpnął kilka głębokich wdechów, jakby przygotowywał się do nurkowania, zebrał się w sobie i podciągnął do pozycji siedzącej. Objął się ramionami, dygocząc z zimna. Poszukał wzrokiem bluzy, którą wcześniej miał na sobie. Leżała na podłodze, tuż przy kafłowym piecu. Rękawy były brudne od popiołu, ale nie zwrócił na to uwagi.

– Co tak zimno? – spytał, zasuwając suwak. – Przecież tu jest z pięć stopni na plusie.

– Nie przesadzaj.

– Zaraz zamarznę.

– Trzepie cię, bo żeś za dużo wychlał wczoraj, ot co. Tak to jest, jak się umiaru nie zna.

Pić to trza umieć, gówniarzu.

– I kto to mówi.

Stary wciąż wpatrywał się w martwego ptaka na parapecie.

– Napaliłbyś – zaproponował młodszy.

– Powiedziałem, że nie jestem twoim służącym. Sam możesz napalić.

– Kurwa, nigdy nie paliłem w czymś takim.

Młody wskazał na stary piec kaflowy.

– Nie ma różnicy – odparł stary. – Po prostu trzeba rozpalić.

– To weź się rusz i rozpal, bo zaraz zamrzniemy.

Gospodarz odwrócił się od okna i podrapał się w głowę. W domu faktycznie było cholernie zimno, uznał więc, że Damian ma rację. Poza tym jest jego gościem. Nie żeby zasługiwał na specjalne traktowanie, bo wpadał do niego przynajmniej raz w miesiącu. Najczęściej spędzali wieczory na picciu bimbrowa i oglądaniu Disco Polo TV, ale tym razem Maciej mógł zapewnić bratankowi inne atrakcje. Wybrali się na lodowy festyn i – fakt – trochę przesadzili z alkoholem, ale z tego co pamiętał, było warto.

Odkąd zmarła matka, mieszkał sam. Ojca nie znał, bo ulotnił się zaraz po narodzinach syna, ale mama była dla niego wszystkim, dlatego mocno przeżył jej śmierć. Właśnie wtedy brat przysłał do niego swojego syna Damiana. Uznał, że dobrze młodemu robi, kiedy wyrwie się z wielkiego miasta i zazna trochę wiejskiego życia. Damian od urodzenia mieszkał w Łodzi i mimo młodego wieku zdążył namieszać sobie w policyjnej kartotece. Brat Macieja miał nadzieję, że wyjazd na wieś pomoże mu odciąć się od szemranych kumpli, a przy okazji towarzystwo młodego podniesie brata na duchu. Maciej był kawalerem i po śmierci matki źle znosił samotność. Odziedziczył dom i spore podwórko, ale odczuwał ogromną pustkę. Choć nigdy by się do tego nie przyznał, wizyty chłopaka rzeczywiście poprawiały mu humor.

Jakiś czas temu, żeby trochę ożywić duży i pusty dom, Maciej wziął od sąsiadki małego burego kotka z białym krawatem i białymi łapkami. Na początku sprawiał mu wiele radości. Towarzyszył w codziennych pracach, wieczorami mościł się w nogach i dawał przyjemne ciepło, ale gdy podrosł, zrobił się złośliwy. Gryzł, syczał i drapał każdego, kogo spotkał na swojej drodze. Świętej pamięci matka nienawidziła kotów i Maciej był pewien, że to duch zmarłej wstąpił w zwierzaka i zatruwa mu życie. Kiedy jednak wyrzucił kota na dwór i zakazał wstępu do domu, znowu poczuł się samotny.

Cholernie samotny człowiek topiący smutki w alkoholu.

– Faktycznie przyjechał – przyznał Damian, wyglądając przez okno. – Truchło chyba jeszcze ciepłe.

– Miałczek przyjdzie na śniadanie, to się nim zajmie.

Młody obrzucił stryja karcącym spojrzeniem.

– Ja bym go zakopał – rzucił. – Cholera wie, co za świństwo nosi w sobie to ptaszysko. Jeszcze zarazi kota.

– Miałczkowi nic nie grozi. Złego diabli nie wezmą. – Zaśmiał się. – A ten kocur to diabeł wcielony. Gdybym wiedział, tobym go dawno w rzece utopił.

– Albo w studni.

Maciej stropił się, gdy zdał sobie sprawę, że właściwie nigdy nie utopiłby kota ani w rzece, ani w studni. Dlaczego więc tak powiedział? Miałczek był złośliwy, ale był też żywym stworzeniem. Jeśli miałby się go pozbyć, prędzej by go oddał do schroniska. Na pewno by go nie zabił. Obecność Damiana źle na niego wpływa, pomyślał. Wiedział, że młody ma brutalne i gwałtowne usposobienie, więc pewnie by się nie zawahał, gdyby ktoś kazał mu wrzucić kociaka do rzeki. Miał na koncie parę wyroków za pobicia i między innymi dlatego brat przysłał go na wieś, żeby się wyciszył i odpoczął u stryja. Nie wiedział, że kiedy młody przyjeżdża, w zamrażalniku już czeka schłodzona flaszka.

– Zaraz powinno być cieplej – powiedział Maciej.

– Łeb mi pęka.

– No. Mi też. Trochę żeśmy przesadzili.

– Dwa dni chłania, nie w kij dmuchał.

Zaczęli po południu, po przyjeździe Damiana, potem wybrali się na festyn. Tam się doprawili, przekimali w domu i znowu ruszyli w tango. Obaj jak przez mgłę pamiętali, co się działo. Jakby ktoś powycierał gumką myszką niektóre fragmenty ich życia.

Maciej usiadł przy stole, włączył telewizor i zapalił papierosa. Wciągnął dym, po czym odkaszlnął i przysunął sobie puszkę piwa. Bezmyślnie gapił się w telewizor, a w tym czasie Damian zabrał mu puszkę, odciągnął zawleczkę i upił solidny łyk.

- Ej ty, kurwa.
- Łyka tylko. Suszy mnie.
- Nie pozwalaj sobie.
- Co stryjo taki nerwowy?

Maciej znów zaciągnął się dymem i przyszło mu do głowy, że podczas ich dwudniowej libacji wydarzyło się coś ważnego. Coś złego. Ale nie potrafił sobie przypomnieć, co to było. W głowie miał czarną dziurę.

- Ktoś przylazł – mruknął Damian, odstawiając puszkę na stół.
- Kto?

Młody wskazał na bramę. W stronę ganku energicznym krokiem zmierzała Balbina Adamska. Maciej poczuł, jak w gardle rośnie mu wielka gula. Teraz był pewien, że zło, które czało się w jego podświadomości, miało związek właśnie z rodziną Adamskich.

2

Arkadia Ząbek krzątała się po kuchni. Nastawiła czajnik, wyjęła ze spiżarni koszyk warzyw, przysiadła na zydelku i zabrała się do obierania marchewki. Zrobi dzisiaj pomidorową i poledwiczki w sosie. Za oknem prószył śnieg. Delikatne płatki wirowały w powietrzu niesione wiatrem i gładko opadały na parapet.

- Znowu śniegu napadało – mruknęła. – Trzeba odśnieżyć podjazd.
- Zajmę się tym – zapewnił ksiądz Jacek.
- Wszystko w porządku?

Uniósł wzrok. Arkadia mogła przysiąc, że wikary błędzi myślami gdzieś bardzo daleko.

- Oczywiście.
- Ksiądz jakiś taki niewyraźny. Może choroba księdza bierze?
- Nie, ja tylko...

– Zaparzę napój ze świeżym imbirem, cytryną i miodem. Ksiądz zobaczy, że od razu postawi księdza na nogi. Jak choróbsko bierze, to trzeba zawczasu działać.

- No dobrze. Myślę, że nie zaszkodzi.

Gospoia bezzwłocznie zabrała się do szykowania naparu. Jacek nie był chory, ale nie zamierzał też tłumaczyć Arkadii, dlaczego popadł w ponury nastrój. Wypije napar, aby nie zrobić jej przykrości. Zresztą, dyskusja nie miałyby sensu. Jeśli gospoia coś postanowiła, nie dało się przekonać jej do zmiany zdania. Była uparta i nieustępliwa. Ale była też troskliwa i serdeczna, a to sprawiało, że czasem czuł się przy niej jak mały chłopiec. Nie miała własnych dzieci ani żadnej rodziny. Jacek rozumiał więc jej potrzebę opieki nad innymi.

W głębi domu rozległy się ciężkie kroki. Proboszcz schodził na parter.

Jacek wziął głęboki wdech. Poczuł, jak krew w jego żyłach przyspiesza. Nie miał pojęcia, dlaczego obawia się spotkania z proboszczem. Przecież nie zrobił nic złego. Poprzedniego wieczoru poprosił proboszcza, by odprawił za niego poranną mszę. Odkąd zamieszkał na plebanii, zrobił to dopiero drugi raz. Za pierwszym razem nabawił się anginy i nie miał siły podnieść się z łóżka. Wczoraj miał równie ważny powód, ale nie mógł zdradzić go proboszczowi. Obawiał się jednak, że wkrótce prawda wyjdzie na jaw, a proboszcz prędzej czy później zacznie

coś podejrzewać.

– Proszę, proszę, ksiądz siada – odezwała się Arkadia. – Już szykuję...

– Arkadio, zjem po mszy – przerwał jej proboszcz. Wziął w rękę dzbanek i do filiżanki nalał kawy na trzy łyki. Wypił i zarzucił na siebie płaszcz, potem sięgnął po czarny kapelusz i trzymając go w dłoni, spojrzał na wikarego. – Wszystko w porządku? – zapytał, a w jego głosie brzmiała troska.

– No właśnie, ksiądz Jacek coś kiepsko dziś wygląda. – Arkadia postawiła przed wikarym parujący kubek naparu. – Proszę to wypić. Od razu postawi księdza na nogi.

– Dziękuję.

– A ksiądz proboszcz dokąd? – Arkadia podparła się pod boki.

– Mszę odprawić muszę.

– Ach, to ksiądz aż tak źle się czuje? – Zerknęła na Jacka, który zazwyczaj odprawiał poranne nabożeństwo, i przeniosła wzrok z powrotem na proboszcza. – Nie godzi się, żeby bez śniadania wychodzić. Ksiądz proboszcz usiądzie, ja szybko coś przygotuję.

– Nie mam tyle czasu. Poza tym nic się nie stanie, jeśli raz nie zjem śniadania. Na dobre mi to wyjdzie – zażartował, lecz nikt się nie zaśmiał.

– Przepraszam, że fatyguję księdza – powiedział wikary, ale proboszcz zbył go machnięciem ręki.

– Nie musisz się tłumaczyć. Każdy człowiek ma prawo do gorszego dnia, ale pamiętaj, że jeśli chciałbyś porozmawiać, wiesz, gdzie mnie znaleźć.

– Oczywiście. Dziękuję.

Proboszcz uśmiechnął się i wycofał na ganek. Po chwili trzasnęły drzwi, a proboszcz ruszył przez zasypany śniegiem podjazd. Jego czarny płaszcz szybko pokrył się białymi płatkami śniegu.

– Ksiądz ma rację, chory niech w domu siedzi – odezwała się Arkadia. – Lepiej nie kusić losu. W czasach mojej młodości mówiło się, że przeziębienie trzeba wyleżeć i wypocić.

Jacek już chciał zapewnić, że jest zdrowy, ale ugryzł się w język. Oczywiście to kłamstwo poskutkuje nadmierną troską gosposi, ale był w stanie to znieść. Dla dobra sprawy.

– Zrobię jeszcze syrop z czosnku – powiedziała. – Czosnek to naturalny antybiotyk. Nie zaszkodzi.

– Jeśli to nie problem...

– A jakież to problem!

– Poproszę. Może Arkadia ma rację i faktycznie coś mnie bierze.

– Ano bierze, bierze. Marnie ksiądz wygląda.

Jacek wyjął kromkę chleba z wiklinowego koszyka. Arkadia dbała o to, żeby śniadania były obfite. Na stole znajdowały się pokrojone pomidory z cebulą, ogórki, cała paleta szynek i pasztetów, dżem oraz gotowane jaja. Jacek starannie posmarował kromkę masłem. Położył na chlebie plaster szynki, zastanawiając się, czy warto poruszyć z Arkadią jedną kwestię. Ufał jej. Zawsze była pomocna i służyła radą. Powtarzała, jak bardzo ceni jego oddanie kościołowi i zaangażowanie w sprawy parafii. W jej oczach uchodził za dobrego księdza. Nie chciał, by zmieniła o nim zdanie.

– Arkadia była gdzieś wieczorem? – zagadnął.

Gosposia zamarła.

– Do sklepu poszłam – odpowiedziała nazbyt szybko. – Musiałam kupić parę rzeczy. Spiżarkę uzupełnić.

– Długo Arkadii nie było.

Jacek pomyślał, że źle zaczął. Nie powinien stawiać sprawy w ten sposób. Mogła

pomyśleć, że wikary o coś ją oskarża, a nie to było jego celem.

Gospościa odwróciła się i spojrzała na niego dziwnym wzrokiem.

– Nie miałem nic złego na myśli – uspokoił ją. – Nie chciałem, żeby Arkadia pomyślała...

– Dlaczego ksiądz pyta?

– Ja... Przepraszam, Arkadia opacznie zrozumiała moje słowa.

– Opacznie?

– Przepraszam. Wczoraj widziałem, jak Arkadia wychodzi z domu. Było już późno, więc zastanowiłem się, dokąd Arkadia mogła iść o tej porze. Czekałem, aż Arkadia wróci.

– Niepotrzebnie.

– Nie zasnąłbym, gdybym nie był pewien, że Arkadia wróciła cała i zdrowa.

Gospościa przyglądała mu się podejrzliwie. Kłamstwo było słabe, ale nic innego nie przyszło mu do głowy. Z miny gospościanki zorientował się, że mu nie uwierzyła.

– Niech ksiądz to wypije – powiedziała, wskazując napar z imbiru. – Polepszy się księdzu.

– Dziękuję.

– I następnym razem niech się ksiądz nie martwi. – Odwróciła się. – Jestem oddana pracy na plebanii, ale nie chciałabym, żeby ksiądz mnie kontrolował.

– Co też Arkadia mówi! – Uniósł dłonie. – Nie to miałem na myśli. Co Arkadii przyszło do głowy?

– Dobrze wiem, co ksiądz miał na myśli.

3

Marcel Wolski wziął głęboki oddech i poczuł w płucach ukłucie mroźnego powietrza. Rozejrzał się dookoła. W oddali, tuż przy linii lasu, dostrzegł samotnego dzika. Jego ciemna szczerzyna odznaczała się na tle bieli śniegu. Z ryjem przy ziemi popędził przed siebie i zniknął w zaroślach. Wolski z trudem brnął w śniegu, który wsypywał mu się za cholewki górskich butów.

Rudnicka była trzydzieści metrów przed nim. Stała w miejscu, gdzie dzień wcześniej znaleziono ciało Kariny Cieślak. Wolski pomyślał, że gdyby któryś z sąsiadów zorientował się, co dzieje się na zewnątrz, dziewczyna być może by żyła. Ale skąd mogli wiedzieć?

– Pytałaś sąsiadów, czy słyszeli jakieś krzyki w nocy? – zapytał, gdy znalazł się obok komisarza.

– Twierdzą, że niczego nie słyszeli.

– Wątpię, by Karina nie wzywała pomocy.

– Myślałam o tym. – Rudnicka wsunęła ręce w kieszenie kurtki. – Są dwie opcje. Pamiętaj, że tej nocy we wsi odbywał się festyn, a muzyka na żywo mogła zagłuszyć krzyki dziewczyny.

– A ta druga opcja?

– Ktoś ją zakneblował.

Marcel pokiwał głową. To miało sens. Mimo wszystko nie opuszczała go myśl, że tej śmierci można było uniknąć. Nieopodal były domy, a w nich ludzie, którzy mogli pomóc.

– Tutaj leżała? – spytał.

– Tak.

Poczuł, jak po plecach przebiega mu dreszcz. Wyprostował się i wyjrzał za płot na podwórko Adamskich.

– Balbina Adamska twierdzi, że dostrzegła ciało, gdy szła nakarmić kury?

– Zgadza się.

– Z tego co widzę, kurnik jest obok szopy, gdzie znaleźliście kurtkę Kariny. Którędy ona szła, że zauważyła zwłoki za płotem?

– Celne pytanie. Myślę, że to nie ona je znalazła, ale jej mąż.

Marcel zapalił papierosa.

– Sadowski się spóźnia – zauważył. – Chyba pomyśl, żebym z tobą przyjechał, był kiepski.

Rudnicka umówiła się z Dawidem na ósmą rano, ale minął już kwadrans, a on wciąż się nie pojawił. Uparła się, żeby Marcel jej towarzyszył, mimo jego protestów. Doskonale wiedział, że miejscowemu gliniarzowi jego obecność będzie nie w smak. Sprawa wydawała mu się jednak tak ciekawa, że mimo obiekcji stał tu z Leną i oglądał miejsce zbrodni.

– Wreszcie. – Komisarz wskazała opła astrę parkującego na poboczu przed domem Adamskich i wysłała Sadowskiemu naprzeciw. Ten rzucił Rudnickiej ostre spojrzenie, kiedy zobaczył obcego, ale ona nie dała mu dojść do słowa.

– Przedstawiam ci Marcela Wolskiego – powiedziała. – Pewnie o nim słyszałeś.

Dawid zapalił papierosa, zaciągnął się i wypuścił dym sierżantowi prosto w twarz.

– Co on tu robi?! – warknął.

– Hm, powiedzmy, że towarzyszy mi w charakterze konsultanta.

– Nie przypominam sobie, żebyśmy prosili o pomoc w śledztwie.

– Przyda nam się świeże spojrzenie.

– On ma rację – odezwał się Wolski. – Nie powinno mnie tu być. To był głupi pomysł.

– Bzdura – zaoponowała Rudnicka. – Zostajesz.

W jej głosie brzmiała buta, która ewidentnie wkurzyła Sadowskiego. Marcel pomyślał, że trudno mu się dziwić. Dwójka miastowych glin wtyka nos w najważniejsze od lat śledztwo we wsi. Policjant, któremu przypadnie zaszczyt ujęcia sprawcy śmierci Kariny, zostanie uznany za bohatera.

– Nie podoba mi się ten pomysł – powiedział Sadowski.

– Całe szczęście nikt nie pytał cię o zdanie. – Rudnicka uśmiechnęła się kpiarsko. – Posłuchaj. Ten gość – wskazała Wolskiego palcem – przeżywa zawodowy kryzys, więc bądź tak miły i pomóż koledze po fachu.

– Nie przeżywam żadnego kryzysu.

– Chcesz rzucić służbę, a ja zrobię wszystko, żebyś nie popełnił takiego błędu. Masz to jak w banku.

– Sprowadzasz tu gościa, który nie jest pewny, czy chce być gliną? – zapytał Sadowski.

– Nie. Sprowadzam tu gościa, który musi przypomnieć sobie, co to znaczy być gliną.

– Dobra, dajmy spokój. – Wolski uniósł otwarte dłonie. – Już mnie tu nie ma.

– Zostajesz.

– Nie będę się narzucać.

– Będziesz siedział cicho i przysłuchiwał się świadkom. Nic więcej. Żadnych pytań przy obcych. Swoimi teoriami dzielisz się tylko ze mną i aspirantem Sadowskim, zrozumiano?

Dawid pokręcił głową z niedowierzaniem i zaciągnął się papierosem. Zdawał sobie sprawę, że przegrał tę bitwę.

– Nie wcinasz się – burknął. – Siedzisz cicho.

– Zrozumiałem.

– Świetnie – podsumowała Rudnicka. – Skoro załatwiliśmy już formalności, możemy ruszać. Mam nadzieję, że przeczytałeś wiadomość, którą wysłałam ci wieczorem?

– Mhm.

Zrelacjonowała w niej Sadowskiemu, czego dowiedzieli się od gosposi księdza.

– Pora na odwiedziny u Mielcarzów. – Rudnicka potarła zmarznięte dłonie i ruszyła naprzód.

– Z tym się jeszcze chyba musimy wstrzymać – powiedział Marcel, wskazując jedną z posesji.

Na ganku stała kobieta i gestem zapraszała ich do siebie. Rudnicka spojrzała na Dawida.

– Nowakowa? – zdziwiła się. – Czego ona może chcieć?

– Zaraz się przekonamy.

Kobieta pośpiesznie zamknęła za policjantami drzwi, wyjrzawszy przedtem na zewnątrz, jakby chciała sprawdzić, czy żaden z sąsiadów nie podglądał ich przez okno, po czym zaprosiła wszystkich do salonu. Wyglądała na zaaferowaną. Na jej policzkach wykwitły rumieńce, a dłonie lekko drżały.

– Dobrze, że zdążyłam was złapać. – Odsapnęła. – Dzwoniłam na komisariat, ale powiedziano mi, że jesteście w terenie. Och, nowy pan policjant? – Spojrzała przyjaźnie na Wolskiego. – Nie było pana wczoraj.

– Sierżant Wolski dopiero dołączył do sprawy – wyjaśniła Rudnicka.

– Rozumiem. – Uśmiechnęła się promiennie. – Jak powiedziano mi, że jesteście w terenie, to pomyślałam, że wpadniecie do Adamskich albo do Mielcarzów, i się nie pomyliłam!

– Rzeczywiście.

– Ten pan, z którym rozmawiałam, próbował wyciągnąć ze mnie jakieś informacje, ale trzymałam gębę na kłódkę, ha! Wolę rozmawiać z kimś kompetentnym, kto prowadzi śledztwo.

– O co chodzi?

Kobieta nabrała powietrza do płuc.

– Widziałam go – odparła po chwili.

– Kogo? – zapytała Rudnicka niecierpliwie.

– Tego, kogo szukacie.

Nowakowa wyglądała na przejętą, jakby przekazywała tajne wiadomości NATO.

– Proszę jaśniej.

– Widziałam młodego Adamskiego.

W salonie na chwilę zapadła cisza.

– Gdzie go pani widziała? – zapytał Sadowski.

– Kręcił się po obejściu.

– O której?

– Koło piątej.

– Co pani robiła o tej porze?

Nowakowa posłała mu spojrzenie pełne urazy.

– Spać nie mogę – wyjaśniła. – Chodziłam po domu, kwiaty podlewałam. No i zobaczyłam tego gagatka, jak z szopy wychodził. Od razu pomyślałam, że powinniście to wiedzieć. On ma coś na sumieniu, mówię wam. Widziałam, jak się rozglądał na boki, chyba się bał, że ktoś go zobaczy. Kaptur na głowę założył, ale ja go wszędzie poznam.

Dawid kiwnął głową na znak, że nie ma więcej pytań.

– Dziękujemy – powiedział.

– Dobrze, że wam powiedziałam, prawda?

– Oczywiście. To bardzo ważna informacja.

Marcel wymienił z Rudnicką znaczące spojrzenia. Jeśli młody Adamski kręcił się rano po podwórku, należało przypuszczać, że ukrył się w pobliżu. Tylko gdzie? Mundurowi sprawdzili, czy chłopak jest u któregoś z kolegów, ale żaden się nie przyznał. Balbina Adamska twierdziła, że nie wie, gdzie przebywa jej syn. Kłamała? Nie byłoby to pierwszy raz, kiedy mijała się

z prawdą. A może wiedziała, że syn był na podwórku dzisiejszego ranka?

– Cieszę się, że pomogłam – oznajmiła Nowakowa, odprowadzając policjantów do drzwi.

– Gdyby jeszcze coś pani zauważyła, proszę dzwonić bezpośrednio do mnie. – Rudnicka podała jej wizytówkę.

– Jeśli znowu pojawi się na posesji, od razu do pani zadzwonię.

– Nawet w środku nocy. Proszę się nie krępować.

Policjanci wyszli na zewnątrz i skierowali się do Mielczarów. Dawid zwolnił, by zapalić papierosa, a Marcel schował dłonie w kieszeniach kurtki i dołączył do niego.

– Może postawimy patrol? – zaproponował. – Kiedy chłopak się pojawi, od razu go zawiń.

– Jeśli się zjawi, Nowakowa zadzwoni – odburknął Sadowski.

– Powinniśmy skupić się na Adamskiej. – Rudnicka trzymała się nieco z tyłu. – Nawet jeśli nie spotkała się dziś z synem, młody w końcu odezwie się do matki.

– Czy on wie, że jego ojciec jest w areszcie? – zapytał Marcel.

– Dobre pytanie.

– Podejrzewam, że nie – odparł Sadowski. – Zanim do was przyjechałem, byłem w sklepie po fajki. Gdyby we wsi wiedzieli, że przymknęliśmy Adamskiego, sklepowa na pewno by o tym wspomniała. Chciałaby dowiedzieć się czegoś więcej.

– A więc musimy zadbać o to, żeby wieść o Adamskim się rozeszła. – Rudnicka przystanęła. – I jeszcze dziś powinna dotrzeć do młodego. Może gnojka ruszy sumienie.

Sadowski wdeptał niedopałek w ziemię.

– To nie jest taki zły pomysł – ocenił. – Ludzie i tak prędzej czy później się dowiedzą.

– Świetnie.

Rudnicka obróciła się na pięcie i zapukała do Mielczarów, zastanawiając się, czy Tomasz porozmawia z nimi po dobroci, czy też będą zmuszeni użyć innych metod.

4

Balbina Adamska omiotła wzrokiem pomieszczenie i wzdrygnęła się z odrazą.

– Ale bajzel – mruknęła.

– Wybacz – odparł Maciej, parząc kawę. – Nie zdążyłem posprzątać.

Pokiwała głową z politowaniem. Była pewna, że przez ostatni rok nikt tutaj nie sprzątał. Śmierdziało papierosami, trawionym alkoholem i wychodzącą na ściany wilgocią. Żał myśleć, że jej mąż przyjaźnił się z kimś takim jak Maciej Kosik. I ten jego bratanek. Zerknęła na chłopaka. Byli siebie wari, podsumowała w myślach, ale musiała tu przyjść. Mąż trafił do aresztu, a ona zrobi wszystko, żeby mu pomóc.

– Co cię do mnie sprowadza? – zapytał Maciej.

– Festyn. Pamiętasz?

– Co?

– Pamiętasz czy wódka wyżarła ci już wszystkie szare komórki?

– Obrażasz mnie w moim własnym domu?

Balbina zagryzła wargi. Najchętniej przywaliłaby Kosikowi w głowę. Nienawidziła tego faceta, ale jednocześnie miała do niego słabość. Kiedyś był jej wielką miłością, a skończył jako zwykły pijus.

– Byłeś na festynie? – zapytała.

– Może.

– Wiem, że byłeś.

– Więc po co pytasz?

- Byłeś z moim mężem?
- Może.
- Och, mówże prawdę, do cholery.
- Nie wiem, o co ci chodzi.
- Byliśmy na festynie – odezwał się Damian. – A dlaczego pani pyta?
- Wiecie, co wydarzyło się wczorajszego ranka?

Jak na komendę obaj podrapali się w skroń. Maciej napił się kawy. Coś mu świtało, ale dziura w głowie była zbyt czarna. Niewiele pamiętał. Właściwie nic. Spojrzał na Damiana, ale chłopak też chyba nie miał pojęcia, o czym mowa.

- Ta dziewczyna – dodała. – Karina, kojarzysz ją?
- Cieślak? – zapytał Maciej, nerwowo drapiąc policzek.
- Nie żyje.
- O cholera!

Maciej właśnie sobie przypominał. Tak. Słyszał o tym, kiedy wczoraj był w sklepie. Jak mógł zapomnieć o morderstwie, które wydarzyło się tuż pod jego nosem? Chyba naprawdę powinien ograniczyć alkohol.

- No tak, tak – mruknął. – Zapomniałem.
- Zapomniałeś? – Balbina uniosła brwi z niedowierzaniem.
- A co ja mam do tego?
- Jerzego zabrała policja.

Kosik zaśmiał się chrapliwie.

- To ci dopiero! – zarechotał. – Chyba nie chcesz powiedzieć, że Jerzyk przeleciał tę laleczkę?
- Stul pysk.
- Dlaczego go zwinęli? – zapytał przytomnie Damian.

Balbina zastanawiała się, czy powiedzieć im o kurtce Kariny i łopacie. Nie wiedziała, czy może im zaufać. Może Maciejowi. Kiedyś, dawno temu, byli ze sobą blisko. Za dużo pił, ale był porządnym facetem. Natomiast temu młodemu źle z oczu patrzyło.

- Widocznie mają swoje powody – odparła dyplomatycznie.
- Chyba mocne, skoro siedzi na dołku.

– Zwłoki znaleźli pod naszym płotem. Nie wiem, czy wasze przepite mózgi to zarejestrowały, więc przypominam. Pod płotem, rozumiecie? To normalne, że nasza rodzina jest podejrzana w pierwszej kolejności.

– Niby dlaczego? – Damian nie rozumiał. – Oglądałem trochę seriali kryminalnych i wcale nie jesteście podejrzani jako pierwsi. Policja powinna zdjąć jakieś ślady, odciski czy coś tam, co zdejmują. Zrobią badania i się okaże, kto jest winny.

No właśnie, pomyślała Adamska z niepokojem.

– To nie jest serial, dzieciaku – mruknęła, parząc na niego surowo. – Tylko prawdziwe życie, a mój mąż siedzi w areszcie.

– Dobra, dobra. Ja się już nie odzywam.

– Ale dlaczego do mnie przyszedłeś? – zapytał Maciej. – Sądzisz, że mam coś wspólnego ze śmiercią tej dziewczyny?

- Byłeś wczoraj z moim mężem?
- Może.
- Byłeś czy nie?
- A co?

Balbina traciła cierpliwość. Zabębniła palcami w blat stołu.

– Możesz dać Jerzemu alibi – odparła.
Maciej aż zachłysnął się powietrzem. Damian pospieszył z pomocą i walnął stryja między łopatki.

– Oszalałaś – odparł zachrypniętym głosem.

– Zapłacę ci.

– Jaja sobie robisz? Za to można wylądować w pierdlu.

– Ile?

Maciej znowu się zaśmiał.

– Przecież wy jesteście biedni jak kościelne myszy – powiedział. – Co ty mi chcesz dać?

– Mam oszczędności. Wystarczy, że powiecie, że byliście wczoraj cały wieczór z Jerzym, a kasą podzielicie się po połowie.

Mężczyźni wymienili znaczące spojrzenia. W pomieszczeniu zapadła ciężka cisza, a Balbina modliła się w duchu, żeby Kosik przystał na jej propozycję. Jeśli Jerzy trafi do więzienia, ona i Patryk nie poradzą sobie sami. Zamierzała zrobić wszystko, by temu zapobiec. Nawet wbrew prawu.

5

Jacka dręczyły złe myśli. Znał to paskudne uczucie. Kiedyś już czuł się podobnie. Sądził, że ma to za sobą, że zdołał uporządkować sobie życie, ale się pomylił. Zwątpił w Boga. To uczucie było jak uderzenie rozpędzonego ferrari. Miał wrażenie, że ktoś położył mu na klatce piersiowej ciężki kamień.

Miał żal do Boga. Modlił się o nadzieję, ale to nie były żarliwe modlitwy; przepełnione smutkiem i żalem, brzmiały niemal jak oskarżenie. Nie potrafił temu zaradzić. Był wściekły.

Szedł poboczem w cywilnym ubraniu – w traperach, sztruksowych spodniach i ocieplanej kurtce. Parafianie dawno nie widzieli go w równie swobodnym stroju. Zawsze zwracał uwagę na to, w czym pokazuje się publicznie. Księża nigdy nie są „po godzinach”. Uważał, że jest zobowiązany do poprawnego wyglądu. Nawet do sklepu zakładał sutannę i był z tego dumny. Jeśli dzisiaj ktoś wyściubi nos w tę zimnicę, może się nieźle zdziwić, ale Jacek nie dbał o to. Miał na głowie ważniejsze sprawy.

– Och, proszę księdza!

Kobiety głos rozległ się tuż za jego plecami. Początkowo nie potrafił przyporządkować go do konkretnej osoby, ale kiedy uświadomił sobie, do kogo należy, miał ochotę wziąć nogi za pas.

– Szczęść Boże, pani Kozakowa! – zawołał, przywołując na twarz jeden ze swoich wystudiowanych uśmiechów, którymi czarował wiernych. Modlił się w duchu, by kobieta pozwoliła mu iść dalej, ale Bóg najwyraźniej nie słuchał jego próśb.

– A dokąd ksiądz się spieszy w taką pogodę? – zapytała. Pytanie zabrzmiało, jakby zadawała je od niechcienia, ale był przekonany, że sklepikarkę aż skręca z ciekawości. Była ubrana w niebieski fartuszek w grochy, na który zarzuciła kurtkę. Pomiędzy jej palcami tlił się papieros.

– Proszę zapiąć kurtkę, bo się pani przeziębii!

– Ja tylko na papieroska, proszę księdza, ja wiem, że to niezdrowe, ale cóż poradzić!

– Takie wyskakiwanie na papieroska może okazać się zgubne, pani Kozak. Przewieje panią i zapalenie płuc murowane.

– Słyszałam, że ksiądz chory – odparła. – Podobno proboszcz mszę poranną odprawił. Jak ksiądz chory, lepiej w łóżku leżeć.

Jacek zaklął w duchu. W głosie Kozakowej usłyszał podejrzliwy ton, jakby przejrzała

jego zamiary. Powinien być ostrożny. Zupełnie zapomniał o tym, że mieszka we wsi, w miejscu, gdzie wszyscy wszystko wiedzą. Niedobrze. Musi się liczyć z tym, że o jego wycieczce dowie się przynajmniej pół wsi. Wieść szybko dotrze do proboszcza i Arkadii, ale na razie nie zamierzał się nimi przejmować. Pomyślał, że jakoś im to wyjaśni. Albo ich okłamie.

– Dobrego dnia, pani Kozak!

Pospiesznie oddalił się od sklepu i ruszył w dalszą drogę. Westchnął, mijając uliczkę, na której wczorajszego ranka znaleziono zwłoki Kariny. Poczul ucisk w żołądku i ledwie powstrzymał się od płaczu. Nie wstydził się łez, ale wołał, by nikt nie zobaczył płaczącego wikarego. Wtedy już naprawdę mieliby o czym mówić.

Uderzył go silny podmuch wiatru. Zapiął kurtkę pod szyję i zarzucił na głowę kaptur. Dotarłszy do rozgałęzienia głównej drogi, odbił w prawo. Przeszedł kolejny kilometr i zwolnił, rozglądając się na boki. Wołał, by żaden z sąsiadów go nie rozpoznał. Wszedł na podwórko. Na ścieżce prowadzącej na ganek zebrała się kilkucentymetrowa warstwa śniegu. Dziwne, że nikt nie odśnieżył podjazdu, pomyślał, czyżby Natalia jeszcze spała? Miał nadzieję, że nie, ponieważ miał do niej sprawę. Bardzo ważną sprawę, dlatego pofatygował się osobiście. Od rana usiłował się do niej dodzwonić, ale nie odbierała.

Zapukał do drzwi i odczekał kilka sekund, może pół minuty, zanim zapukał ponownie. Nikt nie otwierał.

Spróbował znowu, a potem obszedł dom. Zrobił to mechanicznie. Pewnie podpatrzył to w jakimś filmie. Zajrzał przez okno balkonowe. Na szczęście zasłony były rozsunięte, więc mógł dojrzeć kawałek dużego pokoju. Na stoliku kawowym dostrzegł telefon komórkowy. A więc Natalia powinna być w domu, pomyślał. Gdyby wyszła, na pewno wzięłaby ze sobą telefon. Dziś nikt nie rusza się z domu bez komórki.

Zapukał w okno, ale i tym razem nie spotkał się z żadnym odzewem. Zaklął pod nosem, a potem przeprosił Boga. Musi porozmawiać z Natalią. To bardzo ważne. Musi ją znaleźć.

6

Tomasz Mielcarz skrzyżował ramiona. Wyglądał jak rozjuszony bulterier.

– O co chodzi?! – warknął. – Powiedzieliśmy już wszystko, co wiemy w sprawie Kariny. Dlaczego znowu nas nachodzicie?

To by było na tyle, jeśli chodzi o współpracę, pomyślała Rudnicka. Pytanie, co tak bardzo go rozsierdziło? Czy ma coś do ukrycia i wizyta policji jest mu nie na rękę?

– No właśnie – wtórowała mu żona. – Wszystko już powiedzieliśmy.

Rudnicka spojrzała na nią i spacerowym krokiem przeszła się po salonie. Na komodzie stał rząd porcelanowych figurek. Wzięła jedną z nich – słonia z trąbą skierowaną ku górze – i przyglądała się figurce dłuższą chwilę, po czym odstawiła ją na miejsce.

Mielcarz przebierał nogami ze zdenerwowania.

– Powie pani coś więcej czy będziemy tak milczeć? – spytał.

– Wyszły na jaw nowe fakty.

– Jakie fakty? Nic nie rozumiem. Jesteśmy o coś podejrzani? A ten to kto? – Wskazał na Wolskiego, który mimowolnie cofnął się o krok.

– To jest specjalista psychologii sprawców, który zgodził się z nami współpracować – poinformowała komisarz. – Ten facet to diament w swojej dziedzinie, prawda? Kłamstwo rozpozna na kilometr.

Wolski z trudem powstrzymywał śmiech.

– Że co? – Tomasz popatrzył na Marcela. – To policja sprowadza takich specjalistów?

– Sprawa śmierci Kariny Cieślak jest poważna.

– Nie twierdę, że nie jest, ale...

– Nasz konsultant, doktor Wolski, specjalizuje się w mowie ciała. Odczytuje sygnały, jakie przesyła ciało. Jestem pewna, że nie umknie mu nawet najmniejsze kłamstewko.

Mielcarz wymienił spojrzenie z żoną, a potem wzruszył ramionami.

– Jak tam sobie chcecie – mruknął, lecz w jego postawie coś się zmieniło.

– Od kiedy to jakiś doktor prowadzi śledztwo? – podjęła Barbara.

– A kto powiedział, że doktor Wolski prowadzi śledztwo? – Rudnicka wsunęła dłoń w kieszenie spodni.

Baśka nie odpowiedziała, ale wyraźnie spuściła z tonu.

– Dobrze – odezwał się Tomasz. – Mam gdzieś, kim jest ten facet. Pytałem, dlaczego znowu nas nachodzicie.

– Nie nachodzimy, ale składamy wizytę. To jest różnica.

– To są jakieś jaja.

– Kochanie, daj spokój – upomniała męża Baśka.

– Mam być spokojny? – burknął. – Jest wcześnie rano. Chciałbym po ludzku wypić kawę i zjeść śniadanie, a nie rozmawiać z policją! Cholera, mogliście się chociaż zapowiedzieć!

– Gdzie twój samochód? – zapytała Rudnicka.

Tak bezpośrednie pytanie zbiło Mielcarza z tropu. Jego wzrok powędrował w kierunku Sadowskiego, ale ten nie odrywał wzroku od podłogi.

– Gdzie twój samochód? – powtórzyła.

– A co?

– A pytam.

– Za domem.

– Przejdźmy się.

Rudnicka ruszyła w stronę drzwi. Marcel dołączył do niej, a Dawid szedł z Barbarą i Tomaszem z tyłu. Kiedy dotarli na miejsce, Rudnicka wyciągnęła otwartą dłoń, na której Mielcarz położył kluczyk.

Otworzyła samochód i zajrzała do środka.

– Czy podtrzymujecie wersję wydarzeń, jaką przedstawiliście nam wczoraj? – zapytała.

– Nie rozumiem. – Tomasz pokręcił głową.

– Okej, zaczniemy od twojej żony. – Komisarz przeniosła wzrok na Barbarę. – Twierdzisz, że wróciłaś do domu około dziewiątej?

– Tak.

– Na pewno?

– O co chodzi?

Barbara przysunęła się do męża. Szukała w nim oparcia, ale Tomasz wpatrywał się w Rudnicką. Czekał na to, co miała do powiedzenia.

– Przypomnij mi, dlaczego z festynu wróciłaś wcześniej do domu? – zapytała Rudnicka.

– Mówiłam już – odparła Barbara. – Bolał mnie brzuch.

– A z jakiego powodu?

– Kobiece sprawy. Zresztą proszę wybaczyć, ale to moja sprawa.

– Twoja przyjaciółka umarła kilkaset metrów od twojego domu, więc to przestała być twoja sprawa.

Baśka poruszyła się niepewnie.

– Jak rozumiem, miałaś bolesny okres? – pytała komisarz.

– Naprawdę mam opowiadać o moim okresie? – Baśka zaśmiała się nerwowo. – To niedorzeczne. Ale jeśli to dla pani ważne, to owszem. Mam bardzo bolesne miesiączki.

- A moim zdaniem masz udawane miesiączki.
- Słucham?
- Co to jest? – Rudnicka pomachała blistrem z małymi, okrągłymi pigułkami.
- Skąd to pani wzięła?

Rudnicka się uśmiechnęła. Tabletki leżały obok porcelanowego słonia. Według liczby zużytych pigułek Baśka była w środku cyklu, a więc nie mogła mieć bólów menstruacyjnych. Małe kłamstwo, a dość znaczące.

- Pani mi to odda – zażądała Barbara, zerkając z niepokojem na męża.

Rudnicka podała jej blister.

- Nie miałam zamiaru tego zabierać.

– Dawidzie, o co tutaj chodzi? – Mielcarz spojrzęła na Sadowskiego, który wydawał się nieobecny. – Czy jesteśmy o coś oskarżeni? Po co te wszystkie pytania?

Nie odpowiedział. Zapalił papierosa i nerwowo zaciągnął się dymem. Rudnicka przez chwilę przyglądała mu się badawczo.

– Wyjaśniliśmy sobie kilka kwestii i wiemy, że nie poszłaś do domu o godzinie dwudziestej pierwszej – podsumowała. – Powiesz w końcu prawdę?

- To, że nie mam okresu, nie świadczy o tym, że kłamałam.

– Nadal chcesz w to brnąć? No dobrze, więc rozstrzygnijmy, kto ma rację. – Lena obróciła się do Marcela. – Doktorze? Czy na podstawie mowy ciała może pan stwierdzić, że ta kobieta mówi prawdę?

- Co to za metody? – oburzył się Tomasz.

Wolski przełknął ślinę i uniósł głowę nieco wyżej.

- Nie wierzę tej pani – odparł.

Rudnicka uśmiechnęła się z satysfakcją.

- Może przejdziemy do pana Tomasza? – zaproponowała.

- Do mnie? Dlaczego do mnie?

- Co robiłeś w nocy, gdy zginęła Karina Cieślak?

- Mówiłem już.

– Umówmy się, że nie słyszałam tamtej wersji. Masz okazję powiedzieć, co naprawdę robiłeś. Koniec z kłamstwami.

Tomasz wyglądał na zdezorientowanego.

– Jeśli ściągniemy tutaj policyjnego technika, prawda i tak wyjdzie na jaw – powiedziała komisarz. – Więc jak?

– Mamy świadka, który twierdzi, że widział, jak Karina wsiada do twojego samochodu. – Sadowski odezwał się po raz pierwszy, odkąd pojawili się w domu Mielcarzów.

– Nie rozpoznała marki – dodała Rudnicka. – Ale rozpoznała kierowcę. To byłeś ty. Dziewczyna, która została brutalnie zgwałcona i porzucona na mrozie na pewną śmierć, kilka godzin wcześniej jeździła z tobą i twoją żoną samochodem.

Mężczyzna zerknął na żonę, ale ona wpatrywała się w czubki swoich butów. Rudnicka spodziewała się, co się stanie, ale nie zrobiła nic, by temu zapobiec.

W jednej chwili Tomasz rzucił się do ucieczki. Ruszył pędem przed siebie, sprawnie pokonując zaspę zalegającego na polu śniegu. Rudnicka wsunęła dłonie w kieszenie kurtki, a Marcel dopadł Mielcarza, podciął go i powalił na ziemię.

- Nieładnie tak uciekać! – zawołała.

- Pani komisarz, to nieporozumienie – bąknęła Baśka.

Lena nie zwróciła na nią uwagi. Marcel doprowadził Tomasza, który miał twarz mokrą od topniejącego śniegu.

- To wszystko jego wina! – warknął.
- Czyja wina?
- Jego. – Tomasz wskazał Dawida. – On jechał z nami w tym samochodzie.

7

Patryk Adamski ze złością kopnął plecak.

– Powiedz to jeszcze raz – zażądał.

Jego kolega Bartek powtórzył wszystko od początku.

– Gdzie to słyszałeś? – zapytał Adamski.

– W sklepie.

– Na pewno chodziło o mojego ojca?

– Tak, babka mówiła, że psy go zwinęły.

– To niemożliwe.

– Podobno siedzi w areszcie.

Patryk wstał i nerwowym krokiem krążył po pokoju. To niemożliwe, powtórzył w myślach. Ojciec nie mógł trafić do więzienia. Nie po tym, co się stało.

– Matka nic ci nie mówiła? – zapytał Bartek.

– Nie widziałem się z nią.

– Przecież byłeś dziś w domu.

– Tylko na podwórku.

– Myślałem, że wejdiesz do środka.

Patryk popatrzył na kumpla. Bartek do najbystrzejszych nie należał. W szkole ledwo sobie radził. Krążyły plotki, że jego matka kupuje nauczycielom drogie prezenty, żeby przepuścili jej syna do kolejnej klasy chociaż na dwójkach. Bartek nic sobie z tego nie robił. Patryk nie przypominał sobie, by kumpel kiedykolwiek odrobił pracę domową, a po szkole jego jedynym zajęciem było granie na konsoli. Nie miał żadnych planów ani ambicji. Żył z dnia na dzień.

Nie miał też pojęcia o całej sprawie. Oczywiście słyszał o śmierci Kariny. Był jednak na tyle naiwny, że krył Patryka przed policją i nawet nie zapytał o powód. Matka Bartka kilka miesięcy temu poznała nowego partnera, z którym wyjechała na parę dni w góry, więc chłopcy mieli cały dom dla siebie. Kiedy do Bartka zajrzała policja, zapewniał, że nie ma pojęcia, gdzie podział się jego kolega. Na szczęście gliniarze nie zarządzili przeszukania.

Mimo wszystko Patryk postanowił rozważnie dobierać słowa.

– Muszę to załatwić – powiedział, pociągnął zawleczkę i upił łyk pepsa prosto z puszki.

– To pewnie pomyłka, stary.

– Pewnie tak.

– Twój ojciec nic nie zrobił tej pannie, przecież to jasne. Wystarczy, że powiecie to glinom, a oni znajdą sprawcę.

Jakież to proste, pomyślał Patryk i spojrzał na kumpla z politowaniem. Bartek nie miał pojęcia, jak działa policja. Oni już wydali wyrok. Mają podejrzanego, do którego wystarczy dopasować dowody i już, sprawa załatwiona. Udupią ojca na wiele lat. Tylko o to im chodzi – chcą kogoś zamknąć, więc szukają kozła ofiarnego. Znalezienie prawdziwego sprawcy już ich nie obchodzi. Patryk nie ufał glinom, ale teraz musiał zrobić coś, żeby wyciągnąć ojca z aresztu.

– Bo przecież ty nic nie zrobiłeś tej Karinie, prawda? – zapytał Bartek.

Czyżby Patryk nie docenił kumpla? Może Bartek wcale nie był taki łatwowski?

– Przecież nie będziesz się ukrywał w nieskończoność – zauważył kumpel. – Nic na ciebie nie mają.

Patryk nie odpowiedział. Wyrzął z niepokojem przez okno, jakby spodziewał się oddziału policji na podwórku.

– Skąd wiesz?

– No bo jesteś niewinny, prawda?

Patryk uśmiechnął się pod nosem.

– Tak – odparł. – Po prostu ludzie widzieli mnie z Kariną na festynie. Któryś z sąsiadów wspomniał o tym policji i już jestem ugotowany, rozumiesz?

– No tak, rozumiem. Będziesz podejrzany.

– Właśnie.

– Dlatego musisz iść i powiedzieć im, że nic jej nie zrobiłeś.

Z glinami lepiej nie wchodzić w układy. To zawsze źle się kończy. Jeśli pójdzie na policję, zaraz go zamkną. Tyle że nie miał innego wyjścia.

– Załatwicie mu papugę i jakoś się wybroni – powiedział Bartek.

– Ciekawe za co. Papuga kosztuje, i to niemało.

– Mogę wam pożyczyć.

– Ile? Ile możesz mi pożyczyć, stary? Dwie stówy? Sam nie masz forsy. Nigdzie nie pracujesz.

– Pożyczę od matki.

Patryk zaśmiał się nerwowo.

– Uważaj, bo ci pożyczę – mruknął. – Twoja matka ma cię za debila. Nawet złotówki by ci nie dała.

– Sam jesteś debil.

– Nie potrzebuję od ciebie kasy. Coś wymyślę.

Adamski zgarnął kurtkę z wieszaka.

– Dokąd idziesz?

– Muszę coś załatwić.

– Ej, miałeś się stąd nie ruszać!

Patryk spojrział na kolegę.

– Muszę wyciągnąć ojca z pierdła – rzucił i wyszedł na zewnątrz.

8

Maciej nie był kłamcą, ale musiał przyznać, że przydałby mu się zastrzyk gotówki. Z tego powodu przyjął propozycję Balbiny Adamskiej. Nie robi przecież nic złego, prawda? Nikogo nie zabił ani nie pobił. Po prostu pójdzie na policję i powie, że na festynie pił z Jerzym wódkę.

To wszystko.

A potem do jego kieszeni trafi sporo gotówki. Nie miał pojęcia, skąd Adamska wzięła tę kasę, ale miał to w nosie. Szczerze mówiąc, najchętniej by patrzył, jak stary Adamski gnije w pierdłu, nawet niewinny. Czasem się spotykali, choć kumplami nie byli, zdarzało się jednak, że coś tam razem wypili, tyle że ostatnio Adamski zrobił się dziwnie nerwowo. Nie daj Bóg, by poruszyć przy nim tematy polityczne. Natychmiast się nakręcał, walił pięścią w stół i darł się na wszystkich, którzy mieli odmienne zdanie. Tak, Adamski zdecydowanie nie należał do łatwych osób, a Maciej wcale by się nie zdziwił, gdyby się okazało, że to właśnie on zrobił krzywdę tej dziewczynie. Ale cóż. U niego w domu się nie przelewało, więc żadną kasą nie pogardzi.

Umówili się przy kapliczce. Balbina miała mu dać połowę ustalonej kwoty, a drugą połowę miał dostać, kiedy Jerzy zostanie zwolniony. Prosta robota.

Już z daleka zauważył Balbinę. Szła powoli, jakby udała się na spacer i podziwiała okolicę, chociaż znała tu każdy kąt. Znała każdy krzak i każde drzewo, każdą dziurę w jezdni.

Maciej poczuł coś w rodzaju żalu. Balbina mogła być jego kobietą. Kto wie, jak wtedy potoczyłoby się jego życie? Nie był zły, że wybrała Jerzego. Tak musiało być. A przynajmniej tak to sobie tłumaczył. Tak musiało być – Bóg tak chciał. Chociaż smutna prawda była taka, że gdyby o nią zawalczył, sprawy mogły potoczyć się inaczej. Dlaczego odpuścił? Czy był tak słaby, że oddał ukochaną innemu mężczyźnie?

Machnął ręką. Nie czas na takie rozważania. Balbina była coraz bliżej. Dostrzegł jej zaciętą minę i wiedział, że Adamska zrobi wszystko, by wyciągnąć męża z aresztu.

– Byłam pewna, że stchórzysz – odezwała się.

– Nigdy nie tchórzę.

Zaśmiała się pod nosem z tego kłamstwa. Bał się rywalizacji i odrzucenia. Dawno temu wybrała Adamskiego, ale dała Maciejowi szansę, by udowodnił, że ją kocha. A on stchórzył.

– Masz forsę? – zapytał.

– Tak jak się umawialiśmy. Połowa jest tutaj. – Poklepała się po kieszeni. – A drugą połowę dostaniesz, kiedy Jerzy wróci do domu.

– Da się zrobić.

– Ten twój bratanek... można mu ufać?

– Kiedy dostanie forsę, będzie śpiewał, jak mu zagram.

– To dobrze. Lepiej pilnuj, żeby się nie wysypał.

Słowa miały zabrzmieć groźnie, ale w ustach Balbiny straciły moc. Taka właśnie była – kobieca i delikatna, ale gdy przyszło jej walczyć o dobre imię rodziny, gotowa na wszystko.

– Kochasz go? – zapytał.

– Co się to obchodzi?

– Gdybyś go nie kochała, nie robiłabyś takich rzeczy...

– Jeszcze słowo, a zerwiemy umowę...

– Nie zerwiemy – przerwał. – Przecież zależy ci, żeby stary wrócił do domu.

Zasznurowała wargi.

– Nie pogrywaj ze mną! – warknęła.

– Powiedz mi, gdzie tak naprawdę był wtedy Jerzy? – Maciej podszedł bliżej i zajrzał Balbinie w oczy. – A może to on jest sprawcą tego gwałtu, co?

Adamska otwartą dłoń wymierzyła mu policzek. Nie spodziewał się ciosu. Zaskoczony, zatoczył się na bok, a potem z uśmiechem uniósł głowę.

– Charakterna kobitka z ciebie – rzekł. – A już myślałam, że to, co mówią we wsi, to prawda.

– Zamknij się, stary pijusie.

– Podobno żeś poddała się mężulkowi, ale teraz widzę w tobie moją dawną Balbinę.

– Bierz kasę. – Wyjęła z kieszeni papierową kopertę i wcisnęła Maciejowi. – Załatw to jeszcze dzisiaj.

– Nie martw się. Wszystko pójdzie zgodnie z planem.

Balbina obróciła się na pięcie i ruszyła z powrotem, nie zaszczycając już Macieja nawet jednym spojrzaniem.

9

Hej, poczekaj!

Sadowski próbował zatrzymać Rudnicką, ale bezskutecznie. Komisarz energicznym krokiem zmierzała prosto do sali przesłuchań.

– Pogadajmy. To nie tak!

Marcel dogonił Dawida i szarpnął go za kołnierz bluzy. Aspirant odwrócił się

i z wściekłością spojrzął Wolskiemu w oczy.

- Nie dotykaj mnie! – warknął.
- Komisarz nie ma ochoty z tobą rozmawiać.
- Odpieprz się.

Mężczyźni mierzyli się wzrokiem. Dawid górował nad Marcelem. Był wielkim facetem, ale w bezpośrednim starciu to Wolski mógłby okazać się szybszy i sprawniejszy.

– Muszę to wyjaśnić, rozumiesz?

– Wyjaśnisz potem – rzuciła Rudnicka, czekając na Wolskiego z dłonią zawieszoną na klamce. – Lepiej, żeby nie było cię przy tej rozmowie. Chodź, młody.

Weszli do sali przesłuchań. W pomieszczeniu było zimno. Tomasz Mielcarz siedział w kurtce i na widok policjantów uśmiechnął się pod nosem. Jego uśmiech jednak szybko przygasł. Rozejrzał się, jakby kogoś szukał, ale nikt więcej nie nadszedł.

– Gdzie Dawid? – zapytał. – Porozmawiam tylko z nim.

– To nie ty ustalasz warunki! – warknęła Lena, siadając po przeciwnej stronie wąskiego stołu.

Nie dała się zwieść. Mielcarz sprawiał wrażenie pewnego siebie i zuchwałego, ale ona wiedziała, że to tylko maska. W rzeczywistości bał się, że trafi do więzienia, tak samo jak bali się wszyscy inni, siedzący na tym samym miejscu. Jego los zależał od tego, jak potoczy się ta rozmowa.

– Zacznijmy od tego, jak wygląda twoja sytuacja – powiedziała. – Przyznam, że nieciekawie. Mianowicie – uniosła palec – złożyłeś fałszywe zeznania. Twierdziłeś, że byłeś w domu, chociaż mamy świadka, który potwierdzi, że widział ciebie, twoją żonę i Karinę w waszym samochodzie.

– Ciekawe, co to za świadek. Pewnie podstawiony, co?

– Świadek słowem nie wspomniał, że widział z wami aspiranta Sadowskiego.

– Dawid był z nami.

– Kto to potwierdzi? Twoja żona? Przypominam, że ona również już skłamała, składając zeznania.

Komisarka postanowiła Dawidem zająć się później. Jeśli rzeczywiście był z Kariną w samochodzie Mielcarzów, może mieć poważne kłopoty.

– Powiem wam, jak było – odparł Tomasz pojednawczo. – Powiem całą prawdę, ale musicie mi uwierzyć, że nie mam nic wspólnego ze śmiercią Kariny.

– Mhm.

– Pan mi wierzy? – Spojrzął na Wolskiego, a w jego oczach pojawiła się isierka nadziei.

– Skoro potrafi czytać pan z mowy ciała, niech pan jej powie, że mówię prawdę.

Wolski uniół dłonie.

– Za wcześnie na wydawanie opinii – mruknął.

– Świetnie. – Tomasz pokręcił głową z niedowierzaniem. – Wiedziałem, że to kłamstwo to nie jest najlepszy pomysł. Wiedziałem, że to źle się skończy.

– Jak było? – Rudnicka założyła nogę na nogę. – Czekam na wyjaśnienia.

Mielcarz się zawahał, pocierając twarz otwartą dłonią. Najwyraźniej powaga sytuacji powoli do niego docierała. Nie wyglądał na zabójcę, ale komisarka była przekonana, że razem z żoną coś ukrywają. Miała nadzieję, że to, co mają do powiedzenia, popchnie śledztwo naprzód.

– Skłamałem – przyznał. – To był błąd, ale już go nie cofnę.

– Dlaczego nas okłamałeś?

– Wiedziałem, że będziecie mnie podejrzewać. Jak dowiedziałem się, że Karina... Dowiedziałem się od ludzi, którzy zebrali się koło domu Adamskich. Przyjechał radiowóz, więc

wyszedłem na zewnątrz sprawdzić, co się dzieje, a wtedy ktoś powiedział, że tam leżą zwłoki, ktoś inny dodał, że to chyba Karina Cieślak. Zdębiałem. Nie wiedziałem, co robić...

Rudnicka kiwnęła głową, by mówić dalej. To oczywiste, że Mielcarzowie wiedzieli o sprawie, zanim zjawiła się u nich policja.

– Pierwsze, co przyszło mi do głowy, to kłamstwo – ciągnął. – Pomyślałem, że skłamię, że nie byliśmy tamtej nocy z Kariną. Uznałem, że ujdzie mi na sucho, ale oczywiście musiał znaleźć się jakiś życzliwy. Takich we wsi nie brakuje.

– Do rzeczy.

– Ja to wymyśliłem. Kazałem powiedzieć Baśce, że wróciła wcześniej do domu. Uznałem, że to najrozsądniejsza wersja. Oboje byliśmy w domu i niczego nie widzieliśmy. Nikt nie powiąże mnie z tą sprawą. Bo Baśka jest przecież kobietą, prawda? Sprawcą musiał być mężczyzna, więc byłem na liście podejrzanych. A ja... Boże... – Załamał rękę. – Za nic w świecie nie dam się wsadzić do więzienia.

– A twoja żona?

– Zgodziła się. Nie miała wyjścia.

– To znaczy?

– No, przecież sama nie utrzymałaby domu. Poza tym ona też chciała uniknąć problemów. Szybko dała się przekonać, że małe kłamstewko nikomu nie zaszkodzi.

Rudnicka pomyślała o Natalii Wiśniewskiej. Dziewczyna zeznała, że wróciła wcześniej. Potwierdziła zeznania Baśki. Kłamała.

– Jeśli nie byliście w domu, to co robiliście? – zapytała.

– Na festynie Baśka wpadła na pomysł, żeby jechać na imprezę.

– Dokąd?

– Do jakiegoś klubu, do miasta. Nie wiem, nie ustaliliśmy ostatecznie. Mieliśmy podjechać do miasta i się pokręcić, zobaczyć, gdzie warto zajrzeć. Baśka zadzwoniła do mnie, czy je podwożę.

– Kogo?

– Ją i Karinę.

– Obie wybierały się do klubu?

– Chciały się zabawić, więc zgodziłem się je podwieźć.

Rudnicka zabębniła palcami o blat stołu. To nie była cała historia, ale zeznania Tomasza ułatwią odtworzenie ostatnich godzin życia Kariny.

– Pewnie wtedy widział nas ten świadek – domyślił się Mielcarz. – Kiedy przyjechałem po dziewczyny.

– Co w tym wszystkim robi Sadowski?

Tomasz uniósł wzrok z wahaniem.

– Sadowski się upił i potrzebował transportu do domu. Zadzwonił po mnie, zanim wyjechałem ze wsi. Zapytał, czy go podrzucę. Był nawalony jak szpadel.

– Odwiozłeś go?

– No tak, co miałem zrobić?

– Co było potem?

– To trwało z godzinę. Nie więcej. Dziewczyny w tym czasie wytrzeźwiały i zmieniły zdanie. Karinę zostawiłem na festynie, mówiła, że wróci do domu na piechotę i trochę wytrzeźwieje, a my z Baśką pojechaliliśmy do domu.

– Przez godzinę odwoziłeś Sadowskiego do domu?

– Myśli pani, że tak łatwo wtoczyć pijanego do samochodu? Szarpał się, bełkotał, żebym go zostawił, bo on jednak wróci sam. Potem chciał zapalić papierosa, potem kolejnego i tak nam

zeszło. W końcu wsiadł po dobroci i odjechaliśmy.

Rudnicka zamierzała skonfrontować tę wersję wydarzeń z Sadowskim, ale trapiło ją inne pytanie: dlaczego Dawid nie powiedział, że widział tamtego wieczoru Karinę? Jeśli Tomasz mówi prawdę i nie zrobili niczego złego, dlaczego to ukrywał?

– Dlaczego Sadowski zadzwonił akurat po ciebie? – zapytała.

Mielcarz poruszył się niespokojnie. Nie odpowiedział od razu. Nerwowym ruchem pocierał kark, jakby chciał zyskać na czasie.

– Kumplujemy się – odparł. – Można tak powiedzieć.

– Mianowicie?

– Chodzimy czasem na piwko, czasem na coś mocniejszego. Sami go zapytajcie, to wam powie.

– O to się nie martw.

– Rozmawiacie z niewłaściwym człowiekiem. Nie zrobiłem nic złego.

– Ale Karina nie żyje.

– Och, wiem. Szkoda mi jej, bo fajna z niej była dziewczyna, ale co mogę zrobić?

Rudnicka wyglądała na nieprzekonaną. Wstała od stołu i głośno wsunęła krzesło, skinęła na Wolskiego i wyszła z pokoju. Bez słowa minęła zdezorientowanego Sadowskiego, który ruszył za nią.

Komisarz wyszła na zewnątrz i zapaliła papierosa. Wolski poszedł w jej ślady.

– Ale się popieprzyło – mruknął Sadowski. – Posłuchajcie, nie wiem, co we mnie wstąpiło. Powinienem od razu o tym powiedzieć.

– O czym? – zapytała Rudnicka. – O tym, że kumplujesz się z mężem najlepszej przyjaciółki naszej ofiary, czy o tym, że jeździłeś z nią jednym samochodem niedługo przed jej śmiercią?

– O jednym i drugim. Nie jestem przestępcą. We wsi wszyscy się znają, a to nie przestępstwo, że koleguję się z Tomkiem.

– Więc dlaczego o tym nie wspomniałeś?

Dawid zrobił kilka nerwowych kroków tam i z powrotem. Bał się, że zostanie odsunięty od sprawy. Nie mógł do tego dopuścić, po raz pierwszy w karierze miał szansę się wykazać.

– Coś jeszcze ukrywasz? – spytała Rudnicka.

– Nie.

– Jesteś gliną. Zdajesz sobie sprawę, że w takiej sytuacji nie powinienes prowadzić tego śledztwa.

– Żartujesz?

Sadowski pobladł.

– Załatwmy to jak cywilizowani ludzie – powiedział i zaczerpnął powietrza, jakby chciał dodać coś jeszcze, ale komisarz weszła mu w słowo.

– Chcesz, żebyśmy kryli ci dupsko przed starym?

– Coś w tym rodzaju.

– Okej.

– Słucham?

Rudnicka uśmiechnęła się pod nosem.

– Niech będzie – zgodziła się, czując na sobie zaskoczone spojrzenie Wolskiego. – Gęba na kłódkę. W końcu musimy trzymać się razem, prawda?

– Dzięki. Naprawdę.

Lena zaciągnęła się papierosem i wypuściła dym. Pomyślała, że jeszcze będzie okazja, by wykorzystać przysługę, jaką wyświadcza Sadowskiemu.

Dostrzegła zbliżającą się sylwetkę Barbary Mielcarz. Kobieta szła szybkim krokiem.
– Musimy porozmawiać – oznajmiła Mielcarzowa, kiedy zbliżyła się na wystarczającą odległość.

– O czym?

– O moim mężu. Ja... Wydaje mi się, że byłby zdolny do morderstwa.

10

Marcel poprosił o chwilę przerwy. Za dużo informacji, za dużo emocji naraz. Czuł się skołowany i potrzebował oddechu. Po co właściwie tu przyjechał? Nie chciał pakować się w kolejne śledztwo, tylko odpocząć i nabrać dystansu. Sądził, że na wsi mu się uda, ale był w błędzie.

Przeciągnął dłonią po twarzy i zapalił papierosa. To nie takie proste, pomyślał, obserwując przechodnia po drugiej stronie ulicy. Zgarbiona sylwetka, głowa ukryta pod kapturem, ręce w kieszeniach zielonej kurtki. Mężczyzna idący drogą zerknął w jego stronę, a potem przyspieszył kroku. Wolski miał wrażenie, że już gdzieś go widział ...

A potem sobie przypomniał. To młody Adamski. Kojarzył go ze zdjęcia, które pokazała mu Lena. Podobno się ukrywał, a według niej mógł mieć związek ze śmiercią Cieślakówny.

Wolski rzucił niedopałek i ruszył za mężczyzną. Jeśli się pomylił, najwyżej przeprosi, ale intuicja podpowiadała mu, że właśnie wpadł na trop poszukiwanego chłopaka. Przyspieszył kroku, by nie stracić zgarbionej sylwetki z oczu. Nie znał topografii wsi, nie miał pojęcia, dokąd tamten zmierza. Skręcił w Młodzieżową, szedł po dziurawych jumbach, w których zalegał brudny śnieg.

Wtem młody puścił się pędem. Zanim Wolski zdążył zareagować, oddalił się o dobre kilkadziesiąt metrów. Przeskoczył ogrodzenie i wbiegł na teren kościoła. Marcel pomyślał o wyjęciu telefonu i zawiadomieniu Rudnickiej – gdyby wysłała patrol, może zdążyliby go zatrzymać samochodem, ale przeskakując za nim przez płot, nie miał wolnej ręki, potem zaś skupiał się na tym, by nie zgubić uciekiniera.

Zapomniał o telefonie w chwili, gdy chłopak przeskakiwał kolejne ogrodzenie, a jego noga niebezpiecznie zsunęła się z metalowego pręta. Adamski wpadł w zaspę i zanim się z niej wy dostał, Wolski zdążył go złapać za rękaw.

– Długo będziemy się tak ganiać? – zapytał.

Adamski szarpnął się tak mocno, że Wolski niemal puścił materiał. Cholera, gdyby miał kajdanki, byłoby po sprawie, ale przecież był tutaj tylko w charakterze konsultanta. Nie przyszło mu do głowy, że będzie uganiał się za poszukiwanym chłopakiem.

– Spokój! – warknął.

– Puść mnie, psie.

– Grzeczniej.

– Puść mnie. Nie ucieknę.

– Idziemy.

Wolski popchnął chłopaka, wciąż trzymając go za rękaw. Ruszyli w stronę komisariatu.

– Mówię, żebyś mnie puścił. Nie ucieknę. I tak się do was wybierałem.

– Ciekawe, czemu uciekałeś.

– Poniosło mnie. Wie pan, taki impuls. Zawsze tak mam, jak widzę policję.

Marcel zdarł mu kaptur z głowy.

– Dlaczego się ukrywałeś?

– Miałem swoje powody.

– Opowiesz o nich komisarz Rudnickiej prowadzącej śledztwo.

Dziesięć minut później Patryk Adamski siedział w sali przesłuchań. Kurtkę miał mokrą od śniegu, ale z twarzy nie zniknął mu cyniczny uśmiešek.

Rudnicka z Wolskim stali po drugiej stronie drzwi.

– Zajmiemy się nim później – mruknęła. – Mamy do pogadania z kimś jeszcze.

– Z Bašką?

Skinęła głową.

Mielcarz siedziała na krześle dla interesantów, z dłońmi splecionymi na kolanach. Lewe kolano jej drżało. Co chwilę kładła na nim rękę, próbując powstrzymać dygotanie.

Komisarz zajęła miejsce naprzeciwko, tuż obok niej usiadł Sadowski. Marcel natomiast stanął z boku. Był ciekaw, co ma do powiedzenia żona Mielcarza. W końcu pół godziny temu oznajmiła, że jej mąż mógł kogoś zamordować.

– Zaczniemy od początku – powiedziała Rudnicka.

– Zaraz wam wszystko wyjaśnię, ale musicie wysłać kogoś, żeby znalazł Natalię.

– Twoją przyjaciółkę, Natalię Wiśniewską?

– Przecież mówię.

– Mów jaśniej.

Baška westchnęła.

– No więc Natalia miała do mnie zadzwonić wczoraj, ale nie zadzwoniła. Jak zatrzymaliście Tomasza, pojechałam do niej i nie zastałam jej w domu. Boję się o nią.

– Niby czemu?

– Nie mogę powiedzieć.

Rudnicka wzięła głęboki oddech i opadła na oparcie fotela.

– Po co Natalia miała do ciebie dzwonić? – podjął Sadowski, krzyżując ramiona.

– Miała dać znać, kiedy wyjdziecie.

– My?

– Powiedzieć, że już rozmawiała z policją.

– Po co?

Barbara zacisnęła usta, a noga znów zaczęła jej dygotać. Przykryła ją dłonią, zyskując czas do namysłu. Musiała mieć świadomość, że jeśli powie o jedno słowo za dużo, ściągnie na siebie kłopoty. Ale czy nie było już za późno?

– No dobra – westchnęła. – Tomek pewnie wszystko wam wyśpiewał.

– Zależy, o czym mówisz.

– Kazałam Natalii potwierdzić, że przedstawiła wam ustaloną z nami wersję wydarzeń.

– Taką, że wróciłyście wcześniej do domu?

– Ona wróciła. A ja, Karina i Tomek, jak wiecie, nie wróciliśmy.

– Dlaczego Natalia nie chciała jechać z wami?

– Ona nie lubi takich imprez. Nasza porządna i dobra Natalka miałyby się rozerwać? Dobre sobie. Jest zbyt święta. Kiedyś była inna, ale po wypadku rodziców coś jej się poprzestawiało.

– Czyli wróciła do domu około dziewiątej?

– Tak, ale wiedziała, że my wybieramy się do miasta. Namówiłam ją, żeby zeznała, że wszyscy rozeszliśmy się o tej porze. Żebyście nas nie podejrzewali. Może to był słaby pomysł, ale tylko taki przyszedł mi do głowy.

– Dlaczego mielibyśmy was podejrzewać?

Barbara straciła rezon. Popatrzyła na policjantów, jakby nie zrozumiała pytania. I sądząc po jej minie, rzeczywiście tak było.

– No jak to czemu? – zapytała. – Bo byliśmy z nią tamtej nocy.

- Ale nie zrobiliście nic złego?
- No nie. – Stropiła się. – Ale przecież i tak byście nas podejrzewali, prawda?
- Niekoniecznie.

Barbara otworzyła szerzej oczy, a jej oddech przyspieszył. Tego się nie spodziewała. Ach, gdyby wiedziała, że tak będzie, wszystko inaczej by się potoczyło.

- Ale skłamałiście i myślę, że mogliście mieć jeszcze inny powód – dodała Rudnicka.
- Nie, my...
- Co z Natalią?

Baśka przymknęła oczy.

– Natalia nie zadzwoniła wczoraj wieczorem – powiedziała. – Uznałam, że boi się ze mną rozmawiać, bo stchórzyła i wygadała się przed wami. Ale poszłam dziś do niej, pukałam i nikt nie otworzył.

- Może pojechała do sklepu?
- Wątpię.
- Dlaczego?

Mielczarz jakby zapadła się w siebie.

- Myślę, że coś jej się stało – bąknęła.
- Baśka?! – Sadowski poderwał się z krzesła. – O czym ty mówisz?
- Po prostu sprawdźcie, czy z Natalią wszystko w porządku.
- Hej? – Dawid obszedł biurko. – Co jest grane?
- Bo... – Urwała, pocierając nerwowo ramiona. – Bo Tomasz chciał się jej pozbyć, żeby nas nie wsypała.

- Co?!
- Wczoraj o tym rozmawialiśmy. Wieczorem, kiedy Natalia nie zadzwoniła.
- Mów – ponaglił Sadowski, a na jego twarzy malowało się coraz większe przerażenie.
- Tłumaczyłam mu, że to głupi pomysł, ale... On nie chciał iść do więzienia, mówił, że jak Natalia nas wsypała, na pewno uznacie go za winnego. W końcu ktoś zgwałcił Karinę, prawda? Był pewien, że go zamkniecie, a on nie wytrzyma w więzieniu nawet jednego dnia. Naciskał, żebyśmy pozbyli się Natalii, ale ja w ogóle nie chciałam o tym słyszeć. Próbowałam wybić mu to z głowy, ale...

- Sądziś, że mógł zrobić Natalii krzywdę?
- Nie wiem. Wiem tylko, że po naszej rozmowie wyszedł i nie wracał przez kilka godzin, a teraz Natalii nie ma.

11

Znasz go – powiedziała Rudnicka. – Byłby zdolny do morderstwa?

Wizyta Barbary i jej oskarżenia wobec własnego męża sprawiły, że Sadowski nie wiedział, co o tym myśleć. Jasne, znali się z Tomaszem od dawna. Wydawało mu się, że zna go dobrze, ale jak mawiała jego matka – człowieka nigdy nie poznasz do końca. W ekstremalnych sytuacjach ludzie bywają nieobliczalni. A wizja wielu lat za kratkami z pewnością do takich sytuacji należała. Mimo wszystko nie chciało mu się wierzyć, że Tomasz mógł kogoś zabić.

Kiedyś byli dobrymi kumplami, spędzali razem każdy wakacyjny wieczór, ganiali po łąkach i budowali szałas z gałęzi; potem, kiedy dorośli, ich drogi na chwilę się rozeszły. Tomasz ożenił się z Baśką, planował powiększenie rodziny. Dawid zaś po rozwodzie poświęcił się pracy w policji.

Niedawno odnowili znajomość. Spotykali się na piwo, oglądali razem mecze ich ulubionej drużyny – Chelsea Londyn, zagryzając solonymi chipsami, i gawędzili. Tomasz był

dobrym kompanem.

– Nie zdziwiłbym się, gdyby Baśka wszystko zmyśliła – mruknął.

– Musimy to wziąć pod uwagę – przyznała Rudnicka. Włączyła czajnik i nasypała do kubków rozpuszczalną kawę. – Znasz ją. Powiedz, jaka ona jest naprawdę.

– Sam nie wiem. Nie znam jej aż tak dobrze.

– Daj spokój.

Sadowski potarł podbródek. Najczęściej widywał Baśkę w towarzystwie Tomasza. Nigdy nie nawiązał z nią dłuższej rozmowy.

– Jest w porządku – odparł po namyśle. – Trochę szalona i wścibska. To kobieta z rodzaju tych, które wszystko muszą wiedzieć.

– Plotkara?

– Coś w tym stylu. Zbiera informacje i przekazuje dalej. – Dawid wyciągnął papierosa z paczki i przez chwilę rolował go w palcach. – No i jest uparta. Tomasz opowiadał mi różne historie o ich związku. Kiedy Baśka się na coś uparła, nie było przebaczenia. Raz zażyczyła sobie toaletkę w angielskim stylu. Sęk w tym, że kosztowała jakieś osiem stów, a u nich wtedy się nie przelewało. – Zapalił papierosa i zaciągnął się dymem. – Tak czy siak Tomasz musiał pożyczyć kasę i spełnić zachciankę żony.

– Czyli to ona nosiła spodnie w ich związku?

– Nie wiem, naprawdę nie jestem najlepszą osobą, żeby to oceniać.

Wolski, który tylko przysłuchiwał się rozmowie, teraz odchrząknął.

– Barbara Mielcarz wydaje mi się niepewna – oznajmił. – Moim zdaniem mogła poczuć się zagrożona. Może obawiała się, że jej mąż zdradzi jakąś tajemnicę, która byłaby dla niej niewygodna, i postanowiła zrzucić na niego winę.

– Baśka i Natalia są przyjaciółkami. – Dawid pokręcił głową. – Raczej nie zrobiła jej krzywdy.

– Nie wiemy, czy w ogóle Wiśniewskiej coś się stało – zaproponowała Rudnicka. – Czajka powinien zaraz wrócić. Może po prostu wyjechała?

Do pokoju jakby na zawołanie wszedł Czajka. Poprawił okulary, odchrząknął i spojrzał na zebranych.

– Nie powinienem w ogóle wchodzić do tamtego domu – rzekł. – Nie mieliśmy podstaw. Jeżeli ktoś się o tym dowie, zwałę winę na was. Powiem, że mnie zastraszyliście.

– Dobra – mruknęła Rudnicka i ponagliła go ruchem dłoni. – Biorę to na siebie. W mojej sytuacji i tak gorzej być nie może.

Czajka z wdzięcznością skinął głową.

– No więc mieszkanie wygląda normalnie. Żadnych śladów włamania, względny porządek. Wszystko wygląda tak, jakby właścicielka wyszła na chwilę. I nie wzięła ze sobą telefonu. To akurat jest trochę dziwne, bo kto dzisiaj rusza się z domu bez telefonu?

– Dlatego Baśka nie mogła się do niej dodzwonić.

– Sprawdziłem ten telefon... – Czajka się zawahał. – Ale jeśli pisnecie komuś słowo...

– Nikt się nie dowie.

– Miała hasło, ale szybko je złamałem i sprawdziłem, co jest w środku.

– No mówże, a nie cedzisz jak durszlak.

– Znalazłem kilka nieodebranych połączeń od Barbary Mielcarz i... hm... dziwna sprawa, bo również od księdza.

– Od księdza?

– Od księdza Jacka. To nasz wikary.

– Po cholere dzwonił do niej ksiądz?

– Sprawdziłem rejestr połączeń. Pomyślałem, że może Natalia po śmierci przyjaciółki chciała spotkać się z duchownym i sama do niego zadzwoniła. O ile dobrze wiem, pochodzi z religijnej rodziny.

– No i?

– Nie dzwoniła do księdza.

Nic w tej sprawie nie trzymało się kupy.

– Mundurowi rozpytali w okolicy, czy ktoś ją widział – ciągnął technik. – W końcu przecież mogła pójść gdziekolwiek. Nakierowałem chłopaków, żeby popytali, czy ktoś widział ją z księdzem, i nie chcecie wiedzieć, jakie mieli miny. Ale udało im się dowiedzieć czegoś ciekawego.

Cała trójka patrzyła na niego wyczekującym wzrokiem. Czajka cofnął się i uchylił drzwi, by wpuścić jakąś kobietę.

– To pani Kozak – wyjaśnił technik. – Prowadzi nasz spożywcak.

– No tak – przytaknęła Rudnicka. – Robiłam u pani zakupy.

– Pomyślałem, że powinniście z nią porozmawiać. Poczekam na zewnątrz.

Czajka wyszedł, a Marcel podsunął kobiecie krzesło. Usiadła i rozejrzała się po pomieszczeniu, jakby podziwiała muzealne eksponaty. Uważnie wodziła wzrokiem, a potem zatrzymała go na osobie komisarza.

– Pani coś przeszkrobała, prawda? – zapytała.

– Słucham?

– Musiała pani czymś zawinić, że wysłali panią do nas aż z Łodzi.

– Do rzeczy.

– Czuję od pani dobrą energię.

– To komisariat policji, a nie...

– Jest pani dobrym człowiekiem, ale pogubiła się pani w życiu. Powinna pani wyprostować stare sprawy. Wtedy poczuje pani ulgę.

Dawid z uśmiechem obserwował Rudnicką. Po raz pierwszy, odkąd ją poznał, sprawiała wrażenie, jakby nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Nasz technik mówił, że ma pani dla nas ważne informacje – powiedział Sadowski. – Słuchamy.

Kobieta milczała długą chwilę. Sprawiała wrażenie podekscytowanej, ale jednocześnie zmęczonej.

– Policjanci pytali mnie, czy nie widziałam tej dziewczyny, Natalii – odezwała się w końcu. – Odpowiedziałam, że nie, ale kiedy zapytali o naszego wikarego, nie mogłam skłamać. Kłamstwo zawsze wyjdzie na jaw, moi drodzy, kłamstwem niczego się nie zdziała.

– Widziała pani księdza?

– Owszem. Dzisiaj przed moim sklepem. Gdzieś pędził i był w cywilu, co mnie zdziwiło, bo nasz wikary wszędzie w sutannie chodzi.

– Mówi pani, że się spieszył? – Dawid zorientował się, że pozostawiony w popielniczce papieros zgasł, więc zapalił kolejnego. – Dokąd się wybierał?

– Nie zwierzał mi się, ale był zdenerwowany.

– To znaczy?

– Chyba był zły, że go zagaduję. To też mnie zaskoczyło, bo nasz ksiądz Jacek to taki miły i kulturalny człowiek. Dla każdego znajdzie czas, zawsze przystaje, żeby porozmawiać, a dziś... Policjanci pytali mnie, czy widziałam naszą Natalkę Wiśniewską. Niestety nie, ale jestem przekonana, że nasz wikary szedł w stronę jej domu. Może miała jakieś problemy i poprosiła go o rozmowę?

To, że ksiądz kierował się w stronę domu Wiśniewskiej, jeszcze niczego nie dowodziło, ale wikary mógł wiedzieć, dokąd dziewczyna się udała.

– Ten pan w okularach – ciągnęła kobieta – kazał wam powiedzieć, że ksiądz miał na nogach trapery.

– Co to ma do rzeczy?

– Kazał mi to powiedzieć.

Kobieta z ociąganiem podniosła się z krzesła, podeszła do drzwi i zawiesiła dłoń na klamce. Powolnym ruchem obróciła się do Wolskiego i wpatrywała się w niego przez chwilę z dziwnym uśmiechem, po czym skinęła głową i wyszła.

– Ksiądz? – zapytała Rudnicka. – Nie wierzę.

Zupełnie zapomniała o kawie, którą miała zrobić. Ponownie nastawiła czajnik. Zalała kawę i z kubkiem w dłoni podeszła do okna. Wyjrzała przez szybę. Kozakowa właśnie wychodziła z komisariatu, ubrana w długie futro i włochatą czapkę. Jakby wyczuła na sobie jej spojrzenie, odwróciła się i spojrzała wprost na Lenę.

Komisarz pospiesznie odeszła od okna i usiadła na biurku.

– O mnie oczywiście nikt nie pomyślał. – W progu stanął Czajka. – Też bym się kawy napił. – Spojrzał na kolegów z wyrzutem.

– Masz moją. – Rudnicka podała mu swój kubek. – Chyba że się brzydzisz.

– Dzięki. – Upił łyk. – Padam na twarz. Wczoraj siedziałem do trzeciej nad jedną sprawą, a dzisiaj wstałem skoro świt...

– Świetnie – przerwała. – Gratuluję zapału. O co chodziło z tymi traperami?

– Miła kobietka, prawda?

– Bardzo.

– Mimo szacunku dla stanu duchownego na waszym miejscu przyjrzałbym się wikaremu. Szczególnie ze względu na to, co zaraz powiem.

– Ale powiesz nam to dzisiaj czy będziesz tak głądził do północy?

Czajka się skrzywił.

– Wokół domu Natalii znalazłem ślady butów – oznajmił. – Najprawdopodobniej traperów. Również przy balkonowym oknie.

– Że niby księdza? – spytał Marcel.

– Nie wiem, mówię, co znalazłem. Pozostawiam to waszej ocenie.

– Jeśli dobrze pamiętam, przy zwłokach Kariny znaleźliśmy ślady traperów – odezwał się Sadowski.

– Owszem. – Komisarz pokiwała głową. – Dlatego mamy problem.

12

Rudnicką zatrzymał dźwięk telefonu. Wyjęła komórkę, spojrzała na wyświetlacz i zakłęła w duchu. Nie miała ochoty na rozmowę z mężem, ale wiedziała, że jeśli nie odbierze, Krzysztof będzie dobijał się do skutku. Rozejrzała się wokół siebie, by sprawdzić, czy w pobliżu nikt się nie kręci, i przeciągnęła zieloną słuchawkę.

– Halo?

– Cześć, kochanie.

Miała wrażenie, że jej żołądek wywraca się na drugą stronę.

W telefonie zapadła pełna napięcia cisza. A może tylko tak się Lenie zdawało?

– Co słychać? – spytał w końcu.

– W porządku.

– Nie nudzisz się na wsi?

– Trafiło mi się nawet ciekawe śledztwo.

– Słyszałem.

Jakżeby inaczej? Krzysztof jak zawsze trzyma rękę na pulsie. Taki ma charakter. Wszystko i wszystkich musi kontrolować. Dzięki znajomościom wystarczył mu pewnie jeden telefon, by się dowiedzieć, nad czym pracują policjanci w Białych Brzegach.

– Jak terapia? – spytała.

Milczał. Lena miała wrażenie, że coś przed nią ukrywa. Słyszała jego ciężki oddech.

– Opuściłeś?

– Te kilkanaście rozmów, które odbyłem, wystarczy. Przerwałem terapię.

– Kiepski pomysł.

– Sam lepiej wiem, co jest dla mnie dobre.

Ostatnie lata były dla Leny koszmarem. Przemoc stała się jej codziennością. Gdyby ktoś zapytał ją, dlaczego akceptowała tę sytuację i nie szukała pomocy, nie potrafiłaby odpowiedzieć. Skupiła się na pracy. Łykała opioidy jak cukierki. Była tak otumaniona lekami, że niewiele do niej docierało.

Teraz, kiedy udawało jej się wytrzymać we względnej abstynencji, uświadomiła sobie, że jej życie nie powinno tak wyglądać. Nie chciała tak żyć.

– Może wpadnę do ciebie w weekend? – zagadnął.

– Mam kupę roboty. Nie wiem, czy znajdę chociaż chwilę wolnego czasu.

– No tak. Praca jak zwykle jest najważniejsza.

– To nie tak, po prostu...

– Wiem, Lenka. Staram się zrozumieć.

Właściwie mogłaby już zakończyć tę rozmowę, ale jakaś niewidzialna siła wciąż trzymała ją z telefonem przy uchu. Strach?

– Zdzwonimy się jeszcze, dobrze? – Krzysztof przybrał miły i przyjazny ton, który wcale się jej nie spodobał.

– Jasne.

Rozłączyła się, a wtedy zdała sobie sprawę, że Wolski cały czas stał tuż obok i przysłuchiwał się rozmowie. Rudnicka poczuła, że ręce się jej trzęsą. Wsunęła je w kieszenie spodni.

– Wszystko gra? – zapytał.

– Powiedzmy.

– Spokojnie. – Odgarnął kosmyk włosów z jej twarzy. – Spokojnie...

– Wiesz, że nieładnie podsłuchiwać?

– Nie podsłuchiwałem. Po prostu stałem, a ty mnie nie zauważyłaś.

– Jasne.

Wolski przytulił ją. Chciała zaprotestować, ale tego nie zrobiła. Potrzebowała bliskości. Trwali tak przez kilka sekund, ale gdy w korytarzu rozległy się kroki, błyskawicznie odskoczyła na bok.

– Idziecie?! – zawołał Dawid. – Czekam na was!

Unikała wzroku Marcela. Musiała szybko się pozbierać, bo czekała ją rozmowa z Patrykiem Adamskim, która – jak przypuszczała – nie będzie należała do łatwych.

Na przyjemniaczka nie wyglądał. Miał zaledwie dwadzieścia lat, a do twarzy przyklejony cyniczny uśmiezek. Na widok policjantów gwizdnął pod nosem.

– Okej – powiedział Sadowski, siadając naprzeciwko niego. – Żarty się skończyły.

– I kto to mówi?

Dawid puścił tę uwagę mimo uszu.

– Szukaliśmy cię – rzekł.
– Tak sądziłem.
– Dlaczego się ukrywałeś?
– Kto powiedział, że się ukrywałem?
– Nie było cię w domu i uciekałeś przed policjantem.
– To był impuls. Zawsze uciekam na widok psów. Wybaczcie – rozłożył ręce – ale z niczym dobrym mi się nie kojarzycie.
– Mhm.

Patryk opadł na oparcie krzesła. Ręce zwiesił pomiędzy udami, jakby dawał do zrozumienia, że ta rozmowa niewiele go obchodzi.

– I tak się do was wybierałem – oznajmił. – Podobno trzymacie mojego ojca.
– Owszem.
– Powinniście go wypuścić. Nic złego nie zrobił. Ma swoje jazdy, ale mimo wszystko jest dobrym człowiekiem.

Rudnicka czuła, że powinna coś powiedzieć, ale w głowie miała mętlik. Nie potrafiła zebrać myśli. Rozmowa z Krzysztofem wybiła ją z rytmu. Milczała, oddając inicjatywę Sadowskiemu i Marcelowi.

– Wybierałeś się do nas? – podjął Dawid.
– Owszem. A wy mnie szukaliście, więc chyba dobrze się składa?
– Mamy do ciebie kilka pytań.
– Cóż za zbieg okoliczności.
– Dobrze się bawisz?! – warknęła Rudnicka, która zdążyła już odzyskać względną równowagę.
– Całkiem nieźle, skoro pani zapytała...
– Stul dziób, bo to dowcipkowanie źle się dla ciebie skończy.
– Grozi mi pani?
– Nie muszę. Jeżeli będę miała taki kaprys, wpakuję cię do pudła bez zadawania zbędnych pytań.

Adamski odchylił się zdumiony na oparcie, zaraz jednak odzyskał rezon i uśmiechnął się szyderczo.

– Nie musi pani zadawać żadnych pytań – odparł. – Wybierałem się do was właśnie po to, żebyście wsadzili mnie do pudła.

– Że co? – zapytał Sadowski.
– Przyznaję się do winy.
– Czekaj, chwilę...
– To ja zabiłem Karinę.
Policjanci spojrzeli po sobie. Tego się nie spodziewali.
Rudnicka odchrząknęła.
– Jak? – zapytała.
– Normalnie. Przecież pani wie. Pewnie zrobiliście jakieś badania czy coś tam.
– Opowiedz nam o tym.
– Odmawiam.
– Okej. W takim razie zadam inne pytanie. – Lena założyła nogę na nogę. – Ty schowałeś kurtkę Kariny w szopie?

Patryk zamrugął nerwowo.
– Tak – przyznał. – W nocy poszedłem ją zabrać, ale już jej nie było.
Właśnie wtedy musiała widzieć Patryka sąsiadka.

- Czemu akurat w szopie?
- Sądziłem, że nikt jej tam nie znajdzie. Działalem pod wpływem impulsu.
- Łatwo ulegasz impulsom.
- Taki już jestem.

Rudnicka zaśmiała się złośliwie. Chłopak wystawił się jak na tacy. Seria krótkich pytań i krótkich odpowiedzi.

- Dlaczego to zrobiłeś? – kontynuowała.
- Bo ta suka mnie odrzuciła.
- Może nie podobały jej się twoje odzywki?
- A może była głupia?
- Nie była zainteresowana twoją osobą, więc ją zabiłeś?
- Zgadza się.

Adamski zdradzał pierwsze oznaki zdenerwowania. Jego wcześniejsza pewność sobie zniknęła. Zaczął się pocić. Nerwowo stukał w blat wskazującym palcem. Oczy miał rozbiegane. Przypominał zbuntowanego dzieciaka, który nie słucha rodziców i robi wszystkim na przekór.

– A więc przyznajesz się do winy – podsumowała Rudnicka. – Uściślijmy. Nie musisz opowiadać, jak to zrobiłeś, powiedz tylko, dlaczego zabiłeś ją szpadlem?

- Zgwałciłem ją – sprostował.
- A potem uderzyłeś szpadlem i chciałeś zakopać ciało, ale ziemia była zmarznięta, tak?
- No... ziemia była twarda i nie dałem rady wykopać dołu.
- Czyli potwierdzasz, że to ty rozbiłeś jej głowę szpadlem?
- Potwierdzam. Tak właśnie było. Rozwaliłem jej łeb.
- Świetnie! – Rudnicka wstała i wsunęła krzesło. – Możemy go wypuścić.

Patryk spojrział zdezorientowany na Dawida. Przecież właśnie przyznał się do zabicia Kariny, a oni chcą go wypuścić na wolność?

– Jak to? – zapytał.

– Jesteś niewinny – odparła komisarz. – Chociaż przyznam, że w pierwszej chwili chciałam ci uwierzyć. Byłeś przekonujący.

– Przyznaję się do winy! Ja ją zabiłem!

– Gówno prawda. Nikt nie uderzył Kariny szpadlem w głowę. Wiesz o jej śmierci tylko tyle, ile we wsi gadają.

– Nieprawda!

Sadowski podszedł do komisarz.

– Lena, mamy faceta, który przyznał się do morderstwa – powiedział ściszym głosem.

– Nie możemy go wypuścić.

– Zróbcie z nim, co chcecie, ale jestem pewna, że ten gówniarz nikogo nie zabił.

– Zabiłem Karinę!

Dalsza dyskusja nie miała sensu. Młody Adamski był niewinny. Tylko dlaczego się przyznał? Żeby chronić ojca? A może wiedział coś, czego nie ujawnił policji? Trudno. Prędej czy później odkryją prawdę.

– Na pewno ktoś nas widział! – zawołał Adamski. – Spotkałem Karinę na festynie!

Lena patrzyła na niego z politowaniem.

– Owszem, mamy świadka, który was widział – potwierdziła. – Ciebie i jeszcze jednego typa w towarzystwie Kariny.

– To ja jestem winien jej śmierci!

– Kim był ten drugi?

– Nie wiem, nigdy wcześniej go nie spotkałem! – Adamski skulił się na krześle. – Mówił,

że nazywa się Krystian i jest kuzynem Kariny.

– Sprawdzimy.

– Niech pani poczeka!

Ale Rudnicka już go nie słuchała. Wyszła na korytarz, przywarła plecami do ściany i oparła dłonie na kolanach.

13

Gdy Barbara Mielcarz pokonywała zaśnieżoną ścieżkę prowadzącą do jej domu, niebo zasnuwało się chmurami. Pluła sobie w brodę, że była taka naiwna. Przecież kłamstwo ma krótkie nogi, a prawda prędzej czy później wyjdzie na jaw. Byli głupi, sądząc, że policja nie dojdzie do tego, że tragicznej nocy jeździli z Kariną samochodem, chociaż miała nadzieję, że Dawid zdoła to ukryć. Idiota! Pewnie tak się nawalił, że nic nie pamiętał.

Wszystko się skomplikowało.

Weszła na ganek. Jej uwagę przyciągnęła oparta o ścianę łopata do odśnieżania. Nigdy nie zajmowała się pracami wokół domu. Wcześniej, kiedy mieszkała z rodzicami, wszystkim zajmował się ojciec, a potem Tomasz. To właśnie on odśnieżał, grabił liście i wykonywał drobne prace naprawcze. Ona trzymała się od takich zajęć z daleka, ale pomyślała, że Tomasz może nie wrócić prędko z aresztu, może trafić do więzienia, a ona będzie musiała sama zajmować się domem. Popatrzyła na swoje delikatne dłonie i wypielęgnowane paznokcie, zakłęła pod nosem i złapała łopatę.

Pracowała wolno i mozolnie. Odgarnianie śniegu nie należało do prostych zajęć. Szybko rozboleły ją ręce i przedramiona, palce skostniały z zimna. Aby zapomnieć o palących mięśniach, wróciła myślami do dzisiejszego dnia. Nie była dumna z tego, co zrobiła. Rzuciła cień podejrzania na własnego męża. Człowieka, którego – jak jej się wydawało – kochała. Chociaż między nimi różnie się układało, był jej mężem, a ona teraz zrzuciła na niego winę. Ale w tym wypadku kłamstwo było jedynym wyjściem. Obawiała się, że on jako pierwszy opowie policji o ich głupim planie, a ta wścibska policjantka z Łodzi nabierze podejrzeń. Trzeba uprzedzić Tomasza. On był słaby i wystarczyło go dobrze przycisnąć, by wszystko wyśpiewał. Gliniarze nie mogli się dowiedzieć, że to ona wpadła na pomysł usunięcia Natalii. Dlatego zrzuciła podejrzania na Tomasza. Nie miała pojęcia, co dzieje się z przyjaciółką, ale wolała się zabezpieczyć.

Wbiła łopatę w usypaną przez siebie górę śniegu i sapnęła z wysiłku. To naprawdę ciężka praca. Pomyślała, że będzie musiała zatrudnić kogoś do odśnieżania podjazdu. Sama nie da rady. Dbała o figurę i formę, ale wolała to robić na nowoczesnej siłowni w sąsiednim mieście, w nowych, lśniących butach Nike.

Na horyzoncie pojawiła się Balbina Adamska. Szła zgarbiona w kierunku swojego domu. Jej czarny płaszcz odcinał się od bieli śniegu. Dostrzegła Baškę i przystanąła.

– Dzień dobry – zagaiła przyjaznym tonem. – Paskudna pogoda, prawda?

Baška nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie była pewna, czy Adamscy nie są zamieszani w śmierć Kariny. Nie ufała im. Poza tym, co to za pogawędki? Oni nigdy nie prowadzili kurtuazyjnych rozmów. Adamska zawsze wydawała się jej podejrzana. Chociaż to jej mąż Jerzy wygrałby konkurs na najgorszego sąsiada na świecie.

– Owszem – odbąknęła. – Bardzo zimno.

Adamska zawiązała ciasniej szalik i spojrzała w stronę swojego domu. Wyglądała, jakby bała się do niego wchodzić.

– Wiecie coś na temat śmierci Kariny? – zapytała Baška.

Adamska aż się wzdrygnęła.

– My?
– No tak. Pewnie rozmawialiście z policją. W końcu to pod waszym płótem znaleziono jej zwłoki.

Balbina pokiwała głową bez przekonania.

– No tak, rzeczywiście.

– To była moja przyjaciółka – dodała Baśka.

– Bardzo mi przykro.

Mielcarzowa nie mogła oprzeć się wrażeniu, że sąsiadka jest jakaś nieswoja. Wzrok miała nieobecny, jakby błądziła myślami gdzieś daleko.

Kiedy Adamska odeszła, Baśka poczuła, że robi jej się słabo. Rzuciła podejrzenia na własnego męża. Co, do cholery, jej odbiło? Oddychała głęboko, starając się uspokoić myśli. Przekonywała samą siebie, że postąpiła słusznie.

14

Rodzina Tomasza Mielcarza mieszkała w pobliskiej wsi od lat. Jego dziadek Sławomir miał jedno z większych gospodarstw w okolicy. Jego żona, babcia Tomasza, była wspaniałą szwaczką i gospodynią. Matka Tomasza została wychowana w rodzinnym duchu i zawsze dbała, by w domu panowała przyjazna atmosfera. Starła się być przyjaciółką dla swoich dzieci, dawać im oparcie w trudnych chwilach, chciała, by wiedziały, że mogą na nią liczyć. Zaś ojciec Tomasza rządził w domu twardą ręką. Nigdy nie bił dzieci, wystarczyło jedno surowe spojrzenie. Niezadowolenie ojca było gorsze niż kary cielesne. Tomasz niejednokrotnie miał poczucie, że zawiódł staruszka, który marzył, że syn zrobi karierę, najlepiej w zagranicznej korporacji, gdzie co miesiąc będzie dostawał przynajmniej pięciocyfrowe honorarium. Tak się nie stało. Tomasz miał zupełnie inne plany na życie. Został budowniczym. Kiedy miał kilka lat, może pięć, uwielbiał budować zamki z piasku, gdy miał sześć lat, dostał pierwszy zestaw klocków, z którymi nie rozstawał się przez następny rok. Pamiętał, jak wszędzie nosił ze sobą te klocki w lnianym woreczku.

Kiedy ojciec dowiedział się o planach syna, był wściekły. Masz iść na studia, orzekł, ucinając tym samym dyskusję, ale Tomasz się nie poddał. Postawił na swoim, a wtedy stary wydziedziczył syna. Matka jednak wbrew zakazowi męża odwiedzała Tomasza i Barbarę. Była porządnym człowiekiem i miała dobre serce.

Zabawne, że właśnie teraz, kiedy Tomasz siedział w sali przesłuchań i patrzył w oczy Dawidowi Sadowskiemu, pomyślał o zmarłej matce. Gdyby dowiedziała się, że jej syn wylądował w areszcie, zrobiłaby wszystko, aby go wyciągnąć. Pomyślał, że był głupi, sądząc, że Baśka zastąpi mu rodzinę, skoro jest jego żoną i najbliższą mu osobą. Ale się pomylił. Kochał ją, ale ona go zdradziła.

– Odpowiesz? – ponaglił go Dawid.

Tomasz nawet nie podniósł wzroku.

– Posłuchaj, powiedz mi szczerze, czy masz z tym coś wspólnego – dodał Sadowski. – Jesteśmy sami. Zapewniam, że nikt nas nie słyszy. Rudnicka wyszła razem z tym młodym, więc możemy spokojnie porozmawiać.

– Nie wierzę w to.

– W co?

– Że nikt nas nie słyszy. – Tomasz zaśmiał się gorzko. – Jesteśmy na dołku. Nie wmówisz mi, że to prywatna rozmowa.

– Nie ufasz mi?

Tomasz przekrzywił głowę.

– Wiesz, co mówiła moja matka?

– Co takiego?

– Nie ufaj komuś, kto już raz cię zawiódł.

– Wciąż masz żal o to, że zadzwoniłem do ciebie po pijaku?

– Nie, skądże! – Mielcarz uniósł otwarte dłonie. – O to, że wpakowałeś mnie w to gówno. Kazałeś kłamać, a potem i tak sprawa się rypla, a ja wylądowałem tutaj.

– Nie kazałem ci kłamać.

– To oficjalna wersja?

Jeszcze niedawno pili razem wódkę, a teraz znaleźli się po przeciwnych stronach barykady. Sadowski rozumiał kumpla. Teoretycznie Tomasz był na przegranej pozycji. Ale to nieprawda, że Dawid miał zamiar wsadzać kolegę za kraty.

– Moja żona nagadała wam bzdur – powiedział Mielcarz. – Nie ufajcie jej. Sam wiesz, że potrafi być wredna.

– To żaden argument.

Tomasz nachylił się nad stołem.

– Posłuchaj, tak na chłopski rozum, po co miałbym zabić Natalię?

– Podobno bałeś się, że powie nam prawdę o tym, że pojechaliście gdzieś z Kariną. Bałeś się, że będziesz podejrzany.

– Stary, ty też tam byłeś.

– Napruty jak meserszmit – uściślił Dawid. – Ale dobrze pamiętam, że kiedy mnie odwoziłeś, Karina wciąż była w twoim samochodzie.

Sadowski spuścił wzrok. Nie był z siebie dumny. Dotarło do niego, że ma poważny problem z alkoholem. Wszystko zaczęło się niewinnie, od jednego lub dwóch piw po pracy, a doszło do tego, że nie zasypiał bez chociażby lampki wina. Ale na lampce nigdy się nie kończyło. Dawid wmawiał sobie, że alkohol ma działanie terapeutyczne, że po ciężkim dniu należy mu się chwila relaksu. Rozwód też nie należał do najprzyjemniejszych. Ostatnio miał gorszy okres. Teraz jednak uświadomił sobie, że nie panuje nad swoim nałogiem.

W dniu śmierci Kariny ostro popłynął. Pił sam, żeby nikt nie dowiedział się o jego problemie. W końcu był policjantem. Oczywiście czasem zdarzało się, że popił na przykład z Tomaszem, ale zawsze starał się trzymać fason, a po wyjściu gościa dopijał resztki. Ale tamtego dnia nie był w stanie wrócić do domu. Zadzwonił po Tomasza i poprosił, by po niego przyjechał. Nie spodziewał się jednak, że Mielcarz przyjedzie z żoną i jej przyjaciółką, ale wówczas nie bardzo go to obchodziło. Chciał po prostu dostać się do domu. Być może był bardzo pijany, ale pamiętał, że gdy wysiadał z samochodu, Karina i Baśka wciąż tam były.

Dawidowi nie chciało się wierzyć, że kumpel byłby zdolny do morderstwa, ale miał wrażenie, że Tomasz nie powiedział wszystkiego.

– Nie zamierzam trafić do paki – odezwał się Mielcarz. – Więc powiem ci prawdę. Posłuchaj uważnie. – Wziął głęboki oddech. – To Baśka wpadła na pomysł, żeby pozbyć się Natalii.

– Ona twierdzi coś innego.

– Bo jest stuknięta.

– Natalia i Baśka były przyjaciółkami – zauważył Sadowski. – Wybacz, ale nie chce mi się w to wierzyć, szczególnie że dzień wcześniej zginęła ich wspólna koleżanka. Nie za dużo, jak na tak krótki czas? Poza tym Baśka traktowała Natalię jak siostrę.

– Tak ci się tylko wydaje.

Dawid pokręcił głową. Znał dziewczyny od lat i wiedział, że cała trójka kolegowala się od dzieciaka. Traktowały się jak siostry i tak o sobie mówiły. Czemu jedna miałyby zabijać

drugą? To bez sensu.

No i jeszcze jedna sprawa: Baśka nie wyglądała na morderczynię.

– Spotkała się z Natalią przy kapliczce – powiedział Tomasz. – W dniu, kiedy znaleźliście ciało Kariny. Namówiła ją, by zeznała według naszej ustalonej wersji.

– Zgodziła się?

– Podobno tak.

– I co dalej?

– Baśka twierdziła, że jeśli Natalia się nie zgodzi, będziemy musieli się jej pozbyć.

– A teraz Natalia zniknęła.

Tomasz pokiwał głową w znaczący sposób.

Małżeństwo na przemian obrzucało się winą. Dawid nie wiedział już, komu ufać.

– Baśka mówiła, że wczoraj wieczorem zniknąłeś – podjął. – Dokąd się wybrałeś?

– Naprawdę tak powiedziała?

– Zdaniem Baśki mogłeś pójść do Natalii.

Tomasz zaśmiał się ponuro.

– Brednie – mruknął.

– Poszedłeś do niej czy nie?

– No dobra. Poszedłem do niej. I co z tego? – Klasnął w dłonie z udawanym rozbawieniem. – Proszę cię! Przecież to żaden dowód.

– Czyli jednak u niej byłeś?

– Tak, ale chyba wyszła.

– To nie wpłynie na twoją korzyść.

– Posłuchaj, byłem u niej, ale Natalii nie zastałem, więc wróciłem do siebie.

– Po co do niej poszedłeś?

– Bałem się, że nas wsypała. Dawid, gdyby ta policjantka się dowiedziała, że byłem z Kariną niedługo przed jej śmiercią, natychmiast uznałaby mnie za winnego. Przecież ktoś ją zgwałcił! Baśka lamentowała, że wpakują mnie do kicia, bo Natalia nie trzymała się naszej wersji.

– Że ty byłeś w domu, a Baśka wróciła wcześniej?

– Kazała powiedzieć Natalii, że wszystkie trzy rozstały się około dziewiątej. Sądziłem, że skoro Karina nie żyje, to ani ty, ani Baśka nie wciągniecie mnie w to gówna. Zresztą potem rozmawialiśmy i sam mówiłeś, żeby nie wspominać o tobie w rozmowie z tą policjantką.

No tak. To prawda. Dawid uznał, że tak będzie bezpieczniej. Wolał, by Rudnicka się nie dowiedziała. Na wszelki wypadek.

– W gruncie rzeczy działaliśmy również w twoim interesie – dodał Mielcarz.

– Nie pieprz.

– Przecież to prawda. Nie chciałeś, żeby komisarz się dowiedziała, że...

– To nie ma nic do rzeczy.

W odpowiedzi Tomasz uśmiechnął się pod nosem.

– Poszedłeś do Natalii, żeby dowiedzieć się, jakie zeznania złożyła? – spytał Dawid. – Czy potwierdziła waszą wersję?

– Chciałem się upewnić, że mamy spokój. Tylko ona nam zagrażała. Byłem pewien, że ty nas nie wsypiesz.

– Kiedy rozmawialiśmy, miałem cholernego kaca, teraz żałuję, że poprosiłem cię o dyskrecję. Powinniśmy o tym powiedzieć od razu i nie byłoby tych problemów.

Tomasz rozłożył otwarte dłonie.

– Niektóre rzeczy uświadamiamy sobie zbyt późno – odparł.

Dawid wahał się chwilę, a potem nachylił nad stołem.

– Powiedz mi jak kumplowi, a nie policjantowi, czy na pewno nie masz nic wspólnego ze zniknięciem Natalii?

– Na komisariacie nie jesteśmy kumplami. – Tomasz odchylił się na krześle. – Ale nie. Nic jej nie zrobiłem. Przecież nie zastałem jej nawet w domu.

15

Dochodziła siedemnasta. Zerwał się ostry wiatr, który ciągnął ze sobą potężną śnieżycę. Wystarczyła chwila, by drobinki śniegu zamieniły się w płaty wielkości orzechów włoskich. Cień Balbiny Adamskiej kładł się na kuchennej posadzce. Stała przy oknie ze skrzyżowanymi ramionami, jakby kogoś wypatrywała, ale mężczyzna, który pojawił się na podwórku, nie był tym, kogo oczekiwała.

Serce zabiło jej szybciej. Spodziewała się, że ujrzy przed domem męża, zobaczyła zaś własnego syna, który truchtał przez podwórko, przytrzymując obiema rękoma kołnierz kurtki. Wszedł na ganek, klnąc pod nosem, zamknął za sobą drzwi i otrząsnął buty ze śniegu, który błyskawicznie się rozpuścił, tworząc na podłodze kałuże.

– Och, synku, wróciłeś! – zawołała. – Gdzieś ty się podziewał tyle czasu?! Nie wiesz, co się we wsi dzieje? Tak się martwiłam!

– Niech się matka uspokoi! – warknął, wszedł do kuchni, otworzył lodówkę i wyjął butelkę mleka. Upił solidny łyk i wierzchem dłoni otarł usta. – Ojciec na dołku siedzi, co?

– Siedzi, ale niedługo wyjdzie.

– Skąd matka taka mądra?

Balbina spuściła wzrok.

– Synku, grzeczniej.

– Grzeczniej?! – Z hukiem odstawił butelkę na blat i kuchenny podszedł do matki. – Ojciec jest na dołku – powtórzył, zaglądając Balbinie w oczy. – To twoja sprawa?

– Moja?! Oszalałeś?

Balbina aż się cofnęła. Przestraszyła się własnego syna.

– Dlaczego go zwinęli? – zapytał. – Mają jakieś dowody?

– A co ja tam wiem, przecież się nie znam na tych sprawach.

– Mają dowody czy nie?

– Znalezli łopatę i kurtkę tej dziewczyny w naszej szopie.

Patryk zakręcił się wokół własnej osi.

– Cholera – mruknął.

– Ale ojciec zaraz wyjdzie.

– Niech matka nie będzie taka pewna.

Balbina zacisnęła usta. Nie chciała mówić synowi, że dała dawnemu kochankowi pieniądze, by zapewnił Jerzemu alibi, ale nie miała innego wyjścia. Syn był porywczy. W nerwach mógł zrobić coś, czego by później żałował.

Opowiedziała mu więc o propozycji złożonej Maciejowi.

Patryk pobladł.

– Co zrobiłaś?

– Musiałam pomóc ojcu...

– Coś ty narobiła! Leć do Kosika i wszystko odwołaj!

– Dlaczego?

– Ten dureń zaraz powie policji, że opłaciłaś alibi własnego męża. Boże drogi, co matka narobiła, do cholery!

– Maciej powiedział, że załatwi sprawę.

– Załatwię to ja jego! – odwarknął. – Pierwszy konfident we wsi, i to właśnie jemu kazałaś kłamać przed policją! No, teraz to na pewno pomyślą, że ojciec ma coś wspólnego ze śmiercią Kariny!

Balbina poczuła, że się czerwieni. Przyłożyła dłonie do policzków, jakby chciała powstrzymać rozlewające się rumieńce.

– Zrobiłam, co mogłam – odparła. – Ciebie nie było, a ojca zabrała policja. Może gdybyś się nie ukrywał Bóg wie gdzie, nie musiałabym...

– A więc to moja wina? Za własną głupotę matka mnie obwinia?

Poczuła złość. Jak on śmie ją krytykować, skoro sam podwinął ogon i uciekł? Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, ale to Balbina pierwsza spuściła z tonu.

– Chciałam dobrze – mruknęła. – Nie wiedziałam, co robić.

– Muszę to odkręcić.

– Myślę, że na to już za późno.

Patryk pokręcił głową.

– Byłem na komisariacie – oświadczył. – Przyznałem się do winy, ale mi nie uwierzyli, dasz wiarę? Przychodzi gość i mówi, że kogoś zabił, a oni tak po prostu go wypuszczają.

– Co zrobiłeś?

Adamska wytrzeszczyła oczy. Miała wrażenie, że się przesłyszała.

– Przyznałem się – odparł od niechcenia. – Chciałem, żeby wypuścili ojca.

– Ale...

– Przecież wiem, że nie poradziłabyś sobie bez niego. Chyba że... – Potarł policzek. – Chyba że ten twój fagas by się wszystkim zajął, co?

– Kto?

– Dobrze wiem, że kiedyś coś się łączyło z tym idiotą.

– Mówisz o Macieju?

Patryk nie musiał odpowiadać.

– Stare czasy – bąknęła. – Było, minęło.

– A kto cię tam wie?

Pomyślała, że syn postradał zmysły. Nie znalazła innego wytłumaczenia na to, że wygadywał takie bzdury, ale jeśli chciał sprawić jej przykrość, z pewnością osiągnął swój cel. Odetchnęła ciężko i usiadła przy stole. Przysunęła sobie zimną herbatę i upiła łyk. Objęła kubek dłońmi, obserwując syna, który wpatrywał się w nią podejrzliwie. Nie poznawała własnego dziecka. Dlaczego przyznał się, że zrobił krzywdę tamtej dziewczynie? Przecież mógł trafić do więzienia. Balbinie nie mieściło się to w głowie.

– Pójdę do tego Macieja – oznajmił. – Jeśli dopisze mi szczęście, jeszcze nie poszedł na policję.

– Daj spokój.

– Ile mu zapłaciłaś?

Balbina odchyliła się niepewnie. Skąd wiedział o pieniądzach?

– Musiałaś mu zapłacić – wyjaśnił. – Inaczej by się nie zgodził. No więc, ile?

– Dwa tysiące.

– Jezu... Skąd wzięłaś tę forszę?

– Mam trochę oszczędności. Gdyby zażądał więcej, dałabym mu więcej. Zrobiłabym wszystko, żeby twój ojca wypuścili z aresztu.

Patryk nie odpowiedział. Kiedy wyszedł, odetchnęła z ulgą. Poczuła się nieco silniejsza. Już nie była sama w tej trudnej sytuacji. Była pewna, że syn coś wymyśli i wyciągnie ojca

z więzienia.

16

Cieślakowie siedzieli w półmroku salonu. Wokół unosił się aromat herbaty z miodem i cytryną. Henryk prawą ręką podtrzymywał spodek, palce lewej ręki zacisnął na uchu filiżanki. Trwał tak w bezruchu kilka minut, patrząc na żonę. Anna siedziała nieruchomo. Sprawiała wrażenie nieobecnej. Wzięła silne leki uspokajające, które zapisał jej lekarz. Nie przestrzegając wyznaczonych dawek, łykała pigułki, jak chciała, i gdyby zainteresowała się tym, co napisano na opakowaniu, dowiedziałaby się, że już dawno przekroczyła dzienną normę. Ale jej nic nie interesowało. Cieszyła się, że dzięki tabletkom ból choć trochę zelżał. Albo tak jej się zdawało.

Nikt nie zrozumie, jak bardzo cierpi matka, która straciła dziecko. Pustka, jaką odczuwała, była ogromna, jakby ktoś wyrwał serce z jej piersi. Jej córka została w bestialski sposób pozbawiona życia. Anna nie zapomni o tym do końca życia. Tego była pewna. W domu panowała przepełniona bólem i cierpieniem cisza.

Gdyby malarz uchwycił tę chwilę, sportretowałyby dwie przeraźliwie smutne twarze. Twarz kobiety wyrażała pustkę. Jej oczy były przeszkłone, ale nie płakała. Zaś na twarzy mężczyzny malowało się cierpienie. Oczy miał podpuchnięte, a na policzkach ślady łez.

Henryk wstał i odstawił na stolik filiżankę z herbatą. Zrobił to tak niezdarne, że naczynie zsunęło się ze spodka i spadło, plamiąc fusami pleciony dywan.

Anna nawet tam nie spojrzała.

– Będziemy tak siedzieć? – zapytał, mając nadzieję, że żona chociaż na chwilę się ocknie.
– Słyszysz mnie? Mówię do ciebie, czy do ciebie cokolwiek dociera?

Anna obróciła głowę w jego stronę, ale wzrok miała pusty.

– Halo? – Henryk podszedł do żony, chwycił ją za ramiona i potrząsnął. – Obudź się.

– Zostaw – mruknęła.

– Obudź się, do cholery, porozmawiajmy.

Anna odepchnęła jego ręce i znów zapadła się w sobie.

– Nie mam zamiaru tak siedzieć – powiedział Henryk. – Słyszysz? Muszę coś zrobić. Cholera, nie wiem co, ale muszę się stąd ruszyć.

Założył bluzę i sięgnął po filiżankę żony. Wypił całą zawartość.

– Nic nie powiesz? – spytał.

Odpowiedziała mu cisza. Nie mógł siedzieć z założonymi rękami. Nie chciał otumaniać się lekami. Musiał czymś się zająć. Siedzenie w domu, w którym jeszcze niedawno było tyle życia, dobijało go.

Założył kurtkę.

– Idę na spacer – poinformował żonę.

Kiedy wyszedł, nie ruszyła się z miejsca.

17

Arkadia Ząbek właśnie zamierzała wyjąć ciasto z piekarnika, kiedy kątem oka dostrzegła na podwórku jakiś ruch. Zostawiwszy otwarty piekarnik, podeszła do okna. Od razu rozpoznała, kim są goście, i zadrżała na myśl o przyczynie ich wizyty na plebanii. Wyglądziła fartuch, a potem wyjęła gorącą blachę z ciastem i ruszyła do drzwi.

– Dobry wieczór – powiedziała komisarz Rudnicka. – Zastaliśmy księdza Jacka?

Arkadia cofnęła się w głąb korytarza. Nie potrafiła ukryć zawodu na twarzy. Odchrząknęła, by odzyskać rezon. Była przekonana, że wizyta policji ma związek z jej zeznaniami.

– Ksiądz wikary powinien być u siebie – odparła. – Zaraz po niego pójde.

– Super.

– W jakiej sprawie państwo przyszli, jeśli można wiedzieć?

Oczy gospodyni aż rozbłysły ciekawością.

– Nie możemy o tym rozmawiać. – Wolski posłał kobiecie przeproszający uśmiech. – Chcielibyśmy jednak zamienić słowo z wikarym.

– Tak, tak. Oczywiście, proszę wejść.

Arkadia była porządną kobietą, lecz jej największym grzechem była ciekawość. Obok żadnej plotki nie przechodziła obojętnie i lubiła mieć wszystko pod kontrolą. Głównie z tego powodu dzisiejszego ranka śledziła księdza Jacka, chociaż nigdy nikomu by się do tego nie przyznała. Jej zdaniem w ostatnim czasie zachowywał się dziwnie, jakby był czymś podenerwowany, więc postanowiła to sprawdzić. Wołała nie myśleć, co by było, gdyby dowiedział się o tym ksiądz proboszcz.

– Upiekłam ciasto – powiedziała, wprowadzając policjantów do kuchni.

Rudnicka wdychała przyjemny zapach jabłecznika. W pomieszczeniu było gorąco i duszno. Przez uchylone drzwiczki piekarnika ulatywało ciepło, na kuchni zaś perkotały trzy garnki.

– Upiekłam jabłecznik, więc jeśli...

– Nie, dziękujemy – przerwała jej Rudnicka.

Ząbek spojrzała na policjantkę, jakby ta wymierzyła jej policzek.

– Wiadomo już coś w sprawie śmierci Kariny? – zapytała.

– Mamy pewne tropy.

– Och, ale chyba nie chce pani powiedzieć, że zrobił to ktoś z naszej wsi?

– Nie możemy zdradzić tajemnicy śledztwa – wyjaśnił Wolski.

– Proszę zawołać księdza Jacka – powiedziała Rudnicka.

Gospoia dłuższą chwilę przyswajała słowa komisarz, po czym skinęła głową i zniknęła na piętrze.

Minęło kilka długich minut, zanim wikary pojawił się w kuchni. Miał na sobie golf i Iniane spodnie. Usiadł naprzeciwko policjantów, składając dłonie jak do modlitwy.

– Pochwalony – rzuciła Rudnicka.

– Na wieki wieków.

Ksiądz pozwolił sobie na delikatny, ledwo zauważalny uśmiech. Sprawiał wrażenie spokojnego i opanowanego.

– Co państwa sprowadza? – spytał. – Arkadia mówiła, że chcecie ze mną porozmawiać, ale przyznam, że nie bardzo wiem, o co chodzi.

– Długo ksiądz tę sutannę nosi? – Rudnicka opadła na oparcie krzesła.

– Parę lat będzie, dlaczego pani pyta?

Ksiądz Jacek przechylił lekko głowę zaciekawiony.

– A tutaj, na tej wsi, jak się księdzu pracuje?

– To nie jest praca, droga pani, to posługa.

– No, no. – Lena ponagliła go gestem. – Jak zwał, tak zwał.

– Moi parafianie to porządni ludzie, bardzo pomocni. Kiedy tutaj przyjechałem, mieszkańcy przyjęli mnie bardzo ciepło. To wiele dla mnie znaczyło, bo wiecie państwo, bycie księdzem nie jest takie proste, jak każdemu się wydaje. Kiedy człowiek zostaje rzucony w zwartą i znającą się od lat społeczność, szybko może poczuć się wyobcowany

Ksiądz wstał i zaparzył kawę. Skrupulatnie odmierzył pełną łyżeczkę, zalał wodą, dosypał trzy łyżeczki cukru. Zamieszał trzy razy w lewo, trzy razy w prawo. Dolał mleka na dwa palce

i z powrotem usiadł przy stole.

– Zapewne słyszał ksiądz o tragedii, jaka spotkała rodzinę Cieślaków?

– Oczywiście. – Wikary pokiwał smętnie głową. – Modłę się za nich. Najgorsze, co może spotkać rodziców, to śmierć dziecka. Państwo Cieślakowie są bardzo pobożnymi ludźmi, a pani Cieślak była dziś u nas na plebanii. Przypuszczam, że szukała duchowego wsparcia. Rozmawiała z księdzem proboszczem.

– Wie ksiądz, o czym rozmawiali?

– Och, nie. Wiem tylko, że odwiedziła księdza proboszcza.

Nic dziwnego, że Cieślakowa była na plebanii, pomyślała Rudnicka. W takiej sytuacji tonący brzytwy się chwyta.

– Co ksiądz robił dzisiaj rana? – zapytała.

Wikary odchylił się, jakby uderzony podmuchem silnego wiatru. Komisarz zaskoczyła go tym pytaniem. Odchrząknął.

– Odprawiłem poranną mszę i wróciłem na plebanie.

– Ni cholery nie znam kolejności siedmiu grzechów głównych, ale mój policyjny nos mówi mi, że któryś z nich ksiądz właśnie popełnił.

– Nie odprawiał ksiądz porannej mszy – dodał Wolski.

Wikary oparł łokcie na blacie stołu i milczał długą chwilę.

– Dobrze – rzekł. – Przepraszam, strasznie mi głupio.

– Małe kłamstewko, a jakże znaczące. – Rudnicka uśmiechnęła się złośliwie.

– Słabo się czułem, więc poprosiłem proboszcza, by mnie zastąpił.

– Coś ze zdrowiem?

– Nie, ale wolałbym nie poruszać tego tematu.

– Problemy psychiczne?

– Nie rozumiem?

Rudnicka wstała i z rękoma w kieszeniach przeszła się po kuchni.

– Twierdzi ksiądz, że cały ranek spędził na plebanii? – zapytała.

– To znaczy...

Ksiądz Jacek spojrzał najpierw na Marcela, a potem przeniósł wzrok na Rudnicką. Zastanawiał się, czy warto brnąć w kolejne kłamstwo.

– No, no – ponagliła komisarz. – My już wiemy, ale chcemy usłyszeć od księdza.

– Wybrałem się na spacer.

– W taką pogodę?

– Lubię zimę. Wbrew pozorom to bardzo przyjemna pora roku.

– Dokąd wybrał się ksiądz na ten spacer?

Wikary znowu się zawahał, po czym wziął głęboki oddech.

– Do Natalii – powiedział. – Ale jej nie zastałem.

– Do Natalii... – powtórzyła Rudnicka, kiwając głową. – A po co?

– Chciałem z nią porozmawiać.

Nagle Lena podeszła do stołu i oparła na nim obie dłonie, nachylając się w kierunku wikarego.

– Naprawdę zaczynam mieć dość tej waszej zasranej wiochy.

– Lena – upomniał ją Marcel.

Postukała paznokciem w blat stołu.

– Mamy jednego na komisariacie, ale coś mi się zdaje, że będziemy musieli go wypuścić!

– warknęła. – Nie wiem, czy szanowny księżulek go tam nie zastąpi.

– Pani wybacz, ale nie rozumiem.

– Był ksiądz u Natalii. Sam ksiądz to przyznał.
– To chyba nie jest zbrodnia?
– Oczywiście, że nie – włączył się Wolski. – Pani komisarz jeszcze nie zdążyła wyłuszczyć całej sprawy.
– Problem leży w tym, że Natalia zniknęła – oznajmiła komisarz.
– Jak to zniknęła? – Wikary podrapał się w skroń. – Teraz to by się składało. W końcu nie zastałem jej w domu. Dzwoniłem do niej wcześniej, ale nie odbierała, więc postanowiłem ją odwiedzić.
– Co ksiądz robił przy balkonowym oknie?
– Przy oknie?
– Marcel, czy ja mam wadę wymowy? – Zerknęła na Wolskiego.
– Nie – zapewnił.
– No właśnie. – Znów spojrzała na wikarego. – Nie musi ksiądz powtarzać każdego mojego słowa. Wolski też nie jest głuchy.
– Sprawdzalem, czy wszystko w porządku – wyjaśnił wikary. – Dlatego byłem przy balkonowym oknie, ale skąd to wiecie?
– Zostały tam odciski butów księdza.
– Och, rzeczywiście mogło tak być.
Rudnicka przeszła się po kuchni. Właściwie chętnie zawinęłaby księdza na dołek. Nie lubiła kłamców, a księżulek od początku kręcił. Była pewna, że ukrywa jeszcze niejedną tajemnicę. Zastanawiała się tylko, jak by go podejść. Facet wyglądał na bystrego. Ostrożnie ważył słowa, wiedząc, że może sobie zaszkodzić, ale jednocześnie był zaskoczony podejrzeniami, jakie wysnuła w stosunku do niego Lena. Element zaskoczenia zadziałał, należało więc utrzymać go jak najdłużej.
– Po co ksiądz poszedł do Natalii? – zapytała.
– Miałem do niej sprawę.
– Zapewne tak ważną, że nie może nam ksiądz o niej powiedzieć.
Wikary kiwnął głową.
– Świetnie – skwitowała. – Zadam więc kolejne pytanie. Mam nadzieję, że na to ksiądz będzie w stanie odpowiedzieć.
– Proszę.
– Co robił ksiądz przy zwłokach Kariny Cieślak?
Wikary przełknął ślinę.
– Słucham? – spytał.
– Były tam ślady księdza butów.
– To jakaś pomyłka.
Słowa wikarego zawisły w powietrzu.
– Jak ksiądz wyjaśni, że odciski jego butów znajdowały się przy zwłokach Kariny? – powtórzyła Rudnicka.
– Nie mam pojęcia, skąd się tam wzięły. Jestem pewien, że to jakieś paskudne nieporozumienie.
– Zgwałcił ją ksiądz, a potem zostawił na mrozie?
– Wypraszam sobie! – Wikary wstał, przewracając krzesło. – Lepiej będzie, jeśli już sobie pójdziecie.
– Nie tak prędko.
– To bezpodstawne oskarżenia. Nie mam pojęcia, skąd przyszło wam coś równie strasznego do głowy!

W korytarzu rozległy się kroki i do kuchni zajrzał proboszcz. Na jego widok wikary stanął wyprostowany jak struna i splótł dłonie na plecach.

– Co to za krzyki? – Proboszcz zmarszczył brwi. – Co tu się dzieje?

– Przepraszamy za najście – powiedział Marcel. – Musieliśmy porozmawiać z księdzem Jackiem. Mieliśmy do niego kilka bardzo ważnych pytań.

– W jakiej sprawie?

Komisarz odchrząknęła.

– Proszę. – Skinęła dłonią na wikarego. – Pojedzie ksiądz z nami na komendę złożyć zeznania.

– Ale... – Wikary z zakłopotaniem podrapał się po głowie.

– No już. Proszę, proszę.

Młody ksiądz ruszył za policjantami. Wyszli na zewnątrz.

18

Nie powinieneś oddać jej tej forszy? – zapytał Damian, spoglądając na stryja.

Maciej siedział na kanapie z nogami na dębowej ławie, w prawej ręce trzymał pilota od telewizora, w drugiej zaś upitą do połowy puszkę piwa. Przerzucał kanały, na żadnym z nich nie zatrzymał się dłużej niż kilka sekund, aż w końcu trafił na stację z muzyką disco polo. Odłożył pilota i pociągnął łyk piwa.

– Słyszysz?

Maciej dopiero teraz spojrzał na bratanka.

– Pytałem, czy oddasz tej babie forsę? – powtórzył Damian.

– Jaja sobie robisz? – Z gardła Macieja wydobył się charczący śmiech. Odkasznął i otarł wierzchem dłoni usta. – Ani mi się śni. Nikt mi nie udowodni, że cokolwiek od niej wziąłem.

– Oby nie było z tego problemów.

– Naprawdę myślałeś, że dam Adamskiemu alibi? Pieprzę tę rodzinę. O, tu ich mam. – Wskazał miejsce, gdzie kończą się plecy, zaniósł się śmiechem, który przerodził się w suchy kaszel. Bratanek poklepał go po plecach. – Wszystko przez te fajki – mruknął.

– Ta babka chyba ci uwierzyła. No i ja też, kurna, tak myślałem.

– Od myślenia ja tu jestem, młody. I taki mam łeb, że zarobiłem ładną kasę za nic. Za frajer, kumasz? – Złapał się za brzuch. – Co jak co, ale po Balbinie tego się nie spodziewałem. Ale babki właśnie takie są, dzieciaku. Najpierw wygadują na ciebie najgorsze rzeczy, a potem skamlą, jak cię zabraknie. Zapamiętaj moje słowa.

Damian namyślał się chwilę.

– Coś w tym jest, stryjku – przyznał. – Coś w tym jest. Miałem kiedyś taką dziewczynę, Michalinka się nazywała, zgrabna taka, pupcia jak malowana, usteczka śliczne, cycuszki też niczego sobie, chociaż ja trochę większe wolę, ale narzekać nie mogłem. No i ta Michalinka na początku superdziewczyna, lubiła eksperymenty. – Damian puścił oko. – Wiesz, co mam na myśli? A potem mnie rzuciła. Pytam, dlaczego. Czy coś zrobiłem źle? Szkoda mi jej było, bo jednak fajna dziewczyna. A ona mi mówi, że się znudziła i ze mną zrywa. Pies cię trącał, myślę, znajdę sobie inną. Jak pomyślałem, tak zrobiłem, zaraz koło mnie zaczęła się kręcić taka Dorotka, och, to była panna, kobita z krwi i kości, nie tam żadna modelka, powiem stryjkowi, że jak Dorotka przez łeb łupnęła, to dopiero było coś! Ale wystarczyło, żeby Michaśka się dowiedziała i do Dorotki, zazdrosna, mówi mi, że ona wrócić chce, że zrozumiała swój błąd. Jak pies ogrodnika, co sobie nie weźmie, a drugiemu żałuje, jego mać!

– Takie właśnie są baby.

– Takie są baby – powtórzył Damian. – Dlatego stryjkowi zazdroścę, że sam jest.

Spokój przynajmniej ma, nikt nad głową nie psioczy, zrób to, zrób tamto. Szczęściarz ze stryjka. Też bym tak chciał.

Maciej był odmiennego zdania. Uznał jednak, iż nie powinien przyznawać się chłopakowi, jak bardzo brakuje mu kobiety. Bał się, że straci u bratanek autorytet. Ale prawda była taka, że gdy młody wyjedzie, Maciej znów zostanie sam. I ta perspektywa wcale go nie cieszyła.

Z tego właśnie powodu nie poszedł na policję. Kiedy wziął od Balbiny pierwszą ratę zapłaty, przyszło mu do głowy, że jeśli stary Adamski pójdzie siedzieć, Balbina zostanie sama. Załamał się i prawdopodobnie będzie potrzebowała pocieszenia – i tutaj Maciej widział miejsce dla siebie. Postanowił skłamać Balbinie, że poszedł na policję, ale jego zeznania niczego nie zmieniły, bo chyba mają na Adamskiego mocne dowody.

Maciej był skłonny zająć się synem Balbiny i Jerzego, Patrykiem. Choć słabo znał chłopaka, uznał, że miło byłoby mieć kogoś na wychowanie. Jerzy już do końca życia będzie gnął w więzieniu, a jego miejsce zajmie Maciej. Przecież Balbina kiedyś coś do niego czuła.

Damian rozprostował plecy.

– Przyniosę wiadro węgla – powiedział.

– Dobry pomysł. Na noc będzie trzeba trochę wrzucić, bo pomarzniemy. Tylko ciepło się ubierz, bo cię przewieje.

Damian zarzucił puchową kurtkę i wyszedł na zewnątrz.

Maciej wpatrywał się w ekran telewizora, upił łyk piwa i uśmiechnął się na myśl o tym, że już niedługo Balbina znów będzie jego kobietą. Przypuszczał, że będzie potrzebowała trochę czasu, ale postanowił trzymać się blisko niej i dawać jej wsparcie, pomagać w trudnych chwilach, aż w końcu znowu go pokocha.

Dokończył piwo i zgniótł puszkę, kiedy na plecach poczuł podmuch zimnego powietrza.

– Szybko ci poszło! – zawołał. – Jednak co młode nogi, to młode nogi!

Damian nie odpowiedział, więc Maciej spojrzał w stronę ciemnego korytarza. Dziwne, że bratanek nie zapalił światła, ale zanim Maciej zdążył się nad tym zastanowić, z ciemności dobiegł obcy głos.

– Miły wieczór, co?

Pomimo wieku Maciej błyskawicznie poderwał się z fotela.

– Kto tam jest? – zapytał.

– Niespodzianka.

– Wynocha!

Do pokoju wszedł Patryk Adamski. Maciej pamiętał go jako chudego nastolatka z pryszczatym czołem, ale teraz stał przed nim młody mężczyzna z ramionami napakowanymi w siłowni. Nawet jego rysy się wyostrzyły, a czujne oczy lustrowały Macieja od góry do dołu. Pod naporem tego spojrzenia cofnął się o krok. Adamski stanął naprzeciwko niego.

– Załatwmy to pokojowo – powiedział. – Oddasz kasę i już mnie tu nie ma.

– Jaką kasę?

– Nie udawaj idioty.

– Jaką kasę, dzieciaku?

– Moja matka mi wszystko wyśpiewała, więc nie wciskaj mi tu kitu.

Maciej przełknął ślinę. No tak. Mógł się tego spodziewać. Kasa przyszła zbyt łatwo. Ale nie zamierzał się poddawać.

– Nie zadzieraj ze mną, dzieciaku – powiedział ostrym tonem.

– Że co?

Patryk nie miał pojęcia, że zaraz wróci Damian. Będzie więc dwóch na jednego, pomyślał

Maciej i zaśmiał się w duchu, że nie będzie musiał oddawać gotówki. Taka forsa piechotą przecież nie chodzi.

– Kto ci pozwolił wejść do mojego domu? – spytał.

– Tak stawiasz sprawę?! – warknął Patryk i bez ostrzeżenia łupnął Macieja pięścią w lewy policzek. Tamten opadł na oparcie, zaskoczony tak gwałtowną reakcją. Nie spodziewał się uderzenia. Kilka sekund zajęło mu dojście do siebie.

– Co? – zapytał, wypluwając gęstą ślinę. – Stłuczesz mnie?

– Jeśli będę musiał.

– Może pogadaj z mamusią, co? W końcu to był jej pomysł.

– Byłeś na policji?

– Pieprz się, gównu ci powiem.

Kolejny cios tym razem nadszedł z drugiej strony. Maciej przetoczył się nad ławą i upadł na podłogę. Z rozciętej wargi sączyła się krew.

– Byłeś czy nie? – zapytał Patryk.

– Byłem.

– Pieprzysz.

– Sam ich spytaj.

Adamski złapał Macieja za poły podkoszulka, pociągnął go do góry i z całej siły rąbnął mężczyznę w meblościankę. Krysztaly, które Maciej trzymał na pamiątkę po zmarłej mamie, posypały się na podłogę. Maciej jęknął, czując, jak odłamek wbija mu się w stopę.

– Wynos się.

– Pieniądze!

– Wynocha z mojego domu.

Maciej czuł palący ból w okolicy nosa. Był pewien, że jest złamany, ale wolał go nie dotykać. W gardle zebrała się ślina zmieszana z krwią. Splunął na podłogę.

– Nie mam już tej forsy – powiedział zachrypniętym głosem.

– Jak to nie masz?

– Oddałem.

– Komu?

Maciej nie odpowiedział.

– Komu, kurwa?

– Miałem długi, nic mi nie zostało.

Kłamstwo przyszło Maciejowi zaskakująco łatwo. W tym był dobry.

Adamski zaśmiał się. W jego oczach Maciej dostrzegł wściekłość.

– Świetnie – odparł. – Teraz więc masz dług u mnie, rozumiesz?

– No nie za bardzo.

– Za tydzień przyjdę do ciebie i oddasz mi połowę tego, co dała ci moja matka, zrozumiałeś?

– Niby skąd mam wziąć tyle kasy?

– Gównu mnie to obchodzi! – warknął Patryk. – Za dwa tygodnie przyjdę po drugą część. Doceń, że daję ci czas. Mógłbym cię po prostu zabić.

– Nie zrobiłbyś tego.

– Taki jesteś pewien?

Maciej mimowolnie zadrżał. W oczach Patryka czaiło się zło. Ten dzieciak nie miałby żadnych skrupułów, by zrobić komuś krzywdę. A potem przyszło mu do głowy, że być może właśnie patrzy na mordercę.

– Dobra – wydusił. – Jakoś zdobędę tę forszę.

– No. – Patryk poprawił szalik. – Fajnie, że się dogadaliśmy.

Do domu wszedł Damian, trzymając w ręce wiadro z węglem. Dwie bryły zgubił przed drzwiami. Postawił wiadro w sieni i zawrócił, wrzucił węgiel do wiadra i powiesił kurtkę na wieszaku. Z westchnieniem schylił się po wiaderko, ale zastygł w bezruchu, zobaczywszy zakrwawionego stryja i stojącego nad nim Patryka.

– To ty! – warknął Adamski, robiąc krok naprzód.

– Co ja?

– To byłeś ty. Z Kariną. Mówiłeś, że jesteś jej kuzynem.

– Ja? Z kimś mnie pomyliłeś.

Damian cofnął się, unosząc otwarte dłonie. Postanowił uprzedzić wydarzenia. Pchnął drzwi i wybiegł w mrok. Adamski bez namysłu ruszył za nim.

19

Dochodziła osiemnasta, kiedy prokurator Krzysztof Nawrocki odłożył na biurko teczkę z aktami prowadzonej sprawy. Dopił kawę, wstał zza biurka, zgarniając z oparcia marynarkę, i wyszedł na korytarz.

– Prokuratorze, mam nadzieję, że pan kończy na dzisiaj?

Odwrócił się, by spojrzeć na sekretarkę. Była to kobieta przed trzydziestką, studentka, która – jak przypuszczał – miała co do wykonywanej pracy inne plany. Należała do kobiet, którym imponował drogi samochód i wypchany portfel. Dziewczyna przesadnie interesowała się samopoczuciem Krzysztofa, dbała o to, by zawsze miał pod ręką świeżo zaparzoną kawę, i starała się być przy tym tak zalotna, na ile pozwalał jej biust w rozmiarze C oraz mięsiste usta pociągnięte czerwoną szminką. Oczywiście Krzysztof dostrzegał jej walory. Beata, bo tak miała na imię, była rzeczywiście piękną dziewczyną, jednak Krzysztof nie mógł odwzajemnić jej starań. Nie zniechęcał jej, bo musiał przyznać, że zaloty młodej kobiety sprawiały mu pewną przyjemność, ale nie był zainteresowany romanssem. Po pierwsze był żonaty, a po drugie nie ufał tym młódkom, które przewijały się przez biuro. Te kobiety starały się zapewnić sobie dobrą przyszłość. Krzysztof wcale nie miał im tego za złe. Starały się, jak mogły, a dzisiejsze czasy nie należały do najłatwiejszych.

Mimo wszystko Krzysztof lubił Beatę. Mimo przesadnej serdeczności była sumienną pracownicą. Dokumenty dostarczała na czas, sprawnie wypełniała pisma, a pod jej nadzorem sekretariat znacznie sprawniej funkcjonował.

– Tak – odparł. – Wystarczy na dzisiaj.

– Nie powinien pan tyle pracować. Codziennie wychodzi pan późno. Powinien pan wziąć kilka dni wolnego. Nadmiar pracy bywa tak samo szkodliwy jak jej brak. Proszę zapamiętać moje słowa, może jestem młoda, ale coś tam wiem o życiu...

Krzysztof w ostatnich tygodniach rzeczywiście za dużo pracował. Zostawał po godzinach, brał więcej spraw, niż powinien, nadrabiał zaległości w dokumentacji. Był przepracowany, ale nie odpuszczał. Musiał zająć czymś głowę. Nadmiar wolnego czasu nie był jego sprzymierzeńcem. Kiedy wracał do domu po kilkunastu godzinach pracy, na nic nie miał siły, brał szybki prysznic i kładł się spać. Pokusa, by napić się wina, była znacznie mniejsza i nawet jeśli się pojawiała, potrafił nad nią zapanować. Ale jeszcze niedawno bywały dni, że tracił nad sobą kontrolę.

Teraz pozostawał trzeźwy głównie za sprawą terapii, na którą zaczął uczęszczać. Chociaż na początku czuł się paskudnie i nawet w najgorszych koszmarach nie przyszłoby mu do głowy, że będzie potrzebował pomocy. I choć nie przywykł do rozmów o własnych problemach i otworzenie się przed kimś obcym sporo mu zajęło, to miał poczucie, że jest silniejszy. Teraz –

jak mawiał jego terapeuta – najważniejsze to unikać pokus. Dlatego Krzysztof zaczął pracować jeszcze więcej i jeszcze dłużej niż zazwyczaj. Czuł się zmęczony, lecz szczęśliwy, że okazał się taki silny.

Dlatego niedawno zarzucił terapię. Był przekonany, że potrafi zapanować nad nałogiem.

Pokusa jednak była silna, szczególnie kiedy jego żona musiała wyjechać na parę długich tygodni, a on został w domu sam. Dla alkoholika to wymarzona sytuacja. Nikt nie mógł go kontrolować.

Ale teraz jego życie się zmieniło.

– Pani też powinna iść do domu – rzekł. – Wystarczy na dzisiaj.

– Och, mam trochę papierkowej roboty. – Uśmiechnęła się. – Poza tym, proszę mi wierzyć, nikt na mnie nie czeka, a wracanie do pustego mieszkania nie należy do przyjemności. Wolę zostać i popracować.

– Nieprawdopodobne. Tak piękna kobieta nie ma do kogo wracać?

Sekretarka się zarumieniła.

– Proszę iść do domu – polecił Krzysztof z uśmiechem. – Do widzenia.

W gruncie rzeczy zaciągnięcie Beaty do łóżka byłoby bardzo proste. Wystarczyłoby parę miłych słów, kilka komplementów. Kobieta lubi się podobać i mieć świadomość, że jest właśnie dla tego mężczyzny wyjątkowa. Krzysztof był pewien, że w końcu któryś z jego kolegów ulegnie jej urokowi. Ale mnie, pomyślał, możesz sobie odpuścić. Kochał swoją żonę. Ostatnie miesiące nie należały do najlepszych, ale wierzył, że się to zmieni. On się zmienił, a teraz musi poczekać, aż żona to doceni. Potrzebowali czasu, a rozłąka nie była dobrym rozwiązaniem. Powinni trzymać się razem, tyle że teraz nie było takiej możliwości.

Wsiadł do samochodu i już miał ruszyć do domu, kiedy wpadł na pewien pomysł. Zawiesił dłoń nad dźwignią zmiany biegów, obserwując, jak przechodnie, opatuleni w czapki i grube szaliki, zasłaniają się od wiatru, przemykając chodnikami.

Żona wyjechała raptem przed kilkoma dniami, ale już za nią tęsknił. Lenka może nie należała do najłatwiejszych osób, ale znał ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że potrzebuje czasu, żeby sobie wszystko poukładać. Wydarzenia sprzed paru miesięcy na pewno tego nie ułatwiły, ale był pewien, że da sobie radę. Wiedział, że nie jest jej łatwo. Miała skórę tak samo grubą jak pancerz, którym odgradziła się od ludzi. Poza tym martwiło go, że traci nad nią kontrolę. Nie miał pojęcia, co się z nią dzieje, i to uczucie sprawiało, że czuł dyskomfort. Chociaż podczas dzisiejszej rozmowy zapewniała, że wszystko w porządku, postanowił to osobiście sprawdzić, nawet jeśli znalazłaby dla niego tylko kilka minut.

Nie mógł postąpić inaczej. Wyruszył do Białych Brzegów. Nieco ponad godzina jazdy dzieliła go od spotkania z ukochaną żoną.

20

Jerzy Adamski pomyślał, że jeszcze kilka minut, a nabawi się odmrożeń. Zgrabiał mu palce u stóp, kiedy tak brnął przez nieodśnieżoną ulicę. Wieś wyglądała na opuszczoną. W domach paliły się światła, lecz na ulicy nie spotkał żywego ducha. Samochody zaparkowane wzdłuż drogi pokrywała kilkucentymetrowa warstwa śniegu, zmrożonego niczym lodowy kokon. Z podwórka Jaśkiewiczów dobiegło tubalne szczekanie stukilogramowego bernardyna. Pies rzucił się na bramę, zardzewiałe zawiasy zaskrzypiały. Z wielkiego pyska ulatywały krople lepkiej śliny.

Jerzy przyspieszył kroku. Odetchnął z ulgą, gdy wszedł w uliczkę prowadzącą do domu. Cieszył się, że Dawid wypuścił go z aresztu. Najwyraźniej policja znalazła sobie innego kozła ofiarnego. Jeszcze nie wiedział, co powie żonie, ale starał się tym nie przejmować. Balbina nie

powinna zadawać wielu pytań.

Zamknął za sobą furtkę i stanął na podwórku, które nagle wydało mu się jakieś obce. Jego wzrok mimowolnie powędrował w głąb, gdzie znaleziono ciało Kariny Cieślak. Poczuł, jak ciało przeszywa chłód, tym razem niezwiązany z mroźną aurą. Przełknął ślinę i na odrętwiałych nogach ruszył do drzwi. Sądził, że Balbina dostrzegła go, gdy wchodził na podwórko, ale zanim doszedł do domu, usłyszał, że ktoś otwiera furtkę.

Spojrzał za siebie, sądząc, że to ktoś z rodziny, ale na widok idącego w jego stronę mężczyzny cofnął się o krok.

– Co tu robisz? – zapytał zachrypniętym głosem.

Tamten nie odpowiedział. Wpatrywał się pociemniałymi z wściekłości oczami, z wargami zaciśniętymi w cienką linię. Nawet z odległości kilkunastu metrów Jerzy słyszał ciężki oddech przybysza.

– Czekales na mnie? – wychrypiął Jerzy.

– Los chciał, żebyśmy się spotkali.

– Jaki los? Co ty pieprzysz?

Gość zrobił krok naprzód. Jerzy cofnął się trzy kroki.

– Chciałbym postawić tutaj krzyż – oznajmił Henryk Cieślak. – O tam. – Wskazał miejsce za płotem.

– Krzyż? Zgłupiales?

– Żeby upamiętnić to miejsce.

– Nie ma mowy. Nie zgadzam się na żaden krzyż pod moim płotem. – Adamski zaśmiał się nerwowo. – Aleś wymyślił, krzyż, no, no...

Cieślak przekrzywił głowę, jakby nie zrozumiał odmowy. Powiódł wzrokiem po ciemnym polu. Jerzy dopiero teraz dostrzegł, że mężczyzna trzyma w lewej ręce drewniany krzyż. Zwykły, zbity z desek krucyfiks.

– I tak go postawię – rzekł Cieślak i przyciągnął krzyż bliżej ciała, jakby chciał się obronić przed ewentualnym atakiem. Ramiona krzyża oparł na barkach i pogładził dłonią. – Zrobię to nawet bez twojej zgody.

– Spróbuj. Możesz być pewny, że jak szybko go postawisz, tak szybko ja wywalę go do śmieci. Miejsce kultu sobie wymyślił – prychnął Adamski. – Mowy nie ma.

– Wstydzisz się krzyża?

– Nie życzę sobie żadnego krzyża obok swojego obejścia, rozumiesz?

W tym kraju krzyże stawiało się w różnych miejscach, ale Jerzy nie chciał, by drewniany krucyfiks codziennie przypominał mu o tragedii, jaka wydarzyła się tuż za jego progiem.

– Byłeś w areszcie? – spytał Cieślak.

– Nie twoja sprawa.

W uśmiechu Henryka Jerzy dostrzegł coś niepokojącego.

– Dlaczego?

– Spytaj gliniarzy.

– Masz coś wspólnego ze śmiercią mojej córki?

– Gdybym miał, nie wypuściliby mnie.

– Czyżby?

Jerzy najchętniej zakończyłby tę rozmowę. Cieślak budził w nim niepokój. Przerazała go nienawiść w jego oczach. Nie miał pojęcia, dlaczego tu przyszedł i tak uparł się na ten krzyż. A może to tylko pretekst?

– Wiesz, co czuje ojciec, który stracił dziecko? – zapytał Henryk. – Jasne, że nie wiesz. Nikt nie jest w stanie sobie tego wyobrazić. A wiesz, co się dzieje z moją żoną? Łyka prochy

i nie ma z nią żadnego kontaktu. Ciągłe płacze, śpi albo gapi się bezmyślnie przed siebie. Myślisz, że będę w stanie tak żyć? Jak długo pociągnę? Miesiąc, dwa, pół roku? Wiesz, co mam ochotę zrobić?

– Nie wiem i przyznam, że nie bardzo mnie to obchodzi...

– Wziąć sznur i powiesić się na najbliższym drzewie.

– Powinieneś pogadać z psychologiem. Idź na policję, może oni ci kogoś znajdą.

Gdzie, do cholery, jest Balbina? Już dawno powinna przyjść mu z pomocą. Na pewno widziała, jak wchodził na podwórko. Może wcale nie była taka głupia i gdy zobaczyła Cieślaka, zadzwoniła na policję?

– Powiedz mi prawdę – jęknął Henryk. – Błagam. Powiedz mi prawdę.

– Jaką prawdę?

– Zrobiliście coś mojej córce? – Podszedł bliżej. Ich twarze dzieliło raptem kilka centymetrów i drewniany krzyż. – Wiesz coś o jej śmierci?

– Wszystko powiedziałem policji.

– Powiedz mi, czy coś wiesz na temat jej śmierci.

– Nic nie wiem, do cholery!

– Kłamiesz. Czuję, że coś ukrywasz.

Jerzy nie zamierzał go przekonywać. Wzruszył ramionami.

– Masz to gdzieś, co? – spytał Cieślak.

– Rozumiem, że jesteś zły i cierpisz, ale nie mam nic wspólnego ze śmiercią twojej córki.

– Umarła niemal na twoim progu. Nie wierzę, że niczego nie słyszałeś.

– Twój problem.

– Doprawdy?

– Nachodzisz mnie we własnym domu i oskarżasz, że przyczyniłem się do śmierci twojej córki. Sądzisz, że ja ją zabiłem? O nie. – Uniósł otwarte dłonie. – Jesteś w cholernym błędzie, ale nie mam obowiązku przekonywać cię o mojej niewinności. I powiem ci coś. Mam dosyć tej rozmowy, więc albo wyjdiesz z mojej posesji po dobroci, albo ci w tym pomogę.

– Nie ruszę się stąd, dopóki nie postawię krzyża.

– Gwarantuję ci, że żaden krzyż nie stanie pod moim płotem.

– Będę go stawiał codziennie, choćbyś codziennie miał go wrywać.

Adamski zaśmiał się ponuro. Ta rozmowa była coraz bardziej niedorzeczna.

– Wynocha, Cieślak! – warknął. – Bo nie ręczę za siebie.

Mężczyźni mierzyli się wzrokiem niczym dwa psy gotowe do walki, ale Adamski jako pierwszy odwrócił głowę. Ten skrzywdzony ojciec budził w nim lęk. Mimo to nie zamierzał pozwolić na ten krzyż. Już widział tłumy palące znicze tuż pod jego płotem. Musi tego uniknąć, choćby miał codziennie wrywać ten krzyż z ziemi i palić w piecu.

Cieślak patrzył na niego ze złością, a potem zrobił coś, czego Jerzy zupełnie się nie spodziewał. Zaciśnął palce na krzyżu, zamachnął się i łupnął Adamskiego w głowę. Ten gruchnął na śnieg. Uderzenie było mocne, a krzyż ciężki, bo ważył dobrych kilka kilogramów. Nabił mi potężnego guza, pomyślał zaskoczony Jerzy.

– Zdurniałeś do reszty?! – wrzasnął.

– Jeśli okaże się, że masz coś wspólnego ze śmiercią Kariny, zabiję cię. Nigdy cię nie lubiłem.

– Masz nierówno pod sufitem! Mówiłem, żebyś poszedł na policję. Skierują cię do jakiegoś lekarza, dostaniesz tabletki i poczujesz się lepiej.

– Nie dam zmienić się w roślinę jak moja żona. Nie ze mną te numery.

Adamski wciąż leżał na śniegu i pocierał obolałą głowę.

– Pożałujesz! – warknął.
– O nie. To raczej ty pożałujesz. Powinniście mieć teraz oczy dookoła głowy, ty i twój synalek.

Chwycił krzyż pod pachę i opuścił podwórko, nie zamykając za sobą furtki.

21

Komendant Dziedzic próbował ukryć niesmak. Uśmiechnął się, ale bez serdeczności, ustami zaciśniętymi w cienką linię.

– Czyj to był pomysł? – zapytał.

Sadowski wymownie spojrzął na komisarz.

– Co na niego macie? – zapytał komendant.

– Nic szczególnego – odparła Rudnicka. – Musi nam wyjaśnić kilka kwestii. Na przykład to, czy ślady butów, które znaleźliśmy przy zwłokach Kariny, to on zostawił. I po co złożył wizytę Natalii Wiśniewskiej.

– Bo to, że tam był, już nam potwierdził – dodał Wolski, wsuwając dłonie do kieszeni dzinsów.

– A dziewczyna zniknęła. Chcę wiedzieć, czy ksiądz ma z tym jakiś związek.

– Nasz wikary? – zdumiał się komendant. – Duchownego zamykać? Wiecie, co się stanie, jak ludzie się dowiedzą?

Mogli się tego spodziewać. Już samo zaproszenie miejscowego księdza na przesłuchanie wywoła lawinę spekulacji, a jeśli w dodatku będą zmuszeni zatrzymać go dłużej na komisariacie, wieść rozniesie się również po okolicznych miejscowościach.

– Nie mogliście załatwić tego po cichu? – podsunął Dziedzic. – Na plebanii?

– Wszystkim nam powinno zależeć na rozwiązaniu sprawy – odparł Wolski. – Panu również.

– Och, tak, no przecież mi zależy, ale... – Komendant załamał ręce. – Zgodziłem się, żebyś współpracował z moimi ludźmi, ale mam nadzieję, że to nie jest twój pomysł. Dostyc mamy skandali w ostatnich dniach.

– To był mój pomysł – oznajmiła Rudnicka, przysiadając na biurku. – Rozmowa z wikarym musi się odbyć na naszym gruncie. Chciałabym, żeby stracił pewność siebie, a na plebanii byłoby o to trudno.

Komendant westchnął głęboko i popatrzył na Dawida.

– Tylko mi go nie zamykajcie – zastrzegł. – Pod żadnym pozorem go nie zamykajcie. Nie chcę, żeby mieszkańcy przestali ufać policji. Gdyby zaczęli zadawać pytania, powiemy, że to rutynowa rozmowa.

– Wiedziałałam, że księża mają w tym kraju wiele przywilejów, ale nie sądziłam, że policja będzie kryła ich przestępstwa.

– To nie tak.

– A jak, panie komendancie? Czy nie robimy właśnie tego? Czy nie staramy się, żeby miejscowy klecha wyszedł z twarzą z całej sytuacji?

Dziedzic podrapał się po karku. Na jego twarzy zarysowała się niepewność.

– Dobrze – rzekł. – To wasze śledztwo.

– Dziękujemy.

– Mam nadzieję, że nie popełnicie żadnego głupstwa. Pamiętajcie o tym, że wam ufam.

– Tak jest.

Komendant skierował się do drzwi, lecz w ostatniej chwili zawrócił i spojrzął na Wolskiego.

– Nie miałem okazji... – Zawahał się. – Przykro mi, chłopaku. Naprawdę mi przykro. Znałem twojego ojca. To był dobry człowiek.

Wolski uśmiechnął się blade i spuścił wzrok.

– To prawda – przyznał. – Był.

– Trzymaj się. – Położył mu dłoń na ramieniu. – Mam nadzieję, że jakoś ci się ułoży.

Gdy wyszedł z pokoju, Rudnicka klasnęła w dłonie, zeskoczyła z biurka i podeszła do Wolskiego.

– Daj mi fajkę – zażądała. Marcel podał jej papierosa razem z zapalniczką. Zapaliła i głęboko się zaciągnęła, po czym wyszła na korytarz, kierując się do sali przesłuchań. – No chodźcie! – zawołała.

Kiedy weszli do pomieszczenia, wikary uniósł wzrok i pokręcił głową z niedowierzaniem. Położył otwarte dłonie na blacie stołu i nabrał powietrza do płuc, przytrzymał je chwilę, po czym głośno wypuścił.

– Bóg was osądzi za to, co robicie – powiedział. – Pan wszystko widzi.

– Ehe. – Rudnicka pozwoliła, by Sadowski usiadł naprzeciwko księdza, obok niego zajął miejsce Marcel, ona zaś stanęła pod ścianą z papierosem tłącym się między palcami.

– Chcemy jedynie porozmawiać – zapewnił Dawid. – Nic więcej.

– Domyślam się, że to jakaś gra. – Wikary zmrużył oczy. – Pani nie jest stąd i nie wie, jaki skandal wywoła moje zatrzymanie...

– Pieprzę to – ucięła Rudnicka. – Mam to gdzieś.

– Pan też, panie Dawidzie? – zapytał ksiądz, nachylając się do Sadowskiego. – Pan też ma to gdzieś? Pani komisarz wyjedzie, a pan tutaj zostanie. Wie pan, parafianie mnie uwielbiają. Jestem dobrym księdzem. Moje zatrzymanie wzbudzi kontrowersje, zdaje pan sobie z tego sprawę?

– Nikt księdza nie zatrzymuje – odburknął Sadowski.

– Dlaczego więc tu jestem?

– Może Bóg tak chciał?

Wikary odchylił się do tyłu.

– Nie dziwi mnie pańskie podejście – ocenił. – Rzadko widuję pana na mszach świętych. Do gorliwych katolików pan się raczej nie zalicza.

– To moja sprawa.

Ksiądz uśmiechnął się, splótł dłonie na stole, schylił głowę i trwał przez chwilę w takiej pozycji, jakby zanurzony we własnych myślach.

– Proszę, pytajcie – odezwał się, rozkładając otwarte dłonie. – Odpowiem na każde pytanie. Postaram się pomóc.

– Wreszcie mówi ksiądz z sensem – powiedziała Rudnicka, przygniatając butem niedopałek. – Zastanawiałam się, jak długo będziemy się bawić w kotka i myszkę. Naprawdę mam tego dosyć.

– Chcę wam pomóc.

– O proszę.

– Źle mnie pani zrozumiała. Jestem zaskoczony waszymi metodami. Nie jestem o nic oskarżony, a traktujecie mnie, jakbyście już wydali wyrok.

– Pojawiły się pewne niejasności, dlatego zdecydowaliśmy się porozmawiać z księdzem – pospieszył z wyjaśnieniem Marcel. – Mamy nadzieję, że ta rozmowa rozjaśni sytuację.

Marcel poczuł na sobie spojrzenie komisarz. Znał mało przychylny stosunek Rudnickiej do Kościoła i księży, ale jej prywatna ocena nie powinna wpływać na przebieg przesłuchania. Prawda była taka, że nic nie mają na księdza Jacka, a sprowadzili go na komisariat, żeby go

trochę nastraszyć. Bo to, że wikary wiedział więcej, niż mówił, było pewne. Należało tylko odpowiednio poprowadzić rozmowę, aby coś z niego wyciągnąć.

– Zaczniemy od początku. – Wolski mimowolnie przejął przesłuchanie. Sadowski kiwnął głową na znak, że nie ma mu tego za złe. – Znalazł się tutaj ksiądz z dwóch powodów. Pierwszym z nich są ślady butów, jakie znaleźliśmy przy zwłokach Kariny Cieślak. Sądząc po obuwiu, jakie ma ksiądz na nogach, nie możemy wykluczyć, że mamy do czynienia z odciskami tych właśnie butów.

– Czyli nie macie pewności, że należały do mnie, a jedynie do kogoś, kto nosi takie buty jak ja?

– Można tak to ująć.

Wolski nie wspomniał, że ślady w większości zasypał śnieg. Nie sposób było określić rozmiaru podeszwy, ale pozostawione odciski niemal w stu procentach należały do kogoś, kto nosił trapery.

– Zapewniam, że nie mam nic wspólnego ze śmiercią Kariny.

– Znał ją ksiądz?

Wikary zwlekał z odpowiedzią. Otwartą dłonią przeciągnął po twarzy. Wolski dostrzegł w nim zmianę. Wcześniejsza wyniosłość zniknęła. Ksiądz sprawiał wrażenie zagubionego i Marcelowi zrobiło się go żal. Może naprawdę nie miał nic wspólnego ze śmiercią Kariny?

– Znałem – odparł. – Przychodziła do kościoła.

– Rozmawiał z nią ksiądz?

Wikary się zawahał.

– Czasami – odbąknął. – Kilka razy.

– Jakie miał ksiądz o niej zdanie?

– Wydawała się miłą dziewczyną. Była bardzo mądra. Lubiła się uśmiechać, ale chyba ostatnio miała jakieś problemy.

– To znaczy?

– Wyglądała na przybitą. Jakiś czas temu z nią rozmawiałem i powiedziała mi, że nie może znaleźć pracy. Przypuszczam, że o to chodziło. W końcu była już dorosła, a wciąż mieszkała z rodzicami. Dla niektórych to spory problem.

Wolski podrapał się w skroń. Może nie chodziło tylko o pracę? O coś, o czym nie chciała powiedzieć księdzu?

– Kiedy ostatni raz widział ksiądz Karinę? – zapytała komisarz.

– Oj, nie wiem. Nie pamiętam.

Jego głos był aż nazbyt spokojny, jakby wikary powstrzymywał się od okazania jakichkolwiek emocji. Czego się obawiał?

– Rozumiem. W takim razie proszę powiedzieć, co ksiądz robił przed domem Natalii?

– Mówiłem już, że musiałem z nią porozmawiać.

– Nie kupuję tego. O czym dokładnie chciał ksiądz porozmawiać z Natalią? – Klasnęła w dłoń. – Szczegóły, tylko to mnie interesuje.

Wikary powiódł wzrokiem po suficie. Farba, która niegdyś miała śnieżnobiały odcień, pożółkła, gdzieś tam pomarszczyła się i odprysła.

– Ja... – zająknął się. – Przepraszam.

– Za co ksiądz przeprasza? – Rudnicka podeszła bliżej. Intuicja podpowiadała jej, że zaraz coś się wydarzy. Zmiana w głosie księdza była znacząca. Dostrzegła, że lekko drżą mu dłonie, a na skronie wystąpiły krople potu. – O co chodzi?

Wikary pękł. W kącikach jego oczu pojawiły się łzy. Starł je, a potem uniósł wzrok i spojrzął na policjantów.

– Przepraszam, ale już nie mogę kłamać. Nie potrafię.
Policjanci spojrzeli po sobie, niczego nie rozumiejąc.

– Natalia знаła moją tajemnicę. – Wikary schował twarz w dłoniach. Dygotał. – Naprawdę nie chciałem, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział, ale jeśli chcecie powiązać mnie ze sprawą Kariny... Boże! Przecież nigdy nie zrobiłbym jej krzywdy!

– Tajemnicę? – zapytał Sadowski. – Jaką tajemnicę?

– Chciałbym wam pomóc, ale boję się, że obróci się to przeciwko mnie.
W pomieszczeniu zapadła pełna napięcia cisza.

– Nic zrobiłem Karinie krzywdy – szepnął wikary, kręcąc głową. – Nigdy bym jej nie skrzywdził.

– O co chodzi? – Sadowski nerwowym ruchem poprawił się na krześle. – Musimy to wiedzieć, żeby księdzu pomóc.

– Pomóc? Mnie się nie da pomóc... – Wikary uniósł przeszkłone oczy. – Czy jeżeli powiem wam prawdę, mogę prosić o dyskrecję?

– Zrobimy, co w naszej mocy – zapewniła Rudnicka.
Wikary odetchnął głęboko.

– Dobrze – rzekł.

– Muszę wam zaufać. Przyznam się do błędu. Bóg osądzi mnie za grzechy. Nigdy sobie tego nie wybaczę.

– Do rzeczy.

– Już raz popełniłem podobny błąd. Sądziłem, że zmadrzałem, że już nie jestem podatny na wszelkie pokusy. Och, Boże wybac mi moje grzechy! – Wikary uniósł otwarte dłonie ku górze. – Żałuję, tak bardzo żałuję...

Marcel spojrzał na Rudnicką. Komisarz siedziała nieruchomo. Trudno było wyczytać cokolwiek z jej twarzy.

– Zakochałem się – wyznał ksiądz. – W Karinie.

Wolski mimowolnie rozdziawił usta. Tego się nie spodziewał.

– Ale nie to jest moim największym grzechem – ciągnął wikary. – Miłość to nie grzech. Moim największym grzechem jest to, że uległem pokusie. Nie żałuję tego, co zrobiłem. I przyznaję się przed Bogiem, że jeśli życie potoczyłoby się inaczej, byłbym gotów rzucić sutannę i rozpocząć świeckie życie. – Ksiądz odetchnął. – Ale ona... Ona nie żyje...

– Natalia o tym wiedziała, prawda? – zapytała komisarz.

– Wiedziała... Po śmierci Kariny pragnąłem z kimś porozmawiać, żeby podzielić się moim bólem. Potrzebowałem szczerzej rozmowy. A tylko ona wiedziała o nas. Ale nie zastałem jej w domu...

– Spotkał się ksiądz z Kariną w dniu jej śmierci?

– Tak – przyznał ksiądz. – Spotkaliśmy się.

Henryk nie miał skłonności do przemocy. Nie wiedział, co w niego wstąpiło i dlaczego uderzył Jerzego Adamskiego. Owszem, nie przepadał za nim. Byli niemal rówieśnikami. W szkolnych czasach Jerzy był wrzodem na tyłku, dokuczał słabszym, wyśmiewał ich ubrania, zastraszał młodszych i nikt, absolutnie nikt, nie miał na niego wpływu. Wychowawcze pogadanki nauczycieli nie przynosiły skutku. Młody Jerzy stawał się jeszcze bardziej zuchwały, pyskował wychowawczyni. Poprosiła jego rodziców, by przemówili synowi do rozsądku, ukarali go, zamknęli w areszcie domowym lub zrobili cokolwiek innego, co sprawiłoby, że przestanie dokuczać innym. Wtedy ojciec stłukł go tak, że Jerzy na drugi dzień ledwo mógł chodzić, na

plecach, tuż nad pośladkami, miał krwiste szramy od skórzanego pasa.

Dopiero w dorosłym życiu Henryk zrozumiał, że Jerzy w szkole odreagowywał problemy w domu, w którym działa się nie najlepiej.

Henryk był spokojnym dzieckiem, dużo czasu spędzał z nosem w książkach. Zamiast szlajać się z kolegami po wsi, wolał się uczyć. Nie miał zgranej paczki przyjaciół, nie należał do najfajniejszej ekipy na studiach, ale mimo to poznał Annę, najwspanialszą kobietę pod słońcem, w której zakochał się już na pierwszym spotkaniu i która została jego żoną. Nie imponowały jej mięśnie, przekleństwa i picie taniej wódki. Kochał ją, a ona kochała jego. Byli udanym małżeństwem, szczęśliwą rodziną. Aż do teraz.

Henryk pomyślał o wizycie u Adamskiego. Niepotrzebnie dał ponieść się emocjom. Nie planował bójk, przeszedł porozmawiać i namówić sąsiada, żeby pomógł mu postawić krzyż, ale w twarzy Jerzego, w jego postawie, było coś, co sprawiło, że Henryk stracił nad sobą panowanie. Zastanawiał się, czy Adamski miał coś wspólnego ze śmiercią Kariny. Czy dawny szkolny opryszek mógł zrobić krzywdę jego córce?

Szedł chodnikiem. Było ciemno i pusto. Uliczne lampy rzucały słabe światło na zaśnieżone ulice. Niedaleko przebiegł kudłaty kundel z klapniętymi uszami. Przy łapach dyndały mu śniegowe kuleczki przyczepione do sierści. Na widok Henryka przystanął i popatrzył na niego czarnymi ślepiami, machnął ogonem, a potem zawarczał i z nosem przy ziemi przebiegł na drugą stronę ulicy. Henryk nie zwolnił kroku, szedł równym tempem, lekko zgarbiony, trzymając na ramieniu krzyż.

Myślał o zmarłej córce. Swojej małej, ukochanej córeczce.

Przypomniał sobie dzień, gdy Anna powiedziała mu o ciąży. Od dawna starali się o dziecko. Próbowali wiele lat, aż w końcu się udało. Och, jaka to była radość! Henryk oszalał ze szczęścia. Opiekował się żoną, robił wszystko, co mógł, by ją zadowolić, spełniał każdą jej zachciankę. Lekarz prowadzący powiedział, że istnieje duże ryzyko poronienia. Nie mogli do tego dopuścić. Nie teraz, kiedy w końcu Bóg dał im szansę. Robili wszystko, by urodziło się zdrowe. I tak się stało.

Jeszcze przed wyjazdem Anny do szpitala Henryk zabrał się do urządzania pokoju dla dziecka. Odmalował ściany na morski kolor – który, jeśli wierzyć czasopismom dla mam – miał działać kojąco na wzrok niemowlęcia, kupił mahoniową kołyskę wyłożoną miękkim materacem, własnoręcznie namalował ozdoby na ścianach – kucyki, świnki, wesołe pieski. Przed narodzinami córki często zaglądał do tego pokoju. Nie mógł się doczekać. Zastanawiał się, czy poradzą sobie jako rodzice.

Mimo upływu lata Henryk i Anna pozostali szczęśliwym i zgodnym małżeństwem. Wciąż się kochali i kochali swoją córkę. Co będzie teraz? Jak będzie wyglądało ich życie, kiedy ich ukochana córka nie żyje? Henryk przeklinał Boga, który zabrał mu dziecko. Spojrzał z nienawiścią w bezgwiezdne niebo.

– Zabrałeś nam ją – rzekł. – Czekaliśmy na nią tak długo, a ty ją zabrałeś.

Westchnął ciężko i przysiadł na ławeczce przy ogrodzeniu Milczarków. Pamiętał, jak lata temu ich babka latem siadała właśnie w tym miejscu i obserwowała ulicę. Czasem przysiadła się do niej inne sąsiadki, ale najczęściej była sama. Potrafiła przesiedzieć tak cały dzień.

Poczuł, że spodnie mu przemiękły. Na tyłku zrobiła się ciemna plama, ale Henryk nie zwrócił na to uwagi. Siedział tak, łkając w szalik, rękawem ocierając łzy. To wszystko wydawało mu się nierealne; ktoś się pomylił, myślał, a może to tylko zły sen?

Ale to nie był sen, ale prawdziwe życie. Problemy, z którymi zarówno on, jak i Anna będą musieli sobie poradzić. Bóg wystawił ich związek na próbę, a Henryk był pewien, że jej nie przetrwają.

Nie miał pojęcia, jak dotrzeć do Anny. Nie wiedział też, czy będzie w stanie jej pomóc. Sam z każdą godziną coraz bardziej pogrążał się w smutku. Spadał na dno. Chciał być sam. Chciał odejść. Umrzeć i dołączyć do Kariny.

Z zamyślenia wyrwało go skrzywienie butów na zmrożonym śniegu. Uniósł głowę. Z oddali nadchodził jakiś mężczyzna. Szedł szybkim, nerwowym krokiem. Po chwili Henryk rozpoznał Patryka Adamskiego. Ścisnął mocniej krzyż, który postawił między nogami.

– Dobrze, że pana widzę. – Patryk podszedł do niego. – Ma pan telefon?

– Telefon?

– Komórkę. Ma pan?

Henryk podrapał się w głowę. Czy miał coś takiego jak telefon?

– Po co pan tachasz ten krzyż? – zapytał Patryk.

– Walnąłem nim twój ojca.

Młody Adamski wyglądał na zaintrygowanego.

– Kiedy? – spytał.

– Teraz. Jakies pół godziny temu.

– To dobrze.

Henryk patrzył na niego zdumiony. Dzieciak cieszy się, że uderzył jego ojca? Widocznie jest tak samo szurnięty jak Jerzy. Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

– To oznacza, że gliny wypuściły go z aresztu – wyjaśnił Adamski. – To bardzo dobra wiadomość.

– Ano wypuściły.

– Dlaczegoś pan rąbnął go tym krzyżem?

– Nie pozwolił, żebym postawił go pod waszym płotem. Chciałem wbić krzyż w miejscu, gdzie umarła moja córka, ale on mi nie pozwolił.

– I słusznie. Taki krzyż to nic dobrego.

Patryk rozejrzał się dookoła i drgnął, jakby nagle coś sobie przypomniał.

– Masz pan ten telefon? – spytał.

– Gdzieś powinienem mieć. – Henryk poklepał się po kieszeniach kurtki, potem wstał i sprawdził kieszenie spodni. – Chyba nie wziąłem z domu – powiedział, rozkładając bezradnie ręce.

– Szlag by to...

Patryk zakręcił się wokół własnej osi. Spojrzał po okolicznych domach, po czym zaklął pod nosem.

– Po co ci telefon? – zapytał Henryk, a potem przypomniał sobie, co mówili policjanci, kiedy zjawili się w jego domu po śmierci Kariny. – Ej, ty? – Podszedł bliżej. – A ty wypisywałeś do mojej córki? Czego od niej chciałeś, co?

– Nie mam teraz czasu.

– Zrobiłeś jej coś?

– Mówię, że nie mam czasu, panie Cieślak.

– Niby po co ci mój telefon? Nawet gdybym miał, tobym ci nie pożyczył! – Henryk splunął wprost pod nogi Adamskiego. – Dobrze sobie!

– Muszę zadzwonić po gliny – wyjaśnił Patryk. – Chyba kogoś zabiłem.

23

Ksiądz Jacek z ociąganiem wszedł na plebanię, otrzepał buty ze śniegu, zdjął kurtkę i zawiesił ją na wieszaku. Stał w holu w milczeniu z rękoma opuszczonymi wzdłuż ciała. Proboszcz wiedział, że policjanci wzięli go na komisariat, i pewnie zastanawiał się, dlaczego

Jacek musiał składać wyjaśnienia. Nie chciał wracać na plebanię, ale nie miał dokąd pójść. Nie miał innego domu ani rodziny. Czuł, że rozmowa z proboszczem nie będzie należała do najłatwiejszych, ale musiał stawić temu czoła.

Kiedy wszedł w głąb domu, poczuł, że po plecach przebiegają mu ciarki. W salonie było ciemno. W jadalni również. Pomyślał, że to dziwne, bo o tej porze Arkadia zazwyczaj krzątała się po kuchni. Sprzątała albo szykowała obiad na kolejny dzień, ale teraz na parterze nikogo nie było. Jacek zajrzał do kuchni, zapalił światło, lecz zamiast gosposi zastał rozłożone na blacie kurze mięso, saszetki z przyprawami i plastikowy pojemnik z przykrywką. Na desce leżał nóż, a obok niego kawałeczki kurzej piersi pokrojone w kostkę. Ten widok wzbudził w nim jeszcze większy niepokój. Wszystko wyglądało tak, jakby coś przeszkodziło Arkadii w przygotowywaniu obiadu. Albo ktoś. Nigdy nie zostawiała w kuchni bałaganu, więc to musiało być coś bardzo ważnego.

Dla pewności sprawdził pozostałe pomieszczenia na parterze, ale również tam nikogo nie zastał. Pomyślał, że to dziwne. Drzwi wejściowe pozostawały otwarte, więc ktoś powinien być w domu, prawda? Albo wybiegł w pośpiechu i zapomniał zamknąć.

Wszedł na piętro i odetchnął z ulgą. Przez uchylone drzwi pokoju proboszcza sączyło się światło. Gdy zrobił kolejny krok, dobiegł go czyjś stłumiony głos. Przystanął. Nie chciał, by ktoś go usłyszał, a tym bardziej przyłapał na podsłuchiwanie. Rozpoznał głos Arkadii, ale mówiła bardzo cicho. Może właśnie się spowiadała u proboszcza? Jacek poczuł się niezręcznie. Co on właściwie myślał? Że proboszcz i gosposia mają przed nim tajemnice? To niedorzeczne.

Odkaszlnął głośno, by ksiądz i gosposia go usłyszeli. Głos Arkadii zamilkł. Jacek wszedł po schodach i chciał przemknąć się do swojej sypialni, gdy w korytarzu pojawił się proboszcz.

– Jacku, już jesteś? – powiedział. – Dobrze się składa.

Z pokoju księdza wyszła Arkadia. Rzuciła Jackowi spojrzenie pełne wyrzutu i ruszyła schodami w dół.

– Wejdiesz? – Proboszcz gestem zaprosił go do pokoju.

– Jestem zmęczony, księżo proboszczu. Wolałbym położyć się do łóżka.

– Zajmę ci tylko chwilę.

Jacek westchnął. Nie miał ochoty na rozmowę z proboszczem. Nie dzisiaj. Nie w takim momencie. Ale wiedział również, że nie uniknie konfrontacji. Pomyślał, że lepiej mieć to za sobą, skinął więc głową. Wcześniej był u proboszcza raptem dwa, trzy razy. Starał się nie narzucać przełożonemu, który cenil sobie spokój, a Jacek nie miał powodów, by go nachodzić. Rozejrzał się po skromnym pomieszczeniu. W rogu stało dwuosobowe, dębowe łóżko, przykryte białą narzutą obszytą złotą nicią. Ozdobne poduszki z połyskliwego materiału zajmowały połowę łóżka. Po prawej stronie znajdował się stolik nocny, a na nim stos książek, głównie reportaży z Afryki, co Jacka niespecjalnie dziwiło, bo proboszcz lubił powtarzać, że gdyby jego życie potoczyło się inaczej, najpewniej zostałby podróżnikiem. Na ciężkim, dębowym biurku leżał stos dokumentów oraz kartki formatu A4, częściowo zapisane. Jacek przypuszczał, że to właśnie w tym miejscu proboszcz pisze niedzielne kazania.

– Usiądź, proszę. – Proboszcz wskazał fotel z krwistoczerwonym obiciem i wysokim oparciem znajdujący się obok dwóch regałów wypełnionych książkami. Stojąca nad fotelem lampa na cienkiej nóżce rzucała ciepłe, pomarańczowe światło. – Napijesz się czegoś?

– Nie, dziękuję. Wolałbym nie niepokoić Arkadii. Jest już późno, a...

– Chodziło mi coś mocniejszego. – Proboszcz otworzył dolną szafkę biurka, ukazując okazały zbiór alkoholu – wina, whisky, burbony, koniaki. – Nie jestem wielkim grzesznikiem, każdy człowiek czasem potrzebuje odprężenia. Czy grzechem jest wypicie lampki wina przed snem?

– Oczywiście, że nie, byle z głową.

– No właśnie. – Proboszcz się uśmiechnął. – Z głową. Czasem i ja potrzebuję chwili dla siebie. Spójrz, ile przez lata nagromadziłem alkoholi. Kto to wszystko wypije? No? Masz ochotę?

Jacek nie potrafił odgonić od siebie nieprzyjemnego uczucia. Sądził, że kiedy po kolacji proboszcz zamyka się w sypialni, zajmuje się modlitwą albo studiowaniem ksiązek, a on zwyczajnie sobie popijał. Proboszcz, autorytet Jacka, nagle stał się zwykłym człowiekiem.

– Nie daj się prosić – odezwał się proboszcz. – Napijesz się ze mną koniaku?

– No dobrze, ale tylko trochę.

Proboszcz odkorkował butelkę, nalał na dwa palce i podał szklankę Jackowi. Wikary upił solidny łyk. Alkohol trafił do żołądka, sprawiając, że na policzki wystąpiły mu rumieńce. Bardzo rzadko pił alkohol.

– Bardzo dobry rocznik. – Proboszcz mlasnął przeciągle. – Dostałem ten koniak od człowieka, który pracował w tartaku. To było, hm... jakieś dwa lub trzy lata temu, pamiętam jak dziś, przyszedł do mnie i poprosił, bym odwiedził jego chorą żonę. Kobieta od kilku tygodni pozostawała w śpiączce. Bardzo smutna historia... W każdym razie odwiedziłem tę rodzinę, a kilka dni później kobieta wybudziła się ze śpiączki. Jej mąż był pewien, że to moja zasługa. Chciał mi zapłacić, ale oczywiście nie wziąłem od niego pieniędzy, więc w podziękę podarował mi ten koniak. Widzisz, Jacku, ludzie myślą, że ksiądz może zdziałać cuda, a my jesteśmy jedynie sługami Bożymi.

– Bóg chciał, żeby ta kobieta się obudziła.

– Tak – przyznał proboszcz, kiwając głową. – Nie było w tym mojej zasługi, ale prosty mężczyzna chciał mi podziękować za okazane serce.

Milczeli przez chwilę. Proboszcz długo wpatrywał się w Jacka, po czym odetchnął głęboko i nachylił się ku niemu.

– Jacku, pogubiłeś się w życiu, prawda? – zapytał.

Wikary nie spodziewał się tak bezpośredniego pytania. Poruszył się niespokojnie. Każda odpowiedź, jaka przychodziła mu do głowy, zdawała się chybiona. Nie chciał zwierzać się proboszczowi, ale wszystko wskazywało na to, że on już wie. A może tylko się domyśla?

– Miałem nadzieję, że już nigdy nie popełnię tego błędu – odparł. – Myliłem się.

– Chcesz o tym porozmawiać?

– Nie wiem, księżo proboszczu. Faktycznie się pogubiłem.

– Trudne czasy nastały dla nas i naszych parafian. Wstrząsnęła tobą wiadomość o śmierci tej dziewczyny, prawda?

Jacek uniósł wzrok.

– Nie byłeś chory – ciągnął proboszcz. – Czułeś się słaby z jej powodu.

– Dlaczego ksiądz tak myśli?

– Śmierć tej dziewczyny to tragedia dla całej społeczności, ale tylko u jednej osoby zobaczyłem w oczach ból. Ból tak wielki, że trudno go opisać.

– Ja... Hm...

– Takie cierpienie zobaczyłem u matki Kariny, Anny. Strata kogoś bliskiego, kogoś, kogo się kochało, jest największym ciosem, jaki może znieść człowiek. Ból fizyczny jest niczym w porównaniu z psychicznym.

– To prawda.

– Jeśli człowiek choruje, można przygotować się na jego odejście, prawda? – Proboszcz upił łyk koniaku i odstawił szklankę na stolik. – Ale podzielę się z tobą jedną z prawd, jakie udało mi się wypracować podczas posługi. Nikt nie jest w stanie przygotować się na śmierć bliskiej osoby, nawet jeśli choruje ona przewlekłe. Zawsze cierpimy, gdy odchodzi. Nie chcemy,

by nasi bliscy umarli. Śmierć zawsze niesie za sobą cierpienie.

– Księżę proboszczu...

– Nie zmuszam cię do spowiedzi, Jacku – przerwał mu proboszcz. – Myślę, że sam powinieneś przepracować swój problem. Ja jedynie mogę służyć ci radą, ale jeszcze nie jesteś gotowy na taką rozmowę.

– Nie?

– To zbyt świeża sprawa. – Proboszcz znów sięgnął po szklanę, upił łyk koniaku i odstawił ją na stolik. – Daj sobie trochę czasu.

– Nie wiem, co robić...

– Czujesz się pogubiony. To zrozumiałe. Ale najważniejsze, byś nie stracił wiary. Bóg wystawił cię na próbę i od ciebie zależy, czy ją przetrwasz.

– Nie jestem pewien, czy chcę wierzyć w Boga, który pozwala, by niewinne osoby umierały w tak okrutny sposób.

Jack dopiero po wypowiedzeniu tych słów zdał sobie sprawę z ich wagi. Właśnie przyznał się do tego, że przestał wierzyć. A jeśli przestał wierzyć, nie powinien być księdzem. Czekał, aż ksiądz na niego nakrzyczy, ale on milczał, wpatrując się w Jacka spojrzeniem pełnym zrozumienia.

– Ksiądz też to przeszedł, prawda? – zapytał wikary. – Ksiądz wie, co czuję.

– Każdy kiedyś przechodził kryzys wiary, mój chłopcze.

– Nie mówię o tym. – Jacek wstał i przeszedł się po pokoju. – Ksiądz też czuł coś do kobiety, myślę się?

Proboszcz zadumał się, po czym podniósł głowę i spojrzał na wikarego.

– Tak – odparł. – Jako sługa Boży miałem momenty słabości. Poczułem coś do kobiety, tak. Byłem podatny na uroki płci pięknej, ale zwalczyłem pokusę. Wiara w Pana była silniejsza.

– Jak się to księdzu udało?

– Modlitwa, synu. Modlitwa.

Jack obracał w dłoniach szklanę z koniakiem, upił łyk i rękawem otarł usta. Jeśli proboszczowi udało się zwalczyć pokusę, może jemu też się uda? Już raz czuł zauroczenie kobietą, pamiętał, że było ciężko, ale udało mu się zapomnieć. Ale przecież Karinę kochał całym sercem, chciał dla niej rzucić sutannę... Jak zdoła o niej zapomnieć?

Pamiętał dzień, kiedy zobaczył Karinę po raz pierwszy. To było kilka dni po przybyciu na nową parafię, nie znał jeszcze nikogo, wyszedł na spacer i zapytał pierwszą napotkaną osobę, którędy dojsć do najbliższego sklepu. Karina nie wytłumaczyła mu drogi, uśmiechnęła się i zaproponowała, że chętnie go zaprowadzi. Zgodził się, rozmawiali całą drogę. Karina była bardzo ciekawa świata, otwarta na wiedzę i doświadczenia innych ludzi. Przypominała Jackowi Anitę. Były do siebie podobne, nie tylko fizycznie. Jacek nie mógł się powstrzymać. Wstydził się tego, ale nie potrafił przestać na nią patrzeć. Była taka piękna...

Modlił się jeszcze gorliwiej. Arkadia powtarzała, że nowy wikary należy do nadzwyczaj pobożnych ludzi. Kiedyś powiedziała, że żaden z księży nie modlił się tak gorąco. Ale gospośnia nie znała prawdy. Jacek modlił się, ponieważ tracił wiarę. Chciał ją zatrzymać, ale ona wymykała mu się z rąk, myśli krążyły wokół kobiety. Modlił się do Boga o przebaczenie.

– Popeliłem grzech, proszę księdza – powiedział wikary, przerywając milczenie.

Proboszcz pokiwał głową. Nie zadawał pytań, za co wikary był mu wdzięczny. Mimo że nie skonsumowali swojego związku, sumienie Jacka nie było czyste.

Gdy Karina odwzajemniła jego uczucie, nie wiedział, co zrobić. Uciekł, zaszył się w sypialni na piętrze, płakał i pytał Boga, dlaczego wymierzył mu tak dotkliwą karę. Byłoby łatwiej, gdyby dziewczyna miała do niego obojętny stosunek, gdyby jego fascynacja była

jednostronna. Ale się pomylił. Ona również coś do niego poczuła. Od tamtej chwili nie mógł przestać myśleć o odejściu z Kościoła. Czuł się brudny.

– Spotkałem się z Kariną w dniu jej śmierci – wyznał.

Proboszcz zdjął ze spodni niewidoczny paproch i spojrzał na wikarego, dając do zrozumienia, by mówił dalej, ale ten nie dodał już nic więcej.

– Jacku, umówmy się, że kiedy poczujesz się gotowy, przyjdiesz do mnie.

– Nie wiem, czy kiedykolwiek będę w stanie o tym rozmawiać.

– Będziesz, Jacku – zapewnił go proboszcz z mocą. – Czas zaleczy rany, a kiedy to się stanie, przyjdź do mnie. Rozmowa jest dobrym lekarstwem na ból.

24

Rudnicka podwinęła rękawy ażurowego swetra i usiadła na kuchennym stole w wynajętym domku. Wolski wyjął z zakupowej torby przyprawę, mrożone warzywa i paczkę jaśminowego ryżu. Gdy wracali do domu, zadeklarował się, że przygotuje późny obiad. Rudnicka nie protestowała.

– Padniesz, jak to zjesz – powiedział, wstawiając wodę na ryż.

– Zabrzmiało jak ostrzeżenie.

– Z wrażenia, oczywiście. – Na patelnię wlał olej i odczekał chwilę, by się rozgrzał. – Na studiach to było moje popisowe danie.

– Jasne.

– Zobaczysz.

Wolski zaparzył dwie zielone herbaty i postawił na stole.

– Uważaj, bo wylejesz – upomniął Rudnicką.

– Dzięki, mistrzu. Nie wpadłabym na to.

– Zaraz wylejesz. Zejdź ze stołu.

– Jezu.

Lena zeskoczyła ze stołu, usiadła na krześle i wyciągnęła torebkę herbaty, która pływała w kubku.

– Co myślisz o tym księdzu? – zapytała.

– Myślę, że komendant miał trochę racji. Jeśli on rzeczywiście zadawał się z Kariną, we wsi wybuchnie skandal, a ludzie nie dadzą mu żyć.

– Wiedział, jakie konsekwencje może mieć romans księdza z dziewczyną.

Marcel odwrócił się i oparł plecami o blat.

– W takiej sytuacji kogo podejrzewamy najpierw?

– Małżonka.

– Albo kochanka.

– Zgadza się.

Rudnicka pokiwała głową. Wolski miał rację. Małżonkowie, partnerzy lub kochankowie ofiar idą na pierwszy ogień. Wikary sam przyznał, że z Kariną łączyło go coś więcej, ale czy byłby w stanie zrobić jej krzywdę?

Lena wypowiedziała pytanie na głos.

– To ksiądz – odparł Marcel, pocierając podbródek.

– Ksiądz nie może zabić?

– Trochę mu nie wypada.

– Ale wciąż jest człowiekiem. Człowiekiem, który ulega emocjom, bywa zazdrosny i w przypływie impulsu może zrobić głupie rzeczy.

– Uważasz, że to on?

– Nie wiem, ale fakty przemawiają na jego niekorzyść. Twierdzi, że spotkał się z Kariną w dniu jej śmierci, ponieważ chciał z nią porozmawiać. Rozmowa miała dotyczyć przyszłości ich związku.

– Chciał jej powiedzieć, że jest gotowy, by zrzucić dla niej sutannę. To poważna deklaracja. Musiał wiedzieć, ile emocji we wsi wywoła jego decyzja. No i musiał liczyć się z tym, że rodzicom Kariny ten pomysł nie przypadnie do gustu.

– Według wikarego Karina miała inne zdanie – przypomniała Rudnicka.

– Zamierzała z nim zerwać, żeby uniknąć skandalu. Gdyby zdecydowali się być razem, zostaliby wyklęci. Nie chciała tego. Poza tym była silnie związana z rodzicami.

Lena przesunęła paczkę papierosów po stole i wyjęła jednego.

– Karina go rzuciła – mruknęła, podpalając papierosa. – On poczuł się urażony i dotknięty... W końcu był gotów rzucić dla niej stan duchowny, a ona dała mu kosza. Załóżmy, że nie wierzymy księdzu i rozmowa nie potoczyła się tak, jak twierdził.

– Co masz na myśli?

Zanim odpowiedziała, wciągnęła dym do płuc.

– Facet jest księdzem – powiedziała. – Poznaje dziewczynę, zakochuje się w niej i jest gotów zmienić dla niej całe swoje życie, narazić się na śmieszność, na potępienie ze strony mieszkańców i znajomych, ale mimo to postanawia zostawić wygodne życie na plebanii. To duże poświęcenie.

– Nadal nie łapię.

– Sytuacja go przerosła? Był gotów na tyle poświęceń, a ona z nim zerwała. Może coś w nim pękło. Poczuł się dotknięty i wziął ją siłą, by dać jej nauczkę.

– Nie wygląda na brutala i sadystę.

Rudnicka zagryzła wargę. Coś tutaj nie pasowało. Coś przeoczyli.

– Wikary mówił, że wybrał się do Natalii, ponieważ tylko ona wiedziała o jego relacji z Kariną – powiedział Marcel. – Przyszło mi wtedy coś do głowy.

– Co takiego?

– Jak wcześniej ustaliliśmy, gdyby ludzie dowiedzieli się o wszystkim, wybuchłby skandal, prawda?

– Do brzegu.

– Nie miałyby znaczenia, czy wikary jest winny, czy nie. Ludzie wydaliby wyrok, a on byłby skończony, przynajmniej w tej parafii.

– Przeszedłby do innej. Akurat Kościół katolicki jest dobry w tuszowaniu takich smrodów.

– Ksiądz powiedział, że nikt nie wiedział o ich relacji. Nikt, oprócz jednej osoby.

– Natalii.

– Właśnie. Karina zwierzyła się przyjaciółce, nie wiedziała, co robić, czy brnąć w relację z księdzem. Wikary o tym wiedział. Mówił, że po śmierci Kariny potrzebował z kimś porozmawiać, ale nie mamy pewności, czy mówił prawdę.

– Uważasz, że postanowił pozbyć się Natalii, bo tylko ona wiedziała o nim i Karinie?

– Myślę, że nie tylko ona.

– To znaczy?

– Zostaje jeszcze Baśka Mielcarz. Uważam, że również jej Karina powiedziała o księdzu.

– Ale on niekoniecznie musiał o tym wiedzieć.

Teoria Wolskiego brzmiała wiarygodnie. I stanowiła kolejny argument obciążający księdza Jacka. Pętla wokół jego szyi zaciskała się coraz mocniej.

– Mamy świadka, który twierdzi, że widział, jak ksiądz idzie w stronę domu Natalii –

rzekł Wolski. – Zresztą sam przyznał, że tam był. Stąd ślady jego traperów wokół balkonowego okna.

– Myślisz, że jest tak głupi, by się wsypać?

– Jest cwany i mógł pomyśleć, że jeśli przyzna się, że poszedł do Natalii, żeby z nią porozmawiać, to mu uwierzemy.

– Nie przekonałeś mnie.

– Widzę. – Marcel usiadł naprzeciwko Leny. – Ale spójrz. To wszystko idealnie do siebie pasuje. Żałuję, że mocniej go nie przycisnęliśmy.

– A Tomasz Mielcarz? – Rudnicka napiła się herbaty. – On też miał motyw, by pozbyć się Natalii, i też przyznał się, że był przed jej domem.

Zanim Wolski odpowiedział, nałożył ryżu na talerze i zamieszał warzywa na patelni.

– Mielcarzowie są dziwni – odparł. – Cholernie dziwni. Żona oskarżyła własnego męża, że byłby zdolny do morderstwa. Nie wiem, co o tym myśleć.

– A on zrzuca winę na nią.

– Albo ukrywają coś jeszcze, o czym nie chcą nam powiedzieć, albo to rzeczywiście wyjątkowo nieudane małżeństwo.

– Kłamali od początku – zauważyła Rudnicka. – Tłumaczyli się tym, że nie chcieli być zamieszani w śmierć Kariny.

– Kupujesz to?

Lena posłała mu kpiące spojrzenie i zdusiła niedopałek w popielniczce.

– No i ten gliniarz. – Marcel zsunął warzywa na talerze i postawił je na stole. – Dziwię się, że tak łatwo mu odpuściłaś.

– Mam go na oku.

– Moim zdaniem on coś kombinuje.

Komisarz bez przekonania wpatrywała się w parujący talerz. Nabrała trochę warzyw na widelec i ostrożnie spróbowała.

– I jak? – zapytał Marcel.

– Zjadliwe.

– Dzięki.

– To nie znaczy, że dobre.

Wolski uśmiechnął się krzywo.

W kuchennym oknie mignęły reflektory samochodu. Ktoś zaparkował przed bramą, światła zgasły, a Lena zmarszczyła brwi i spojrzała pytająco na Marcela. On wzruszył ramionami. Nie spodziewali się gości.

Rozległo się pukanie do drzwi. Lena zastygła w bezruchu. Miała złe przeczucia. Ostrożnie odsunęła krzesło i podeszła z ociąganiem do drzwi, uchyliła je i serce podeszło jej do gardła.

– Cześć, kochanie. – Krzysztof w jednej ręce trzymał bukiet czerwonych róż, a w drugiej ozdobną torebkę, którą wcisnął w dłoń Leny. – Mały upominek. Zegarek. Myślę, że powinien ci się spodobać.

– Dzięki – bąknęła, choć miała ochotę krzyknąć. – Nie trzeba było.

– Stęskniłem się za tobą.

Lena się zawahała.

– Mam dużo pracy. Mogłeś mnie uprzedzić.

Krzysztof milczał, a do Leny dotarło, że on już wie. Przecież samochód Marcela stał przed domem. Musiał go zauważyć.

– Czyli niepotrzebnie przyjechałem? – spytał.

– Nie, to znaczy...

To nie był najlepszy moment na wizytę Krzysztofa. Lena nie miała pomysłu, jak usprawiedliwić obecność Wolskiego.

– Chyba jesteś już po pracy? – spytał.

– Tak, ale...

– Mogę wejść? Przejechałem tyle kilometrów, żeby spędzić z tobą chociaż chwilę.

– Właściwie...

– Kto przyszedł? – Z kuchni dobiegł głos Wolskiego.

Lena zakłęła w duchu.

Krzysztof nie zwrócił na niego uwagi. Uśmiechnął się, ale w tym uśmiechu było coś niepokojącego.

– Marcel jest tu przejazdem – wyjaśniła.

– Chętnie się z nim przywitam.

Mierzył Lenę dziwnym wzrokiem. Czuła, że policzki jej płoną. Zaczęła dygotać.

– Jechałem do ciebie półtorej godziny – powiedział. – Przez tę śnieżycę. Myślałem, że zrobię ci miłą niespodziankę, ale widzę, że ktoś już dotrzymuje ci towarzystwa. – Zaśmiał się. – Martwiłem się, że moja żona siedzi sama na jakimś zadupiu. Ciągłe się tym zadręczałem... – Podrapał się w skroń. – Nie wierzę, że mogłaś zrobić mi takie świństwo.

– To nie tak.

– Zamknij się. Nie mam ochoty słuchać twoich tłumaczeń.

Lena przełknęła ślinę. Wcale nie miała zamiaru się tłumaczyć. Wtedy w oddali dostrzegła nadjeżdżającego opla astrę. Zatrzymał się na drodze, z włączonymi światłami awaryjnymi, a ze środka wyskoczył Dawid Sadowski. Pchnął furtkę i na widok stojącej w drzwiach Leny uniósł dłoń.

– Musimy jechać – powiedział, z trudem łapiąc oddech. – Szybko.

– Dokąd?

– Wyjaśnię po drodze.

– A pan to kto? – spytał Nawrocki.

Sadowski spojrzał na prokuratora.

– Pan wybacz, nie przedstawiłem się – rzucił. – Aspirant Dawid Sadowski.

– Nawrocki. – Krzysztof uściskał jego dłoń. – Mąż Leny.

Dawid ze zdumienia otworzył usta.

– Dobra, jedziemy. – Rudnicka chwyciła kurtkę z wieszaka. – Przepraszam, Krzysztof, ale sam widzisz, jaki mamy kocioł.

– Jasne, rozumiem.

Bóg jeden wie, dokąd Sadowski tak gnał, ale była mu wdzięczna, że wyciągnął ją z tej cholernie niezręcznej sytuacji.

Krzysztof zawahał się, jakby czekał, że Lena zaprosi go, by poczekał na nią w domu. Ale się nie doczekał. Sadowski zapalił papierosa i ruszył do samochodu.

– Zaczekam w aucie! – zawołał.

Rudnicka wsunęła ręce w rękawy kurtki i zaciągnęła suwak.

– Też już pójdę – powiedział Krzysztof. – Niepotrzebnie przyjechałem.

– Przepraszam.

– Mam nadzieję, że dajesz tu sobie radę.

– Nie jest tak źle, jak się spodziewałam.

– Domyślam się.

Krzysztof podał Lenie bukiet i wsunął ręce w kieszenie płaszcza. Odchodząc, odwrócił

się w stronę drzwi wejściowych.

W progu stał Marcel Wolski.

25

Szli w ciemnościach, brnąc w śniegu niemal po kolana. Ciszę przerywały ich urywane oddechy. Dawid Sadowski wyciągnął z bocznej kieszeni bojówek latarkę. Rzuciła słabe światło, ale przynajmniej nie musieli błędzić po ciemku. W oddali stał dom, a w jednym z okien paliło się światło.

– Tam mieszka – poinformował policjantów Patryk Adamski. Weszli na ścieżkę prowadzącą na pokryty śniegiem ugór. – Odwiedziłem Macieja Kosika – mówił, z trudem łapiąc oddech. – Miałem z nim do pogadania, ale kiedy ten gość wszedł do środka, od razu go rozpoznałem.

Rudnicka oddychała płytko. Zmarzła na kość. Wizyta męża kosztowała ją sporo nerwów. Teraz nie mogła skupić się na tym, co mówił młody Adamski.

– Koleś wszedł, kiedy rozmawiałem z Maciejem, zobaczył mnie i dał nogę – ciągnął Patryk. – Ruszyłem za nim i dobiegliśmy tam. – Wskazał palcem wielki dąb. – Wciąż tam leży.

– Wezwałś karetkę? – zapytała Rudnicka.

– Już jadą – odpowiedział jej Dawid.

Spotkał Patryka, kiedy ten szedł przez wieś w poszukiwaniu telefonu. Chciał zadzwonić po pomoc, ponieważ sądził, że zabił jakiegoś chłopaka.

– Chodźcie szybciej – ponaglał ich teraz Adamski, przeskakując przez zasy. – Jak trafię przez tego gnoja do pudła, chyba się zabiję.

– Poczekaj, o co chodzi z tym facetem, co? – spytała komisarz.

Patryk się zawahał.

– To był on – wyjaśnił po chwili. – Widziałem go na festynie z Kariną. O matko... Powiedział, że jest kuzynem Kariny. Twierdził, że zatrzymał się u niej na parę dni. Była mocno wstawiona, więc zaproponował, że się nią zajmie i zaprowadzi do domu. Jestem głupi, bo mu uwierzyłem. Idiota ze mnie. Gdybym wiedział...

Rodzice Kariny nie wspomnieli o żadnym gościu.

– Wiesz, kim jest?

– Teraz już tak. To bratanek Macieja Kosika.

Do Leny powoli docierał sens jego słów. Kilka puzzli wskoczyło na swoje miejsce. Spojrzała na Adamskiego, lecz w ciemności nie widziała jego twarzy. Nie potrafiła ocenić, czy kłamie, ale nie miała podstaw, by tak sądzić. Przecież sam poprosił policjantów o pomoc i prowadził ich w miejsce, gdzie zostawił rzekomego kuzyna Kariny.

– Świadek twierdzi, że feralnego wieczoru widział Karinę z tobą i jakimś mężczyzną – odezwał się Wolski. – Podobno obaj ją podtrzymywaliście, a ona wyglądała na pijaną.

– To był on! I teraz tam leży! Spotkałem go z Kariną. Nigdy wcześniej go nie widziałem. To znaczy teraz już wiem, że kiedyś się spotkaliśmy, ale nie mam pamięci do twarzy, poza tym było ciemno. Powiedział, że jest jej kuzynem i żebym się nie martwił, bo odprowadzi ją do domu, Karina się zachwiała i musiałem ją podtrzymać. Pewnie wtedy zobaczył nas tamten świadek.

– Zostawiłeś pijaną Karinę z obcym?

– Jestem głupi, wiem, żałuję, ale nie wiedziałem...

Atrakcyjna i pijana kobieta oraz obcy mężczyzna – z takiego zestawienia łatwo o kłopoty.

– Nie zostawiłem jej od razu – bronił się Patryk. – Ale tamten powiedział, że wrócą razem, bo on przyjechał do jej rodziców na parę dni. Uznałem, że to nie jest taki zły pomysł, że

skoro i tak idą w to samo miejsce... Jezu...

– Co na to Karina?

– Zapytałem ją, czy to jest jej kuzyn.

– I co?

– Powiedziała, że tak. Ale może robili sobie ze mnie żarty, kurwa, sam już nie wiem.

Rudnicka zerknęła na Dawida, który próbował uspokoić zdyszany oddech.

– Co było dalej? – spytała.

– Wtedy ja zaproponowałem, że Karina może przespać się u mnie.

Świetny pomysł, podsumowała w myślach Lena. Adamski był zakochany w Karinie.

Gdyby dziewczyna u niego przenocowała, nie mógł sobie wymarzyć lepszej okazji.

– Zgodziła się? – zapytał Dawid.

– Nie, ale chyba nie miała za wiele do powiedzenia.

– Była aż tak pijana?

– Chyba tak. Poza tym kurczowo trzymała się tego faceta, więc co miałem zrobić?

– Odeszła z nim?

– Tak. – Patryk skinął głową. – On naprawdę nazywa się Damian. Teraz pamiętam, że kiedyś mi się przedstawił.

Zbliżyli się do wielkiego dębu. Rudnicka trzymała się nieco z tyłu, Marcel zatrzymał się, by na nią poczekać, ale machnęła ręką, by szedł dalej.

– Pokłóciliśmy się – kontynuował Adamski. – Ten Damian uciekł w pole, poleciałem za nim i dogoniłem właśnie w tym miejscu. Dziwne, że uciekał, prawda? Gdyby miał czyste sumienie, toby nie uciekał, dobrze mówię?

– O co się pokłóciliście? – zapytał Wolski.

– O Karinę. Oskarżyłem go, że zrobił jej krzywdę.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Widziałem, jak z nią szedł, to chyba logiczne, że mógł jej coś zrobić, prawda?

Marcel w duchu przyznał mu rację. Obcy mężczyzna, z którym świadek widział Karinę, mógł okazać się kluczem do rozwiązania zagadki. Przedstawił się fałszywym imieniem, twierdził, że jest kuzynem Cieślakówny. Kłamał. Po co? Czy chciał jej zrobić krzywdę, czy po prostu mu się spodobała i pozbył się Adamskiego, żeby móc zostać z nią sam na sam?

– Trochę się szarpaliśmy – ciągnął Patryk. – No i... lekko go popchnąłem, a on przydzwonił w ten kamień. Już mówiłem panu policjantowi – spojrzał na Dawida – że to było niechcący. Nie zrobiłem tego specjalnie. On uderzył głową w kamień, było dużo krwi... On... chyba nie żyje. Mówiłem do niego, próbowałem cucić, ale nie reagował. Nie miałem przy sobie telefonu, więc musiałem wrócić na wieś, żeby wezwać pomoc. Nie chciałem iść do Kosika. Zresztą on i tak pewnie nie ma telefonu. To pijaczyna. Najpierw spotkałem ojca Kariny. – Machnął ręką. – Z nim to już inna historia. A potem spotkałem pana Dawida.

– Jadąc tu, zadzwoniłem po karetkę, a potem wpadłem po was – dodał Sadowski, zapalając papierosa. Spojrzał na Lenę. – Pani komisarz, wszystko w porządku?

Rudnicka nie zaszczyciła go spojrzeniem.

– Lepiej być nie może.

– To tutaj. – Patryk obszedł drzewo i stanął pośrodku polany, wokół której rosły niskie krzewy. Poświecił latarką z telefonu najpierw w prawo, potem w lewo. Policjanci zrobili to samo. Spodziewali się, że znajdą tu ciało Damiana, ale polana była pusta. – To niemożliwe – jęknął Adamski. – Gdzie on jest?

– Na pewno był nieprzytomny? – zapytał Dawid.

– Na sto procent. Poczekajcie... – Podrapał się w skroń. – Nie, to na pewno tutaj.

Pamiętam.

Marcel rozejrzał się dookoła, świecąc telefonem. Przeszedł kawałek dalej, ale nic nie znalazł.

– Czyli co? – mruknął. – Rozpłynął się w powietrzu.

– On nie żył, panie władzo – zapewnił Patryk.

– Ktoś ukradł jego zwłoki?

Patryk wzruszył ramionami.

– Nie wiem – odparł. – Ale wątpię, by odszedł o własnych siłach.

– W takich ciemnościach trudno będzie znaleźć jakiegokolwiek ślady – powiedział Dawid.

– Nawet jeśli jakieś są, śnieg zdążył je zasypać – zauważyła Rudnicka. – Sprawdźmy u tego stryjka. Może tam poszedł ten twój Damian.

Opowieść Adamskiego brzmiała tak niedorzecznie, że nie mogła być zmyślona. Chłopak wyglądał na przejętego i naprawdę wierzył, że zrobił Damianowi krzywdę.

Policjanci skierowali się do domu Kosika. Szli gęsiego. Na zewnątrz robiło się coraz zimniej, z pewnością temperatura spadła już poniżej minus dziesięciu stopni. Rudnicka została nieco z tyłu. Spacer przez zasypane śniegiem pole nie napawał jej optymizmem. Najchętniej wróciłaby do domu i wypijała kubek gorącej kawy. Czuła, jak mróz szczypie ją w twarz.

Weszli na wydeptaną ścieżkę prowadzącą do jedynej w okolicy domu. Była to drewniana chałupa, zaniedbana; na starych, drewnianych oknach łuszczyła się biała farba, z prawej strony ganku leżało kilka dachówek. Właściciel nie przykładął wagi do porządku. Dom z trzech stron osłaniały gęste krzaki, obok starego wychodka piętrzyły się metalowe beczki, druty, żeliwne bele.

– Milutko tutaj – mruknęła komisarz, zrównując się z Wolskim.

– Kosik to pijak – wyjaśnił Adamski. – Zwyczajny moczymorda.

Kiedy zapukali, gospodarz kończył piąte piwo. Odstawił pustą puszkę na stolik i szurając kapciami, podszedł do drzwi i przekręcił zasuwkę. Rudnicka pchnęła drzwi. Kosik zachwiał się i stopą zahaczył o wieszak, który runął na ziemię.

– Ej! – zawołał. – Co jest?!

Nie odpowiedziała. Minęła gospodarza i ruszyła w głąb mieszkania.

– Policja. Rutynowa kontrola – wyjaśnił Dawid. – Musimy coś sprawdzić.

– Policja?! O co chodzi?

– To zajmie tylko chwilę.

– Jaka kontrola? – Maciej chwiejnym krokiem szedł za Rudnicką. – Czego kontrola, paniusiu, hę?

Wyprostował plecy i wciągnął koszulę, która wystawała mu ze spodni. Na lewej piersi miał tłustą plamę.

– Szukamy pańskiego bratanka – odparł Wolski. – Podobno zatrzymał się u pana.

– Kto tak twierdzi?

– On. – Wolski wskazał Patryka, opierającego się ramieniem o framugę.

Maciej na widok Adamskiego aż się wzdrygnął i zrobił krok w tył.

– Ach, tak – rzekł. – No... to prawda. Damian zatrzymał się u mnie na parę dni. Ale teraz nie wiem, gdzie on jest. Przyszedł ten młody – kiwnął głową na Patryka – zaczął wygrażać, a jak Damian go zobaczył, to uciekł. Szaleństwo. Obaj wypadli z domu jak oparzeni. Przyznam, że sam nie rozumiem, o co tu chodzi, ale może chłopcy mają jakieś porachunki, dali sobie po mordzie i tyle.

– Czyli Damian już nie wrócił?

– No nie. A widzi go pan gdzieś?

– Grzeczniej! – warknęła komisarz.
– Dobrze. – Kosik uniósł otwarte dłonie. Z przedniej kieszeni koszuli wyciągnął zmiętą paczkę cameli, wyciągnął papierosa, zapalił i zaciągnął się głęboko. – Nie wrócił. Długo gówniarza nie ma. Jeszcze trochę i zaczną się martwić.
– Dokąd mógłby pójść? – spytał Wolski.
– Skąd mam wiedzieć?
– Niech się pan zastanowi. To ważne.
– Damian nie zna ludzi we wsi. Może na spacer?
– Widzę, że trzymają się pana żarty – powiedziała komisarz. – Może na dołku pan spoważnieje?

Kosik zmarszczył brwi, wypuścił dym i cisnął niedopałek do popielniczki. Nie ufał glinom. Pamiętał, jak kiedyś milicja traktowała obywateli. Nie wierzył, że zmiana nazwy formacji mogła zmienić ich na tyle, by przestali nadużywać władzy, Mogli go zamknąć, wsadzić na dołek, przyklepać cokolwiek, a on by nie zdołał się wywinąć. Oni mieli władzę i broń, a on był zwykłym obywatelem, którego prawa są respektowane na tyle, na ile policja uzna za stosowne. Nie chciał się narażać. Noc na dołku wcale mu się nie uśmiechała.

– Damian nie wrócił – powiedział pojednawczo. – Nie wiem, gdzie jest.
– Wziął ze sobą telefon? – spytała Rudnicka.
– Tu leży. – Maciej wskazał stolik. – Damian po węgiel poszedł, więc nie brał komórki, ale jak wrócił, to tamten na niego naskoczył. – Spojrzał ze złością na Adamskiego. – To twoja wina. Po coś go gonił?
– Zaczął uciekać.
– Ciekawe, co teraz powiem jego ojcu. Zajebie mnie, że go nie dopilnowałem. Lepiej módl się, żeby młody się znalazł.

Wolski powiódł wzrokiem po pomieszczeniu. Mieszkanie wyglądało jak typowa pijacka melina. Brudna podłoga, bałagan na stole, śmieci pod szafkami, firanki pożółkłe od papierosowego dymu.

– Mam jeszcze pytanie – odezwał się. – Niedawno we wsi był festyn, prawda?
– No, był.
– Czy pański bratanek poszedł na ten festyn?
– Hm...

Maciej podrapał się po głowie. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Potrzebował chwili do namysłu. Wypite piwa nie ułatwiały myślenia. Musiał uważnie dobierać słowa, żeby nie wsypać siebie i bratanka, ale w głowie kłębiło mu się zbyt wiele myśli.

– Nie wiem – odparł, bo było najlepsza odpowiedź, jaka przyszło mu do głowy. – A co? Przeskrobał coś?

– Nie wie pan czy nie chce powiedzieć? – Rudnicka zmierzyła go ostrym wzrokiem, ale Kosik nie dał się podejść.

– Nie wiem – powtórzył. – Pijany byłem i nie pamiętam.
– Jeśli Damian wróci do domu, proszę nas zawiadomić – powiedział Dawid, wyjmując z wewnętrznej kieszeni kurtki notes. Wyrwał kartkę, zapisał numer i podał Maciejowi. – To nie są żarty, panie Kosik.
– No... dobra.

Policjanci wyszli, zostawiając Macieja samego. Otworzył kolejne piwo. Nie mógł pozbyć się myśli, że o czymś zapomniał. No tak. Miał dać alibi Jerzemu Adamskiemu, ale gliniarze na niego naskoczyli i wyleciało mu z głowy.

Sadowski rozesał zdjęcie Damiana po okolicznych komisariatach, a także do Łodzi. Jeśli chłopak postanowił wrócić do miasta, na dworcu autobusowym lub kolejowym szybko powinni go zgarnąć. Nie wiadomo, gdzie się zaszły. Nie mieli też podstaw, by sądzić, że nie żyje. Reakcja Adamskiego mogła być przesadzona, może był w szoku i błędnie ocenił stan Damiana, który jednak zdołał wstać o własnych siłach i się oddalić. Ale dokąd? Nie przetrwa nocy na zewnątrz na tym mrozie.

Sadowski odwiózł Lenę i Marcela do domu i zapewnił, że zajmie się młodym Adamskim oraz sprawdzi pobliski szpital. Jeśli Damian został dotkliwie pobity, może udał się po pomoc?

Podróż minęła im w ciszy. Rudnicka wpatrywała się w przestrzeń za szybą, ręce trzymała blisko samochodowego nawiewu, by się ogrzać. Czuła niepokój, który narastał, gdy zbliżali się do wynajmowanego domu. Intuicja podpowiadała jej, że nadciągają czarne chmury. Miała nadzieję, że Krzysztof wrócił do Łodzi. Gdy Sadowski zatrzymał samochód przed bramą, dłonie miała spocone, a koszulka lepiała się jej do pleców. Pożegnali się z Dawidem i wysiedli z samochodu. Wyjęła klucze i już miała otworzyć drzwi, gdy na podjeździe rozbłysły światła samochodu.

Lena zakłęta pod nosem. Miała dosyć. Chciała spędzić spokojny wieczór. Odpocząć na kanapie, wypić herbatę albo coś mocniejszego. Nie czuła się na siłach, by rozmawiać z mężem, ale miała świadomość, że to nieuniknione. Zatrzasnął za sobą furtkę i ruszył w ich stronę. Lena domyśliła się, że ich śledził. W prawej ręce trzymał odkorowaną butelkę taniego wina. Krzysztof nie pijał tanich win, ale najwyraźniej w wiejskim sklepie nie znalazł nic lepszego.

– Czekałem na was – oznajmił, rozkładając szeroko ramiona, jakby chciał ich przytulić. Kiedy nie usłyszał odpowiedzi, zaśmiał się ponuro, pociągnął łyk wina i odchrząknął. – Długo kazaliście mi na siebie czekać, moi mili. Trochę zmarzłem, ale może było warto? Powiedzcie, cóż to za ważna sprawa kazała wam tak szybko zabrać tyłki w troki? Hm?

Był pijany. Pod wpływem alkoholu udawał troskliwego i kochającego męża. Wszyscy, którzy ich znali, byli przekonani, że Krzysztof nie widzi świata poza swoją żoną. Dzisiaj jednak w obecności Wolskiego pokazał swoją prawdziwą twarz.

– Miałeś wrócić do Łodzi – powiedziała Lena, zerkając na Wolskiego.

– Czekałem, żeby zabrać cię do domu.

Krzysztof rozciągnął usta w szyderczym uśmiechu. Żona chciała się go pozbyć, ale nie miał zamiaru jej tego ułatwiać. Upokorzyła go. Już on się postara, by ona również poczuła wstyd.

– Nie pojadę, Krzysiek.

– Mylisz się, kochanie.

Rudnicka zacisnęła wargi.

– Znowu pijesz? – zapytała. – Sądziłam, że masz to za sobą.

– Zmusiłaś mnie do tego.

– Nieprawda.

– Zostawiłaś mnie.

– Musiałam wyjechać. Przecież wiesz.

Kątem oka dostrzegła, że Wolski robi krok naprzód.

– Nie zaprosisz mnie do środka? – zapytał Krzysztof.

– To jest kiepski moment.

– Czyżby?

Rudnicka się zawahała. Kłótnia z Krzysztofem wisiała w powietrzu.

– Marcel, skoczysz do sklepu? – spytała.

– Wołałbym zostać – odrzekł.

– Głuchy jesteś? – Krzysztof upił łyk wina z gwinta. – Dorośli chcą porozmawiać, więc się zmywaj.

– Zostanę.

Lena weszła pomiędzy mężczyzn.

– Marcel, zostaw nas samych – poprosiła.

– Naprawdę, wolałbym...

– Marcel, proszę cię.

Lena dostrzegła wahanie w jego oczach. Wpatrywał się w Krzysztofa, zaciskając pięści. Nie miała pojęcia, jak mu wytłumaczyć całą tę sytuację, ale na razie nie miała na to czasu. Modliła się w duchu, by odpuścił. Widziała, że bije się z myślami, ostatecznie jednak zapalił papierosa, kiwnął głową i wolnym krokiem odszedł za furtkę.

– Zaprosisz mnie do środka? – spytał Krzysztof, spoglądając za Wolskim. Poczul się pewniej. Uśmiechał się pod nosem, przekrzywiając głowę. Upił łyk wina i rękawem otarł usta. – No już! – warknął. – Otwieraj te pieprzone drzwi.

Lena nie miała wyboru.

Przekręciła klucz w zamku i wpuściła go do środka. Wszedł chwiejnym krokiem, postawił butelkę wina na kuchennym stole. Namyslał się chwilę, po czym sięgnął po nią, wypił zawartość do końca i rzucił butelkę w kąt kuchni.

Rozległ się huk pękającego szkła, rozsypującego się po podłodze.

– Zadowolona? – zapytał szyderczo.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Już ty, kurwa, doskonale wiesz, o czym mówię.

Lena przełknęła ślinę. Od dawna nie dopuszczała do siebie emocji. Znosiła przemoc z wyuczoną obojętnością. Nie знаła innego życia. Ale teraz to naprawdę się bała.

– Nie sądziłem, że jesteś aż tak głupia.

– Powiedz, o co chodzi. Porozmawiamy jak ludzie.

– Jak mogłaś zrobić mi coś takiego? Wiesz, jak się teraz czuję? Jak dureń. – Zaśmiał się krótko. – Przyjechałem do ciebie, bo nie chciałem, żebyś była sama, a ty szybko się pocieszyłaś. Od początku taki miałaś plan, co? A może to przeniesienie nie było przymusowe, hm? Może umyśliłaś sobie, że uwijesz gniazdko z dala ode mnie. I to z kim? Z tym dzieciakiem! Naprawdę sądziłem, że trochę wyżej się cenisz.

– To nie tak, jak myślisz...

– Nie pieprz! – warknął. – Dobrze wiem, że się puszczasz. – Podrapał się po głowie. – Swoją drogą to ciekawe. Bo na miejscu tego chłoptasia najchętniej bym się ciebie pozbył. Tak jak ty pozbyłaś się jego tatulka. Nie jest mu głupio, że posuwa pannę, przez którą zginął jego ojciec? A co na to jego matka? Słyszałem, że cię nienawidzi.

Lena cofnęła się o krok. Nie zabiła komendanta Wolskiego.

– Może przekonamy się, co o tym wszystkim myśli stara Wolska, co? Zadzwonimy do niej? Na pewno chętnie się dowie, co wyprawia jej synalek.

– To nie twoja sprawa, Krzysiek. Nie ruszaj tego...

Uderzył ją otwartą dłonią w policzek. Skóra zapiekła i przybrała purpurowy odcień. Lena zrobiła krok w tył i wpadła na stół.

– Zamknij się! – warknął.

– Źle to wszystko zrozumiałaś. Ja i Marcel, my nic...

– Zamknij się! Nie zamierzam słuchać tych kłamstw!

Lena zamilkła.

– Nie mogę – powtórzył i nerwowym ruchem potarł skronie, jakby rozboleła go głowa. –

Nikt nie upokorzył mnie tak jak ty. Byłem głupi!

– Marcel przyjechał tu na kilka dni. Między nami nic nie zaszło.

– Nie wierzę ci.

– Możesz go zapytać.

Krzysztof uderzył pięścią w ścianę. Z rozciętej skóry na kłykciach kapnęło kilka kropel krwi.

– Kupiłem ci prezent – powiedział, zaglądając jej w oczy. – Tęskniłem za tobą. Chciałem się zmienić, bo cię kocham, ale ty na to nie zasługujesz. Jesteś zwykłą kurwą. Puszczasz się z kim popadnie. – Lena chciała zrobić unik, lecz nie zdążyła. Mąż złapał ją za ramiona i potrząsnął. – W czym on jest lepszy ode mnie? – spytał.

– Puść.

– Pytałem, w czym ten gnojek jest lepszy ode mnie?!

Na swetrze Leny zostały plamy krwi. Krzysztof nie zwracał uwagi na rozciętą dłoń. Wpatrywał się w żonę z nienawiścią. Stała nieruchomo, czekając na najgorsze, ale Krzysztof puścił ją i nerwowo krążył wokół stołu.

– Gdzie masz walizkę? – zapytał. Lena nie odpowiedziała. – Gdzie twoja walizka?!

– W pokoju.

– Pakuj się.

Lena wciąż jednak stała nieruchomo. Była gotowa znieść wszystko, kolejny atak agresji męża, by nie wracać do poprzedniego życia. To koniec.

– Nie – odparła. Głos jej drżał.

Krzysztof popatrzył na nią. Nie spodziewał się oporu.

– Bierz tę cholerną walizkę i spakuj swoje pieprzone rzeczy. Jedziemy. Koniec szopki.

– Nie.

Oczy mu pociemniały, a oddech przyspieszył. Lena dostrzegła pulsującą żyłę na jego szyi. Podczas terapii uczył się kontrolować emocje, ale po alkoholu tracił nad sobą panowanie. Zaciśnął dłonie w pięści. Lena wiedziała, co zaraz nastąpi, i nic nie zrobiła. Gdyby Krzysztof był trzeźwy, być może ten wieczór potoczyłby się inaczej. Nigdy nie uderzył jej na trzeźwo, ale po kilka głębszych stawał się innym człowiekiem.

Dostała cios w brzuch. Zgięła się w pół z bólu i zatoczyła na bok, uderzając głową w kuchenną szafkę. Poczowała, że z rozciętej skóry na czole sączy się krew. Jęknęła. Przed oczami miała zamazany, niewyraźny obraz. Potrzebowała chwili, by zrozumieć, co się dzieje, i odzyskać ostrość widzenia. Drzwi się otworzyły, potem rozległy się krzyki i odgłosy szamotaniny. Ktoś upadł na podłogę, tuż przy niej. Usłyszała stęknienie, które nie wyszło z jej ust, a potem urywane słowa, ale kiedy ponownie otworzyła oczy, w kuchni nikogo nie było. Poczowała powiew zimnego powietrza. Drzwi wejściowe były otwarte.

Marcel.

Zmusiła się, żeby wstać. Przytrzymała się blatu. Szumiało jej głowie, ale zrobiła krok naprzód. Przed domem ktoś krzyczał.

Minęło kilka sekund, zanim doszła do siebie. Wyszła na zewnątrz w chwili, gdy Wolski pchnął Krzysztofa tak mocno, że tamten upadł na ziemię. Cały w śniegu, z czerwoną od zimna i alkoholu twarzą usiłował wstać. Kiedy mu się to udało, zachwiał się i popatrzył na Wolskiego z cynicznym uśmiechem. Rozłożył ręce i zaśmiał się głośno.

– Przybył bohater! – warknął. – Kto by pomyślał!

– Spieprzaj.

Lena spojrzała na Marcela. Oczy mu pociemniały z wściekłości, a wzrok miał nieobecny. Przemknęło jej przez myśl, że jest gotów zabić Krzysztofa.

– Ogłuchłeś?! – warknął.

Krzysztof chwiejnym krokiem podszedł bliżej. Otwartą dłonią wytarł sobie twarz.

– To moja żona – odparł. – Nie wtrącaj się w nasze sprawy, młody. Dobrze ci radzę. Masz jeszcze czas, by odejść stąd i zapomnieć o tym, co się tutaj wydarzyło.

– To ty stąd wyjdiesz i nigdy więcej jej nie zobaczysz.

– Taki jesteś pewny?

Zamachnął się, lecz Marcel okazał się szybszy i zwinniejszy. Uniknął ciosu i uderzył przeciwnika w brzuch. Nawrocki zakasłał.

– Pożałujesz, gówniarzu.

– Już nigdy więcej jej nie dotkniesz.

– No jasne. Za to ty sobie pomacasz, co? Lubisz starsze?

Wolski pchnął Krzysztofa, który upadł plecami na ziemię. Zamroczony alkoholem, nie miał szans się bronić. Marcel usiadł na nim okrakiem. Zaciśniętymi pięściami wymierzał mu razy w twarz.

– Taki jesteś odważny? – cedził, z trudem łapiąc oddech.

Z rozciętej wargi Krzysztofa pociekła krew.

– Marcel, do cholery!

Wolski dyszał jak zziębnięty pies. Adrenalina uderzyła mu do głowy. Uderzał na oślep. Nawrocki próbował się podnieść, zrzucić go z siebie, ale nie miał dość siły. Marcel był cięższy od niego. Myślał tylko o tym, co by się stało, gdyby rzeczywiście zostawił ich samych. Nie potrafił wyrzucić tego z głowy.

– Marcel!

Kiedy Lena kazała mu odejść, schował się za domem, a gdy ona i Nawrocki weszli do środka, wrócił, dopalił papierosa i nasłuchiwał. Przeczucie mówiło mu, że powinien chronić ją przed tym człowiekiem. I miał rację, a świadomość, że Krzysztof podniósł na Lenę rękę, była nie do zniesienia.

Marcel wstał, dysząc z wysiłku. Patrzył na Nawrockiego, który przewalił się na bok, kaszłąc i plując zabarwioną na czerwono śliną. Z rozciętego łuku brwiowego sączyła mu się krew. Zebrał się jednak w sobie i dźwignął na kolana.

– Weź sobie tę pieprzoną dziwkę! – warknął. – Ona i tak do mnie wróci. Zobaczysz.

Wolski zrobił krok naprzód, kiedy poczuł na ramieniu dłoń Leny, która usiłowała go odciągnąć. Wyrwał się jednak i podbiegł do prokuratora. Złapał go za poły płaszcza i przeciągnął kilka metrów po śniegu.

– Won! – warknął.

– Pożałujesz.

Marcel cofnął się, pozwalając by prokurator stanął na nogi. Otarł przedramieniem usta i popatrzył na żonę.

– Zadowolona? – spytał.

– Idź już.

– Znalazłaś sobie obrońcę, co? Pieprzonego rycerzyka.

Marcel zasłonił Lenę własnym ciałem.

– Wynocha! – wrzasnął.

– Bo co? Znowu mnie pobijesz? Wiesz, co za to grozi?

Wolski nie liczył się z konsekwencjami. Spojrzał na Lenę.

– Chodźmy do domu – powiedział łagodnie, obejmując ją ramieniem.

– Ale...

– Chodźmy.

Lena się zawahała. Czuła, że z rozciętego czoła cieknie jej krew. Wolski wyjął z kieszeni zmiętą chusteczkę i otarł jej ranę.

– Chodź – ponaglił. – Trzeba to opatrzyć.

– Marcel?

– Nic już nie mów.

27

Damian się ocknął. Kiedy uderzył głową o kamień, urwał mu się film, ale teraz odzyskał przytomność. Leżał na śniegu, w skroniach czuł pulsujący ból. Wstał z wysiłkiem, otrząsał spodnie i ruszył przed siebie z przekonaniem, że kieruje się do domu stryja, choć w rzeczywistości szedł w przeciwną stronę. Brnął przed śnieg, klnąc pod nosem, wokół panowały ciemności, a on nie miał latarki. W oddali dostrzegł słabe światło ulicznej latarni, ale po pokonaniu trzystu metrów upadł na kolana, sapiąc głośno. Czaszkę rozsadzał mu ból nie do zniesienia, nawet krzyczeć nie miał siły, na szczęście obok rosło drzewo, o które mógł się oprzeć.

– Kurwa – mruknął pod nosem.

Gdyby otworzył oczy, prawdopodobnie dostrzegłby migające światła latarek. To policjanci szukali jego ciała przy wielkim dębie. Siedział z przymkniętymi oczami i głową opartą o chłodną korę drzewa. Głosy policjantów w pobliżu uznał za wytwór własnej wyobraźni.

Siedział tak pół godziny. Zdawało mu się, że przysnął, a gdy otworzył oczy, poczuł się trochę lepiej. Czaszka wciąż pulsowała mu bólem, ale trochę oprzytomniał. Dźwignął się z trudem na nogi i kontynuował wędrówkę. Dotknął głowy. Krew w ranie zastygła.

Odetchnął z ulgą, gdy dotarł na asfaltową drogę. Wieś zdawała się opustoszała, ale Damian nie zniechęcał się, odczekał kilka minut i ruszył poboczem, utykając na lewą nogę. Wcześniej, błądząc w ciemnościach, potknął się o wystający konar i wyrznął na glebę, wykrzywiając przy tym stopę. Pewnie jest zwichnięta, pomyślał. Ze złamaną nie dałbym rady zrobić kroku.

Z nieba delikatnie prosił śnieg, a z jego ust ulatywała para. Dłonie miał zmarznięte tak bardzo, że nie czuł palców prawej dłoni. Dotarł do zabudowań i powiódł wzrokiem po domach ciągnących się wzdłuż drogi. W niektórych oknach paliły się światła, inne pozostawały ciemne. Nie kojarzył tej części wsi. Nie miał pojęcia, gdzie jest i którędy powinien iść, by trafić do domu stryja.

Przysiadł w wiacie na pętli autobusowej. Przed sobą miał boisko i remizę, a po prawej stronie parterowy budynek przedszkola. Po lewej ciągnęła się droga prowadzącą do miasta. Najwyraźniej pługi jeszcze tu nie dotarły, bo gruba warstwa śniegu zalegała na asfalcie. Zerknął na rozkład autobusów. Pomyślał, że skoro nie ma pojęcia, jak dotrzeć do domu stryja, wróci do Łodzi. Poklepał się po kieszeniach, szukając telefonu. Nie znalazł go, a na nadgarstku nie miał zegarka, więc nie mógł sprawdzić, która godzina. Uznał, że poczeka na jakikolwiek autobus, który staje na tym zadupiu.

Z każdą minutą było mu coraz zimniej. Cały się trząsał. Nagle go olśniło. Przecież Maciej mieszka niedaleko. Przypomniało mu się, że byli na tym boisku na festynie. Do domu wracali pieszo, więc stryj musiał mieszkać w pobliżu.

Wspomnienia powoli wracały. Poszedł po węgiel, w domu zastał Patryka Adamskiego, który go gonił, a on upadł. Ten pieprzony tchórz zostawił go na mrozie na pewną śmierć.

Dostrzegł w oddali jakąś postać. Ktoś szedł poboczem, przygarbiony, ze zwieszoną głową. Trzymał coś na ramieniu.

Damian wstał. Poczuł mrowienie w palcach i narastający niepokój. Tamten człowiek podniósł głowę i wbił w niego wzrok. Chłopak z przerażenia nie mógł się ruszyć.

Mężczyzna, który szedł w jego stronę, niósł na plecach krzyż.

28

Stojąca w rogu lampa rzucała słabe światło na twarz komisarz Rudnickiej. W pokoju było chłodno, bo nie pomyśleli o tym, by napalić w piecu. Rudnicka ściągnęła zaplamiony krwią sweter, założyła bluzę z kapturem i usiadła na kanapie, podciągając kolana pod brodę. Marcel podał jej piwo z dodatkiem rumu. Pociągnęła łyk, a w żołądku rozlało się przyjemne ciepło.

– Jak długo to trwa? – zapytał.

Lena nie odpowiedziała. Wprawdzie podjęła już decyzję i postanowiła powiedzieć Marcelowi prawdę, ale milczała, nie wiedząc, od czego zacząć. Kiedy poznała Wolskiego, nie przypuszczała, że stanie się on kimś więcej niż partnerem w pracy.

Zapalił papierosa.

– Przepraszam – powiedział. – Pewnie jesteś zmęczona i chcesz odpocząć, ale... – Wciągnął dym do płuc i wypuścił go z ciężkim westchnieniem. – Ja nie mogę... Nie wiem... Boże. Musimy o tym porozmawiać.

– Tak, wiem.

Marcel nie potrafił sobie wybaczyć, że był ślepy i głupi. Jak mógł tego nie zauważyć? Dlaczego mu nie powiedziała? Dlaczego nie szukała pomocy? Sięgnął po spray do odkażania ran.

– Nawet o tym nie myśl – zastrzegła.

– Trzeba to odkazić.

– Zapomnij.

– Nie zachowuj się jak dziecko.

– Zabieraj te łapy.

Myśli Marcela przypominały splątany kłębek wełny. Obawiał się, że Lena go odtrąci, a on przecież nie mógł zostawić jej samej.

– Nie powinieneś być tego oglądać – mruknęła. – Nie chciałam cię mieszać w swoje problemy.

– Daj spokój.

– Mówię poważnie, Marcel. Masz swoje życie i...

– To nie jest najważniejsze.

– Mówiłam, że twoja wizyta źle się skończy. Radziłam ci, żebyś wyjechał, ale mnie nie słuchałeś.

– Czyli to moja wina?

– Tego nie powiedziałam.

Wolski wyjął z lodówki puszkę piwa. Odciągnął zawleczkę, upił łyk i przykucnął przy Lenie.

– Trzeba to przemyć – spróbował. – Daj. Nie będzie bolało.

– Musisz być taki uparty?

– Daj.

Nachylił się ku niej i spryskał ranę, wokół której zebrała się piana. Rudnicka skrzywiła się, ale nie odsunęła głowy. Marcel starł nadmiar płynu, zgniótł chusteczkę w kulkę i rzucił na stolik.

– Zdejmij bluzę – polecił.

– Dopiero ją założyłam.

– Zdejmij.

– Chyba żartujesz.

Kilka sekund mierzyli się wzrokiem, ona odpuściła jako pierwsza. Z westchnieniem ściągnęła bluzę i odrzuciła ją na oparcie.

Marcel pochylił się nad nią i wstrzymał oddech. Ciało Leny szpeciło wiele blizn, starszych, dawno zagojonych i nowszych, wciąż zaczerwienionych. Przeniósł wzrok na ramiona pokryte szramami, wgłębieniami w skórze, pamiątkami po uderzeniach. Jak długo trwał ten koszmar? Podniósł wzrok. Lena sondowała jego reakcję. Nie uciekała przed dotykiem. Siedziała nieruchomo, kiedy musnął palcami bliznę znajdującą się na lewym boku, tuż pod piersiami. Skóra nie zrosła się równo i powierzchnia była chropowata.

– Upadłam na szkło – wyjaśniła.

– Upadłaś?

– Najpierw wleciałam na witrynę ze szkłem. Wszystko się stłukło. W środku była ślubna zastawa. Strasznie droga. Potłukła się w drobny mak. Krzysiek się wściekł, bo to był prezent od jego kumpla. Szczerze mówiąc, paskudny. Lepiej, że się potłukł. Upadłam na jeden z odłamków. Stąd ta blizna.

Rudnicka mówiła beznamiętnym tonem, jakby już dawno pogodziła się ze swoim oszpeconym ciałem.

– A to? – zapytał Marcel, wskazując szramę nad pępkiem.

Zastanowiła się chwilę.

– Nie pamiętam. Z czasem przestałam zapamiętywać.

– Nie mogę w to uwierzyć.

– Domyślam się.

– Jak długo to trwało?

– Trochę.

– To znaczy ile?

– Nie zawsze tak było.

Wolski nie wiedział, co przez to rozumieć. Sięgnął po piwo i usiadł obok Leny.

– Dlaczego nikomu tego nie zgłosiłaś? – spytał.

– Niby komu?

– Komukolwiek. Na pewno uzyskałabyś jakąś pomoc.

– To nie do końca tak.

– Bronisz go?

– Nie, ale niby dokąd miałam pójść, mądralo? – Włożyła bluzę i napiła się piwa. – Na policję? Kiedy stoisz z boku, łatwo kogoś oceniać.

– Nie oceniam cię. Wiesz, że możesz mi wszystko powiedzieć.

– Nie mamy tyle czasu.

– Mylisz się. Mamy bardzo dużo czasu.

Nie chciał naciskać, ale musiał poznać prawdę. Żeby pomóc Lenie.

– Chcę, żebyś wiedziała, że zawsze możesz na mnie liczyć – powiedział drżącym głosem.

– No jasne, rycerzu. Gdyby to było takie proste.

Na jej twarzy pojawił się blady uśmiech.

Marcel zrozumiał, że nieustępliwość i hardość Leny to maska, pod którą ukrywała przed światem swoją prawdziwą twarz.

– Myślisz, że Nawrocki tu wróci? – spytał.

– Nie wróci, ale upokorzyłeś go, a on nie lubi, gdy ktoś okazuje się lepszy od niego.

Dzisiaj przekonaliśmy się, że umiesz się bić. Nie przypuszczałabym, ale jest między wami jakieś dwadzieścia kilogramów różnicy, to wyjaśnia sprawę. Tak mi się przynajmniej wydaje.

– Byłem całkiem niezły, co?

Spojrzała na niego kpiąco.

– Mimo wszystko radziłabym ci trochę poćwiczyć.

– Będzie szukał zemsty.

– Gdyby mógł, najchętniej zemściłby się na mnie.

– Nie dopuszczę do tego. Możesz być pewna.

Lena przekrzywiła głowę. Wolski przysunął się bliżej i trzymając puszkę piwa między udami, odchylił głowę na oparcie.

– W ostatnim czasie było lepiej – powiedziała. – Sądziłam, że kiedy zda sobie sprawę ze swojego problemu, zmieni się. Chodził na terapię, odstawił alkohol, zaczął ćwiczyć. Na chwilę pomogło, ale wystarczyło, by się napił... Wiesz, Krzysiek nigdy nie był agresywny na trzeźwo.

– Znów go usprawiedliwiasz.

– Nie. Próbuję powiedzieć, że on nie kontroluje...

– Nie miał prawa cię tknąć, rozumiesz to?

Teraz rozumiała. Kiedyś było inaczej.

– Zabraniam ci myśleć w ten sposób – nie poddawał się Marcel. – Dla tego gnojka nie ma żadnego usprawiedliwienia, więc pogódź się z tym i przestań go tłumaczyć. Za to wszystko, co ci zrobił, powinien zgnieć w więzieniu.

– W tym wszystkim jest też trochę mojej winy.

Marcel nie wierzył własnym uszom.

– Twojej winy? – zapytał. – Czy ty słyszysz, co mówisz?

– Tak, Marcel. To moja wina, a wiesz, dlaczego? – Lena sięgnęła po paczkę papierosów i zapaliła jednego. – Bo powinnam przerwać to wcześniej, ale stchórzyłam. Miałam przynajmniej dokąd wracać. Bałam się wyrzucić życia do góry nogami, cholera, wiesz, jak Krzysiek by się wściekł, gdybym odeszła?

– Godziłaś się na przemoc?

– Nie zdarzało się tak często, jak mogłoby się wydawać.

– Dlaczego wyszłaś za niego za męża?

– Kiedyś tak nie było. Sprawy się trochę pokomplikowały.

– To nie jest odpowiedź.

– Nie mam innej.

Marcel się stropił. Niektórzy powiedzieliby, że był naiwnym marzycielem, ale on wierzył w miłość. Rodzice dawali mu wsparcie i przykład, że małżeństwo to związek dwojga kochających się i szanujących ludzi. Rzeczywistość jednak bywa brutalna.

– Byłaś z nim szczęśliwa? – zapytał.

Lena spuściła wzrok, zaciągnęła się papierosem i wypuściła dym.

– Nie – odparła. – Nigdy.

– Dlaczego więc za niego wyszłaś?

Marcel nie wierzył, że ktokolwiek jest w stanie godzić się na przemoc. Lena się bała. Bała się zmiany. Bała się zostać sama.

– Krzysiek wyciągnął mnie z bagna – odparła. – Całe moje życie to było jedno wielkie bagno, a on zapewnił mi stabilizację.

– To nie stabilizacja. To uzależnienie.

– Nie jestem od niego uzależniona.

– Nie o tym mówię.

– Dobrze wiesz, co spotkało moją matkę.

Wolski niechętnie skinął głową. Czy fakt, że wychowywała się w domu, w którym ojciec

znęcał się nad matką, sprawiał, że sama nie dostrzegała problemu we własnym małżeństwie i uznawała to za coś normalnego? Kilka miesięcy temu poznał przeszłość Leny. Zrobił to bez jej zgody, ale przypuszczał, że sama nigdy by mu nie powiedziała, co stało się z jej rodzicami. Przeżyła piekło. Trudno się dziwić, że zbudowała wokół siebie mur, przez który trudno było się przebić. Nie dopuszczała do siebie nikogo, tkwiąc w stworzonej przez siebie bańce, bo tylko tam czuła się bezpiecznie. To jakieś szaleństwo.

– Skłonności do bycia ofiarą nie dziedziczy się po rodzicach – powiedział.

– Zamknij się. Nic nie rozumiesz.

– Nie wrócisz już do niego.

Milczała.

– Nie wrócisz, słyszysz?

Upiła łyk piwa i odstawiła puszkę na stolik.

– Jesteś zły, że o niczym ci nie powiedziałam – odezwała się. – Ale miałam swoje powody. Nie było czym się chwalić. Poza tym każdy ma własne problemy. Nie chciałam dorzucać ci kolejnych.

– Pomógłbym ci.

– Wiem, dlatego o niczym nie mówiłam. Masz swoje życie.

Właśnie dała mu do zrozumienia, że nigdy nie był i nie będzie częścią jej życia.

– Nie mogę zrozumieć, dlaczego tkwiłaś w tym wszystkim tak długo? – Pokręcił głową z niedowierzaniem. – Boisz się go, prawda? Boisz się tego, co zrobi, jeśli odejdziesz.

– To nie było pytanie.

– Nie.

Lena położyła głowę na podkurczonych kolanach.

– Może masz rację – przyznała. – Jeśli spróbuję odejść, wiem, że urządzi mi piekło na ziemi. Czasem myślę o tym, że wolałabym tego uniknąć, mieć święty spokój i wciąż być jego żoną. – Westchnęła. – Krzysztof wcale nie jest taki twardy, jak się wszystkim wydaje. On jest jak dziecko, które potrzebuje opieki.

– Musisz z tym skończyć.

– Mhm.

– Niewiarygodne.

Wstał, zapalił kolejnego papierosa i krążył nerwowo po mieszkaniu.

– Dobrze, że tu jesteś – powiedział. – Daleko od niego.

– Robota na wiejskim komisariacie jakoś mnie nie zachwyca.

– Zdystansujesz się. Potrzebujesz czasu, by podjąć jakieś kroki.

– Czy ja powiedziałam, że chcę podjąć jakieś kroki?

– Chyba nie chcesz tego tak zostawić?

Marcel wpatrywał się w Lenę z niedowierzaniem. Sądził, że chociaż to jedno mają ustalone. Lena nie mogła dłużej tak żyć.

– Nie wiem – odparła. – Wrócimy do tej rozmowy.

– Jasne. Dzisiaj dużo się wydarzyło.

– Za dużo.

Wolski odłożył niezapalonego papierosa, usiadł na kanapie i przysunął się bliżej, obejmując Lenę ramieniem. Spodziewał się, że zaprotestuje, ale ona oparła głowę na jego ramieniu. Ten czuły gest wiele dla niego znaczył.

– Nie jesteś już sama – powiedział. – Pamiętaj o tym.

Rozdział III

1

Jechała asfaltową drogą w stronę centrum wsi, gdzie znajdował komisariat policji. Jezdnia była odśnieżona, posypana drobnym piaskiem. Po lewej stronie zalegały warstwy odgarniętego śniegu, po prawej, za betonowym ogrodzeniem, przez półtora kilometra rozciągał się sad. Latem dzieciaki z łatwością wspinały się na drzewa, by podkraść kilka dojrzałych owoców, ci bardziej zuchwali ładowali łupy do toreb, a inni do prowizorycznego worka z własnej koszulki. Teraz nikogo tu nie było. Białe pola ciągnęły się aż po linię lasu, a kilkanaście kilometrów dalej majaczyły dachy szarych wieżowców sąsiedniego miasta, nad którym królowały kominy dawno zamkniętego zakładu Wistom. Przez całą drogę Rudnicka nie minęła ani jednego samochodu.

Dochodziła siódma trzydzieści. Zaczynał się kolejny mroźny dzień w Białych Brzegach. Termometr pokazywał minus osiem stopni.

Przejechała przez skrzyżowanie, wrzuciła kierunkowskaz i zaparkowała przed komisariatem. Przy wejściu czekał na nią Dawid, palił papierosa, a z jego ust ulatywała para zmieszana z tytoniowym dymem.

– Dawno nie było takiej zimy – zagadnął. – Pamiętam, że w zeszłym roku w grudniu było dwanaście stopni na plusie. – Uśmiechnął się, jakby chciał dać do zrozumienia, że mróz nie robi na nim wrażenia. – Mamy naszego tajemniczego bratanka.

Lena ożywiła się.

– Znalezliście Damiana?

– Siedzi na komisariacie. Patrol zwinął go w nocy.

– Narozrabiał?

– Coś w ten deseń. – Zaciągnął się i wypuścił dym przez nos. – Sam do nas zadzwonił. Twierdził, że goni go facet z krzyżem. Chłopaki pojechali na miejsce i okazało się, że zgłaszający to nasz poszukiwany.

Lena bezwiednie się uśmiechnęła. Dzień nie mógł zacząć się lepiej.

– Tak samo zareagowałem – powiedział Sadowski. – Ale potem było jeszcze lepiej, bo okazało się, że facetem z krzyżem jest tatuś naszej denatki.

– Ojciec Kariny?

– Dokładnie. Ale zanim zaczął gonić naszego poszukiwanego, zaatakował tym krzyżem starego Adamskiego. Rąbnął go w łeb.

– W tej robocie chyba już nic mnie nie zdziwi.

– Patrol zwinął ich obu. Chłopaki przesłuchały ojca Kariny. Twierdzi, że walnął Adamskiego krzyżem, bo tamten mu nie pozwolił postawić go w miejscu znalezienia zwłok córki. I potem wędrował z nim przez wieś.

– Dokąd szedł?

– Dobrze pytanie.

Rudnicka pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Adamski wniósł oskarżenie? – zapytała.

– Jasne, że nie. Cieślak sam się przyznał. Facetowi chyba odbiło. Nie wiem, czy to sposób na przeżywanie żałoby, ale no, sama wiesz... Gość łąził po wsi z drewnianym krzyżem na plecach, aż spotkał Damiana. Twierdzi, że nie chciał zrobić mu krzywdy, ale chłopak wystraszył się i zaczął uciekać, a on po prostu go gonił. Paranoja.

– Po jaką cholere za nim biegł?

– Bóg jeden wie. – Sadowski wyrzucił niedopałek i wdeptał butem w ziemię.

Puścił Lenę przodem i razem weszli na komisariat. Chłodne mury budynku przywitały ich drażniącym zapachem środków czyszczących. Na końcu korytarza kobieta w średnim wieku pchała wózek wyładowany płynami i mleczkami do czyszczenia powierzchni. Pokonali rząd drzwi, uważając na świeżo umytą podłogę. Przywitani się z komendantem i ruszyli do pokoju przesłuchań. Marcel już na nich czekał. Rudnicka odebrała od niego kawę.

– No to jak? – zapytała. – Zaczynamy?

Marcel usiadł na parapecie ze skrzyżowanymi ramionami. To nie on miał prowadzić przesłuchanie, ale komendant wyraził zgodę, by przyglądał się rozmowie jako obserwator.

Rudnicka unikała jego wzroku. Dręczyła ją myśl o tym, że Wolski dowiedział się o jej problemach.

Damian siedział za stołem z dłońmi splecionymi na kolanach. Policjanci zrezygnowali z założenia mu kajdanek. Na ich widok wyprostował plecy i spojrzał ufnie. Poderwał się z krzesła, ale aspirant nakazał mu gestem, by usiadł z powrotem.

– Bez gwałtownych ruchów – zastrzegł.

– Dobrze, że jesteście – powiedział chłopak. – Myślałem, że zapuszczę tu korzenie. Noc na dołku to żadna przyjemność! Dlaczego mnie tu trzymacie?

Policjanci usiedli naprzeciwko niego.

– Zamknęliście tego świra? – dopytywał. – Kiedy mnie wypuścicie? Złożyłem zeznania, chcę iść do domu!

Damian spojrzał najpierw na Rudnicką, potem przeniósł wzrok na Dawida i rozłożył ręce.

– O co chodzi? – zapytał chłopak z niepokojem.

– Mamy kilka pytań – odparł Sadowski.

– Już gadałem z jakimś gliną. Mówiłem, że ten czubek szedł z krzyżem. Zacząłem uciekać, a on biegł za mną. Potem okazało się, że on już zaatakował jednego gościa. Strach na ulicę wyjść. Powinniście się nim zająć, nie mną.

– Co robiłeś o tej porze we wsi?

Damian wzruszył ramionami.

– Nic ciekawego – mruknął.

– Nie za zimno na spacer?

– Może miałem ochotę się przejść?

Rudnicka zabębniła palcami w blat.

– Co ci się stało w głowę? – spytała, a Damian otworzył usta, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Siedział nieruchomo, jakby nie rozumiał pytania.

– Upadłem – odparł w końcu.

– Na coś twardego? Na przykład na kamień?

Chłopak pokiwał głową i wydał usta.

– Właśnie tak. Upadłem, bo jeden gościu mnie popchnął. A właśnie. Chciałbym złożyć na niego doniesienie.

– Potem się tym zajmiemy.

– Mógł zrobić mi krzywdę.

– Jak widać, wyszedłeś z tego cało. Dlaczego szarpałeś się z Patrykiem Adamskim?

– A skąd pani wie, że z Adamskim?

Rudnicka uśmiechnęła się złośliwie.

– Dlaczego? – dociekała.

– Nie wiem. Kolejny pomylenieć. Wszyscy w tej wsi mają nie po kolei w głowie.

– Myślę, że dobrze wiesz, dlaczego.

Chłopak opadł na oparcie. Na jego czole pojawiła się pionowa zmarszczka. Zastanawiał się, co powiedzieć. Nie chciał obciążać samego siebie, ale nie przypuszczał, że trzymają go na komisariacie ze względu na tę głupią bójkę z Adamskim. Podrapał się w głowę i wziął głęboki oddech.

– Coś tam krzyczał – burknął. – Chciał mnie bić, więc dałem nogę.

– Co krzyczał?

Damian przygryzł wargę.

– Że zabiłem tę dziewczynę.

– A zabiłeś?

– Mogę papierosa?

Sadowski podał chłopakowi paczkę. Damian zapalił jednego, zaciągnął się, odkaslnął i wciągnął kolejną porcję dymu. Lewą dłoń wytarł o spodnie. Zaczął się pocić.

– Sam nie wiem – odparł.

– Nie wiesz?

– Wszystko mi się miesza.

Rudnicka uniosła brwi. Patrzyła na chłopaka przez chwilę, starając się wyczytać coś z jego twarzy. Nerwowo palił papierosa, uciekając wzrokiem w stronę drzwi.

– Spotkałeś Karinę na festynie, prawda? – upewnił się Dawid.

– Tak, i Adamskiego też. Ale teraz ona nie żyje i Adamski myśli, że to ja ją skrzywdziłem.

– A skrzywdziłeś?

Chłopak nie odpowiedział, a komisarz wymieniła znaczące spojrzenia z Sadowskim.

– Zaczniemy od początku – zaproponowała. – Skąd znałeś Karinę?

– Nie znałem. Widywałem ją we wsi. Odwiedzam czasami stryjka, pójdę do sklepu, zdarza się, że skoczę na mszę w niedzielę. Kiedy ją zobaczyłem, od razu mi się spodobała. Była bardzo ładna, ale to raczej nie moja liga.

– Byłeś na festynie?

– Tak, spotkałem ją przypadkiem.

Jeśli Adamski nie kłamał i zostawił Damiana samego z Kariną, ten miał sposobność, by zrobić jej krzywdę.

– Opowiedz o tamtym dniu.

– Jak mówiłem, siedzę u stryjka. Trochę popiliśmy i poszliśmy na festyn. Tam się doprawiliśmy – spojrział na policjantów – wiecie, grzane wino, takie tam. Człowiek szybko pił, żeby się rozgrzać, i trochę przesadziliśmy.

– Często tak popijasz?

– No... zdarza się. Czasem trzeba się wyluzować, prawda?

Rudnicka kątem oka dostrzegła, że Dawid cały się spiął.

– Piłeś na festynie – ponagliła Rudnicka. – Co dalej?

– Nie chciałem zrobić nic złego. Po prostu nie pamiętałem tamtego wieczoru, ale kiedy siedziałem tutaj na dołku i zacząłem się zastanawiać nad słowami ojca Kariny, przypomniało mi się, że faktycznie spotkałem ją na festynie. On mówił, że jego córka umarła, że ktoś ją zgwałcił i zostawił na mrozie. Pomyślałem, że to ja mogłem zrobić jej krzywdę. Kiedy wypiję, przestaję nad sobą panować.

– Czekaj. – Rudnicka uniosła otwartą dłoń. – Czyli nic nie pamiętasz z tamtego wieczoru?

– Nie pamiętam, jak wróciłem do domu.

– A twój stryj? Był z tobą?

– Rozdzieliliśmy się. Spotkał jakiegoś kolegę i się zmyli, bo tamten miał kilka litrów bimbru. Mieli przynieść parę butelek pod remizę, bo tam czekali na nich koledzy.

– Co ty wtedy robiłeś?

Damian westchnął.

– To było tak: stryjek spotkał tego kolegę. Oni nie pracują, a jak pracują, to gdzieś na czarno, fuchy łapia. Kasy nie mają, a tu grzane wino, jakieś piwo, swoje kosztuje, no więc któryś z nich wpadł na pomysł, żeby bimbru spróbować. Kolega stryjka mówi, że przyniesie, ale potrzebuje kogoś do pomocy, więc stryjek powiedział, że z nim pójdzie. Ja chciałem winka jeszcze kupić, bo zimno strasznie było, a ciepłe wino dobre na taką pogodę. Kręciłem się tu i tam, potem spotkałem stryjka z tym bimbrem, łyknęliśmy i stryjko się ulotnił. – Damian podrapał się w skroń. – No i potem napatoczyła się ta dziewczyna. Pijana była, ale chętna na małe co nieco. Widziałem to w jej oczach, że miała ochotę...

– Niby na co? – przerwała Lena. – Na co miała ochotę?

– No, na seks. Pomyślałem, że przelecę ją gdzieś w krzakach.

– Udało ci się?

– Ona się zataczała. Musiałem ją podtrzymywać. Bełkotała coś, że piła z koleżanką, ale tamta dała spokój, a ona chce jeszcze. Powtarzała, że wreszcie ma okazję się wyluzować i że dawno tak dobrze się nie bawiła.

– I według ciebie jej słowa świadczyły o tym, że miała ochotę na seks?

– No nie... ale...

Rudnicka zacisnęła pięści, ale się zreflektowała. Uznała, że lepiej trzymać emocje na wodzy, choć chętnie przywaliłaby temu dupkowi. Podchwyciła spojrzenie Wolskiego, który wpatrywał się w nią intensywnym wzrokiem.

– Spotkaliście kogoś po drodze? – zapytała.

– Chyba nie.

– Mamy świadka, który widział ciebie, Karinę i Patryka Adamskiego.

Damian namyślał się chwilę.

– Mogło tak być – odparł.

– Podobno przedstawiłeś się jako kuzyn Kariny.

– To nie tak. – Zgasił niedopałek i uniósł otwarte dłonie. – Ona kazała mi tak powiedzieć. Mówiła, że ten gość się do niej klei, a ona nie jest zainteresowana. Podobno za nią łąził i nie dawał spokoju.

Sadowski nagle odchrząknął.

– Adamski dał się zbyć? – spytał.

– Nie tak szybko, ale w końcu odpuścił.

– Dokąd poszedł?

– Skąd mam wiedzieć?

– Co było dalej?

– Ledwo mogłem ją utrzymać. Naprawdę ostro się wstawiła. Zataczała się, śmiała, mówiła różne głupoty. Staliśmy w tej uliczce, gdzie ją znaleźliście. Nie pamiętam, co było dalej. Nie wiem nawet, jak dotarłem do domu.

Historia przedstawiona przez chłopaka miała sens i pokrycie w zeznaniach świadków, ale Rudnicka nie mogła odpędzić od siebie myśli, że coś przeoczyła. Czy Damian pasował do profilu sprawcy? Owszem. Prostý, lubiący wypić chłopak, zamroczony alkoholem, odrzucony przez kobietę, która mu się podobała. Kobieta nie z jego ligi, pewnie na trzeźwo nigdy nie odważyłby się do niej zagadać, ale alkohol dodaje odwagi. To brzmiało wiarygodnie, ale Lena miała wrażenie, że to jeszcze nie koniec tej historii.

– Myślisz, że tamtego wieczoru mogłeś stracić nad sobą panowanie? – zapytała.

Damian milczał.

– Nie wiem. – Podrapał się w skroń. – Posłuchajcie, żaden ze mnie amant, miałem parę dziewczyn, ale żadnej z nich nie zrobiłem krzywdy. Lubię wypić i potem głupio się zachowuję. Miałem parę spraw o pobicie. Po alkoholu czasem mi odwala, rozumiecie? Dlatego, jak dowiedziałem się, że została zgwałcona... przyszło mi do głowy, że to może ja ją zabiłem... Podobała mi się... – Z trudem przełknął ślinę. – Może niechcący... Sam nie wiem... Nic nie pamiętam. Boję się, że to mogłem być ja.

– Co zrobiłeś z kurtką Kariny?

– Nie wiem. Naprawdę!

Wyglądało na to, że chłopak rzeczywiście mówi szczerze.

– Dlaczego uważasz, że ty to zrobiłeś? – zapytał Dawid. – Skoro twierdzisz, że niewiele pamiętasz.

– Już mówiłem. Czasem robię głupie rzeczy.

– Po alkoholu stajesz się agresywny?

– Mhm. Coś w tym stylu.

– Co zrobiłeś po tym, jak zgwałciłeś Karinę?

– Poszedłem do domu?

– Podobno nie pamiętasz, jak wróciłeś.

– Bo nie pamiętam. Ale obudziłem się u stryjka, więc musiałem jakoś wrócić, co nie?

Rudnicka głośno odsunęła krzesło i wyszła z sali przesłuchań. Po chwili dołączył do niej Marcel. Patrzyli na siebie bez słowa.

– Jest winny? – zapytał.

– Okoliczności by pasowały, ale sam słyszałeś, co chłopak mówił.

Kilka sekund później zjawił się Dawid, zapalił papierosa, a jedną dłoń wsunął w kieszeń spodni.

– To by było zbyt proste, prawda? – zauważył Marcel.

2

Marcel był wdzięczny, że komendant Dziejczak pozwolił mu nieoficjalnie uczestniczyć w śledztwie, ale teraz mina przełożonego kazała mu sądzić, że powinien się zamknąć. Mimo wszystko nie zamierzał odpuścić. Skoro brał udział w śledztwie, mógł podzielić się swoimi obiekcjami.

A miał ich sporo.

Może nie był najlepszym gliną pod słońcem – zaliczał dość poważne wpadki, ale policyjny nos mówił mu, że to nie koniec. To nie mogło być takie proste. Chociaż Damian pasował na sprawcę. Wręcz idealnie. Spojrzył na Lenę, która zalała kawę gorącą wodą, zamieszała, postawiła dwa kubki na stole i wróciła po trzeci. Upił mały łyk. Lena podeszła do wieszaka na kurtki, z kieszeni wyciągnęła snickersa i odwinęła opakowanie.

– Co o tym sądzisz? – zwrócił się komendant do Rudnickiej.

Lena wgrzyła się w batona.

– Marcel ma rację – przyznała z pełnymi ustami. – Powinniśmy zaczekać.

– Czego więcej potrzebujecie?

Rudnicka usiadła przy biurku, skupiona na delektowaniu się czekoladowym batonem.

– Wszystkie elementy układanki pasowałyby do Damiana – odezwał się Dawid. – Szukaliśmy faceta, którego razem z Adamskim widział nasz świadek. Jeśli Adamski rzeczywiście zostawił Damiana sam na sam z Kariną, ten miał okazję, żeby zrobić jej krzywdę. Może wcale

nie był tak pijany, jak twierdzi? Nie zdziwiłbym się, gdyby działał z premedytacją. Pozbycie się Adamskiego było mu na rękę, zaprowadził dziewczynę w miejsce, gdzie nikt nie mógł się na nich natknąć, i... zrobił jej te straszne rzeczy.

– A co z kurtką? – zapytała Rudnicka, zwracając się do Sadowskiego. – Damian schował kurtkę Kariny w szopie Adamskich?

– Chciał podrzucić fałszywy trop, zrzucić na nich winę.

– Myślę, że jest na to za głupi.

– Nie rozumiem. – Dawid zapalił papierosa. – Owszem, jest durniem. Ale pozbycie się kurtki ofiary nie jest wielkim wyzwaniem.

– Tacy jak oni nie przejmują się tym, że zostawiają ślady. Jeśli on jest winien śmierci Kariny, po wszystkim byłby w takim szoku, że jedyne, o czym by myślał, to ucieczka.

– A pamiętajmy, że sprawca usiłował zakopać ciało – odezwał się Marcel, odbierając zapalniczkę od Dawida. Kiedy on również zapalił papierosa, w pomieszczeniu zrobiło się gęsto od dymu. – Damian musiałby wejść na posesję Adamskich i poszukać szpadla.

– Nie jest dość bystry.

– Kiedy natknął się Adamskiego w domku stryja, dał nogę.

Lena pokiwała głową.

– Sprawca myślał trzeźwo i logicznie – ciągnęła. – Analizował sytuację na chłodno. Wpadł na to, by zakopać ciało, i zrobiliby to, gdyby nie mróz.

Komendant się zastanowił. Podobnie jak pozostali chciał jak najszybciej zamknąć sprawę, ale przekonanie w głosie komisarz sprawiło, że się zawahał. Rudnicka pracowała przy wielu sprawach, miała intuicję. Mimo tamtych tragicznych wydarzeń sprzed kilku miesięcy każdy policjant, z którym rozmawiał komendant, podkreślał, że komisarz jest dobrym śledczym. Zastanowił się, czy warto jej zaufać.

– Przeprowadzimy okazanie – odezwał się Dawid. – Na wszelki wypadek. Wezwiemy świadka, żeby potwierdził, że widział Damiana z Kariną.

– Dobry pomysł – pochwalił komendant.

– Czy to nie wydaje się zbyt proste? – zapytał Marcel. – Łapiemy gościa, a on prawie przyznaje się do winy. Super. – Uniósł otwarte dłonie. – Mnie to bardzo odpowiada. Oby więcej takich spraw! Ale – uniósł palec wskazujący – problem w tym, że Damian sam nie jest pewien, czy zrobił krzywdę Karinie. Cholera, twierdzi, że był tak pijany, że mógł to zrobić. Nawet nie pamięta, jak wrócił do domu!

Teraz Rudnicka także uniosła palec wskazujący.

– Podtrzymuję – powiedziała. – Coś tu nie gra.

– Co z materiałem biologicznym z miejsca zbrodni? – spytał Wolski.

– Wciąż czekamy.

– Musisz uzbroić się w cierpliwość, sierżancie. – Rudnicka zgmiotła opakowanie po batonie i wrzuciła do kosza. – Tutaj wszystko trwa dwa razy dłużej.

– Niestety – przyznał komendant.

– Więc co robimy?

Komisarz wsunęła dłonie w kieszenie spodni i wyjrzała przez okno. Damian nie pasował jej do tej zbrodni. Była wręcz przekonana, że to nie on przyczynił się do śmierci Kariny Cieślak.

3

Balbina Adamska stała nieruchomo, w prawej dłoni trzymała nóż, lewą zaś obejmowała okrągły bochen, dobrze wypieczony, ze złotą skórką po jednej stronie, mąką po drugiej, szczerze posypany makiem na wierzchu. Przyłożyła ostrze do chleba i zastygła w bezruchu,

jakby kroić bochenek po raz pierwszy w życiu i nie wiedziała, jak się do tego zabrać. Wykonała pierwsze cięcie i zawiesiła wzrok na okruchach, które posypały się po blacie.

– Dostanę w końcu tę kromkę? – usłyszała ponaglający głos męża. – Głodny jestem.

– Tak, już.

– Jezu, co się dzieje z tą kobitą? – zwrócił się Jerzy do syna. – Mam z nią coraz większe utrapienie.

Patryk pokiwał głową, jakby doskonale go rozumiał.

– Przepraszam – bąknęła Balbina. – Zamyśliłam się.

– Ciekawe, o czym tak myślisz, co?

– Och, cała ta sytuacja we wsi...

Jerzy wziął od Balbiny pajdę chleba. Posmarował masłem i przykrył kilkoma plasterkami kielbasy.

– Jedz, synek – rzucił. – Musisz nabrać siły.

– Nie jestem głodny.

– Rób, co ojciec każe.

Patryk posłusznie sięgnął po kromkę, posmarował margaryną i położył na to kawałek pomidora z cebulą. Nie miał apetytu, ale nie chciał denerwować ojca, który tylko szukał pretekstu do awantury.

– Ojciec? – zagadnął nieśmiało, ale Jerzy nie zaszczycił go nawet spojrzeniem. – Chciałeś pójść za mnie do więzienia?

Jerzy sięgnął po kolejną kanapkę i całą ją wepchnął do ust, mlasnął przeciągle i popił herbatą.

– Może – burknął. – Lepiej, gdybym ja poszedł siedzieć niż ty, prawda? Masz przed sobą całe życie, a ja swoje już przeżyłem. Zresztą, co dobrego może mnie jeszcze spotkać? Codziennie ta sama bieda. No i twoja matka powoli doprowadza mnie do szału.

Balbina krzątała się po kuchni, udając, że nie usłyszała słów męża. W rzeczywistości dotknęły ją do żywego. Wiedziała jednak, że nie powinna się odzywać. Jerzy wstał w złym humorze, a w takie dni zazwyczaj unikała jego towarzystwa.

– Dzięki, tato, ale... – Patryk zawiesił głos, a oczy zaszkliły mu się, jakby zaraz miał się rozpłakać.

– Wiedziałem, co robię.

Jerzy był surowym rodzicem. Rzadko okazywał synowi miłość, dlatego każdy przejaw uznania z jego strony Patryk odbierał jako wielkie wyróżnienie. W podstawówce chwalił się każdą dobrą oceną, podtykał ojcu zeszyty pod nos. Ojciec na chwilę odrywał się od telewizora, łaskawie kiwał głową, a potem wracał do oglądania.

– Na szczęście wszystko dobrze się skończyło – powiedział Jerzy. – Obaj jesteśmy na wolności.

– Nie wierzę, Jerzy, że dałbyś się zamknąć w więzieniu – odezwała się Balbina. – Za niewinność. Zostawiłbyś nas? Jak byśmy sobie bez ciebie poradzieli?

Jerzy siorbnął herbatę.

– Chciałem chronić syna. Ale co ty możesz o tym wiedzieć? Uwzięli się na niego za te wiadomości, które do niej wypisywał.

Balbina zacisnęła usta.

– Mówisz, synek, żeś powiedział policji całą prawdę? – zapytał Jerzy. – I nie masz ze śmiercią tej dziewczyny nic wspólnego?

– Uwierzyli mi.

– To dobrze, to dobrze.

Jerzy wrócił pamięcią do tamtej nieszczęsnej nocy, którą zapamięta do końca życia. Patryk sądził, że ojciec starał się go chronić, ale prawda była taka, że Jerzy po prostu nie chciał iść do więzienia. Nie współpracował z policją i do niczego się nie przyznał. Skłamał, żeby przypodobać się rodzinie.

– Gdybyśmy tylko mieli chwilę, żeby pogadać – rzekł w zamyśleniu. – Wtedy, tamtej nocy. Wszystko potoczyłoby się inaczej.

– To prawda.

– Źle cię oceniłem, synek, przepraszam.

Nie spodziewał się, że ojciec przyzna się do błędu.

– Nie ma o czym gadać, ojciec – odparł. – Na twoim miejscu też bym tak pomyślał.

Patryk nie powiedział policji całej prawdy.

Tamtego wieczoru, gdy odbywał się festyn, Patryk kręcił się po wsi. Nie skłamał, mówiąc, że spotkał Karinę i Damiana. Ona była pijana, a on z bratankiem Kosika podtrzymywali ją, aby nie upadła. Dopiero później minął się z prawdą.

Miał powód, by skłamać.

Noc była piekielnie zimna. Mróz szczypał w twarz, a z nieba sypał śnieg. Towarzystwo bawiło się na festynie. Słysząc było rozbawione, pijane głosy mieszkańców, przygrywała orkiestra. Patryk spacerował po placu, raz na jakiś czas spotykał znajomego i zamienił z nim słowo. Widział Karinę z koleżankami. Obserwował ją, przechodził niby przypadkiem, nie tracił z oczu i napawał się jej urodą. Była najpiękniejszą dziewczyną, jaką znał. Jego niezdrowa fascynacja Kariną zaczęła się dawno temu i choć próbował dać sobie z nią spokój, nie udawało mu się. Zakochany bez wzajemności, miał świadomość, że nigdy nie będzie jego kobietą, ale to nie przeszkadzało mu zabiegać o jej względy.

Na festynie stracił ją z oczu na godzinę, może dwie. Zagadał się z kolegą z podstawówki, a gdy się obejrzał, już jej nie było. Zniknęła, a kiedy po jakimś czasie ją odnalazł w tłumie, stała z jakimś chłopakiem. Patryk czuł wściekłość i rozczarowanie. Nie dopuszczał do siebie myśli, że mogłaby być z kimś innym. Podszedł do nich, zaproponował pomoc, chciał odprowadzić ją do domu. Z zazdrością patrzył na tego obcego, ale na szczęście okazało się, że to ktoś z rodziny. Karina powiedziała, że pójdą razem.

Patryk spotkał się z kolegami, którzy dopijali resztki wódki na pętli autobusowej, wypalił kilka papierosów. Kiedy szedł w stronę domu, poczuł niepokój. Na śniegu zobaczył świeże ślady, prowadziły za dom, a on bezwiednie poszedł za nimi. I tam ją zobaczył.

Przez kilka minut po prostu patrzył. To nie może być Karina, powtarzał w myślach, choć wiedział, że to ona. Leżała na śniegu, a on zamiast jej pomóc, pobiegł po ojca. Wpadł do dużego pokoju, obudził drzemiącego na kanapie Jerzego. Na stoliku stała opróżniona do połowy butelka wódki.

Zbudził go i opowiedział, co zobaczył.

– Żyje? – zapytał Jerzy przytomnie.

– Nie rusza się.

– Może śpi?

Ale Karina nie spała. Wystarczyło spojrzeć w jej nieruchome oczy, by zyskać pewność, że uszło z nich życie.

– Zamkną mnie – powiedział Patryk, a ojciec obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem. – Spotkałem się z nią. Na pewno ktoś nas widział i powie, że to ja ją zabiłem.

Patryk nie mówił tylko o ostatnim spotkaniu. Miał świadomość, że gliniarze dokopią się do jego wiadomości, a one wystarczą, by uznać go za prześladowcę, który z żalu i odrzucenia zabił obiekt swoich westchnień.

Ale wtedy myślał jeszcze o czymś innym – już nigdy więcej nie zobaczy Kariny. Rozpacz przebijała się przez jego zamroczony alkoholem mózg.

Ojciec dźwignął się z kanapy i podrapał się w głowę. Odkręcił butelkę wódki, upił łyk, parsknął i odstawił z powrotem na stolik.

– Nikt tak nie pomyśli – odparł. – Poczekaj.

– Dokąd idziesz?

Ojciec nie odpowiedział, wsunął buty, zarzucił kurtkę na plecy i wyszedł na mroźne powietrze. Patryk z bijącym sercem szedł tuż za nim. Czuł, że do oczu napływają mu łzy.

– Co robisz? – spytał, gdy ojciec otworzył szopę, zniknął w środku i wyszedł, trzymając w ręce szpadel.

Muzyka z festynu odbijała się echem po zaśnieżonych polach.

– Pozbędziemy się ciała.

– Co? Nie. Nie, nie.

– Masz lepszy pomysł?

Nie miał, ale ten wydawał mu się wyjątkowo nietrafiony. Do cholery, przecież nie byli przestępcami!

– Nie – zapewnił z mocą młody Adamski. – Nie pozwolę na to.

– Wolisz wylądować w więzieniu?

– Nic jej nie zrobiłem.

Na twarzy Jerzego odmalował się niepokój.

– Ona na pewno nie żyje?

– Nie wiem. Nie sprawdzałem.

– Chodźmy.

– Tato...

– Będziemy pierwszymi podejrzanymi. Musimy pozbyć się ciała albo przenieść je w inne miejsce. Cholera, co tu się porobiło? – Jerzy westchnął i zacisnął poły kurtki. Zerwał się mroźny wiatr. – Zakopimy ją.

Jerzy podszedł do ciała Kariny i dłuższą chwilę przyglądał się zwłokom.

– Nie żyje – orzekł. – Już jej nie pomożemy.

– Tato.

– Nikt jej nie pomoże.

Jerzy próbował wbić szpadel w ziemię, ale okazała się zmarznięta. Adamski podjął jeszcze kilka prób, po czym zaklął pod nosem, a Patryk odetchnął z ulgą.

– Zadzwońmy na policję – zaproponował młodszy Adamski.

– Świetny pomysł. Może od razu zaproponuj, żeby zakuli cię w kajdanki.

– Tato, ale...

– Zostawimy ją.

– Jak?

– Po prostu. – Jerzy podrapał się w skroń. – Powiemy, że nie mieliśmy pojęcia, że pod naszym płotem coś się działo. Zresztą nawet jej nie dotykaliśmy. Nie wiemy, czy ktoś ją zabił, czy umarła na mrozie.

– Spójrz na jej... na...

Jerzy dopiero teraz to dostrzegł.

– Ktoś zrobił jej krzywdę. – W głosie Patryka zabrzmiała nuta paniki, którą ojciec od razu wyczuł. Odwrócił się w stronę syna i pogroził mu palcem.

– Morda w kubeł, zrozumiano?

– Ale...

– Nieważne, kto to zrobił. – Machnął ręką. – My nic nie wiemy.

– Nie zrobiłem tego.

Jerzy zmrużył oczy. Patryk był pewien, że ojciec mu nie wierzy. W końcu niedawno mu się zwierzył, że podkochuje się w tej dziewczynie, a ona odrzuca jego zaloty. Nie miał na to wpływu. Był sfrustrowany, ale nie jej nie zabił. Nigdy nie zrobiłby jej krzywdy.

– Chodźmy – mruknął Jerzy. – Zabierajmy się, zanim ktoś nas zobaczy.

Patryk wciąż się wahał.

– Chodźże – ponaglił go ojciec. – Ustalimy jakąś wspólną wersję w domu.

– Zaraz przyjdę.

– Cholera, mówię, żebyś ją zostawił tak, jak jest.

Patryk skinął głową.

– Idź do domu, tato – powiedział. – Zaraz przyjdę.

Ale nie przyszedł. Ukradł kurtkę Kariny i schował ją w komórce. Na pamiątkę. Chciał mieć coś, co należało do dziewczyny, którą kochał. Ona już nigdy nie wróci. Nie żyje. Umarła.

Patryk zatrzymał się u kolegi. Chciał przeczekać burzę, jaka następnego dnia wybuchła we wsi. Wiedział, że policja rozmawiała z rodzicami. Nie wiedział, co im powiedzieli, ale nie obchodziło go to. Jednak kiedy zabrali ojca do aresztu, nie mógł dłużej czekać. Musiał interweniować.

Teraz Patryk czuł się rozgoryczony tym, że Jerzy naprawdę sądził, że jego syn mógł zrobić komuś krzywdę.

– Ukrywacie coś przede mną? – zapytała Balbina.

– Skądże – odparł Jerzy, a na jego twarzy pojawił się uśmiešek. Wsunął do ust podpieczoną skórkę chleba i popił herbatą. – Lepiej zajmij się czymś pożytecznym. Posprzątaj może.

– Powiedzcie, o co chodzi. Dlaczego macie takie miny?

– Nieważne, mamó. Naprawdę.

– Otóż to! – Jerzy klasnął w dłonie. – Synek słusznie gada.

Balbina знаła męża wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że kłamie.

– Coś się stało? – naciskała. – Widzę, że coś ukrywacie, więc nie róbcie ze mnie...

– Zamknij się, kobieto. Weź się do roboty.

Balbina zagryzła wargi. Mogła się tego spodziewać. Cieszyło ją, że Jerzy i Patryk złapali ostatnio lepszy kontakt, ale sama czuła się wykluczona. Patryk nie należał do łatwych dzieci, dlatego miała nadzieję, że rozmowy z ojcem sprawią, że wyjdzie na prostą. Nie wiedziała, o czym tyle rozmawiają, ale nie dopytywała. Znała swoje miejsce w domu.

4

Stara mleczarnia mieściła się tuż przy torach kolejowych. Na betonowym, rozpadającym się ogrodzeniu wisiał żółty baner: NA SPRZEDAŻ. Mleczarnia składała się z trzech budynków. Pierwszy kiedyś służył za biuro, nieduży, z wybitymi szybami i sypiącym się tynkiem; drugi był ogromny, wysoki na kilka metrów i szeroki na kilkanaście. W środku nie było nic oprócz pustych butelek po wódce i piwie oraz starej opony od traktora, na której siadywali nastolatki, którzy zbierali się na wieczorne posiadówki. Do trzeciego budynku, znacznie oddalonego od pozostałych, trzeba było przejść kilkaset metrów w głąb zarośli; ostre zielsko porosło ścieżkę, czepiało się ubrań i rozrywało rajstopy. To właśnie tam znaleziono ciało Natalii.

Wzdłuż pobliskiej asfaltówki stało kilka domów, głównie opuszczonych, dalej ciągnęły się pola. Kiedy Lena Rudnicka weszła na teren mleczarni, nie mogła pozbyć się wrażenia, że dotarła na koniec świata.

Marcel szedł tuż za nią, pod ich butami skrzypiał śnieg. Policjanci pokonywali drogę w równym tempie. Na przodzie szedł Dawid. Tylko on znał bezpieczną drogę do budynku numer trzy.

Zgłoszenie przyjął dyspozytor, potem zadzwonił do Sadowskiego. Jakies dzieciaki, które przyszły do mleczarni wypić parę piw, znalazły nieprzytomną dziewczynę. Rysopis wskazywał na Natalię.

– Cholera, co za chaszczę – rzuciła Rudnicka. Zaczepiła stopą o wystającą gałąź i zachwiała się, tracąc równowagę.

Marcel podtrzymał ją za ramię.

– To już blisko! – zawołał Dawid i ponaglił ich gestem.

Po przejściu jeszcze kilku metrów oczom Leny ukazał się budynek z blaszanymi drzwiami. Wokół kręcili się ratownicy medyczni. Jeden z nich skinął głową na powitanie.

– Zabieramy dziewczynę – powiedział.

– Muszę ją zobaczyć. – Lena wychyliła się zza jego ramienia.

– To Natalia – oznajmił Dawid.

Dwóch ratowników podniosło nosze, na których leżała dziewczyna.

– Co z nią? – zapytała Lena.

– Nieprzytomna, ale stan jest stabilny. Wygląda na to, że ktoś podał jej środek usypiający. Zabieramy ją do szpitala. Po badaniu będziemy mogli powiedzieć więcej.

Ratownicy odeszli w stronę karetki. Rudnicka spojrzała na Dawida i Marcela.

– Chodźmy do środka – powiedział Sadowski i ruszył przodem. Wewnątrz unosił się zapach moczu i wilgoci, wokół leżały puste butelki po alkoholach, począwszy od tanich win i szampanów po lepsze marki whisky. Na środku było palenisko, wokół którego ułożono betonowe bloki, a tuż obok wysłużone kanapy i poprzecierane samochodowe fotele.

– Niezła miejscówka – bąknęła Lena.

– Idealna dla dzieciaków, które chcą ukryć się przed starymi – przyznał Dawid, zapalając papierosa. – Mleczarnia od lat jest nieczynna. Właściciel usiłuje sprzedać obiekt, ale ciężko znaleźć mu kupca. Sama widzisz, jak to wygląda i ile pieniędzy trzeba w to włożyć, żeby cokolwiek z tego było.

– Rzeczywiście wygląda nie najlepiej.

– To duży teren. Może znalazłby się kupiec, ale właściciel podobno przesadził z ceną, więc wszystko od lat stoi nieużywane.

Rudnicka przeszła kilka kroków, rozglądając się dookoła. Wyłapywała wzrokiem pety, butelki, opakowania po prezerwatywach.

– Gdzie leżała Natalia? – zapytała dwóch młodych policjantów, którzy jako pierwsi przyjechali na zgłoszenie.

– Na kanapie. – Wskazał jeden z nich. – Wyglądała, jakby spała. Chcieliśmy zacząć ją cucić, ale zaraz wpadli medycy.

– W jakiej pozycji leżała?

– Na boku, z podkurczonymi nogami.

– W pozycji bocznej ustalonej – dodał drugi.

– Ratownicy mówili, że sprawa wygląda tak, jakby ktoś podał jej środek usypiający – powiedziała Lena, zwracając się do Wolskiego.

– Sądysz, że ktoś, kto ją uspił, nie chciał zrobić jej krzywdy?

– Skoro zostawił ją w bezpiecznej pozycji...

Chyba że...

– Wykluczamy opcję, że sama podała sobie ten środek? – zapytała Lena.

- Samobójstwo? – Dawid uniósł brwi.
- Dostyc nieudane.
- Są znacznie skuteczniejsze sposoby, żeby się zabić.
- No właśnie. – Lena podrapała się w skroń. – Poza tym widzieliście, w co była ubrana?
- W strój biegowy – odparł Marcel.
- Poszła pobiegać i nagle naszło ją na samobójstwo?

Rudnicka czuła, że komuś zależało, by pozbyć się Natalii. Dziewczyna wiedziała coś, czego nie powinna. Ale z drugiej strony, gdyby ktoś chciał ją zabić, nie zostawiałby jej w pozycji bezpiecznej.

– Komuś zależało, żeby Natalia została uznana za zaginioną? – zapytała wątpięcym tonem.

– I przetrzymywał ją tutaj? – Dawid wypuścił dym, tworząc zgrabne kółka. – Słaby pomysł. Tutaj często kręcą się jakieś dzieciaki albo pary szukające miejsca, żeby się pobzykać.

– Może nie miał innego pomysłu?

– Nie klei mi się to.

Lena miała nadzieję, że dziewczyna szybko dojdzie do siebie, bo jej zeznania wiele by wyjaśniły.

– Mówiłeś, że znalazły ją jakieś dzieciaki – powiedziała, spoglądając na Sadowskiego.

– Są na zewnątrz, przy pierwszym budynku. Mijaliśmy ich.

– Pogadajmy z nimi.

Ruszyli w drogę powrotną. Tym razem szli znacznie szybciej i już po kilku minutach znaleźli się przy głównej bramie. Nieopodal stało dwóch siedemnastolatków, ubranych w modne neonowe kurtki i wąskie spodnie z odkrytymi kostkami.

– To wy znaleźliście dziewczynę, tak? – zagadnęła Rudnicka.

Pokiwali głowami. Wyglądali na wystraszonych, jakby po raz pierwszy mieli do czynienia z policją.

– Co tu robiliście? – zapytała.

– Nic takiego – odparł ten z pomarańczową czapką na głowie. – Przyszliśmy posiedzieć.

– Mhm, a często tu przychodzicie posiedzieć?

– Czasem. Teraz mamy ferie, a w domu nudno.

– No – bąknął drugi, tylko po to, żeby coś powiedzieć.

– Co tu robicie? – Rudnicka wsunęła dłonie do kieszeni spodni. – Palicie trawkę czy pijecie piwko? No? Jak to jest?

– My... – Dzieciak energicznie kręcił głową, wbijając wzrok we własne stopy. – My nic złego... To znaczy...

– Okej. Nie obchodzi mnie, po co przychodzicie. Znalście tę dziewczynę?

– Z widzenia ją kojarzę – odparł drugi.

– Przychodziła tu wcześniej?

– Jasne, że nie.

– Nigdy jej tu nie widziałem.

Nic nie wiedzieli. Gówniarze, którzy przyszli napić się piwa z dala od rodziców. Właściwie rozmowa z nimi nie miała większego sensu, ale Lena miała jeszcze jedno pytanie.

– Widzieliście kogoś podejrzanego wczoraj albo przedwczoraj? Kogoś, kto kręcił się po terenie mleczarni?

– Nikogo nie widzieliśmy.

I to by było na tyle, pomyślała Lena.

– Pani komisarz?

Lena obróciła się. Młody policjant skinął na nią ręką. Podziękowała chłopakom za rozmowę i ruszyła w stronę mundurowego, który chuchał w zmarznięte dłonie.

– Pogadajcie z tym facetem. – Wskazał na starszego pana stojącego nieopodal. – To dróżnik. Twierdzi, że widział jakiś samochód podjeżdżający w nocy przed bramę mleczarni.

– Dzięki.

Lena klepnęła policjanta w ramię.

Dróżnik poprawił poły skórzanej kurtki i zapalił papierosa.

– Dzień dobry, komisarz Rudnicka, a to sierżant Wolski – powiedziała. – Podobno widział pan coś ciekawego.

– Zasłabła tu dziewczyna ponoć? – spytał dróżnik zachrypniętym głosem.

– To my tu zadajemy pytania.

– Miałem nocną wartę na szlabanie. – Pokazał grubym paluchem na budkę przy torach. –

Ci policjanci pytali mnie, czy nie widziałem czegoś podejrzanego, to powiedziałem im, że samochód jakiś tu przyjechał. – Odchrząknął. – To ma związek z tą dziewczyną? Ktoś zrobił jej krzywdę? W tej wsi to już wszystkiego można się spodziewać. Najpierw gwałt na młodej Cieślakównie, teraz to. Ja już powinienem w domu być, ale mój zmiennik zadzwonił i poprosił, żebyśmy zostali chwilę dłużej, bo coś mu wypadło. On dorabia na piekarni. Chleb rozwozi i czasem się spóźnia, ale potem odbieram sobie te nadgodziny. Tylko szef o niczym nie wie, nie chcę chłopu problemów robić.

– Miał pan nocną wartę?

– No, miałem, miałem. Nie lubię w nocy robić, ale co począć, jak taka robota się trafiła?

Lepszej bym nie znalazł. Siedzę sam w tej budzie, zdarza mi się złapać jakąś drzemkę, tylko szefowi nie mówcie, boby mnie na zbity pysk wywalił.

– Dobrze, proszę...

– Budziki na pociągi ustawiam, żeby sobie kłopotów nie narobić, rozumiecie?

– Panie?

– Śmigalski. Jan Śmigalski.

– Panie Śmigalski, do rzeczy. O której pan widział tamten samochód?

– Bo ja wiem? Koło drugiej, myślę, było. Za dziesięć może, bo o drugiej pociąg z Opoczna jedzie.

– Co pan dokładnie widział?

– No podjechał samochód. Trochę się zdziwiłem, że tu dzieciaki się kręcą po nocy, piwo piją w tej mleczarni, burdy czasem robią. Wiem, bo tam – wskazał na ceglany dom nieopodal – mieszkają Jaśkowiakowie i często się wkurzają, że głośno, że hałasują, a oni spać nie mogą. Kilka razy po policję dzwonili. No ale to nic nie daje, bo gnojki i tak przyłazą. Najczęściej w wakacje tutaj po nocach siedzą. W zimie rzadziej, bo wiadomo, dupy im marzną. Ale w wakacje często widzę, jak latarkami świecą i łażą przez te chaszczki do tego ostatniego budynku. No ale teraz ferie są, więc...

– Przed drugą zobaczył pan samochód...

– Tak, to była ciemna mazda sedan. Poznałem po tylnych światłach, bo mazdy charakterystyczne mają, prawda? Ale nie wiem dokładnie, jaki to model był.

Rudnicka wzięła głęboki oddech.

– Samochód podjechał i co dalej?

– Przed bramą stanął i wysiadł jakiś facet. Zapalił papierosa i stał tak dłuższą chwilę. Obserwowałem go trochę, ale potem zająłem się swoimi sprawami. No ale to auto to tak dobre piętnaście minut stało.

– Wymował coś z samochodu?

A może kogoś?

– Nie wiem, pani komisarz, mówię, że nie wpatrywałem się za bardzo. Myślałem, że to gnojki jakieś przyjechały postać i pogadać, jak to w zwyczaju mają. Ja nie widziałem, żeby on coś nosił, ale nie mogę tego wykluczyć. Ale co miałby nosić? Tę dziewczynę, niby tak?

– Jak był ubrany?

– Normalnie. A jak miał być?

– Kurtka czy płaszcz?

– Kurtka. Z kapturem.

– Kolor?

– Ciemna. Ciemnozielona albo czarna? Gdybym wiedział, pani komisarz, tobym numery spisał, ale tak? Skąd miałem wiedzieć?

– Nie mógł pan.

– Ano właśnie!

Rudnicka była pewna, że facet, który podjechał nocą przed bramę mleczarni, ma coś wspólnego ze zniknięciem Natalii. Pozostało tylko dowiedzieć się, kim był. Albo czekać, aż Natalia się obudzi i sama opowie o wszystkim.

5

Dotknął krzyża wiszącego na szyi. Przejechał palcami po gładkiej powierzchni drewna, obrócił w dłoni i ucałował. Uniósł wzrok ku górze, spoglądając na ołtarz, przy którym klęczał. W centralnym punkcie znajdował się obraz Chrystusa na krzyżu, a nad nim łuk, złote wykończenia i fikuśne gzymsy. Bolały go kolana, rwało w stawach. Podłoga była zimna i twarda, ale starał się nie myśleć o bólu i skupić na rozmowie z Panem Bogiem, z Najwyższym, którego tak bardzo kochał, a którego zawiódł. Chciało mu się wyć z rozpacz, ale nie był w stanie wycisnąć z oczu ani jednej łzy. Czy Bóg wybaczy mu to, co zrobił?

Zdawało mu się, że usłyszał szmer, może kroki. Odwrócił się, ale nikogo nie zobaczył. Podpierając się ręką, wstał i otrzepał kolana, jak robił zawsze, gdy był sam, choć to brzydki zwyczaj, który z pewnością nie spodobałby się parafianom.

Przeszedł przez nawę. Podeszwy butów stuknęły o posadzkę, dźwięk niósł się echem po pustym kościele. Wszedł do konfesjonału, drzwiczki skrzypnęły, ławka wewnątrz jęknęła, gdy usiadł. Do kolejnej mszy pozostało jeszcze kilka godzin, ale wolał schować się przed parafianami, którzy czasem odwiedzali kościół. Każdy mógł wejść do środka, kiedy czuł taką potrzebę; każdy mógł spotkać się z Bogiem, drzwi świątyni nigdy nie były zamknięte dla wiernych. Odbył z ludźmi dziesiątki rozmów i wiedział, że każdy jest inny, każdy boryka się z własnymi problemami, nosi w sobie własne grzechy.

Kiedyś uważał się za dobrego księdza, sprawował posługę najlepiej, jak potrafił, ale teraz nie był tego taki pewny. Chociaż uważał, że postąpił słusznie, naszyły go wątpliwości. W swoim czasie Bóg go osądzi.

Pomyślał o tym, że prędzej czy później ktoś znajdzie tę dziewczynę. Gdyby wyszedł z kościoła i poszedł na plebanie, wiedziałby, że to już się stało, ale on tuż po zakończeniu porannej mszy pogrążył się w modlitwie, błagając Boga o wybaczenie.

Czy mógł postąpić inaczej?

Mógł, lecz okazał się tchórzem.

Gdyby zostawił wszystko własnemu biegowi; poczekał, aż sprawy same się wyjaśnią, być może zakończenie tej historii byłoby zupełnie inne, ale on musiał interweniować, bo nie chciał stracić dobrego imienia. Jeśli skandal związany z Natalią Wiśniewską wyszedłby na jaw, ludzie nie daliby mu żyć, a przełożeni wysłali na drugi koniec kraju, aby usunąć go z oczu wściekłych

mieszkańców. A on nie chciał wyjeżdżać. Kochał to miejsce i chciał zostać tu jak najdłużej. Dlatego nikt nie mógł się o tym dowiedzieć.

Zwabił Natalię do swojego samochodu. Najpierw nie zastał jej w domu, ale szczęście mu dopisało i dostrzegł ją, gdy wracała z wieczornego treningu. Chciała się przebrać, ale obiecał jej, że to zajmie tylko chwilę. Przeszli kawałek, ponieważ zaparkował nieco dalej od zabudowań. Nie chciał jej zrobić krzywdy! Chciał z nią tylko porozmawiać i wytłumaczyć, że lepiej, by trzymała język za zębami. Nawet zaoferował jej pieniądze, ale go wyśmiała. Natalia, podobnie jak jej zmarli rodzice, była pobożną parafianką, i sądził, że jego autorytet jest wystarczający, by przekonać ją, żeby dochowała tajemnicy, ale się nie zgodziła. Próbowwała wysiąść z samochodu, ale zablokował drzwi. A potem stracił nad sobą panowanie i uderzył ją otwartą dłonią w twarz, a wtedy głowa dziewczyny odbiła się od szyby. Straciła przytomność, a do niego dotarło, co zrobił. Tylko że wtedy nie mógł się już wycofać. Przecież ona na pewno poszłaby na policję i powiedziała, że została pobita przez księdza.

We wsi wybuchłby kolejny niepotrzebny skandal, a on stałby się podejrzanym w sprawie Kariny. Skoro raz użył przemocy wobec kobiety, przecież mógłby to zrobić ponownie? Nie. Nikt nie mógł się dowiedzieć.

Wróciwszy na plebanię, upewnił się, że wszyscy śpią, podał Natalii silny środek usypiający. Zawłókł ją zewnętrznymi drzwiami przez garaż, potem do kanciapy w piwnicy. Nikt tam nie zagląda, więc nie powinno być problemów, pomyślał i na wszelki wypadek podał dziewczynie większą dawkę środka usypiającego. W głowie miał mętlik. Działał pod wpływem impulsu. Na chwilę pozbył się problemu. Uznał, że potrzyma ją w piwnicy, a kiedy sprawa się wyjaśni, wyrzuci gdzieś w lesie. Być może nie będzie pamiętała, kto ją porwał i przetrzymywał. Z tą myślą poszedł spać.

Następnego dnia dotarło do niego, co się wydarzyło, i uświadomił sobie, że jego plan jest pozbawiony sensu, bo jeśli ona powie policji, że ostatnim, co pamięta, jest rozmowa z księdzem, będzie załatwiony. Wtedy wpadł mu do głowy kolejny pomysł. Bardzo zły, ale nie miał innego wyjścia. Zabrnął za daleko, by się wycofać.

Podał jej większą dawkę środka usypiającego, by upozorować samobójstwo. Policja na pewno dojdzie do wniosku, że po śmierci przyjaciółki Natalia załamała się i odebrała sobie życie, pomyślał.

Tak więc zrobił.

A teraz siedział w konfesjonale i płakał.

Dał się skusić diabłu, a teraz, gdy odzyskał zdolność racjonalnego myślenia, dotarło do niego, co uczynił.

Ze strachu przed ludzkimi językami został mordercą.

6

Rudnicka wzięła do ręki kawałek pizzy i przyglądała mu się badawczo.

– Podwójny ser? – zapytała. – Serio?

– Lubię ser – odparł Marcel, wzruszając beztrosko ramionami. – Dokąd tak gonisz? – zwrócił się do Dawida, który zarzucił na plecy kurtkę i zapalił papierosa. – Co to za ważna sprawa?

Dawid wypuścił dym i zawiesił wzrok na okrągłym placku, jakby zastanawiał się, czy warto poczekać i zjeść kawałek. Zapach topionego sera i podpieczonego salami drażnił nozdrza.

– Muszę coś załatwić – bąknął, lecz w jego głosie zabrakło przekonania. Wpatrywał się w pizzę, aż w końcu oderwał kawałek, zgiał go w pół i wcisnął do ust. – Rzeczywiście dobra – powiedział z pełnymi ustami.

– To zostań i zjedz jak człowiek – odparł Wolski, sięgając po trzeci już kawałek.
– Niedługo wrócę.
– Co to za tajemnice, he? – Rudnicka wciąż obracała przed oczami kawałek pizzy. –
Powiedz, dokąd idziesz, i po sprawie.

– Muszę coś załatwić. – Dawid uśmiechnął się krzywo. – Góra pół godziny i wracam.
I wyszedł, zostawiając Lenę i Marcela sam na sam z największą pizzą, jaką Rudnicka
w życiu widziała. Tym gigantycznym plackiem spokojnie nasyciłaby się czteroosobowa rodzina.

– Jak myślisz? – zagadnął Wolski. – Kombinuje coś?
– Leć za nim, to się dowiesz.
– Próbujesz się mnie pozbyć, żeby mieć całą pizzę dla siebie?
– Przejrzałeś mnie.

Lena uśmiechnęła się i ugryzła wielki kawał pizzy, który z trudnością zmieściła w ustach,
po czym popiła limonkową pepsi.

Marcel przyglądał się jej, rozmyślając, czy to odpowiedni moment na rozmowę. Jeśli
chodzi o Lenę, to żaden moment nie będzie odpowiedni, pomyślał.

– Rano tak szybko zniknęłaś, że nie mieliśmy okazji...
– Nie zaczynaj.
– Chyba powinniśmy...
– Nie.

Sądził, że po wczorajszych wydarzeniach będzie potrzebowała trochę czasu, by ochłonąć,
ale się pomylił. Rudnicka sprawiała wrażenie, jakby nic się nie stało, jakby przywykła do
przechodzenia nad takimi incydentami do porządku dziennego. Marcel jednak nie mógł wyrzucić
z głowy obrazu pijanego Krzysztofa. Myśl, że prokurator znęcał się nad Leną, nie dawała mu
spokoju. Minionej nocy prawie nie spał, przewracał się z boku na bok, aż koło czwartej nad
ranem zrobił sobie mocną kawę, wcisnął w uszy słuchawki i myślał o tym, w jaki sposób
poprowadzić dzisiejszą rozmowę, by Lena nie poczuła, że wtrąca się w jej życie.

– Jak się czujesz? – zapytał.
– Normalnie. Przestań mnie traktować jak małe dziecko.
– Martwię się.
– To już twój problem.

Przekrzywił lekko głowę, dając do zrozumienia, że nie da się nabrać na takie teksty.

– Zawsze tak robisz? – spytał.
– Co robię?
– Udajesz, że wszystko gra i nic się nie stało.
Rudnicka obrzuciła go lekceważącym spojrzeniem.

– Tak – odparła butnie. – Przez lata wyrobiłam sobie nawyki.
– Do perfekcji.

Lena westchnęła. Miała dosyć tej głupiej gry. Przesunęła po stole pudełko pizzy, sięgnęła
po papierosa, zapaliła go i zaciągnęła się głęboko. Marcel miał rację. Potrafiła udawać. Musiała
się tego nauczyć, by nikt ze współpracowników się nie zorientował, że jej małżeństwo to
katastrofa. Wszyscy uważali ich za dobraną parę i Lena wołała, by tak zostało.

– Marcel, to nie jest najlepsze miejsce, żeby przeprowadzać takie rozmowy.
– Nikogo tu nie ma.
– Jesteśmy w pracy.

Wolski przysunął krzesło i usiadł naprzeciwko.
Uniósł dłoń i wierzchem pogładził ją po policzku.

– Przestań! – warknęła. – Brakowało tylko tego, żeby ktoś teraz wszedł i nas zauważył.

– Mam to gdzieś.
– Ale ja nie mam. – Gwałtownie wstała i z papierosem pomiędzy palcami przeszła się po pokoju.

– Wyprowadzisz się od niego?

– Już to zrobiłam.

– Nie. – Pokręcił głową. – Mówię o prawdziwej wyprowadzce.

– Jakbyś nie zauważył, już nie mieszkamy razem.

– Chwilowo – zauważył Wolski, sięgając po szklankę. Napił się pepsi i rękawem otarł usta. – Twój pobyt tutaj jest tymczasowy. Kiedyś wrócisz do Łodzi i co wtedy?

– Wtedy będę się martwić.

– Musimy się zastanowić, jak to rozegrać.

– My?

Lena wypuściła dym, tworząc kółka. Popatrzyła na Wolskiego kąpiąco.

– Co ty sobie myślisz, młody? – spytała. – Że co? Dowiedziałeś się czegoś, czego nie powinieneś, ale to nie oznacza, że gramy w jednej drużynie.

– Dlaczego nie chciałaś, żebym się dowiedział? Spróbowałbym ci pomóc.

– Właśnie dlatego! – warknęła. – Bo zgrywasz rycerza na białym koniu, który może zbawić świat. Ale wiesz, co ci powiem? – Zaciągnęła się i wypuściła dym. – Nic się nie zmieni.

– Słucham?

– Nic się, kurwa, nie zmieni.

– Chcesz ciągnąć to dalej?

Nie odpowiedziała.

Wolski wstał.

– Naprawdę tak chcesz żyć? – zapytał wzburzony. – Nie do wiary! Odpowiada ci takie życie? Z mężem, który okłada cię pięściami? Uważasz, że nie zasługujesz na kogoś lepszego?

Lena zduśiła papierosa o talerzyk pod filiżanką. Zaklęła pod nosem i podeszła do okna, wsuwając dłonie w kieszenie spodni.

– Więc co mam zrobić? – zapytała.

– To proste.

Zaśmiała się gorzko.

– Oświeć mnie.

– Odejdiesz od Krzysztofa.

– Jasne.

– Będę przy tobie.

– Naoglądałeś się komedii romantycznych, kolego.

– Chcę pomóc.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Reakcja Leny była niezrozumiała dla kogoś, kto nigdy nie był w podobnej sytuacji. Ofiary przemocy domowej ukrywają problemy. Trudno zmienić sposób myślenia ofiary. Ale przecież ona nie należała do takich osób. Przecież była twarda i odporna psychicznie.

Czyżby?

– Pojadę tam z tobą – powiedział Wolski, podchodząc bliżej. Położył dłoń na jej plecach. Wzdrygnęła się, jakby dotknęły ją rozżarzone węgle. – Spakujesz się resztę rzeczy i już nigdy tam nie wrócisz.

– Przestań.

– Pomogę ci. Wiele razy mi pomogłaś, więc teraz moja kolej.

Lena odwróciła się do niego.

– Pamiętasz, jak zgubiłem pistolet? – zapytał. – Zrobiłaś wszystko, żeby go odnaleźć. Sądziłem, że to niemożliwe, ale jednak się udało, pamiętasz?

– Woląabym zapomnieć.

– Teraz też mi pomagasz.

– Niby jak?

– Przyjazd tutaj to był dobry pomysł. Zadręczałem się śmiercią ojca, byłem przekonany, że muszę odejść z policji. A ty robiłaś wszystko, by zająć moje myśli czymś innym. To śledztwo... To straszne, co spotkało tę dziewczynę, ale dzięki temu, że uczestniczę w tej sprawie, pomyślałem, że może nie jest ze mną tak źle. Może... może nie jestem aż tak beznadziejny, jak sądziłem? Śmierć ojca sprawiła, że znenawidziłem tę robotę. To przez nią zginął, ale teraz na nowo przekonuję się do munduru...

– Jesteś tu w charakterze mojego konsultanta – odparła. – Nie masz przydziału na mundur.

Oboje się uśmiechnęli.

– Pomyśl o tym, Lena – powiedział. – Możemy jechać do Łodzi nawet jutro. Zabierzesz rzeczy, przywieziemy je tutaj, a potem pomyślimy, co dalej.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł.

– Okej. – Uniósł dłonie. – Nie musisz podejmować decyzji teraz. Po prostu to przemysł.

– Pomyślę. Ale najpierw musimy zamknąć to cholerne śledztwo.

7

Dawid wszedł po schodach do domu, pokonując po dwa stopnie naraz. To był stary budynek, wybudowany jeszcze przez dziadka ze strony ojca, wymagał gruntownego remontu, odświeżenia elewacji i wymiany okien. Wzniesiony na planie kwadratu oranżowy klocek pośrodku wsi przypominał pozostawione na sztorc pudełko zapalek, niechciane, wetknięte na siłę. Po śmierci rodziców Dawid zamieszkał w nim z żoną. Teraz już była, poprawił się w myślach.

Zanim otworzył drzwi, zawiesił dłoń nad klamką i obrócił się, omiatając wzrokiem podwórko. Wychodek pod płotem, przyczepa przykryta plandeką i grubą warstwą śniegu, stara studnia z dziurawym daszkiem, trzy rozbite po pijaku ceramiczne donice, przewrócone i połamane ogrodowe lampki, kupione jeszcze przez żonę; stodoła z wielką dziurą w drzwiach, przez którą łeb wychylił kudłaty pies. Wyszedł na zewnątrz i otrzepał z resztek słomy.

– Cześć, kolego. – Dawid pogłaskał czarnego, ważącego siedemdziesiąt kilogramów nowofundlanda. Psisko liznęło go po dłoni i zamachało wielkim ogonem.

Dawid puścił psa przodem. Nowofundland zakręcił się w korytarzu i czekał na swojego pana, który ostrożnie przekroczył próg. W nozdrza uderzył go zapach zwietrzałego piwa i papierosów. Przeszedł korytarzem, odwracając wzrok od mijanej kuchni. Obawiał się tego, co zobaczyłby w środku. Ale w dużym pokoju nie było lepiej – bałagan i chaos – stół dla czteroosobowej rodziny stał krzywo, jedno z krzeseł, lekko wysunięte na bok, służyło za wieszak na ubrania, drugie leżało przewrócone, oblane kleistą substancją. Po blacie walały się puszki po piwie, przepelniona popielniczka, brudne pudełka po gotowych daniach. Na ziemi zalegało kilka petów.

Poczuł, że robi mu się niedobrze.

Stał z rękoma w kieszeni, pośrodku pokoju, na brudnym i przypalonym papierosami dywanie. Obok miał niewielką sypialnię, mimo to spał właśnie w tym pokoju, na kanapie. Ten mniejszy służył za graciarnię. Składował tam pranie i inne niepotrzebne rzeczy. Kiedy wyprowadziła się jego żona, wolał spać w dużym pokoju. Włączał telewizor, by słyszeć ludzkie

głosy. Miał wówczas poczucie, że nie jest w domu sam. To było złudne, ale inaczej nie potrafił. Na początku zaczynał od jednego piwa, potem potrzebował dwóch, zaraz trzech. Alkohol przynosił odprężenie, którego Dawid potrzebował.

Tak wygląda moje życie, pomyślał, omiatając wzrokiem bałagan.

Ze złością zabrał z podłogi foliową torebkę z Biedronki. Wysprzątał pokój z pustych puszek, wrócił na korytarz po kolejną reklamówkę, do której trafiła reszta puszek i kilka butelek po wódce. Odchylił głowę do tyłu. Czuł, jak po skroniach spływają mu krople potu. Wędrowały wzdłuż karku, wpadały pod koszulkę. Wszedł do kuchni, starając się nie patrzeć na składowisko, jakie zebrało się na stole.

Dość!

W jednej z dolnych szafek, po prawej stronie, tuż obok lodówki, zrobił sobie składzik. Inni, bogatsi ludzie nazywają takie miejsce barkiem, ale dla Dawida to była zwykła szafka, w której trzymał zapas alkoholu, regularnie uzupełniany. Wołał mieć coś pod ręką, kiedy najdzie go ochota. W lokalnym sklepie kupował małe ilości, dwa piwa, czasem wino. Nie chciał, by gadatliwa sprzedawczyni i jej klientki wzięły go na języki i rozpuściły po wsi plotkę, że Sadowski po odejściu żony zwyczajnie się rozpił. Po większe zapasy jeździł do miasta, do supermarketu. Tam było znacznie bezpieczniej. Nikt go nie znał, a nawet jeśli spotkał jakiegoś kumpla ze szkoły, zawsze mógł się wykręcić, mówiąc, że gromadzi procenty na imprezę.

Otworzył szafkę. Dłonie mu drżały. Przeciągnął dłonią po twarzy. Nie mógł tego zrobić. Co mi przyszło do tego durnego łba?, pomyślał ze złością.

To stało się niedawno, w dniu, kiedy znaleźli ciało Kariny. Coś przeskoczyło mu w głowie. Jakby śmierć młodej Cieślakówny sprawiła, że wreszcie się ocknął. No i Lena Rudnicka. Tak, ona też miała w tej sprawie jakieś zasługi. Kobieta w policji? Nie nadaje się, myślał sceptycznie. Okazała się nie tylko dobrym gliną, ale i świetną koleżanką. Wtedy uświadomił sobie, że można żyć inaczej, a świat nie kończy się na tej zasranej wsi, że jeśli tylko zechce, może osiągnąć znacznie więcej. Nawet postarać się o pracę w komendzie miejskiej?

Otworzył pierwszą puszkę piwa. Zrobił to ostrożnie. Dłonie drżały mu jak na kilkustopniowym mrozie. Poczul ten charakterystyczny, nęcący zapach. Zawahał się. Jeden łyk? Może dwa? Przecież nie zaszkodzi. Stał tak kilka minut, dygocąc na całym ciele.

Wahał się. Jeśli teraz wyleje zawartość puszek do zlewu, podejmie ostateczną decyzję. Pójdzie na leczenie, skończy z pić. Zastanawiał się, czy na pewno tego chce. A potem przechylił puszkę. Żółty, spieniony płyn wlał się wprost do odpływu.

Sięgnął po następne piwo, kolejne i jeszcze następne. Wszystkie wylądowały w zlewie, puszki trafiły do foliowej reklamówki. Potem reszta. Wódka, gin, whisky, wino. Do zlewu.

Po policzkach spływały mu łzy. Dlaczego płacze? Czy jest aż tak słaby? Żałosny gliniarz, tak beznadziejny, że zostawiła go żona.

Kiedy wylewał ostatnią butelkę, korciło go, by upić chociaż łyk. Jeden mały łyzeczek. Nie poddał się. Miał świadomość, że alkohol go niszczy, zżera od środka. Dlatego wciąż jest sam w pustym domu. Beznadzieja dotychczasowego życia uderzyła w niego niczym tornado.

Osunął się na podłogę, łkając w rękaw kurtki.

8

Panie Sadowski?!

Dawid uniósł głowę i nasłuchiwał przez chwilę. Zdawało mu się, że ktoś go wołał. Spojrzał na drzemiącego na podłodze Kajetana. Nowofundland zastrzygł uszami i dźwignął się z podłogi, podszedł do drzwi i wachał nieufnie.

– Panie Sadowski? Halo!

Dawid wyjrzał przez kuchenne okno. Na schodach przed drzwiami stał Patryk Adamski. Opierał się ramieniem o barierkę. Zanim Dawid otworzył drzwi, otarł łzy i ochlapał twarz zimną wodą. Nie miał pojęcia, z czym przyszedł Adamski, ale miał nadzieję, że zaraz zostawi go w spokoju.

– Panie Sadowski, myślałem, że pana nie ma – powiedział. – A dałbym sobie łapę obciąć, że pan jest. – Widząc zdezorientowany wzrok policjanta, dodał: – Samochód stoi przy bramie.

– Jestem.

– Super. To znaczy... Wybierałem się na komisariat, ale zobaczyłem samochód i... pomyślałem, że może uda się załatwić sprawę bez latania po komendach.

– O co chodzi?

Kajetan wysunął wielki łeb na zewnątrz. Adamski się cofnął.

– Nic ci nie robi. – Dawid poklepał psa po wielkim łbie. – To najłagodniejsze psisko pod słońcem.

– Jest wielki.

– To prawda.

Patryk patrzył nieufnie, ale pies stracił zainteresowanie gościem. Machnął ogonem i wrócił do domu.

– No? – ponaglił Dawid. – O co chodzi?

Pomyślał o tym, że powinien zaprosić Adamskiego do domu, ale wstydził się bałaganu i toreb wypełnionych pustymi puszkami i butelkami po alkoholu. Lepiej, jeśli zostaniemy na dworze, pomyślał.

– Żebyśmy się dobrze zrozumieli. – Patryk uniósł otwarte dłonie. – Nie mam nic wspólnego ze śmiercią Kariny.

– Rozmawialiśmy już o tym.

– Nie powiedziałem wam wszystkiego. Popełniłem błąd, ale chcę go naprawić.

Sadowski zmarszczył brwi.

– Jedno zataiłem. – Chłopak spuścił wzrok. – To znaczy... Jezu... Nie wiem, jak to powiedzieć.

– Po prostu powiedz, o co chodzi.

– Ja wiem, że może mi pan nie wierzyć. Narobiłem różnych głupot. Przyznaję, nie przepadam za policją. Tylko że ja już nie wytrzymam, rozumie pan.

– Nie bardzo.

Patryk wsunął dłonie w kieszenie kurtki i spojrzał w niebo.

– Nawet gdybym miał wylądować w pudle, muszę to powiedzieć – mruknął.

– Chodź.

Dawid zszedł ze schodów, mijając Adamskiego. Przeszedł za dom, gdzie leżało kilka pieńków drewna. Sadowski wziął dwa i postawił jeden przed chłopakiem.

– Siadaj – rzucił. – Do domu cię nie zaproszę, bo nie zasłużyłeś.

– Jasne.

Adamski obserwował, jak Dawid zapala papierosa. Policjant wyciągnął paczkę w jego stronę. Patryk wziął jednego, zapalił i zaciągnął się głęboko, wodząc wzrokiem po podwórzu.

– No więc? – zapytał Dawid.

Zaczynał się niecierpliwic. W domu czekało na niego jeszcze wiele pracy. Chciał dokończyć to, co zaczął. Zamknąć ten rozdział. Zerknął ponagląco na zegarek i przypomniało mu się, że zaraz powinien wracać na komisariat.

– Wiedziałem, że Karina leży martwa pod naszym płotem – wypalił Patryk, a potem zaciągnął się papierosem z taką siłą, jakby od tego zależało jego życie.

Sadowski milczał przez chwilę zaskoczony. Nie spodziewał się takiego wyznania.

– Wiedziałeś? – zapytał, bo nic innego nie przychodziło mu do głowy.

– Zataiłem to, bo się bałem, że mnie zwiniecie, bo pomyślicie, że to ja ją zabiłem, a to nieprawda.

– Czyżby?

– Nic jej nie zrobiłem, przyrzekam.

– Dlaczego wcześniej przyznałeś się do winy?

Patryk nie odpowiedział od razu. Dopalił papierosa i wskazał na paczkę. Dawid skinął głową. Adamski zapalił kolejnego papierosa, wypuścił dym i wziął głęboki oddech.

– Bałem się o ojca – wyjaśnił. – Między nami bywało różnie, ale to jednak mój ojciec.

– Rodziców się nie wybiera.

– To prawda.

– Nie znam cię. Wiem tylko tyle, że lubisz wszczynać burdy pod spożywczakiem, a parę tygodni temu pobiłeś młodego Jasińskiego, ale nie wiem, jakim cudem namówiłeś go, żeby nie składał zeznań przeciwko tobie, więc jeśli chcesz mi wmówić, że ruszyło cię sumienie, wybac, trudno mi w to uwierzyć.

Na twarzy Patryka nie drgnął żaden mięsień.

– Nie jestem taki, jak pan myśli – powiedział. – Nigdy nie zrobiłbym Karinie krzywdy.

– Wiem. W końcu byłeś w niej zakochany.

– Tak, powiedzmy, że tak.

– Nie byłeś?

– Zostawmy to.

Sadowski uniósł dłonie.

– Jak chcesz – powiedział. – Ale to ty do mnie przyszedłeś.

– Jestem przekonany, że to był Damian. Ten bratanek Kosika.

– Uważasz, że on zrobił Karinie krzywdę pod twoim płotem?

– Tak.

– I uciekł, a ty znalazłeś jej ciało?

– Zgadza się.

– Dlaczego nie zawiadomiłeś policji? Albo pogotowia? Skoro tak kochałeś Karinę, trzeba było jej pomóc. Mylę się?

– Poszedłem po ojca.

– Dlaczego nie wezwałeś pogotowia? – naciskał Dawid.

– Wiedziałem, że nie żyje.

Sadowski gwizdnął.

– Skąd ta pewność, co? – spytał.

– Czułem to. Czułem, że ona nie żyje. – Patryk wstał i wściekle kopnął w pień drewna, na którym siedział. – Nie zadzwoniłem po psy, bo byłem pewien, że mnie zwiniecie! Przecież jestem idealnym materiałem na mordercę!

– Bałeś się?

– Wiedziałem, że ta stara prukwa, nasza sąsiadka, widziała mnie z Kariną. Zresztą – machnął ręką – pewnie nie tylko ona, ale inni boją się gadać z glinami. Wiedziałem, że będę podejrzany po tym, co jej pisałem w wiadomościach. Macie swoje sposoby, żeby złamać hasła w komputerach czy telefonach. Nie jestem idiotą. Oglądałem parę filmów kryminalnych. Wiedziałem, że prędzej czy później dowiecie się, że pisałem do Kariny. Ale ja nigdy nie zrobiłbym jej krzywdy!

– Wiesz, jaką wersję brałem pod uwagę?

Adamski spojrział na niego pytającym wzrokiem.

– Skoro Karina nie chciała ci dać po dobroci, wzięłeś ją siłą – ciągnął Sadowski. – Wysłałeś jej swoje wypociny. Widziałem te wiadomości. Nieźle byłeś na nią napalony, co? Chciałeś, żeby ci dała, ale odmówiła. – Dawid wstał i zaciągnął się papierosem. – Pomyślałeś więc, że może uda ci się na festynie. Trochę wypiła, słabo kontaktowała, wymagała opieki. Pomyślałeś, że może teraz się uda i rozłoży przed tobą nogi, ale znów ci się nie udało. Zgwałciłeś ją, bawiłeś się nią jak lalką, a potem zostawiłeś na mrozie i pozwoliłeś, żeby się wykrwawiła.

Adamski cofnął się o krok.

– To jakieś brednie – wyjąkał.

– Nie chciałeś jej przelecieć? – zdziwił się Dawid. – Takiej laski? Gdybym mógł, sam bym to zrobił, ale byłem dla niej za stary.

– Słucham? Pan i Karina?

– No co? – Dawid uśmiechnął się. – Żałuję, że nie spróbowałem. Może Karina by się skusiła, jak myślisz? Mam dobrą pracę, dom, nieźle zarabiam, mam samochód, czego więcej mogła chcieć taka dziewczyna jak ona?

– Nie, nie. – Adamski kręcił głową. – Jest pan pijany?

– Wiesz, twoja historia o tym, że znalazłeś jej zwłoki, nawet trzymałaby się kupy, gdyby nie jeden szczegół. – Dawid podszedł bliżej. – Kurtka. – Uśmiechnął się. – Zapomniałeś zabrać kurtki z szopy.

– Myli się pan. – W głosie Patryka pojawiła się pewność siebie. – Specjalnie ją tam zostawiłem. Gdybym to ja był sprawcą, raczej zabrałbym ją ze sobą. Mówiłem już.

Sadowski zaśmiał się szyderczo.

– Dobrze – przyznał.

– Polecałem po ojca, żeby zapytać, co powinniśmy zrobić. Chciałem zadzwonić na policję, ale nie miałem odwagi. A potem ojciec wyskoczył z tą łopata.

– Szpadlem.

Adamski się zawahał.

– Ojciec chciał zakopać ciało?

Sadowski czekał na odpowiedź. Miał wrażenie, że dopiero teraz elementy tej układanki zaczynają łączyć się w całość. Ich – Leny, Marcela i jego – tezy były błędne. Zakładali, że sprawca chciał pozbyć się ciała, a być może wcale tak nie było. Jeśli Patryk mówi prawdę, to zmienia postać rzeczy. Łopata i kurtka to złe tropy. Muszą skupić się na kimś, kto zgwałcił i porzucił raną dziewczynę. Na kimś, kto zrobił to szybko. Tak szybko, że nie było żadnych świadków.

– Mówiłem mu, że to głupi pomysł – ciągnął Adamski. – Ale się uparł. Tyle że ziemia była zmrożona i nie dało się kopać.

– Co zrobił ojciec?

– Uznał, że trzeba poczekać. Wrócił do domu, ja powiedziałem, że zaraz do niego dołączę. Wtedy schowałem tę kurtkę. Ona... ona leżała niedaleko, pod płotem. Schowałem kurtkę w szopie i poszedłem do kumpla. Wiedziałem, że w domu rano zaroi się tutaj od policjantów i będą wypytywać o szczegóły. Ojciec myślał, że jestem w domu. Mówił, że dopiero następnego dnia zauważył, że mnie nie ma.

– Tak po prostu poszedł spać?

– Nie wiem. – Patryk pokręcił głową. – Nie było mnie tam.

– O której wróciłeś do domu?

– Po czwartej nad ranem.

Sadowski pokiwał głową. Godzina zgadzałyby się ze wstępnym raportem, jaki dostali.

Karina zmarła pomiędzy trzecią a czwartą nad ranem.

– Co teraz? – zapytał Adamski. Dawid spozjrzał na niego spode łba. – Zamkniecie mnie?

– Spisz mi dane tego kumpla, u którego byłeś. Sprawdzimy twoje alibi. Pogadamy również z twoim ojcem.

– Z nim lepiej nie gadać...

– Wiesz, że to konieczne.

– Zajebie mnie, że wszystko wyklepałem.

– Może nie będzie tak źle.

Sadowski spojrział na papierosa, którego trzymał w palcach. Dawno zgasł. Rzucił peta w zaspę i potarł zmarznięte dłonie.

– Idź do domu – powiedział. – Ale już nie znikaj. Możesz być nam potrzebny.

– Tak jest. – Patryk ruszył w stronę bramy. Zatrzymał się w pół kroku i obejrzał na Sadowskiego. – Pan tak poważnie? Z Kariną? Że pan by ją przeleciał?

Dawid uśmiechnął się i machnął ręką. Sprawdził tylko reakcję Patryka, ale nie zamierzał mu teraz tego tłumaczyć. Wrócił do mieszkania, w sieni otrzepał buty ze śniegu. Pies uniósł łeb i mlasnął przeciągle na widok swojego pana.

9

Ksiądz Jacek siedział przy kuchennym stole i przeglądał prasę. Nie potrafił skupić się na żadnym tytule, a kiedy usłyszał kroki na ganku, rozłożył gazetę na stole i pochylił się nad nią, udając, że artykuł o połowie ryb tak go wciągnął, że nawet nie zauważył, że ktoś wszedł do pomieszczenia.

– Dzień dobry, Jacku. – Proboszcz wszedł do kuchni, nieco zgarbiony. – Przeszkadzam? – Wskazał na „Wyborczą”.

– Skądże. – Jacek zamknął gazetę i opadł na oparcie krzesła.

– „Wyborcza”? Naprawdę?

Jacek się zarumienił.

– Nowy numer „Gościa Niedzielnego” się ukazał – poinformował go proboszcz z wyrzutem. – Czytałeś?

– Jeszcze nie miałem okazji.

– Polecam. Bardzo dobre artykuły można tam znaleźć. Znacznie lepsze niż to. – Uniósł gazetę, trzymając ją w dwóch palcach i rzucił z powrotem na stół. – Nie ogłupiaj się, młody człowieku. Jeszcze sporo życia przed tobą.

Jacek nie podzielał poglądów proboszcza, ale posłusznie schował gazetę pod stół.

– Gdzie Arkadia? – zapytał proboszcz.

– Poszła do sklepu. Zaraz powinna wrócić.

Proboszcz z westchnieniem postawił czajnik na kuchence i zapalił gaz. Sięgnął po filiżankę, nalał esencji z zielonej herbaty, po czym usiadł przy stole naprzeciwko wikarego. Przyglądał mu się badawczo.

– Jakież nowinki wyczytałeś? – spytał.

Jacek pokręcił głową.

– Nic ciekawego.

– A jak minęła poranna msza?

– Bez problemów. Tylko ludzie nie dopisali, chyba przez pogodę. Przyszło raptem parę osób.

– W tygodniu tak bywa. Ludzie mają własne sprawy. Praca, zakupy... Mało kto myśli o swojej duszy. A szkoda, wielka szkoda...

Jacek, by zająć czymś ręce, napił się kawy. Już dawno wystygła, była niesmaczna i źle wymieszana. Na powierzchni pływały fusy. Kiedy wpadły Jackowi na język, rozgryzał je, jakby chciał wyssać z nich resztki kofeiny. Dziwił się, że proboszcz siedzi z nim przy stole. Zazwyczaj o tej porze zamykał się w pokoju. Może pisał kazania albo czytał książki? Teraz wstał i zalał esencję wrzątkiem, po czym ponownie usiadł obok Jacka. Wikary wyczuwał w tym jakiś podstęp.

– Wszystko w porządku, księże proboszczu? – spytał nieśmiało.

– W jak najlepszym.

Proboszcz miał podkrążone oczy, jakby nie spał całą noc. Westchnął ciężko i oparł łokcie o stół.

– Taki dzień – podsunął wikary. – Smętny.

– Smętny?

– Zimno, szaro i buro.

– Czuję się dobrze, Jacku, nie rozumiem, co masz na myśli.

Jacek zasznurował wargi.

Na ganku trzasnęły drzwi. Arkadia wróciła z zakupów. Odwiesiła płaszcz na wieszak i zmieniła kozaki na domowe kapcie. Zataszczyła ciężkie torby do kuchni. Skinęła głową na przywitanie księżom, po czym zajęła się rozpakowywaniem zakupów. Pęczek włoszczyzny, biały ryż, piersi z kurczaka, napój pomarańczowy. Wypakowywała wszystko pośpiesznie, wręcz nerwowo.

– Arkadio, coś się stało? – zagaił proboszcz.

Gospoia podparła się pod boki. Na jej twarzy malowało się oburzenie.

– Nie uwierzycie, czego się dowiedziałam – odparła. – Człowiek tylko do sklepu pójdzie i takich rzeczy się dowie, że aż włosy dęba stają. Aż gęsiej skórki dostałam. Niech sami księża zobaczą, jak nie wierzą. – Odsunęła rękaw bluzki i pokazała przedramię. – Straszne, straszne rzeczy dzieją się w naszej wsi. Bóg nas karze, ale za co? Cośmy takiego narobili?

– Co się stało?

– W sklepie był stary Śmigalski, wiecie, o kim mówię, prawda?

Księża popatrzyli po sobie.

– Dróżnik nasz – dodała Arkadia.

– Ach, tak – odpowiedzieli jednogłośnie.

– No i opowiadał, co to się wydarzyło w starej mleczarni. Kto by pomyślał, Boże jedyny, kto by pomyślał?

– Arkadia powie wreszcie, o co chodzi? – spytał proboszcz.

– Natalię znaleźli. Koleżankę Karinki, co to jej szukała policja. Podobno była nieprzytomna w tym budynku mleczarni, no w tym ostatnim, co tam nikt nie chodzi prawie.

– Ale żyje? – upewnił się proboszcz.

– Żyje, żyje – zapewniła pośpiesznie gospoia. – Na całe szczęście, ale mówią, że samobójstwo próbowała popełnić. Biedne dziecko, tak przeżyła śmierć rodziców, a teraz przyjaciółki, że już żyć się jej odechciało. Coś strasznego!

– Samobójstwo... – powtórzył proboszcz szeptem.

Jacek patrzył na gospoie przerażony. Poderwał się z krzesła, rozlewając resztki niedopitej kawy. Powinien jak najszybciej odwiedzić Natalię w szpitalu. Dziewczyna nie miała rodziny. Jeżeli chciała odebrać sobie życie, oznaczało to, że nie było z nią najlepiej. Prawdopodobnie potrzebowała wsparcia kogoś bliskiego.

– Co ksiądz taki zdenerwowany? – spytał proboszcz.

– Pojadę do niej.

– Do Natalii?
– Na pewno potrzebuje z kimś porozmawiać. Tak – pokiwał głową – rozmowa dobrze jej zrobi.
– Ona przecież nieprzytomna jest – oznajmiła Arkadia.
Jacek dałby sobie rękę uciąć, że na twarzy proboszcza odmalowała się ulga.
– Ale niedługo się wybudzi, prawda? – Ruszył w stronę korytarza. – Poczekam przy jej łóżku. Lepiej, żeby był na miejscu.
– Jacku! – zawołał proboszcz. – Nie możesz jechać!
Wikary przystanął w holu, zdumiony.
– Nie pamiętasz, że zamieniłeś się ze mną na popołudniową mszę? – spytał proboszcz. – Obiecałeś odprawić ją za mnie. Mówiłem ci przecież, że muszę załatwić parę spraw na mieście. Zajrzeć do urzędu. – Proboszcz zatarł dłonie. – Mam lepszy pomysł. Skoro i tak będę w mieście, może ja do niej zajrzę?
– Ale...
– O nic się nie martw. Kiedy się wybudzi, będę jej służył wsparciem i dobrym słowem.
Jacek wyglądał na nieprzekonanego.
– No już. – Proboszcz wstał i poklepał wikarego po ramieniu. – Nie przejmuj się. Wszystko się ułoży. No! – Klasnął w dłonie. – To ja będę się zbierał, Arkadio, nie czekaj na mnie z obiadem.
– Księżę proboszczu, ale... – spróbował wikary, lecz przełożony tylko się uśmiechnął. Zdjął z wieszaka kurtkę i zatrzasnął za sobą drzwi.
Jacek stał oniemiały. Był pewien, że nie umawiał się z proboszczem na zastępstwo na mszy.

10

Po kilku minutach dobijania się do drzwi Mielcarzów Lena Rudnicka zważyła, czy ktoś jest w domu. Zerknęła na Wolskiego, jakby szukała potwierdzenia dla swoich przypuszczeń, a wtedy rozległ się odgłos przekręcenia zamków i w progu stanęła Barbara. Była ubrana w szlafrok z połyskującego materiału, a w dłoni trzymała szklankę wypełnioną wodą, z liśćmi mięty i pokrojoną w plastry cytryną.

– Dłużej się nie dało? – burknęła Rudnicka, wsuwając dłonie w kieszenie spodni.

– Nie mam obowiązku z wami rozmawiać.

Za każdym razem kiedy Lena spotkała Baškę Mielcarz, kobieta coraz bardziej ją zaskakiwała. Najpierw udawała zaniepokojoną przyjaciółkę Kariny, potem próbowała mieszać w zeznaniach i wymuszać kłamstwo na Natalii, następnie oskarżyła własnego męża o morderstwo.

– Wpuścisz nas do środka czy będziemy gadać w progu? – zapytała komisarz.

Baška zawahała się, jakby analizowała w głowie plusy i minusy obu rozwiązań. Po chwili odsunęła się na bok, by umożliwić policjantom przejście. Poprowadziła ich do kuchni. Nie zaproponowała jednak nic do picia.

– Czemu zawdzięczam tę wizytę? – zapytała, a jej głos był nienaturalnie wysoki. Ziewnęła, udając znudzenie. – Przepraszam, dopiero wstałam. Mam taki zwyczaj, że zaraz po wyjściu z łóżka piję przegotowaną wodę z miętą i cytryną. Musiałam przygotować napor. Poza tym nie spodziewałam się gości.

– Zajmiemy tylko chwilę – usprawiedliwił się Marcel, ściągając na siebie krytyczne spojrzenie komisarz, która bez zaproszenia usiadła przy stole.

– Skoro dopiero wstałaś, pewnie nie masz pojęcia, co wydarzyło się dzisiaj we wsi? –

powiedziała.

– Co takiego?

Oczy Baški błysnęły. Wyglądała na zaintrygowaną.

– Policja dostała zgłoszenie o znalezieniu nieprzytomnej dziewczyny na terenie starej mleczarni.

– No i?

– Tą dziewczyną okazała się zaginiona Natalia.

– Och. – Baška zakryła usta dłonią.

Rudnicka przyglądała się jej, sondując reakcję. Właściwie nie wiedziała, czego oczekiwać. Mimo wszystko nie sądziła, by Baška miała coś wspólnego z zaginięciem Natalii. Być może faktycznie chciała się jej pozbyć, ale przecucie mówiło Lenie, że u Baški groźby zawsze kończą się na słowach.

Teraz jej zaskoczenie wyglądało na szczere.

– Co się stało? – zapytała.

– Jacyś smarkacze pałętali się w mleczarni, znaleźli ją i zadzwonili na sto dwanaście.

– Nie, nie. Pytam o to, dlaczego Natalia była nieprzytomna? Ktoś zrobił jej krzywdę?

Rudnicka postanowiła nie mówić jej całej prawdy.

– Zachodzi podejrzenie, że to była próba samobójcza – wypaliła.

– Natalia i samobójstwo?

– Pomyślałam, że ty jako jej przyjaciółka będziesz mogła nam pomóc.

Mielczarz stanowczo pokręciła głową.

– Natalia nie popełniłaby samobójstwa – oznajmiła, odstawiając szklankę na blat. Oparła o niego dłonie i trwała tak kilka sekund. – Jestem tego pewna. Ona była wierząca.

– Co z tego?

– Przecież to grzech, prawda? – Baška popatrzyła na policjantów. – Poza tym należy do osób, które rozwiązują problemy. A samobójstwo nie jest rozwiązaniem.

– Przeżywała trudny okres – zauważył Marcel. – Jej rodzice zginęli w wypadku, a najlepsza przyjaciółka została zgwałcona i umarła. Może to był powód, dla którego Natalia się załamała? – Podrapał się w skroń. – Mogła się załamać.

Rudnicka pokiwała głową, jakby zgadzała się z tezą Wolskiego.

– Nie macie innych tropów? – zapytała Baška. – Może ktoś jej pomógł?

– Niby kto?

– Oskarżałaś swojego męża o morderstwo, więc gdyby nie siedział na dołku, byłby pierwszym podejrzanym – odparła Lena. – To ty skierowałaś na niego podejrzenie.

– Pod wpływem impulsu. Naprawdę pomyślałam, że mógł to zrobić.

– Natalia miała jakichś wrogów?

– Ona? – Baška zaśmiała się nerwowo. – Nie. Ona była zawsze ta dobra. Wszystko robiła jak należy. Chodzący ideał.

– Kto i dlaczego mógł chcieć śmierci Natalii?

– Posłuchajcie, ona nikomu nie załazała za skórę. Nie mam pojęcia, dlaczego ktoś chciałby się jej pozbyć.

Natalia nie odzyskała jeszcze przytomności. Rudnicka liczyła, że wkrótce się wybudzi i opowie, kto zaaplikował jej środek nasenny. Teraz wstała, żeby się pożegnać.

– Natalia wiedziała o... – zawahała się nagle Baška.

– O księdzu i Karinie? – spytała Lena.

Mielczarz skinęła głową.

– Wiedziała o nich – dodała. – Nie, to głupi pomysł.

– Co masz na myśli? – zapytał Marcel.
Ale zanim Baśka odpowiedziała, Rudnicka wyszła.

11

Dawid zawsze był słaby.

Nigdy nie zapomni swojego pierwszego dnia w przedszkolu. I wszystkich kolejnych. To był koszmar. Nienawidził tamtego miejsca i rozłąki z rodzicami. Bardzo ich kochał, a w swoim małym rozumku wymyślił, że skoro zostawiają go na kilka godzin pośród gromady rozwrzeszczanych dzieciaków, chcą się go pozbyć. Za każdym razem gdy matka oddawała go w ramiona uśmiechniętej przedszkolanki, darł się wniebogłosy i rzucał się na ziemię, przekonany, że zostanie tam na zawsze. Ale mama zawsze wracała, a następnego dnia koszmar zaczynał się od początku. Nie pomagały rozmowy z babcią, która przekonywała chłopca, że w przedszkolu będzie miał wielu kolegów, a mama na pewno każdego dnia odbierze go po pracy.

Tamtego ranka zszedł do kuchni w piżamie, pocierając oczy. Mama krzątała się po kuchni, przygotowując na śniadanie kanapki z serem i szklanek ciepłego mleka.

– Synku, ty jeszcze niegotowy? – zapytała. – Biegnij na górę i ubieraj się szybko, bo się spóźnimy.

– Jestem chory.

Na dowód zakasłał, ale aktorem był słabym, więc mama tylko się zaśmiała, po czym ponaglająco klepnęła go w ramię.

Tamtego dnia miał na sobie czerwone ogrodniczki i żółtą koszulkę z długim rękawem. Wiele szczegółów z dzieciństwa już dawno umknęło, ale to zapamiętał.

Przedszkole było niewielkie, typowo wiejskie, wszystkie dzieciaki kojarzył ze wsi. Na zewnątrz nie było wielu zabawek, jak obiecywała babcia, tylko jedna piaskownica, która miała zająć dwudziestkę znudzonych dzieci. Wewnątrz kolorowe i pstrokate ściany – przerażały chłopca. Natłok kolorów sprawiał, że nie mógł zebrać myśli. Malunki rozwieszane na tablicach, bezkształtne kwiaty pociągnięte dziecięcą rączką, kwadratowe pieski z kwadratowymi oczami, ludzie, których tułowia przypominały kurze jaja. Na sam widok tych paskudnych obrazków Dawidowi chciało się płakać.

Mama zmieniła mu buty na nowe kapcie, kupione specjalnie na tę okazję, porozmawiała z jakąś panią, jak się okazało, była to pani Dorotka, która zawsze uśmiechała się szeroko, ukazując rząd pożółkłych zębów, a wokół niej unosiła się woń papierosowego dymu. Babcia twierdziła, że pani Dorotka wypala paczkę papierosów dziennie, ale tak dyskretnie, że żadne z dzieci nie widziało jej z papierosem. Podobno nie chciała wyrabiać w przedszkolakach złych nawyków, mimo to babcia nie omieszkała wygłosić swojej uwagi w obecności wnuczka.

Płacz wydawał się Dawidowi jedyną adekwatną reakcją na zachowanie kolegów. Kiedy Janek z ulicy Wesołej zabrał mu łopatkę, Dawid rozplakał się wniebogłosy. Gdy wpadł do piaskownicy – szlochał, gdy spadł z huśtawki – ryczał, kiedy jadąc na rowerku, wyrznął w asfaltową drogę i zdarł kolano – również wybuchnął histerycznym płaczem. Z czasem dzieci przywykły do płaczącego kolegi, którego nazwały beksą. Przesiadywał na krzeselku w kącie (sam wybrał to miejsce, z dala od innych dzieci) i szlochał w rękaw.

Po kilku godzinach spędzonych w przedszkolu i kilku nieudanych próbach namawiania przez panią Dorotkę, by dołączył do zabawy, stało się coś niebywałego. Po Karolinę, dziewczynkę z dwoma kucykami po bokach, przyszła babcia. Potem zniknęli Patryczek, Adaś i Zuzia. A potem reszta dzieci. Dawid nie mógł się nadziwić. Jak to? Przecież mieli tutaj zostać na wieczność, a oni tak po prostu idą do domu? Uśmiechali się do siebie, mówili „do jutra”, jakby już nie mogli się doczekać, kiedy znowu tutaj wrócą.

A potem Dawid został sam. Koszulkę miał mokrą od łez. Był głodny, ponieważ odmawiał każdego posiłku, który proponowała mu pani Dorotka. Płakał, myśląc o tym, jak bardzo jest samotny i niekochany, kiedy w końcu zjawiała się jego matka.

– Przepraszam – powiedziała do pani Dorotki. – Cholera, przedłużyło mi się w pracy.

– Nie ma problemu – odparła nauczycielka. – Mam pociąg do domu dopiero o siedemnastej trzydzieści, więc mogłam z nim zostać.

Dawid nie mógł uwierzyć, że jego mama jednak postanowiła zabrać go do domu. Był taki szczęśliwy! Już nigdy nie będzie musiał wracać do tego paskudnego miejsca! Nigdy! Rzeczywistość jednak okazała się brutalna, bo następnego dnia znów siedział w kącie na krzeselku.

Przezwisko „Beksa” przyłgnęło do niego na długo. Nawet w szkole średniej chłopaki wytykali go palcami. Aby go rozzłościć, zaciskali dłonie w pięści i niby wycierali zażawione oczy.

Dlatego postanowił dać nauczkę tym głupkom ze szkoły i został policjantem. Tacy jesteście cwani? Zobaczmy, kto będzie się śmiał ostatni, kiedy przymknę was za picie w miejscu publicznym albo jazdę po pijaku na rowerze. Dawid pozytywnie przeszedł wszystkie testy i mimo obiekcji matki wstąpił do policji. Ona uważała, że jej syn zostanie artystą (przecież jest taki wrażliwy) albo lekarzem. Chciała, aby zarabiał dużo pieniędzy, ale Dawid postawił na swoim. Na początku był bardzo pracowity. Jeździł po wsi i wyszukiwał dawnych kumpli. Wynajdywał różne powody, by wlepić im mandat. Tamci krzyczeli, odgrządzali się, a on pokazywał odznakę, dając do zrozumienia, że może ich zamknąć za groźby wobec funkcjonariusza na służbie.

Rzecz w tym, że mundur nie zmienił Dawida. Na zewnątrz był twardym facetem, który niczego się nie boi, ale w środku wciąż czuł się tamtym przedszkolakiem, który płacze w kącie. Czuł się niepotrzebny, niekochany, zbędny.

Dlatego teraz, gdy siedział w swojej kuchni, w pustym domu, z reklamówkami pełnymi pustych puszek i butelek, rozpaczliwie się rozplakał. Nie miał siły ze sobą walczyć. Został sam. Jak zawsze. Sam ze swoimi myślami. I jednym winem, którego wylanie do zlewu przerwał mu pukający do drzwi Patryk Adamski. Spojrzał na zieloną butelkę. Wino było na zakrętkę, nie na korek. Kosztowało jakieś dwadzieścia złotych. Dawid pamiętał, że dawno temu kupiła je jego żona, która lubiła czasem wypić lampkę wina wieczorem do książki albo filmu. Dziw, że jeszcze go nie wypił. Odkręcił korek i powąchał bukiet. Pachniało jak zwykle wino, nic specjalnego.

Wiedział, że nie powinien. W końcu raptem kilkadziesiąt minut wcześniej postanowił zmienić swoje życie, ale przecież był słaby, prawda? Zbyt słaby, by zerwać z nałogiem. Zawsze czuł się małym, słabym chłopcem. Potrzebował wsparcia, ale był zbyt żałosny, by o nie poprosić.

Przechylił butelkę i upił pierwszy łyk.

Nigdy nie był silnym facetem.

12

W nozdrza uderzył go typowy szpitalny zapach będący mieszaniną leków i choroby, która osiadała na ścianach, wypełniała każdą szczelinę tego miejsca. Szedł długim korytarzem, trzymając dłonie w kieszeniach sutanny, nerwowo zaciskał pięści, lecz jego twarz rozjaśniał dobroduszny uśmiech. Mijał pacjentów leżących na korytarzu, dla których zabrakło miejsca w salach. Śledzili każdy jego ruch, wymieniali zdziwione spojrzenia. Ksiądz w szpitalu oznaczał dla nich jedno – wyrok. Ale się mylili. Proboszcz Leopold Babecki przyszedł tu w innym celu.

Intensywny turkus na ścianach kłuł go w oczy. *Szczęście Boże, niech będzie pochwalony*, pracownicy, lekarze i pielęgniarki kiwali głowami, gdy przechodził obok, podążał dalej, sutanna

zamiatała podłogę. Usunął się z drogi, by przepuścić kobietę pchającą przed sobą metalowy wózek wypełniony talerzami, kubkami i metalowymi pojemnikami.

– Pochwalony.

– Na wieki wieków. Amen.

Wzrokiem odszukał odpowiedni numer sali. Zawahał się, oddychając ciężko, uśmiechnął się do pacjentki leżącej na korytarzu, a potem zdecydowanym ruchem pchnął drzwi.

Natalia leżała przykryta kołdrą, z lekko odchyloną głową, powieki miała przymknięte, a skórę bladą jak papier. Proboszcz zamknął za sobą drzwi i podszedł bliżej. Czuł, że w oczach wzbierają mu łzy, otarł je rękawem sutanny i przysunął krzesło do łóżka. Żałował tego, co zrobił, lecz nie mógł postąpić inaczej. Wszystko skomplikowało się tak bardzo, że nie było odwrotu.

Czy zostanie pociągnięty do odpowiedzialności?

Leopold nie dbał o to. Był przekonany, że będzie ostatnią osobą, jaką mogłaby podejrzewać policja. Reputację miał znakomitą, wśród parafian uchodził za dobrego człowieka, przyjeżdżał na każde wezwanie do chorych, chodząc po kołędzie, wysłuchiwał wszystkich, którzy chcieli podzielić się z nim troskami, zbierał pieniądze dla ubogich parafian, pomagał im w ocieplaniu domów, zamawiał opał. Wszyscy podziwiali jego dobre serce, więc nikt nie skieruje na niego podejrzeń.

Nikt nie pomyśli, że mógłby chcieć kogoś zamordować.

– Moje dziecko – szepnął. – Pogubiłaś się. Wiem, że to nie twoja wina. Bóg poprowadził cię tą drogą. Widocznie tak musiało być. Nie miej mi tego za złe, proszę.

Wykonał znak krzyża, ale nie mógł skupić się na modlitwie. Zająknął się w pół słowa, nie mogąc przypomnieć sobie, co dalej. Poczul, że dłonie zaczynają mu dygotać, a ciało pokrywa się lepką warstwą potu.

Otrząsnął się. Czy naprawdę przyszedł zabić tę dziewczynę? Co on tutaj właściwie robi? Co w niego wstąpiło?

Podерwał się z krzesła, które upadło na podłogę. Patrzył na nieprzytomną Natalię, jakby właśnie teraz dotarło do niego, co zrobił. Dziewczyna wylądowała w szpitalu, i to z jego winy. Najpierw ją uderzył, przetrzymywał, a teraz przyszedł ją zabić? Ale w jaki sposób? Przecież nie miał nawet planu.

Chwycił się za głowę. Nie. Nie przecież może tego zrobić.

Podszedł bliżej łóżka.

– Przepraszam, dziecko – wyszeptał i uniósł wzrok ku górze. – Wybacz mi, Panie mój, złe myśli.

Wiedział jednak, że czasu już nie cofnie.

13

Cholera, nie odbiera – mruknęła Rudnicka, chowając telefon do kieszeni kurtki.

– Może coś mu wypadło?

– W trakcie służby? – prychnęła. – To musiałyby być coś turboważnego. Zresztą mówił, że zaraz wróci.

Od kilku minut usiłowała dodzwonić się do Sadowskiego, bez skutku. Jego telefon nie odpowiadał, a on sam nie wysłał żadnej wiadomości.

– Mam nadzieję, że niczego nie kombinuje – mruknęła Lena i usiadła za stołem.

Arkadia Ząbek zjawiła się po chwili. Nie wyglądała na zachwyconą wizytą policji, ale kultura i dobre maniery wzięły górę. Postawiła na stole tacę z herbatą i miseczką ciasteczek domowej roboty. Uśmiechnęła się, a raczej wykrzywiła twarz w wymuszonym grymasie.

– Ksiądz Jacek jest teraz zajęty – poinformowała oficjalnym tonem.

– Chcemy z nim porozmawiać.
– Jest teraz zajęty – powtórzyła z naciskiem. – Przygotowuje się do mszy.
– A więc zrobi sobie przerwę. – Rudnicka sięgnęła po ciastko i wsunęła je do ust. – Niech pani woła księżulka albo sama po niego pójde.

Gospodyni głośno wciągnęła powietrze do płuc. Przyzwyczajona do szacunku, jakim darzyli ją parafianie, poczuła się urażona.

– Dobrze – odparła. – Pójde do księdza. Proszę zaczekać.

Kiedy wyszła, Lena uśmiechnęła się do Marcela.

– Niby taka porządna pani, a taka niemila, prawda? – zagadnęła.

– Co masz na myśli?

Puściła do niego oko.

– Dobrze wiesz, co mam na myśli.

W tej kobiecie było coś niepokojącego, jakby skrywała jakąś tajemnicę. Teraz zachowywała się nerwowo, była wyraźnie niezadowolona z wizyty policji.

Dlaczego?

Rudnicka z rękami w kieszeniach spodni przeszła się po pokoju. Parkiet skrzypiał, zdradzając każdy krok. Zerknęła na regał wypełniony książkami, przeleciała wzrokiem po grzbietach. Kilkanaście starych wydań encyklopedii i słowników, reportaże, zbiory esejów. Żadnych powieści. Naprzeciwko stała kanapa na cienkich nóżkach ze starannie ułożonymi poduszkami w folkowe wzory i narzutą z grubymi frędzlami. Tuż obok dwa fotele, a między nimi szklany stolik kawowy. Na ścianach obrazy, mniejsze, większe, jeździec na koniu, statek na wzburzonej morzu, portret małej, zaledwie kilkuletniej dziewczynki, której pyzata, piegowata buzia uśmiechała się do malarza. Wnętrze wyglądało na zadbane, o co troszczyła się sama Arkadia, lecz Lena nie mogła oprzeć się wrażeniu, że przedmioty znajdujące się w pokoju nie pasują do siebie, nie współgrają, jakby wstawione zostały tutaj przypadkowo.

Wikary nie nadchodził. Lena zerknęła na telefon, by sprawdzić, czy Dawid wysłał wiadomość, ale ekran powiadomień pozostawał pusty. Wsunęła z powrotem komórkę do kieszeni.

Wolski napił się herbaty i założył nogę na nogę.

– Zielona herbata – powiedział. – Bardzo smaczna. Spróbuj.

– Nie wierzę tej gosposi. Bóg jeden wie, co za gówno dosypała do tej herbatki. Już jedną śpiącą królownę znaleźliśmy.

Marcel zatrzymał filiżankę w połowie drogi do ust i popatrzył na mętny napój. W filiżance zaplątało się kilka suszonych liści.

– Daj spokój – rzucił. – To zwykła herbata.

– Poczekamy, zobaczymy. Jeśli nie zaczniesz toczyć piany z ust, pożałuję, że nie spróbowałam.

Marcel znów się zawahał, po czym odstawił filiżankę na stół.

– Przepraszam, że musieli państwo czekać. – W drzwiach stanął wikary. Miał na sobie koszulkę polo i džinsy. Przeczesał dłonią wilgotne włosy i uściśnął dłoń najpierw Rudnickiej, a potem Wolskiemu. Usiadł na fotelu i nalał herbaty do filiżanki, po czym upił długi łyk. Wolski obserwował reakcję na twarzy wikarego, ale nic się nie wydarzyło. Popijał herbatę, po czym odstawił ją na stolik i splótł dłonie na kolanach. – Arkadia mówiła, że chcieliście ze mną rozmawiać.

Rudnicka spojrzała na niego z ukosa.

– Słyszał ksiądz, że znaleźliśmy Natalię? – zapytała.

– Tak, oczywiście, że o tym słyszałam.

– Skąd się ksiądz dowiedział?
– Arkadia była rano na zakupach. W sklepie dowiedziała się, że policja znalazła nieprzytomną Natalię na terenie starej mleczarni. Podobno chciała popełnić samobójstwo, to prawda?

Komisarz przekrzywiła głowę, namyślając się, w jaki sposób rozegrać tę rozmowę.

– A sądzi ksiądz, że mogłaby to zrobić?

– Nie mnie to oceniać, pani komisarz.

– Pytam księdza o zdanie, a nie o ocenę.

Wikary westchnął i przyglądał dłonią koszulkę.

– W ostatnim czasie wiele przeżyła – odparł. – Zbyt wiele jak na jedną osobę. Ludzka psychika bywa krucha, a człowiek może załamać się w najmniej oczekiwanym momencie.

– A ja myślę, że ktoś jej pomógł.

– To znaczy?

– To znaczy, że chciał się jej pozbyć.

Ksiądz wyglądał na zaskoczonego.

– Pozbyć? – Rozłożył dłonie i spojrzał na Wolskiego, szukając u niego odpowiedzi. – Po co? Dlaczego ktoś miałby to robić?

– Może miał motyw.

– Nie rozumiem...

– Mógłby to zrobić ktoś, komu zależało, by Natalia się nie wygadała. A trochę wiedziała, myślę się?

Ksiądz położył otwartą dłoń na sercu.

– Pani o mnie mówi? – zapytał, unosząc brwi. – Że niby ja doprowadziłem do śmierci Natalii? To żart, prawda? Nie wierzę, że w ogóle mogliście tak pomyśleć.

– A jednak.

Marcel przesunął się bliżej.

– Proszę posłuchać – powiedział. – Miał ksiądz idealny motyw. Zresztą sam ksiądz mówił, że jej szukał.

– Owszem. Ale to było już po tym, jak Natalia rzekomo zniknęła.

– To ksiądz tak twierdzi.

Lena kiwnęła głową.

– No właśnie – dodała. – Może ksiądz kłamał, że jej szukał, a w rzeczywistości już dawno leżała u księdza w hm... bagażniku? Przetrzymywana, otumaniona jakimś nasennym gównem. Jak to było, proszę księdza?

– Natalia wiedziała o księdzu i o Karinie. To nie było księdzu na rękę, prawda?

Wikary wstał i nerwowo krążył po pokoju.

– To jakieś brednie – orzekł. – Wypraszam sobie tego typu insynuacje. Rozmawialiśmy już o tym. Powiedziałem wam całą prawdę. Wszystko, co wiem.

– Możemy rozejrzeć się w pańskim pokoju? – spytała komisarz.

Ksiądz przez chwilę stał nieruchomo, zaskoczony pytaniem.

– Rewizja? – zapytał.

– Jak zwał, tak zwał – burknęła Lena. – Chciałabym się trochę rozejrzeć. Jeśli się ksiądz nie zgodzi, zaraz wrócę z nakazem. To jak?

– Dobrze. – Rozłożył ręce w geście kapitulacji. – Proszę za mną.

Poprowadził ich na piętro. Uchylił drzwi jednego z pokoi, lecz nim policjanci zdążyli do niego wejść, na półpiętrze pojawiła się gosposia.

– Co tu się wyprawia?! – zawołała i dysząc, pokonywała strome stopnie. – Co ksiądz

wyrabia?! Co państwo tutaj robią?

– Pani komisarz chciała się rozejrzeć – wyjaśnił ksiądz.

– Rozejrzeć? – Arkadia była święcie oburzona. – Co pani sobie myśli? Jak śmie przychodzić do cudzego domu i zaglądać po kątach! Sądzi pani, że ma do tego prawo?

Rudnicka zamyśliła się głęboko.

– Właśnie tak myślę – odparła.

– Arkadio, niech Arkadia nas zostawi – poprosił wikary. – To naprawdę nic takiego.

– Co ludzie powiedzą, kiedy wieść się rozniesie, że na plebanii policja przeszukanie robi!

– prychnęła gospościa pod nosem. – Wstyd!

– Arkadio, proszę.

Gospościa machnęła ręką i ruszyła w drogę na dół, sapiąc z oburzeniem.

– Sierzancie Wolski, czyń honory – odezwała się komisarz, wskazując pokój wikarego.

– A ty?

– Ja tu poczekam, gdyby to babsko znów przylazło.

– Z szacunkiem proszę – upomniał ją ksiądz.

Marcel wpatrywał się w Lenę, nie mając pojęcia, dlaczego nie chce wejść do pokoju księdza. Nie wiedział też, czego powinien szukać, uznał jednak, że Lena wie, co robi. Skinął więc głową, przepuścił wikarego przodem i obaj zniknęli w pokoju. Rudnicka oparła się barkiem o ścianę, nasłuchując niepokojących dźwięków. Słyszała, jak gospościa wrzuca mięso na rozgrzany olej i krząta się po kuchni. Idealnie.

Lena przeszła do pokoju obok. Trafiła za pierwszym razem. Tam gdzie chciała. Do pokoju proboszcza. Upewniła się, że nikogo nie ma w środku, uruchomiła latarkę w telefonie i ostrożnie pchnęła drzwi.

W świetle latarki nie widziała zbyt wiele. Dostrzegła dachowe okno przysypane warstwą śniegu, dwuosobowe łóżko w rogu przykryte złocistą narzutą oraz stolik nocny z kopcem cieńszych i grubszych książek, dalej biurko i fotel tuż przy regałach z książkami. Zastanawiała się, od czego zacząć. Czasu miała niewiele. Z pokoju obok w każdej chwili mógł wyjść wikary albo mogła zjawić się gospościa. Gdyby przyłapała Lenę na grzebaniu w rzeczach proboszcza, z pewnością skończyłoby się to wielką awanturą.

Rudnicka postawiła na najprostszą i najbardziej oczywistą opcję – zajrzała do szafek i szuflad w biurku. Najpierw uchyliła dolne drzwiczki, gdzie odkryła bogaty zbiór alkoholi, poczynając od win, a na drogich koniakach kończąc. Przeszła do szafki po drugiej stronie, w której znalazła wiele teczek i rzuconych luzem papierów. KAZANIA 2016, KAZANIA 2017, KAZANIA 2018, KAZANIA 2019. Proboszcz najwyraźniej prowadził skrupulatną dokumentację swoich homilii.

Odsunęła jedną z szuflad. Zużyte długopisy, flamastry i notatniki, stare kalendarze. Niesamowite, że istnieją na świecie ludzie, którzy przetrzymują tego typu rzeczy, pomyślała komisarz i odsunęła ostatnią szufladę. Jeśli tutaj niczego nie znajdzie, będzie musiała się zwijać. Druga z szuflad stawiała opór. Lena poświeciła na uchwyt i dostrzegła dziurkę od klucza. Cholera. Gdzie proboszcz trzyma klucz od szuflady?

Pochyliła się nad biurkiem i zajrzała do przybornika na długopisy. Wysypała wszystko na blat. Bingo. Wsunęła pisaki z powrotem i odstawiła przybornik na miejsce. Trzymając w ręku niewielki kluczyk, uniosła głowę. Zdawało jej się, że usłyszała kroki na schodach, przykucnęła przy szufladzie, wsunęła kluczyk i przekręciła zamek. Ustąpił. Odsunęła szufladę i jej oczom ukazały się nieduży notes i szklana fiolka na leki pozbawiona etykiety.

Lena zastanawiała się, czy warto ryzykować i zabrać ze sobą całą fiolkę, czy jedną kapsułkę i wysłać do analizy? Zaryzykowała, wsunęła fiolkę do kieszeni kurtki, do drugiej

wcisnęła notes proboszcza. Zamknęła szufladę, odłożyła klucz do przybornika i wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Oparła się o ścianę, odczekała chwilę i weszła do sypialni wikarego.

Wolski przeglądał jakieś dokumenty. Bóg jeden wie, po co to robił.

– Możemy się zwijać – powiedziała.

– Jasne.

Wolski wstał i odłożył teczkę na stolik. Wikary posłał policjantom pytające spojrzenie.

– Przepraszamy za najście – mruknęła komisarz. – Znamy drogę.

Zeszli po schodach. Arkadia nawet się nie odwróciła, kiedy skierowali się w stronę wyjścia.

Na zewnątrz Wolski zapalił papierosa i spojrzał na Rudnicką.

– I co? – zapytał.

– Co co?

– Masz coś?

– Przecież to ty robiłeś rewizję.

– A ty niby grzecznie stałaś na korytarzu? Myślisz, że w to uwierzę?

Rudnicka posłała mu zawadiacki uśmiech.

– Zuch chłopak. – Klepnęła go w ramię i pokazała swoją zdobycz. – Wezwę patrol. Niech poczekają, aż stary wróci na plebanię, i zwiną go na dołek.

14

Proboszcz Babecki nie wytrzymał.

Po wyjściu ze szpitala usiadł za kierownicą, włączył silnik i długą chwilę siedział nieruchomo. Po twarzy spływały mu łzy. Cały dygotał jak na kilkustopniowym mrozie. Myślał o tym, co dawno powinien był zrobić. Ta myśl nie dawała mu spokoju.

Ze szpitala do wsi dzieliło go dziesięć kilometrów. Wyjechał z parkingu, unosząc dłoń w stronę parkingowego, który podniósł szlaban. Wyjechał na ulicę, skręcił w prawo. Jechał powoli, nawet nie wrzucił czwartego biegu, pogrążony w myślach.

Czuł, że Bóg woła go do siebie.

Przepuścił pieszych na ulicy Świętego Antoniego, skarcił w myślach pijaczków kręcących się pod sklepem alkoholowym. Myślał o tym, ile złego w życiu wiele zrobił. Zbyt wiele, by móc żyć i służyć Najwyższemu.

To był impuls.

Wjechał na most nad Pilicą, świadomy, że jego życie dobiegło końca. Przyspieszył, dociskając pedał gazu, zamknął oczy, a potem jego samochód przebił się przez barierki i runął w dół, wprost do rzeki.

Ojcze nasz, któryś jest w niebie...

15

Most zamknięto z obu stron. Policjanci z drogówki kierowali samochody objazdem. Kierowca żółtego punto zatrafił niecierpliwie, a potem z wściekłą miną wycofał samochód. Policyjne taśmy znaczyły miejsce wypadku. Dwóch lokalnych dziennikarzy usiłowało przyciągnąć uwagę policjantów, ale bez skutku. Prędzej czy później dowiedzą się, że wypadek był nieudaną próbą samobójczą proboszcza z pobliskiej wsi, a informacja trafi na czołówki gazet i serwisów internetowych.

– Chcesz powiedzieć, że specjalnie wjechał w barierki? – zapytała Rudnicka.

Funkcjonariusz z drogówki podparł się pod boki, drugą ręką poprawił czapkę i powiódł wzrokiem po grupce gapiów.

- Nie mam pewności – odparł. – Ale na to wygląda.
- Ślady hamowania? – Lena zapaliła papierosa, spoglądając na rzekę.
- Brak.
- Jak się wydostał z samochodu?

Gliniarz wyglądał, jakby powstrzymywał uśmiech.

- O własnych siłach – odrzekł. – I dopłynął do brzegu.

Nadjeżdżający kierowcy zaalarmowali służby. Na miejsce przyjechała policja i pogotowie. Ratownicy zabrali proboszcza do szpitala, ale – według wstępnych informacji, jakich udzielił Rudnickiej jeden z ratowników – jego stan był stabilny i oprócz tego, że się poobijał i złamał rękę, nic mu się nie stało. Opatrzność najwyraźniej czuwała nad proboszczem.

Lena zaciągnęła się i wypuściła dym.

– Istny cud – mruknęła. – Jedziemy do szpitala. Zapytamy tego klechę, dlaczego chciał się zabić.

- Może wcale nie chciał? – podsunął Wolski.

– Co do zasady nie ufam ludziom, którzy noszą czarne kiecki. No i – uniosła wskazujący palec – nie zapominaj, co znalazłam w jego sypialni.

Marcel kiwnął głową, przyznając komisarz rację. Dopalili papierosy i ruszyli w stronę samochodu. Rudnicka wyciągnęła odznakę i tłumek się rozstał. Kiedy Lena wsiadła do jaguara i odpaliła silnik, w bocznej szybie pojawiła się twarz około czterdziestoletniego mężczyzny, który na głowie miał czerwoną czapkę zakończoną żółtym pomponem. Zakręcił dłonią w powietrzu, sugerując, by komisarz uchyliła szybę. Facet wyprostował plecy i odsunął się o krok.

- Czego?

– Pani komisarz Rudnicka? – spytał gość, nachylając się w stronę Leny.

- Bo co?

– Nazywam się Kostrzyński i jestem dziennikarzem...

- Nie będę z tobą rozmawiać.

- Ale...

- Żegnam.

Zasunęła szybę i wrzuciła wsteczny bieg.

– Wrzuc ten szpital w nawigację – rzuciła do Wolskiego. – Cholera wie, gdzie to jest. Nie znam miasta.

Wolski wykonał polecenie. Wpisał adres szpitala: ulica Jana Pawła II.

– Pieprzone pismaki – mruknęła, jadąc według zaleceń GPS-u. – Wszędzie węszą sensację.

- Na tym polega ich praca.

Nie zamierzał jednak polemizować z Rudnicką. Jej stosunek do dziennikarzy był mu znany.

- Dlaczego on to zrobił? – spytał. – Sądzisz, że ruszyło go sumienie?

- A on ma sumienie?

- Może obawiał się konsekwencji.

– Natalia żyje, a kiedy się wybudzi, powie całą prawdę. Na przykład o tym, że ksiądz proboszcz nafaszerował ją jakimś świństwem i chciał zabić.

- Ludzie nigdy mu tego nie wybaczą.

- Nigdy – potwierdziła. – To pewne.

Wolski podkręcił ogrzewanie w samochodzie.

- Ciekawe, gdzie ją przetrzymywał? – zastanowił się, pocierając podbródek. – Bo gdzieś

musiał, prawda? Nie na terenie mleczarni, bo tam wałęsające się dzieciaki na pewno by ją przyuwały. A na plebanii mieszkają jeszcze dwie osoby. Nie wierzę, że ani gosposia, ani wikary niczego nie zauważyli.

Komisarz zaparkowała przed głównym wejściem do szpitala. Parkingowy ruszył w ich stronę, lecz Lena okazała się szybsza. Wyciągnęła legitymację policyjną i machnęła mu przed nosem, więc tylko skinął głową.

Lekarz, z którym udało się im porozmawiać, poinformował, że pacjent znajduje się jeszcze w sali zabiegowej. Postanowili zaczekać. Marcel kupił dwie paskudne kawy z automatu. Lena upiła łyk, skrzywiła się i wyrzuciła pełny kubek do śmieci.

Minęło pół godziny, zanim w korytarzu zjawił się proboszcz. Lewe ramię miał obandażowane, podobnie jak głowę. W szpitalnej piżamie siedział na wózku, który pchała pielęgniarka.

Proboszcz zdumiał się na widok policjantów.

– Cieszę się, że księdza widzę – powiedziała Rudnicka, składając dłonie jak do modlitwy.
– Na szczęście nic się księdzu nie stało.

– Państwo wybaczą, ale muszę zawieźć pacjenta na salę. – Pielęgniarka chciała wyminąć policjantów, lecz Lena zastąpiła jej drogę.

– Muszę porozmawiać z księdzem. To zajmie tylko chwilę.

Rudnicka wyjęła odznakę.

– To nie robi na mnie wrażenia – ucięła kobieta. – Pacjent jest po wypadku. Potrzebuje odpoczynku. Możecie przyjść jutro, kiedy będzie w lepszej formie.

Proboszcz uniósł dłonie.

– Porozmawiam z nimi – powiedział. – Proszę zawieźć mnie do sali. Tam porozmawiamy. – Zerknął na policjantów. – Myślę, że mam wam sporo do powiedzenia.

Proboszcz dostał dwuosobową salę. Łóżko pod oknem było rozgrzebane, pościel w nieładzie. Pielęgniarka pomogła proboszczowi przejść z wózka na łóżko obok. Ułożył się pod kołdrą, splatając na niej dłonie. Zaczekał, aż pielęgniarka wyjdzie z sali, potem pozwolił sobie na ciche westchnięcie.

– No, no – odezwała się Rudnicka. – Chyba ten na górze nad księdzem czuwa, co?

– To nie tak miało być – odparł ksiądz słabym głosem.

Komisarz przysunęła sobie krzesło i usiadła, zakładając nogę na nogę.

– A jak? – zapytała. – Tylko bez kręcenia. – Wyjęła z kieszeni kurtki fiolkę z lekiem i pokazała proboszczowi.

– I tak zamierzałem powiedzieć całą prawdę. Mam dosyć kłamstw. Już się nie boję.

– Kogo?

– Raczej czego, moje dziecko. – Westchnął. – Bałem się kary, ale nie tej danej od Pana Boga. Bałem się kary, jaka mogłaby spotkać mnie tutaj, na ziemi. Och, strasznym jestem tchórzem.

Rudnicka zmrużyła oczy.

– Chciałeś zabić tę dziewczynę – oznajmiła. – Dlatego próbowałeś popełnić samobójstwo, myłę się?

– Gdyby to było takie proste...

– Albo chciałeś upozorować samobójstwo. – Komisarz zamyśliła się. – Jak było, co? Wiedziałeś, że możesz wyjść z tego cało?

Ksiądz nie zwrócił uwagi na to, że komisarz przeszła na ty.

– Żebyście zrozumieli, musiałbym powiedzieć wszystko od początku – odrzekł.

– Proszę bardzo. Mamy dużo czasu.

Proboszcz poprawił się na łożku. Lena widziała w jego oczach wahanie. Rozważał za i przeciw.

– To było pół roku temu – zdecydował się mówić. – Byłem wtedy u mojego znajomego, Adama. Poznałem go kilka lat temu podczas pewnej akcji, jaką zorganizowałem u siebie na parafii. Biskup miał do nas przyjechać, więc sprzątailiśmy obejście kościoła, odnawialiśmy krzyż, kobiety przyniosły świeże kwiaty. To był mile spędzony czas, który wzmocnił pewne relacje pomiędzy ludźmi. Bardzo zbliżyłem się do niektórych parafian.

– Do rzeczy.

– Ach, no tak. Pół roku temu Adam zaprosił mnie na kolację. Posiedzieliśmy wspólnie z jego żoną Krystyną. Przemiła kobieta. Wyśmienicie gotuje. Przygotowała kaczkę nadziewaną jabłkami, a zrobiła to tylko dlatego, że kilka dni wcześniej wspomniałem Adamowi, że to moje ulubione danie. – Proboszcz urwał na chwilę. – Adam jest dobrym człowiekiem. Ma czwórkę dzieci, każde z nich świetnie radzi sobie w życiu. Jego najstarszy syn został prawnikiem, właśnie robi aplikację adwokacką. Adam natomiast pracuje jako murarz na budowach. Zarabia dobrze, ale choć nigdy nie narzekał, wiem, że chłopina męczy się w tej pracy. Nie jest już pierwszej młodości. Plecy szwankują. Czasem widziałem w jego oczach ból i zmęczenie, ale on nigdy nie skarży się na swój los. Cóż ma zrobić? Trójka dzieci na studiach. Wraz z Krystyną robią, co mogą, żeby im jakoś pomóc. – Ksiądz potarł spocone czoło. – Adam miał jedną słabość. Lubił sobie wypić. Nie codziennie, ale kilkakrotnie widziałem go pijanego. Starłem się mu pomóc, ale uparcie mówił, żebym się nie przejmował. Tamtego feralnego wieczora popełniłem błąd. Krystyna zaproponowała mi lampkę wina. Przyjechałem samochodem, ale mimo to się zgodziłem. Pomyślałem, że jedna lampka nikomu nie zaszkodzi. Byłem zbyt pewny siebie... Cóż, nie mam nic na swoją obronę.

– Na jednej lampce się nie skończyło?

– Nigdy się nie kończy, moja droga. Wypiłem za dużo, ale usiadłem za kierownicą. Nie powinienem był... Ktoś powinien mnie powstrzymać.

– Ale tak się nie stało.

– Nie. – Ksiądz uniósł wzrok i długą chwilę wpatrywał się w popękany sufit. – Od domu Adama na plebanię nie było więcej jak pięć kilometrów. Pomyślałem, że jakoś przemknę, że nikt nie zauważy. Ale wtedy... – Głos się księdzu załamał. – Wtedy w coś uderzyłem. Zobaczyłem światła, a potem w uszach rozległ się huk. Sądziłem, że umieram, że to koniec, że Bóg pokarał mnie za brak wyobraźni i nieodpowiedzialność.

Rudnicka wiedziała, co proboszcz chce powiedzieć. Przekartkowała jego notes, gdzie wszystko było zapisane. Mimo to pozwoliła, by mówił dalej.

– Spowodowałem wypadek – rzekł, łamiącym się głosem. – Samochód, w który uderzyłem, przekoziółkował, stoczył się na pobocze i uderzył w drzewo. Nikt nie przeżył.

W pomieszczeniu zapadła cisza. Słysząc było jedynie szum rozmowy pielęgniarek idących szpitalnym korytarzem.

– Tym samochodem... – Proboszcz popatrzył na Lenę, potem przeniósł wzrok na Marcela.

– Tym samochodem jechali rodzice Natalii – dokończyła komisarz.

Babecki pokiwał głową ze smutkiem.

– Bardzo tego żałuję – dodał. – Gdybym tylko mógł cofnąć czas...

– Co było dalej? – ponagliła Rudnicka.

– Wpadłem w panikę. Byłem pijany. Wiedziałem, że konsekwencje byłyby dla mnie bardzo bolesne. Nie wiedziałem, co robić. Nie miałem pojęcia, że oni nie żyją...

– Uciekłeś?

– Zgadza się. Nawet nie sprawdziłem, ze strachu, że zostawię ślady... Może udałoby się ich uratować, ale okazałem się zbyt wielkim tchórzem. Pomyślałem, że zaraz będzie przejeżdżał jakiś samochód, kierowca zatrzyma się i wezwie pomoc, a nie mogłem dopuścić do tego, żeby ktokolwiek zobaczył mnie na miejscu wypadku. Bałem się nie tylko konsekwencji prawnych, ale również potępienia parafian. Taki skandal rozniósłby się na cały kraj. – Zaśmiał się ponuro. – Pijany ksiądz spowodował śmiertelny wypadek. W głowie przelatywały mi nagłówki gazet. Nie mogłem do tego dopuścić. Reputacja księży w naszym kraju jest coraz gorsza, media by mnie zjadły. Nie chciałem iść do więzienia. Wsiadłem z powrotem do samochodu. Dziwne, bo oprócz zgniecionego lewego błotnika wyglądał na nieuszkodzony.

– Pijany kierowca uchodzi z życiem – wtrącił Wolski. – A niewinni ludzie giną...

– Uciekłem, moi drodzy. Po prostu odjechałem. Pamiętam, jak następnego dnia Arkadia wróciła ze sklepu i doniosła o tragicznym wypadku. Podobno cała wieś o tym mówiła. Straszna tragedia, powiedziałam, a potem poszedłem do kościoła i płakałem tak długo, aż zabrakło mi łez. Czekałem. Czekałem, aż do mojego domu zapuka policja. Byłem pewien, że stanę przed sądem i skończę w więzieniu. Ale nic takiego się nie stało. Pamiętam też, jak przyszła do mnie Natalia. Oczy miała zapuchnięte od łez. Zginęli jej rodzice. Była w strasznym stanie. Poprosiła mnie o wyprawienie pogrzebu.

– Zgodziłeś się? – zapytała Lena.

– Nie miałem innego wyjścia. – Proboszcz skurczył się, jakby na jego ramionach ciążył mu wielki kamień. – To był najgorszy dzień w moim życiu.

Rudnicka wzięła głęboki oddech. Nie mieściło jej się w głowie, że można być aż tak bezdusznym człowiekiem. I jednocześnie księdzem.

– Kto prowadził śledztwo w sprawie śmierci rodziców Natalii? – spytała.

– Nie mam pojęcia. Nikt do mnie nie przyszedł w tej sprawie.

To Leny nie zdziwiło. Patrząc na to, jak funkcjonował komisariat we wsi, pewnie nikt nie przyłożył się do rozwiązania sprawy i znalezienia winnego. Uznano, że sprawca uciekł z miejsca wypadku i nie ma żadnych świadków, więc śledztwo jest nie do rozwiązania.

– Minęło wiele tygodni, zanim Natalia przyszła do mnie ponownie – ciągnął proboszcz. – Ona wiedziała. Nie wiem skąd, ale wiedziała, że to była moja wina. Czułem to. Wyczuwałem jej niechęć. Zdawało się, że podniosła się po tej tragedii, że zaczęła sobie radzić, odnowiła dom, ale prawda była taka, że to wciąż siedziało w niej tutaj. – Położył dłoń na sercu. – Ten ból po stracie rodziców. Początkowo to były tylko moje domysły. Natalia przychodziła niby porozmawiać, szukała rady. Musicie wiedzieć, że jej rodzina należała do bardzo religijnych. To byli dobrzy, porządni ludzie. Ale potem, kilka dni przed kolejną tragedią, jaka spotkała naszą wieś, kilka dni przed tym, jak jakiś zwyrodnialec zabił Karinę, Natalia przyszła do mnie. Znała prawdę.

– Groziła księdzu? – podjął Wolski.

– Nie, nic z tych rzeczy. – Pokręcił głową. – Powiedziała, że wie. To wszystko. Może domyśliła się tego. Może sam dałem jej wskazówki. Może nieopatrznie podczas rozmowy coś mi się wymysknęło.

– Co ksiądz zrobił?

– Na początku nic. Zastanawiałem się, jak ona postąpi. Kilka dni siedziałem i czekałem, aż policja zapuka do moich drzwi. A potem okazało się, że Karince ktoś zrobił krzywdę. Następnego dnia po tej tragedii spotkałem Natalię. Szła w stronę domu. Dostrzegła mnie i przystanąła. Popatrzyła na mnie dziwnie. Ze złością i nienawiścią, jakby była zdolna własnymi rękoma złapać mnie za szyję i dusić, aż wydam ostatni dech. Zobaczyłem w niej wielką siłę. Wtedy się wystraszyłem.

– I postanowił ksiądz się jej pozbyć?

– Nie mam pojęcia, co we mnie wstąpiło. Spanikowałem. Wiedziałem, że biega wieczorami. Widziałem ją nie raz. Poszedłem więc pod jej dom i czekałem. Kiedy wróciła z treningu, zaprosiłem ją do samochodu. Stałem kawałek dalej, żeby żaden z sąsiadów mnie nie zauważył.

– Zgodziła się tak po prostu?

– O dziwo tak. Wsiadła i ruszyliśmy. Pomyślałem, że najpierw z nią porozmawiam i postaram się ją udobruchać. Może pieniądze byłyby jakąś rekompensatą? Ale ona nie chciała pieniędzy, tylko zemsty. Mówiła, że chce sprawiedliwości, a ten, który pozbawił życia jej rodziców, powinien za to zapłacić. Nie wytrzymałem i ją uderzyłem. Potem wszystko poszło szybko...

– Podał jej ksiądz lek, żeby upozorować samobójstwo?

– Początkowo nie chciałem jej zabić. Przysięgam, że nie chciałem zrobić jej krzywdy. Ale to wszystko się zapętlilo. Wpadłem w sidła własnych kłamstw i błędów. Byłem przekonany, że jeśli się jej pozbędę, moje życie wróci do normy. Nikt się nie dowie. A pomysł z samobójstwem uznałem za trafiony. Dziewczyna miała prawo się załamać, prawda? Najpierw zginęli jej rodzice, potem najlepsza przyjaciółka.

– Pojechał ksiądz do starej mleczarni i zostawił tam nieprzytomną Natalię.

– Wlałem w nią trochę alkoholu, żeby wymieszał się z tabletkami. Potem zaniósłem ją na plecach do ostatniego budynku i położyłem. Ledwo doszedłem. Jestem stary i już nie mam tyle siły, co kiedyś.

Rudnicka wstała. W progu pojawił się mężczyzna w kraciastej piżamie. Pacjent z łóżka obok.

– Pan poczeka chwilę – powiedziała komisarz.

– Ale ja muszę leżeć – zaprotestował mężczyzna. – Pan doktor kazał leżeć.

– To się pan połóż na ziemi. No, już, do widzenia!

Machnęła ręką, jakby odganiała się od natrętnej muchy. Mężczyzna posłusznie wycofał się na szpitalny korytarz.

– Rankiem usłyszałem od Arkadii, że policja znalazła nieprzytomną Natalię – odezwał się proboszcz. – Pomyślałem, że już wszystko skończone.

– Ale odwiedził ją ksiądz.

Rudnicka przekrzywiła głowę. O wizycie proboszcza dowiedziała się w drodze na miejsce wypadku. Technik policyjny wysłał jej wiadomość o odwiedzinach księdza. Widocznie zaraz po wyjściu od Natalii Babecki postanowił ze sobą skończyć.

– Odwiedziłem – przyznał. – Szatan sprowadził mnie na złą drogę, ale w porę się opamiętałem.

– Co to znaczy?

– Poszedłem do szpitala, żeby dokończyć to, co zacząłem.

Komisarz spojrzała na Wolskiego, który zachłysnął się powietrzem.

– Ale w porę się opamiętałem – powtórzył Babecki.

– I postanowił ksiądz się zabić? – spytał Marcel.

– Żeby wreszcie to zakończyć.

– To nie jest rozwiązanie.

– To był impuls, panie władzo. Gdybym wiedział, że przeżyję, wybrałbym inny sposób.

16

Skończywszy opowieść, Rudnicka opadła na oparcie krzesła i sięgnęła po czekoladowe ciastko z galaretką. Obgryzła je dookoła, a potem wsunęła do ust i popiła kawą.

– To niemożliwe – szepnął ksiądz Jacek. Jego twarz pobladła, a dłonie zaczęły dygotać.

Dla wikarego wiadomość o zbrodni popełnionej przez proboszcza była szokiem. Babecki był dla Jacka wzorem do naśladowania, a w głowie młodego księdza nie mieściło się, by proboszcz mógł postąpić w ten sposób. Pokręcił głową.

– Nie wierzę. To pomyłka. Paskudna pomyłka.

– Proboszcz Babecki przyznał się do winy.

Jacek wstał i nerwowym krokiem krążył po pokoju. Złapał się za serce i spazmatycznie oddychał.

– Wszystko w porządku?

Wikary nie odpowiedział. Uniósł wzrok, spoglądając na policjantów, a potem przeniósł spojrzenie na Arkadię. Gospoia siedziała wyprostowana, otwarte dłonie położyła na stole, nieobecny wzrok utkwiła gdzieś w przestrzeni ponad głową komisarz.

– Arkadio? – zagadnął ksiądz Jacek drżącym głosem. – Arkadio, powiesz coś?

Gospoia milczała.

– Pani Ząbek nie musi niczego mówić – powiedziała Lena. – Bo o wszystkim wiedziała, prawda?

Wszyscy spojrzeli na Arkadię Ząbek, która siedziała nieruchomo i oddychała równo, spokojnie, jakby od dawna była na taką sytuację przygotowana.

– Arkadio, wiedziałaś? – dopytywał wikary. – Wiedziałaś o tym wszystkim i nic nikomu nie powiedziałaś!

– Ludzie są jak zwierzęta – odrzekła beznamyślnie gospoia. – Gdyby się dowiedzieli, zjedliby nas żywcem. Nikomu nic powiedziałam, żeby nas chronić.

– Chronić mordercę?

– Niech ksiądz tak nie mówi – zaoponowała. – Ksiądz proboszcz nie jest mordercą. Poblądził, a to może zdarzyć się każdemu. Wszyscy popełniamy błędy.

Wikary oddychał ciężko.

Komisarz Rudnicka pomyślała, że ksiądz, nawet proboszcz, wciąż pozostaje tylko człowiekiem. Strachliwym i dbającym o własne wygody. Proboszcz nie chciał trafić do więzienia, obawiał się kary, dlatego uciekł z miejsca przestępstwa. Nieszczęśliwy wypadek ruszył lawinę, którą trudno zatrzymać.

– Tamtego dnia, kiedy dowiedziałam się o wypadku rodziców Natalii – ciągnęła Arkadia – zesłam po coś do piwnicy. Zaciął się zamek w drzwiach i musiałam iść od zewnątrz przez garaż. Wtedy zobaczyłam wgniecenie na samochodzie proboszcza. Od razu skojarzyłam fakty. Proboszcz wrócił dość późno. Nie wysłam mu na przywitanie, ponieważ już leżałam w łóżku, ale nie spałam. Słyszałam, jak wchodził do domu. Był pijany.

– Dlaczego nie zgłosiła pani tego policji? – zapytał Marcel.

– Żeby chronić dobre imię Kościoła.

Wolski prychnął. Wstał i nie bacząc na karcące spojrzenie gospoii, zapalił papierosa.

– Będzie pani żyła ze świadomością, że ukrywała pani tożsamość mordercy – rzekł. – Proszę mi wierzyć, życie z taką myślą nie jest proste. Gdyby plan proboszcza się powiódł, miałyby pani na sumieniu kolejną osobę.

– Ksiądz proboszcz nie zdawał sobie sprawy, że wiem o wypadku.

Nagle oczy Rudnickiej rozblęsnęły. Połączyła kolejne elementy.

– To pani? – zapytała.

– Nie rozumiem.

– Pani powiedziała o wszystkim Natalii?

Gospoia nie odpowiedziała od razu. Ściągnęła dłonie ze stołu i położyła je na kolanach,

skubiąc nerwowo kciuk.

– Dziewczyna była strasznie zagubiona – odparła zmęczonym głosem. – Szukała prawdy.
– Arkadia spojrzała na Wolskiego. – Ma pan absolutną rację. Życie ze świadomością, że ukrywałam tożsamość sprawcy, jest bardzo trudne. Widząc ból i cierpienie, z jakim mierzyła się Natalia, musiałam coś zrobić. Poprosiłam ją, żeby nie mówiła księdzu, że wie o tym ode mnie. Poprosiłam ją również, by zostawiła tę sprawę, że Bóg osądzi nas wszystkich. Nie chciałam, żeby poszła z tym na policję.

To nie proboszcz naprowadził Natalię na trop mordercy jej rodziców, tylko gospoia. Rudnicka wymieniła spojrzenia z Wolskim. Pomyśleli o tym samym – że jedno kłamstwo pociąga za sobą kolejne.

– A ja myślałem... – zająknął się wikary. Podrapał się nerwowo w skroń. – Myślałem, że to ja zasługuję na potępienie.

– Nie, Jacku. – Arkadia uśmiechnęła się smutno. – Miłość nigdy nie zasługuje na potępienie.

Wikary znieruchomiał.

– Słucham? – zapytał, a jego głos zabrzmiał nienaturalnie wysoko. – Ale... Skąd? Przecież...

– Widziałam to po tobie, synu. Ksiądz proboszcz również się domyślał. A kiedy dowiedziałeś się o śmierci Karinki, widziałam, jak zareagowałeś. Wtedy domyśliłam się, że chodziło o nią. Bardzo mi przykro, że to wszystko się tak skończyło.

Jacek przypomniał sobie dzień, w którym wrócił na plebanię i zastał gospoie w pokoju proboszcza. Rozmawiali o czymś. Wcześniej Jacek przypuszczał, że Arkadia przyszła się wypowiadać, ale teraz uświadomił sobie, że rozmawiali o nim. Dlatego chwilę po wyjściu gosposi proboszcz zawołał go do siebie i próbował nakłonić do zwierzeń.

Rudnicka wstała, a Wolski poszedł w jej ślady. Nie mieli tu już nic więcej do roboty. Gospoia i ksiądz Jacek potrzebowali czasu, by poukładać sobie niektóre sprawy, ale zarówno ona, jak i Marcel nie mogą im w tym pomóc.

Została jeszcze jedna, wciąż nierozwiązana sprawa.

Kto przyczynił się do śmierci Kariny Cieślak?

17

Rudnicka zaparkowała jaguara przed domem Dawida. Wyszła z samochodu i zapaliła papierosa, przetaczając wzrokiem po obejściu.

– Cholera, ale się porobiło – mruknął Wolski, gramoląc się z samochodu. – O zniknięcie Natalii podejrzewałbym każdego, ale nie pomyślałbym, że za tym wszystkim może stać ksiądz.

– Mówiłam, że lepiej im nie ufać.

– Znam kilku księży. To porządni ludzie. Czasem rozmowa z nimi naprawdę może człowiekowi pomóc.

– Mhm.

– Jesteś uprzedzona.

– Wcale nie.

Marcel pokręcił głową z rezygnacją. Na wsi panował niepokojący spokój. Dzień powoli ustępował nocy. Wiatr wyginał czubki sosen rosnących wzdłuż ulicy.

Rudnicka wyrzuciła niedopałek i przygmiotła go butem.

– Chodźmy.

Pchnęła furtkę i ruszyła przed siebie. Pokonała schody i pociągnęła za klamkę, ale drzwi ani drgnęły.

- Szlag by to – mruknęła. – Powinien być w domu. Musimy z nim pogadać.
- Jego samochód stoi na podjeździe.
- Co ty nie powiesz?

Lena rozejrzała się dookoła. Okno na wschodniej ścianie było uchylone. Przeniosła wzrok na Wolskiego.

- Chyba nie chcesz się włamać? – spytał.
- To żadne włamanie.
- Nie będziemy wchodzić przez okno.
- My nie – sprostowała. – Ty wejdiesz i otworzysz mi drzwi.

Wolski zaśmiał się nerwowo.

- Nie ma mowy – odparł, kręcąc głową. – Nie wejdę tam.
- Dawaj, Marcel, nie mamy czasu.
- Nie dosięgnę do okna.
- Weź sobie to.
- Co?

Rudnicka wskazała wiadro z węglem stojące pod ścianą.

- Nie ma takiej opcji. – Wolski uniósł otwarte dłonie.
- Och, daj spokój. Nie bądź tchórzem.
- Nie chodzi o to...
- A niby o co?
- O zasady. Jeśli Sadowskiego nie ma w domu, to będzie podchodziło pod włamanie.
- Sam powiedziałeś, że jest, bo stoi jego samochód.
- To tylko przypuszczenie.
- Czyli tchórzysz.
- Wcale nie.

Lena wsunęła dłonie do kieszeni kurtki.

- Zadzwoń do niego – zaproponował Wolski.
- Dzwoniłam milion razy i nie odbiera.
- Spróbuj jeszcze raz.
- Włóż na wiadro.
- Zwariowałaś.
- A jeżeli mu się coś stało i leży tam nieprzytomny?

Mogło tak być, ale pomysł z wchodzeniem przez okno nie podobał się Wolskiemu.

Popatrzył na Lenę i wiedział już, że przegrał.

- Dobra – rzekł. – Wejdę tam i sam sprawdzę, czy wszystko gra.
- A ja?
- Poczekasz na zewnątrz.
- Bez sensu – odbąknęła. – Otworzysz mi drzwi i razem sprawdzimy.
- Wejdę tylko na chwilę, sprawdzę, czy z Dawidem wszystko w porządku, i wyjdę.
- Nie będę tu kwitła. Jest zimno.
- To może ty wejdiesz? – Marcel przekrzywił głowę. – Podsadzę cię.
- Pieprz się. Bierz wiadro i do roboty.

Wolski podszedł do wypełnionego węglem wiaderka i wysypał zawartość. Odwrócił je do góry dnem i postawił pod oknem.

- A jak pęknie? – spytał.
- To będzie znak, że czas na odchudzanie.
- Bardzo śmieszne.

Marcel postawił stopę na wiadrze, jakby chciał sprawdzić jego trwałość.

– Trzyma mróz, baranie – rzuciła Lena. – Zaraz połamiesz dno i tyle będzie z twojej misji.

– Jak wejść dwoma nogami, to i tak je połamię.

– Musisz spróbować.

Rudnicka spojrzała w stronę ulicy, by sprawdzić, czy nikt nie nadchodzi. Gdyby ktoś ich zobaczył, z pewnością wzięłby ich za włamywaczy, a tego woleli uniknąć.

– Czysto – powiedziała. – Właż.

Marcel ostatni raz sprawdził trwałość wiadra, po czym stanął na nim obiema nogami. Pchnął uchylone okno, otwierając je na całą szerokość, i złapał dłońmi parapet.

– Podciągnij się! – zawołała Lena.

– Jezu.

Zaniedbywanie ćwiczeń na siłowni dało o sobie znać. Wolskiemu przemknęło przez myśl, że nie da rady zarzucić nogi na parapet i podciągnąć się tak, by wejść do środka. Poczul, że mięśnie ramion palą go żywym ogniem, nabrał powietrza do płuc i mimo bólu w nadgarstku, głośno stękając, podciągnął się na tyle, by zahaczyć kolaniem o parapet. Usiadł na nim i zerknął na Rudnicką. Wyglądała na rozbawioną.

Przełożył nogi na drugą stronę, wszedł do środka i przymknął okno z powrotem. Rzucił okiem na kuchnię. W pomieszczeniu śmierdziało zwietrzałym piwem. Panował bałagan, pod ścianą stały foliowe torby wypełnione pustymi puszkami i butelkami. Zgodnie z umową przeszedł korytarzem i wpuścił komisarz do środka.

– Nieźle ci poszło – rzuciła na przywitanie i klepnęła Wolskiego w ramię. – Prawdziwy z ciebie Spiderman.

– Łupnęło mi coś w nadgarstku.

– Ale smród. – Rudnicka cofnęła się mimowolnie. – Wali jak w gorzelni.

– Chyba mamy odpowiedź na pytanie, co działo się z Sadowskim przez tyle czasu.

– Zanim zaczniesz na niego nadawać, lepiej sprawdźmy, czy jest w domu.

Ruszyła przed siebie i błyskawicznie się cofnęła. Z jednego z pokoi wytoczył się wielki pies. Długa sierść zafalowała, gdy przystanął. Wpatrywał się w gości błyszczącymi oczami i mlasnął przeciągle.

– O cholera. – Wolski zrobił krok w tył, wpadając na Rudnicką, która schowała się za jego plecami.

Psisko uniosło ogon. Marcel miał przed oczami, jak jego wielkie zęby łamią mu kości.

– Odwrót – szepnęła Lena.

– Będzie od nas szybszy.

– Wiem, ale może ja zdążę uciec.

– Dzięki.

Ale pies nie sprawiał wrażenia groźnego, raczej ospałego. Przeciągnął się, wyciągając grzbiet i otrzepał sierść. Wielką łapą podrapał się za uchem i znów spojrzał na ludzi, którzy wtargnęli do jego domu.

– Powiedz coś do niego – podsunęła Rudnicka.

– Niby co?

– Nie wiem. Może nie jest agresywny.

– Jest na swoim terytorium.

– Spróbuj, a ja w tym czasie otworzę drzwi.

Wolski przełknął ślinę.

– Piesku – wybąkał.

– Świetnie ci idzie. Istny z ciebie zaklinacz psów.

– Otworzyłaś?

Lena nie zdążyła odpowiedzieć, bo pies ruszył w ich stronę. Tupnął jednocześnie obiema łapami, Wolski był pewien, że zaraz go ugryzie, jednak zwierzak oparł się o niego przednimi łapami, a Marcel pod jego ciężarem zatoczył się na bok. Pies dociskał łapy i wsuwał mu wielki łeb pod ramię, machając radośnie ogonem.

Lena wyszła zza pleców Wolskiego.

– Towarzyskie psisko – powiedziała. – No, chodź do cioci.

Nowofundland opadł na ziemię i klapnął na podłogę brzuchem do góry. Lena przykucnęła obok.

– No i czego tu się bać? – zapytała. – To słodziak.

Wolski posłał jej pobłażliwe spojrzenie.

– Rzeczywiście – mruknął.

Lena podniosła się. Pies poszedł w ślad za nią i poprowadził ich do jednego z większych pokoi. Sadowski spał na kanapie. Jedną ręką zwisła mu bezładnie, drugą zaś wsunął sobie pod głowę. Wyglądał, jakby ucinał sobie drzemkę. Pies podszedł do właściciela, musnął go nosem po twarzy i odszedł na bok.

– Jest nawalony jak szpadel – bąknęła Rudnicka.

Marcel podparł się pod boki.

– Fakt – przyznał. – Do służby to on się nie nadaje.

– Zdecydowanie.

– Budzimy go?

Lena zastanowiła się, po czym pokręciła głową. W takim stanie do niczego im się nie przyda.

– Co za idiota – mruknęła. – Zwijamy się stąd.

Dawid chrapanął przeciągle.

– Rozprawimy się z nim rano – odparła Lena. – I gwarantuję, że to nie będzie przyjemna rozmowa.

Gdyby Dawid się nie upił i przekazał im informacje uzyskane od Patryka Adamskiego, może Lena i Marcel posunęliby śledztwo naprzód. I zatrzymaliby człowieka, który pozbawił życia Karinę Cieślak.

Ale on leżał pijany i było mu wszystko jedno.

18

Cholerna zima – mruknęła Regina Nowak, ładując szczapy drewna do wiklinowego koszyka. Zatrzasnęła drzwi domu przylegającego do szopy, założyła kłódkę, przekręciła kluczyk i ruszyła w stronę domu. – Żebym to sama musiała drewno tachać. Chłopa nie ma całymi tygodniami, wszystko na mojej głowie.

Weszła do domu i postawiła koszyk obok kominka. Zdjęła kurtkę i szalik. Była w szopie raptem kilka minut, a już zdążyła przemarznąć. Cholerna zima, powtórzyła w myślach i wstawiła wodę na herbatę. Kusiło ją, żeby zadzwonić do męża i zapytać, jak w pracy, ale dała sobie spokój. Mąż niedługo powinien zjechać na weekend do domu i wtedy porozmawiają. Ostatnio nie układało się między nimi. Brał coraz więcej zleceń. Twierdził, że stara się zarobić na remont dachu, ale Regina wiedziała, że powód jego nieobecności jest inny. Mąż po prostu wolał sypiać w ciasnej kabinie ciężarówki niż z nią. Ciężarówki były jego wielką miłością. Z nimi Regina nigdy by nie wygrała, dlatego nie nalegała, by zmienił pracę. Jakiś czas temu zaczęły się konflikty. Mąż twierdził, że Regina się go czepia, ale ona miała już dość życia słomianej wdowy,

doskwierała jej samotność. Przesiadywała w domu sama jak palec, oglądając telewizję albo wyszukując sobie przeróżne zajęcia, by zabić czas. Miała dość. Dlatego postanowiła się rozwieść.

Miała już plan. Uznała, że najlepszą opcją dla nich obojga będzie sprzedaż domu i podział pieniędzy. Oboje kupią sobie coś mniejszego. Regina marzyła, by przenieść się do miasta, bliżej ludzi. Tutaj miała pod nosem jedynie zgorzkniałych sąsiadów, których nie znosiła.

Ale do przyjazdu męża zostało jeszcze trochę czasu. Musiała przemyśleć swoją strategię. Bywał nerwowy, a poza tym zwykle przyjeżdżał zmęczony po kilku tygodniach spędzonych w trasie. Postanowiła więc, że da mu odpocząć, a potem zaatakuje. Poczekaj, aż będzie miał dobry humor, może wtedy lepiej zniesie informację o rozstaniu.

Tymczasem Regina była sama w dużym domu i wkrótce zamierzała się zabrać do rozpalenia w kominku. Ogień dogasał, a ona nie znosiła zimna. Wrzuciła kilka drewniaków prosto w ogień i zamknęła drzwiczki.

Otuliwszy się ciasniej swetrem, podeszła do okna. Dostrzegła jakiś ruch w obejściu sąsiadów. Stary Adamski krzyczał, wymachując rękami. Nawet z takiej odległości widziała, że jest wściekły. Ciekawe, co się stało?

Niewiele myśląc, zarzuciła na plecy płaszcz, wsunęła buty na nogi i wyszła na dwór. Na zewnątrz było już ciemno. Adamski nie powinien jej zauważyć, ale na wszelki wypadek postanowiła być bardzo ostrożna. Szła na mocno ugiętych nogach wzdłuż ogrodzenia i przez szczeliny w betonowym płocie obserwowała sąsiada. Kości strzykały, a w kolanie pojawił się drażniący ból. To była strasznie niewygodna pozycja. Regina zacisnęła zęby. Wytrzyma. Ciekawość wzięła górę nad dyskomfortem.

Adamski patrzył na kogoś, kto stał za rogiem domu. Regina nie widziała jego rozmówcy.

– Że co się stało? – Adamski śmiał się w głos. – To niby wina mojego syna? Jaja sobie robisz, popierdoleńcu jeden? Spieprzaj stąd, bo popamiętasz!

Regina, choć z całej siły wytężyła słuch, nie zarejestrowała riposty „popierdoleńca”. Zorientowała się natomiast, że mocno rozsierdziła ona Jerzego, który zacisnął pięści i wziął głęboki oddech.

– Nie zawołam jej! – warknął. – Porozmawiasz ze mną. Ona już dawno wybrała, z kim chce rozmawiać. Na pewno nie z tobą.

Do uszu Reginy znowu dotarł czyjś stłumiony głos.

– Jakie pieniądze? – Adamski zachłysnął się powietrzem.

– Zrobiłam to dla twojego dobra. – Na schodach prowadzących do domu pojawiła się Balbina Adamska, która najwyraźniej także przysłuchiwała się całej rozmowie. – Żeby wyciągnąć cię z aresztu.

Adamski potrząsnął głową.

– Durna baba! – ryknął.

– Licz się ze słowami – odpowiedział mu stłumiony głos.

– Stul pysk! – Adamski zrobił krok naprzód. – Oddawaj forszę.

– Jerzy, załatwmy to pokojowo – upomniała go żona, ale on tylko machnął ręką.

Z mroku wyszedł jakiś mężczyzna. Rozpoznanie go zajęło Reginie kilka sekund. Maciej Kosik stał przed Adamskim z rękoma schowanymi w kieszeniach kurtki. Uśmiechał się, ale w jego uśmiechu było coś dziwnego.

– Oddam kasę, jak twój synalek odszczeka zeznania – oznajmił. – Psy zwinęły mojego bratanka. Przez twojego syna. Nagadał im bzdur.

– Zwinęli ci bratanka! – zadrwił Jerzy. – Dobrze, kurwa, sobie. Więc pewnie wcale nie jest niewinny.

– Maciej, dlaczego mnie okłamałeś? – zapytała Balbina, a Kosik odpowiedział jej śmiechem.

– Masz mnie za durnia? – Uniósł brwi. – Myślisz, że jestem taki głupi jak kiedyś? Te czasy dawno minęły. Nie nadstawię karku, żeby chronić tego kretyna, twojego męża.

– O co tu chodzi? – zwrócił się Jerzy do żony.

– Zapłaciła mi, żebym poszedł na policję i powiedział im, że na festynie i później byłem z tobą. Miałem ci zapewnić alibi.

– Czyś ty się z kurą na łby pozamieniała?!

Balbina aż się wzdrygnęła.

– Chciałam dobrze – odparła, a potem uniosła głowę i spojrzała na Kosika. – Ale on mnie oszukał. Wziął pieniądze i nic nie zrobił.

– Zaraz je odda.

– Oddam je tylko wtedy, kiedy wasz syn odwoła zeznania. Jeśli mój brat się dowie, co jego syn tu nawyrabiał, zabije mnie.

– Lata mi to – rzucił Adamski pod nosem. – Oddawaj forszę.

– Może i jestem pijakiem, ale nie idiotą. Zadzwoń do synka i powiedz, żeby zajrzał na komisariat.

Adamski przeszedł kilka kroków. Pod jego butami zaskrzypiał śnieg.

– Dlaczego Bóg pokarał mnie tak głupią żoną? – mruknął. – Świat się kończy...

– Robiłam, co mogłam.

– Zaraz nie będziemy mieli co do gara włożyć, a ty rozdajesz pieniądze na prawo i lewo? Co ty myślisz, że w policji sami kretyni pracują? Przecież prędzej czy później doszliby do tego, że jestem niewinny. A ty jeszcze syna w to wszystko wplątałaś i kazałaś mu przyznać się do winy! Wstydu nie masz!

– Nie kazałam Patrykowi przyznawać się do winy. On sam...

Adamski machnął ręką.

– No już! – warknął. – Zejdź mi z oczu.

– Słucham?

– Nie chcę cię widzieć.

Balbina stała jak wryta. Przywykła, że Jerzy odnosił się do niej po chamsku, ale teraz poczuła, że coś w niej pękło. Mimo to posłusznie skinęła głową i weszła do domu.

– Oddawaj pieniądze – rozkazał Jerzy. – A potem wypierdalaj.

– Dzwon do syna.

– Ile dała ci pieniędzy?

– Ja ci nie powiem.

Adamski zaklął pod nosem.

– Jak przemyślisz sprawę, daj znać! – zawołał Maciej z końca podwórka. Zatrzasnął za sobą furtkę i zniknął w mroku ulicy.

Adamski stał jeszcze chwilę na mrozie, po czym ruszył w stronę domu. Postanowił rozmówić się z żoną. Już on jej raz na zawsze wybije z głowy głupie pomysły.

19

To z pozoru błaha sprawa – powiedział Wolski, ściągając sweter przez głowę. Rzucił go na oparcie kanapy i sięgnął po butelkę piwa.

– Skoro taki z ciebie geniusz, powiesz mi, kto zabił?

Rudnicka usiadła obok.

– Mamy już sprawcę – odparł Wolski. – Damian siedzi na dołku. Podobno prokurator

chce zamknąć sprawę. – Upił łyk piwa i przyjrzał się Lenie. – Ale widzę, że ty nie jesteś przekonana.

– Coś mi tu zgrzyta.

– Co takiego?

Zagryzła wargę. W gruncie rzeczy Damian mógł być winny śmierci Kariny. Zresztą sam przyznał się do winy, a Patryk Adamski potwierdził, że widział chłopaka w towarzystwie denatki. Damian był pijany, mógł stracić nad sobą kontrolę. Idealnie pasował, by oskarżyć go o brutalny gwałt ze śmiertelnym skutkiem. Mimo to Lena czuła, że coś jej umknęło.

– Co powiesz o rodzinie Adamskich? – zapytała.

Marcel zastanawiał się chwilę, pocierając brodę.

– Teoretycznie wydają się normalną rodziną – odrzekł. – Ale im nie ufam.

– Mhm.

– Na początku sądziłem, że Patryk ma coś na sumieniu. – Marcel napił się piwa i wierzchem dłoni otarł usta. – Ale został skreślony z listy podejrzanych.

– Może niesłusznie? Jego relacja z ofiarą był mocno pokręcona. Przyjaciółki Kariny twierdziły, że się jej naprzykrzał. Wypisywał sprośne wiadomości. A może na widok swojej niedoszłej miłości w objęciach Damiana wściekł się, poczekał, aż ta dwójka się rozstanie, i zaatakował dziewczynę?

– Damian twierdził, że Karina nie chciała zostać z Patrykiem. Kazała mu udawać kuzyna, by Adamski dał jej spokój.

– No właśnie. – Lena opadła plecami na oparcie i wsunęła poduszkę pod głowę. – Poza tym pamiętajmy, że młody Adamski ukrywał się przed policją. To nie świadczy o nim najlepiej.

– Ale potem, kiedy go złapałem na ulicy i zaprowadziłem na komisariat, przyznał się do winy.

– Chciał wyciągnąć ojca z aresztu.

Wolski westchnął.

– Uważasz, że zbyt wcześnie skreśliliśmy go z listy podejrzanych? – spytał.

Lena miała mętlik w głowie.

– Nie znał szczegółów zabójstwa – odparła po namyśle. – Wydaje mi się, że mówi prawdę. Zastanawia mnie w tym wszystkim rola starego Adamskiego. Cholernie nie podoba mi się ten facet.

– Dziwny gość.

– Typowy samiec.

– Że co?

– Sądzi, że miejscem kobiety jest kuchnia, a jej ulubionym zajęciem stanie przy garach i podawanie mężowi obiadu. Adamski jest śliski. Pewnie sądzi, że dostałam się do policji przez łóżko. W głowie mu się nie mieści, że kobieta może dojść do czegoś sama. Dziwię się jego żonie, że wytrzymała z nim tak długo. Z całej tej popieprzonej rodziniki ona wydaje się najbardziej normalna.

Rudnicka sięgnęła na stół po paczkę papierosów i zapaliła jednego.

– Ale dlaczego stary Adamski miałby robić krzywdę młodej dziewczynie? – spytała samą siebie. – Nie wiem, coś mi tutaj nie pasuje.

– Pamiętajmy, że wikary również miał motyw.

– Jego akurat wykluczyłamby z sprawy Natalii. Proboszcz działał sam, a młody ksiądz o niczym nie wiedział.

Lena zaciągnęła się i wypuściła dym.

– Jak się czujesz? – spytał Wolski.

– Nie zaczynaj, Marcel, nie dzisiaj.

– Rozważyłaś moją propozycję?

Lena westchnęła ciężko.

– Jeszcze nie – odrzekła i zgasiła papierosa.

Marcel obserwował, jak bez słowa napełnia szklanę wodą z kranu, wypija duszkiem i kieruje się w stronę sypialni.

Pomyślał, że znowu ucieka od problemów.

Rozdział IV

1

Rudnicka wsiadła do jaguara, odpaliła silnik i podkręciła ogrzewanie do maksimum. Marcel zajął miejsce pasażera, w ustach trzymał niezapalonego papierosa.

– Uwielbiam takie pobudki – mruknęła Lena, wycofując samochód na ulicę. – Gdyby ktoś pytał, to właśnie od czwartej rano siedzę i czekam, aż ktoś zadzwoni z informacją o kolejnym trupie. Szlag by to trafił. Nawet nie zdążyłam wypić kawy.

Wolski przetarł zaspane oczy i ziewnął. Zerknął w boczne lustro, usiłując ujarzmić rozmięzione włosy, ale bez powodzenia. Zaklął pod nosem i wcisnął sobie czapkę na głowę, zapalił papierosa i przyłożył dłonie do nawiewu. Dochodziła czwarta nad ranem.

Lena jechała powoli. Droga była nieodśnieżona. Nocą spadło przynajmniej kilka centymetrów śniegu, a pod nim znajdowała się tafla lodu. W takich warunkach nietrudno o wypadek.

Niespełna pół godziny wcześniej do Leny zadzwonił miejscowy policjant z informacją, że w rodzinie Adamskich wydarzyła się tragedia. Gliniarz nie podał szczegółów, a Lena była zbyt zasnana, by o nie zapytać. Poprosił, aby przyjechała jak najszybciej, ponieważ nie może dodzwonić się do Sadowskiego.

– Powiedział coś więcej? – zapytał Marcel, pocierając dłonie.

– Nie, ale sądząc po głosie, miał porządnego pietra.

– Wezwał Dawida?

– Nasz koleżka chyba jeszcze nie wytrzeźwiał. Nie odbiera telefonu. Wysłałam mu wiadomość.

Marcel pokiwał głową. Najchętniej wróciłby do łóżka. Przetarł oczy, próbując się obudzić.

– Może powinniśmy mu pomóc? – podsunął.

– Przecież poprosił, żebyśmy przyjechali, więc jedziemy.

– Mówię o Dawidzie.

Lena zwolniła, wchodząc w zakręt, i wrzuciła drugi bieg.

– Niby jak? – spytała.

– Przypomniało mi się, jak Mielcarz mówił, że odbierał pijanego Dawida w dniu zabójstwa Kariny, pamiętasz?

– Oczywiście.

– Myślę, że Sadowski ma problem z alkoholem.

– Albo po prostu lubi sobie wypić. Jak każdy.

Wolski zapalił papierosa i potarł kark. To było jasne. Sadowski miał problem z alkoholem. W jego kuchni stały torby wypełnione pustymi butelkami po wódce i puszkami po piwie.

– Porozmawiam z nim – powiedział, wypuszczając dym przez uchyloną szybę. – Może potrzebuje pomocy.

– Myślisz, że Sadowski potrzebuje kumpla, któremu może wypłakać się w rękaw? To dorosły facet i nie powinieneś wtrącać się w jego prywatne sprawy.

– Każdy ma czasem gorszy okres i potrzebuje z kimś porozmawiać.

– On zwyczajnie lubi nawalić się jak szpadel. Jedynym lekarstwem na ten problem będzie

wysłanie go na odwyk, na który, jak przypuszczam, się nie zgodzi.

– Bo nie widzi problemu.

– Nawet jeśli widzi, pewnie uważa, że jest w stanie sam sobie pomóc.

– Porozmawiam z nim.

Rudnicka skręciła w uliczkę prowadzącą do domu Adamskich. Zaparkowała na poboczu. Przed bramą wjazdową stały dwa radiowozy i karetka pogotowia. Marcel podążył za Leną, która ominęła radiowozy i skierowała się w stronę domu. Za płotem dojrzał Reginę Nowak. Kobieta uniosła rękę w geście powitania i przeniosła wzrok na policjantów, kręcących się po obejściu Adamskich. Nic nie mogło umknąć jej ciekawskim oczom.

Technik policyjny wyszedł im naprzeciw.

– Dobrze, że jesteście – powiedział. – Zrobił się niezły gnój.

– Co się dzieje? – spytała komisarz, lecz Czajka w odpowiedzi machnął ręką.

Poprowadził ich schodami na górę i puścił przodem.

W domu panował chłód. Kaloryfery były zimne, wszyscy zostali w kurtkach. Marcel od razu dostrzegł leżące w końcu korytarza ciało. Mężczyzna był odwrócony twarzą do podłogi, a w okolicy klatki piersiowej rozlała się plama lepkiej krwi.

– Czy to...? – Zawahał się Wolski.

– Kolejna podejrzana śmierć w tym tygodniu – odezwał się Czajka. – Kiedyś ta wieś była cicha i spokojna, a teraz mamy dwa trupy w ciągu kilku dni. Niewiarygodne. Statystyki nam polecają na łeb na szyję. Cholerna zima. To wszystko przez ten mróz. Pogoda wpędza ludzi w depresję i...

– Jedna zbrodnia może pociągnąć za sobą kolejne – weszła mu w słowo komisarz. – Tak bywa. – Przeszła kilka kroków i przykucnęła przy zwłokach. – Cholera, stary Adamski – mruknęła. – Ktoś go pięknie dziabnął.

– Prosto w serce. Rana kłuta – poinformował Czajka. – Albo sprawca wiedział, jak wymierzyć cios, albo to był przypadek.

– Szlag by to trafił.

– Dostał ostrym i dużym nożem.

– Na przykład tamtym?

Przy drzwiach do jednego z pokoi leżał duży nóż, a jego ostrze było całe we krwi.

– Owszem – przyznał Czajka. – Policję zawiadomiła żona denata, Balbina Adamska.

Wzięli ją karetki. Dostała środki uspokajające. Jest w szoku.

Lena wstała i popatrzyła na Wolskiego, który kręcił się przy drzwiach wejściowych. Uważnie ich słuchał i obserwował, lecz swoim zwyczajem stronił od zwłok.

– Balbina powiedziała, co tu się stało? – zapytała Rudnicka.

– Twierdzi, że ktoś włamał się do domu. Zeznała, że spała i obudziły ją odgłosy szamotaniny. Wezwała policję, a gdy chłopaki przyjechały na miejsce, nikogo już nie było. Napastnik uciekł.

– Widziała jego twarz?

– Mówi, że kiedy zeszła na parter, był tam tylko jej mąż.

– Zginęło coś z domu?

– Sami z nią pogadacie, jak się uspokoi.

Z Balbiną należało porozmawiać jak najszybciej. Lena była przekonana, że nie chodziło o włamanie. Przecież niedawno ktoś brutalnie zgwałcił tu Karinę.

– Gdzie ich syn? – zapytała.

– Nie ma go w domu. Matka twierdzi, że nie wrócił na noc.

Rudnicka wymieniła znaczące spojrzenia z Wolskim. Wniosek nasuwał się sam – znów,

gdy działo się coś złego, Patryka nie było w domu.

Technik zerknął na Marcela, który opierał się ramieniem o ścianę. Przekrzywił głowę, a na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu.

– Kolega jest wrażliwy – wyjaśniła Lena. – Lepiej niech tam stoi, jeśli nie chcesz, by zarzygał ci miejsce zbrodni. Zresztą i tak będziemy się zbierać. Pogadamy z Adamską.

– Powinna sprawdzić, czy coś zginęło.

– Jasne. Przekażę.

Dla pewności Lena obeszła pomieszczenia na parterze, lecz wszystkie wyglądały na nietknięte. Nie było bałaganu, powywracanych mebli, wyrzuconych zawartości szuflad. Dom był czysty i wyglądał, jakby niedawno ktoś gruntownie go posprzątał. Lena pomyślała, że tak nie wyglądają miejsca, w których chwilę temu grasował włamywacz.

– Jeszcze jedno! – zawołał Czajka, gdy Lena i Marcel skierowali się do wyjścia.

Komisarz się odwróciła.

– Jest czwarta nad ranem – powiedział technik. – Na moje oko ten facet zmarł przynajmniej cztery godziny temu. Oczywiście wypowie się jeszcze patolog sądowy.

– I leżał tu tyle czasu?

Czajka bezradnie rozłożył ręce.

– Wychodzi na to, że pani Adamska zwlekała z wezwaniem policji.

2

Henryk Cieślak wszedł do pokoju córki i usiadł na jej łóżku. Powiódł wzrokiem po ścianach, czując, że do oczu napływają mu łzy.

Od śmierci Kariny prawie nie sypiał. Jeśli udało mu się zasnąć, spał półtorej, góra dwie godziny i budził się zlany potem. Śnił o Karinie, o tym, kiedy była małą dziewczynką. Był szczęśliwy, brał ją w ramiona i przytulał. Śmiali się razem, całował ją w czoło, nieopodal jego żona siedziała na kocu i robiła im zdjęcia. Ale chwilę później obraz się zmienił, pociemniał, śnieg zastąpił wiosenne słońce, Karina leżała na ziemi z rozsypanymi dookoła włosami, wokół była krew. Czuł jej drażniący, metaliczny zapach.

Henryk przejechał dłonią po ramie łóżka. Sięgnął po notatnik leżący na nocnym stoliku i przewrócił kilka kartek. Karina lubiła rysować, ale nigdy się do tego nie przyznawała. Powtarzała, że to dziecinne. Henryk był odmiennego zdania i próbował namówić ją, by rozwijała swój talent. Jego zdaniem miała dobrą rękę. Zatrzymał wzrok na nakreślonym ołówkiem koniu, piękny arab, wyprężony niczym struna, z wysoko osadzonym ogonem; przerzucił następną kartkę i wstrzymał oddech. Przyglądał się portretowi mężczyzny, którego Henryk bardzo dobrze znał.

– Co tu robisz?

Głos żony wyrwał go z zamyślenia. Obrócił się gwałtownie, zamknawszy szkicownik. Anna stała w progu ze skrzyżowanymi ramionami na piersi.

– Sądziłem, że śpisz.

– Nie śpię.

Po śmierci Kariny oboje przeżywali piekło, lecz Anna z każdym dniem czuła się gorzej. Łykała pigułki, bez celu snuła się po domu. Henryk dawał jej czas, by przeżyła żalobę, ale tego ranka Anna wyglądała zaskakująco przytomnie. Mętny wzrok zastąpiło jasne spojrzenie. Mimo wczesnej pory Anna nałożyła na twarz makijaż, miała świeżo umyte włosy, a ubranie schludne i wyprasowane.

– Coś się stało? – zapytał.

– Skąd to pytanie?

– Wybacz, kochanie, ale w ostatnich dniach wyglądałaś... Martwiłem się, ale widzę, że

jest lepiej.

Anna popatrzyła na niego wrogo.

– Nasza córka nie żyje – oznajmiła. – Jeśli uważasz, że raptem po kilku dniach się z tym pogodziłam, to jesteś w błędzie.

– Kochanie, źle mnie zrozumiałaś.

– Czyżby?

Mierzyli się wzrokiem, a Henryk nie mógł oprzeć się wrażeniu, że w jego żonie coś się zmieniło.

– Co tutaj robisz? – zapytała raz jeszcze.

– Siedzę sobie.

– Grzebiesz w jej rzeczach?

– Oczywiście, że nie. – Henryk przesunął dłonią po pościeli, przykrywając szkicownik skrajem kołdry. – Dlaczego miałbym to robić?

– Nie powinieneś tu być.

– Anno, po prostu chciałem chwilę pomyśleć.

– Karina nie lubi, gdy ktoś grzebie w jej prywatnych rzeczach. Zawsze denerwuje się, kiedy wchodzimy do jej pokoju.

Henrykowi nie umknęło to, że żona wypowiada się o Karinie w czasie teraźniejszym.

– Przepraszam – odparł. – Masz rację. Już się stąd zabieram.

– Robię jajecznicę. Masz ochotę?

– Nie, dziękuję.

Oczy Anny zwięzły się. Małe szparki przyglądały mu się z nutą ciekawości i odrazy.

– Nie jesteś głodny? – zapytała.

– Jest czwarta nad ranem.

– Czy o czwartej rano nie można jeść jajecznicy?

– Och, Anno. Nie jestem głodny, ale chętnie napiję się kawy.

– Dobrze, kochanie. W takim razie zrobię ci kawy.

Obróciła się na pięcie i odeszła do kuchni. Henryk był pewien, że coś jest nie tak.

– Anno?! – zawołał.

Po chwili jej głowa ponownie pojawiła się w pokoju córki.

– Tak? – spytała.

– Powiedz mi... Dlaczego akurat dzisiaj postanowiłaś się tak ładnie ubrać?

Żona uśmiechnęła się dziwnie.

– Nie wiesz? – zapytała, przekrzywiając głowę.

– Nie, ale czuję, że coś się stało.

– Chciałabym pochować naszą córkę.

– Ale przecież nie oddali nam jej ciała – szepnął do siebie.

3

Kogo moje oczy widzą! – Rudnicka rozłożyła ręce. – Poczekaj, muszę cię dotknąć, żeby się przekonać, że nie śnię.

– Daj spokój – mruknął Dawid, zapalając papierosa. – Dostałem twoją wiadomość i od razu przyjechałem. Co się tutaj dzieje?

Sadowski patrzył na nich z irytacją. Wsiadanie za kierownicę na mocnym kacu to był kiepski pomysł, ale nie mógł kolejny raz nawalić.

– Dobrze pytanie. – Rudnicka podparła się pod boki i popatrzyła na dom Adamskich. – Ktoś drasnął starego Adamskiego.

Sadowski gwizdnął.

– Jerzego? – upewnił się.

– Dostał prosto w serce.

– Nie żyje?

Komisarz przytaknęła.

– O cholera.

– Słabe miał szanse.

Dawid wciągnął do płuc mroźne powietrze. Powiódł wzrokiem po wąskiej ulicy, policjanci w mundurach uwijali się wokół domu, dwóch mundurowych, napotkawszy wzrok aspiranta, uniosło rękę w geście powitania.

– Wiadomo, kto to zrobił? – zapytał.

– Balbina twierdzi, że ktoś włamał się do ich domu.

– To musiał być ktoś z zewnątrz, bo cała wieś wiedziała, że u Adamskich się nie przelewa. Odkąd Jerzy stracił pracę, ledwo wiąźali koniec z końcem.

– Jest tylko jeden problem. Balbina nie wezwała pomocy od razu – wyjaśniła. – Jej zeznania są niejasne. Twierdzi, że obudził ją hałas na parterze, a gdy zeszła, włamywacza już nie było, zdążył uciec.

– Technik uznał, że zgon nastąpił co najmniej cztery godziny temu – dodał Wolski, wsuwając zmarznięte dłonie w kieszenie kurtki.

– Adamska, jak rozumiem, wezwała policję dopiero teraz?

– Zgadza się. – Komisarz oparła się o maskę samochodu. – Musimy z nią pogadać, ale podobno jest w szoku. Medyk z karetki pogotowia kazał poczekać, aż dojdzie do siebie. Chociaż według mnie nie wyglądała na specjalnie zdenerwowaną.

Wzrok policjantów powędrował w stronę karetki. Balbina siedziała na progu. Na plecach miała zarzuconą kurtkę, którą przytrzymała rękami z obu stron.

– Hm, nie jestem w tym najlepszy, ale chcę was przeprosić za wczoraj – bąknął Sadowski, wypuszczając dym. – Miałem wrócić i wam pomóc, ale nawaliłem.

Rudnicka przekrzywiła głowę.

– Streszczaj się – rzuciła.

– Miałem kilka spraw do załatwienia i trochę mi się przeciągnęło. Moja wina, bo powinienem do was zadzwonić, ale...

– Nie ściemniaj.

I to by było na tyle. Dawid pomyślał, że powinien przygotować wcześniej dobrą wymówkę, ale tego nie zrobił, a komisarz szybko go przejrzała. Kiedy zwłókł się z kanapy, sprawdził telefon i odczytał wiadomości od Rudnickiej. Niewiele myśląc, a w tym stanie myślenie przychodziło mu z trudem, wziął szybki prysznic i zapakował się do samochodu. Łeb mu pękał, czuł się wczorajszy i sponiewierany.

– Byliśmy wczoraj u ciebie – poinformował go Wolski. – Twój samochód stał na podwórku, a ty nie dawałaś żadnego znaku życia. Martwiliśmy się, czy wszystko z tobą w porządku.

– Słucham?

– Nie jesteśmy z tego dumni.

– Mów za siebie – wtrąciła Lena, ale nie zwrócili na nią uwagi.

– Byliście u mnie? Jak? Drzwi miałem zamknięte na klucz.

– Marny z ciebie glina – mruknęła Rudnicka. – Kiedy chcesz nawalić się w pień, powinieneś pamiętać, że otwarte okno to gratka dla złodzieja.

– Weszliście przez okno?

– Ale nic nie ukradliśmy.
Sadowski wytrzeszczył oczy ze zdumienia.
– Żartujecie sobie? – spytał.
– Twój pies bardziej ucieszył się z naszej wizyty.
Zaśmiał się nerwowo. A więc teraz już wiedzieli. Wejść mogli tylko przez kuchenne okno, więc widzieli torby wypełnione pustymi butelkami po alkoholu. Dawid poczuł zażenowanie. Z nikim nie rozmawiał o swoich problemach, a teraz stała przed nim dwójka niedawno poznanych ludzi i wiedzieli o jego największym sekrecie.
Nie miał pojęcia, co powiedzieć, więc wbił wzrok w ziemię.
– Nie wierzę, że weszliście przez okno – mruknął bez przekonania.
– On wszedł. – Rudnicka położyła rękę na ramieniu Wolskiego.
– Bo mi kazałaś.
– Aleś ty nagle posłuszny.
Marcel posłał jej ostrzegawcze spojrzenie.
– W każdym razie – odezwała się – masz problem, kolego.
– To moja sprawa.
– Przestaje być twoja, gdy zawalasz robotę.
– O ile się nie mylę, wczoraj nic ważnego się nie wydarzyło. – Dawid próbował się bronić.
– Pomijając to, że klecha rzucił się z mostu.
– Co?
Chyba ominęło go więcej, niż przypuszczał.
– Proboszcz – wyjaśnił Wolski. – Chciał się zabić.
– Rzucił się z mostu?
– Nie do końca. Przebił się samochodem przez barierki i wpadł do wody.
– Kiedy z nim rozmawialiśmy, powiedział nam, że jakiś czas temu nieźle spapraliście robotę – dodała komisarz, wyciągając paczkę papierosów. Miętosila ją w dłoni, po czym wyjęła jednego, zapaliła i głęboko się zaciągnęła.
– Nie wiem, o czym mówisz – odparł Dawid.
– Pamiętasz wypadek rodziców Natalii Wiśniewskiej?
– Jasne, że tak. Paskudna sprawa. Uderzył w nich pijany kierowca. Oboje zginęli.
– Znaleźliście sprawcę?
– Nie. Uciekł z miejsca wypadku. Nie było żadnych świadków. Nikt nic nie wiedział ani nie słyszał.
Komisarz uśmiechnęła się z ironią.
– Wczoraj go znaleźliśmy – poinformowała Sadowskiego.
– Wy? Chyba nie chcecie powiedzieć, że... – Spojrzał na Lenę, a potem przeniósł wzrok na Marcela. – Proboszcz? Nie... Nie wierzę.
– Przyznał się do wszystkiego. Był podпиты, wsiadł do samochodu, doprowadził do wypadku, a potem uciekł, obawiając się konsekwencji.
– Pech chciał, że gospościa zeszła do garażu i zobaczyła rozbity samochód – dodał Wolski.
– Długo się wahała, ale zdecydowała się powiedzieć Natalii prawdę. Ale poprosiła ją, żeby nie szła na policję.
– Za to Natalia odwiedziła księdza, a ten poczuł się zagrożony i postanowił usunąć dziewczynę. – Lena spojrzała w niebo. – Gdyby prawda wyszła na jaw, byłby skandal na skalę krajową. Ksiądz uznał, że musi się ratować za wszelką cenę.
Dawid poczuł, że ból rozsadza mu głowę. Schylił się do wnętrza samochodu i ze schowka

wyjął blister tabletek przeciwbólowych. Wycisnął jedną i połknął bez popijania. Rudnicka uważnie go obserwowała i wyraźnie odetchnęła, gdy schował tabletki z powrotem do samochodu.

– Posłuchaj. – Stała naprzeciwko Sadowskiego. – Nie obchodzi mnie, co robisz w czasie wolnym, możesz codziennie uwalniać się do nieprzytomności, ale kiedy zawałasz robotę, to już coś innego. Nie potrzebuję bezużytecznego partnera.

– Lena, to chyba nie najlepszy moment – upomniał ją Wolski.

– Nigdy nie będzie dobrego momentu.

– Rozumiem – powiedział Dawid, wziął oddech i głośno wypuścił powietrze. – Już więcej się to nie powtórzy.

– Wątpię.

– Mówię poważnie. Panuję nad tym.

– Nigdy nie obiecuj, jeśli wiesz, że nie dotrzymasz słowa.

Sadowski spojrzał na nią z urazą, ale nie zdążył się odciąć, bo zbliżał się do nich Patryk Adamski.

Komisarz wyszła mu na przywitanie.

– Hola, hola! – zawołała. – Stop.

Chłopak zignorował ją i parł przed siebie jak taran.

– Hej, kolego. – Marcel przytrzymał go za kurtkę. – Głuchy jesteś?

– Co się dzieje? Słyszałem, że przed moim domem jest karetka i pełno policji. O co chodzi? Gdzie są moi rodzice?

– Za dużo pytań naraz. Uspokój się.

Adamski, niewiele myśląc, uskoczył na bok, wrywając się z uścisku Wolskiego. Ramieniem pchnął Rudnicką, która zatoczyła się na maskę samochodu. Nie oglądając się za siebie, pognął w stronę karetki. Balbina dojrzała syna i wstała, ciałem otulając się kurtką.

– Mamo?! – zawołał. – Co tu się dzieje?

Adamska nie zdążyła odpowiedzieć. Marcel dogonił chłopaka, złapał go za kaptur i doprowadził w miejsce, gdzie stali policjanci. Młody upadł na maskę samochodu z głuchym dźwiękiem.

– Co jest, do cholery?! – warknął.

– Przepraszam panią komisarz.

– Puść mnie.

Marcel ścisnął go mocniej za kark.

– No już – ponaglił. – Magiczne słowo.

– Co tu się dzieje?

Lena stanęła naprzeciwko. Wsunęła dłonie w kieszenie kurtki.

– No – bąknęła. – Może ty nam powiesz?

– Kurwa, wracam do domu, a przed bramą stoi karetka i radiowozy. Mam prawo czuć się zdezorientowany.

– Gdzie byłeś?

– Że co?

– Gdzie byłeś, pytam.

Adamski patrzył na nich z paniką w oczach. Przeczucie mówiło mu, że wydarzyło się coś złego, Bardzo złego.

– Twój ojciec nie żyje – powiedział Dawid. – Ktoś go zamordował.

W tle grał telewizor, nienagannie ubrana prezenterka z wystudiowanym uśmiechem podawała najświeższe wiadomości.

Balbina Adamska tępo wpatrywała się w ekran, a potem powiodła niewidzącym wzrokiem po ścianach, jak gdyby widziała je po raz pierwszy w życiu. Jej twarz była zmęczona, wyglądała, jakby w jeden dzień postarzała się o dobre kilka lat.

– Nie chcę tutaj być – oznajmiła, skubiąc rękaw bluzki. – Nie mogę.

– Gdzie? – zapytała komisarz, choć dobrze wiedziała, co kobieta ma na myśli.

– To złe miejsce. Wydarzyło się tutaj zbyt wiele złego.

– Jest pani w swoim domu.

– Ten dom nigdy nie był prawdziwym domem. To złe miejsce – powtórzyła Adamska. – Pełne złych wspomnień.

Leki uspokajające najwyraźniej zaczęły działać. Balbina sprawiała wrażenie spokojnej i opanowanej.

– Może pani rozmawiać? – spytała komisarz.

Pod wpływem środków farmakologicznych Balbina mogła częściowo stracić trzeźwość umysłu, ale Rudnickiej zależało na tym, by zamienić z nią choć kilka słów. Uważała, że pierwsze godziny po zbrodni są najważniejsze. Później wyobraźnia podsuwa fałszywe obrazy, a odbiór sytuacji bywa błędny.

– Tak – odparła Adamska po chwili. – Możemy porozmawiać. Wołałabym mieć to za sobą.

– Proszę powiedzieć, co dokładnie się wydarzyło.

– Włamywacz. To on musiał zabić mojego męża.

Lena pomyślała, że rozmowa nie będzie należała do łatwych.

– Zaczniemy od początku – zaproponowała. – Jak wyglądał wczorajszy wieczór?

– Och, zupełnie normalnie.

– Proszę opowiedzieć.

Balbina się zawahała.

– Zjedliśmy kolację około dwudziestej – powiedziała. – Przygotowałam pieczonego kurczaka z frytkami. Jerzy bardzo lubił frytki, ale tylko te grubo krojone.

– Mhm.

– Jadł je z majonezem. Nigdy nie mogłam tego zrozumieć, ale odkąd pamiętał, jadł frytki z majonezem zamiast keczupu.

– Rozumiem.

– Najpierw skrytykował kurczaka, którego upiekłam, powtarzał, że za krótko trzymałam go w piecu i skórka nie jest wystarczająco chrupiąca. Jerzy lubił zjadać skóry, ale powiem pani szczerze, dla mnie to było obrzydliwe. – Balbina przerwała na chwilę, wzięła głęboki oddech i kontynuowała: – Sprzątnęłam po kolacji. Mąż... Jerzy usiadł przed telewizorem i włączył jakiś program na jedyne.

– Co to był za program?

– Coś z rolnikami. Nie pamiętam. Ja nie oglądałam takich bzdur.

– To akurat zrozumiałe.

– Poszliśmy spać około dwunastej. I potem... Potem obudził mnie jakiś hałas. Męża nie było w łóżku. Zarzuciłam na siebie szlafrok i zeszłam na dół, a on już tam... on już tam leżał... martwy.

– Jak pani sądzi, co się stało?

– Myślę, że kiedy schodziłam po schodach, włamywacz mnie usłyszał, spanikował i uciekł.

Lena zastanowiła się nad kolejnym pytaniem.

- Jakiego rodzaju hałas panią obudził?
- Szamotaniny.
- Ile zajęło pani wyjście z łóżka, założenie szlafroka i zejście na dół?
- Nie wiem. Chwilę.
- Mniej więcej.
- Minutę? Może dwie?
- Kiedy usłyszała pani odgłosy szamotaniny, wstała pani z łóżka od razu?
- Co to za pytanie?
- Próbuję odtworzyć przebieg wydarzeń.
- Myślę, że od razu.
- Co pani sobie wtedy pomyślała?
- Nic. Zaniepokoiły mnie hałasy i postanowiłam to sprawdzić.
- Nie bała się pani?
- Przecież mąż był w domu.

Rudnicka pokiwała głową i pomyślała, że ona w podobnej sytuacji postąpiłaby tak samo. Najpierw sprawdziłaby, co się dzieje, a potem zadzwoniła na policję. W końcu Balbina Adamska nie mogła wiedzieć, że ktoś włamał się do jej domu.

- Zeszła pani na dół i co zrobiła? – spytała Lena.
- Zadzwoniłam na sto dwanaście.
- Rozumiem.
- Nie widziałam twarzy tamtego człowieka. Uciekł, zanim przyszedłam.
- Wybiegł z domu?
- Tak.
- Drzwiami?
- Tak.

– Skąd miała pani pewność, że mąż nie żyje? Sprawdziła pani puls?

– Leżał w kałuży krwi. Jego sweter był przesiąknięty krwią. Bardzo się wystraszyłam.

Nie pomyślałam, żeby sprawdzić, czy żyje. Wyglądał, jakby nie żył, dlatego najpierw zadzwoniłam na sto dwanaście.

- A potem co pani robiła?
- Czekałam na was.

Dziwne, że czekając na pomoc, Adamska nie wpadła na pomysł, by sprawdzić puls męża. Zanim zjawiła się policja i pogotowie, musiało minąć kilka dobrych minut, a ona po prostu stała i czekała, aż ktoś się zjawi. Może rzeczywiście była w takim szoku, że nawet nie przyszło jej do głowy, by udzielić pomocy własnemu mężowi.

– Dotykała pani tego noża? – spytała Lena, unosząc plastikową torbę, w której znajdował się umazany krwią nóż.

– Oczywiście, że tak. To kuchenny nóż. Używałam go wiele razy.

– Pytam o to, czy dotykała go pani dzisiejszej nocy?

– Nie. Nie wiem. On tam leżał. Niedaleko Jerzego.

– Włamywacz musiał więc dźgnąć pani męża i potem wyciągnąć ostrze i rzucić je nieopodal, prawda?

– Zgadza się. Myślę, że Jerzy go przyłapał, a wtedy ten ktoś, kto się włamał, spanikował, ponieważ Jerzy zobaczył jego twarz i mógł wydać go policji.

– Prawdopodobna teoria.

Balbina spuściła wzrok, chowając jedną dłoń w drugą.

– Jak włamywacz mógł wejść do mieszkania? – zapytała Rudnicka.

– Nie wiem.

– Na drzwiach nie ma żadnych śladów.

– Co to znaczy?

– Drzwi musiały być otwarte albo włamywacz miał klucz.

– Na pewno nie były otwarte. Zawsze zamykamy drzwi na noc. Jerzy miał taki nawyk, który czasem mnie denerwował. Sprawdzał drzwi, ciągnąc za klamkę. Często wracał się z sypialni, żeby na wszelki wypadek sprawdzić, czy na pewno są zamknięte. To zakrawało na obsesję.

– Czy trzymaliście państwo zapasowy klucz na zewnątrz?

– Chodzi pani o to, czy mieliśmy jakąś skrytkę na przykład pod wycieraczką?

– Dokładnie tak.

– Kiedyś trzymaliśmy pod porcelanowym krasnałem w ogrodzie, ale parę lat temu uznaliśmy, że to zbyt niebezpieczne.

– Czyli na zewnątrz nie było zapasowego klucza?

Adamska pokręciła przecząco głową.

– Czy z domu coś zniknęło? – spytała Lena.

– Nie wydaje mi się.

– Mielicie w domu większą gotówkę?

– Oczywiście, że nie. Pieniądze trzymamy na koncie.

– Jakieś cenne przedmioty?

– Nic takiego. Telewizor, komputer, sprzęty AGD. Wszystko, jak pani widzi, jest na miejscu.

– Czyli włamywacz nie zdążył niczego zabrać?

– Przypuszczam, że Jerzy go spłoszył.

Na twarzy Balbiny odmalowało się niezdecydowanie, jakby kobieta nagle sobie coś przypomniała i wahała się, czy powinna o tym powiedzieć policjantce.

– Ma pani papierosa? – zapytała.

Rudnicka wyciągnęła paczkę i poczęstowała Balbinę. Adamska wciągnęła dym głęboko do płuc i zaniósła się kaszlem.

– Przepraszam, ale rzadko palę – wyjaśniła, pociągając kolejną porcję dymu. – Zdarza mi się, kiedy jestem zdenerwowana. Papierosy rzuciłam jakieś dwadzieścia lat temu. Dużo paliłam. Prawie paczkę dziennie.

– Ma pani prawo być zdenerwowana.

– Nie wiem, czy powinnam pani o tym mówić. Nie chciałabym rzucać fałszywych oskarżeń, ale... – Balbina zawiesiła głos, wpatrując się w żarzącego papierosa. – Wczoraj przyszedł do nas Maciej Kosik i trochę się pokłóciliśmy.

– Czego dotyczyła kłótnia?

– Kosik żądał, żebyśmy namówili syna, by odwołał zeznania w sprawie jego bratanka Damiana. Wiem, że został zatrzymany. Podobno przyznał się do zgwałcenia Kariny, to prawda?

– Pani syn go wskazał. Twierdził, że widział Karinę z Damianem w pobliżu waszego domu.

– Tak, właśnie tak. Kosik chciał, żeby Patryk odwołał zeznania.

– Co państwo odpowiedzieli?

– Że to niemożliwe.

Lena czuła, że Balbina nie mówi całej prawdy. Zastanowiła się, jak namówić Adamską do szczerości, kiedy ta postanowiła ułatwić jej zadanie.

– Wie pani – odezwała się po krótkiej chwili. – Popełniłam pewien błąd. Kiedy mój mąż trafił do aresztu, chciałam zrobić wszystko, żeby go stamtąd wyciągnąć. Wiem, że nie powinnam, ale w tamtym momencie skupiałam się na tym, żeby oczyścić męża z podejrzeń.

– Co pani zrobiła?

– Zapłaciłam Kosikowi, żeby zeznał, że był tamtego wieczoru z Jerzym.

– A nie był?

– Nie.

– Pan Kosik nie złożył u nas zeznań.

– Kazałam oddać mu pieniądze, a on wczoraj powiedział, że odda, jeśli Patryk odwoła zeznania.

– Szantażował was?

– W sumie tak.

W tym momencie Maciej Kosik został pierwszym podejrzanym o zabicie Jerzego Adamskiego. Mężczyźni się pokłócili, Jerzy nie zgodził się na rozmowę z synem, Maciej był wściekły, że jego bratanek trafił do aresztu. Był tylko jeden problem – Kosik nie miał motywu, żeby włamywać się do domu Adamskich. Jeśli chciał z nimi porozmawiać, mógł złożyć im wizytę. Nie miał powodu ich okradać. Adamscy i tak dali mu pieniądze. Prędzej to Jerzy miałby motyw, by włamać się do Kosika i szukać tej utraconej gotówki.

Była jeszcze druga strona medalu.

– Czy mogło być tak, że Maciej Kosik przyszedł do państwa w nocy, żeby jeszcze raz negocjować kwestię oddania pieniędzy? – zapytała Lena.

– Nie sędzę.

– Jeśli przyszedł do was w nocy, wyjaśniałoby to sprawę nietkniętego zamka w drzwiach. Może pani mąż umówił się z nim, wpuścił do środka, pokłócili się, a potem doszło do tragedii?

Balbina zastanawiała się kilka sekund.

– Kiedy Kosik wczoraj do nas przyszedł, Jerzy odesłał mnie do domu – powiedziała. – Może wtedy się umówili.

– Mogło tak być.

Oczy Adamskiej zalsniły.

– To Maciej go zabił? – zapytała.

– Tego nie wiemy. Sądzi pani, że byłby do tego zdolny?

– Znam go od dawna. Kiedyś... mieliśmy się ku sobie, ale wybrałam Jerzego.

Kolejny motyw, by Kosik chciał pozbyć się Adamskiego. Może chciał upozorować włamanie? Potem miałby otwartą drogę, by wrócić do dawnej miłości.

Czy to nie była zbyt śmiała teoria?

– Przepraszam, rozboleła mnie głowa – odezwała się Balbina. – Możemy skończyć na dzisiaj?

– Oczywiście.

– Mam do pani prośbę.

– Tak?

– Zawoła pani mojego syna? Chciałabym się spakować.

– Wyjeżdża pani?

– Zatrzymam się u znajomej. – Balbina spojrzała na niedopałek, który tlił się jej między palcami. Wrzuciła go do filiżanki ze starą herbatą. – Nie wiem, czy dam radę zasnąć w tym domu. Na pewno nie dzisiaj.

– Dobrze. – Lena wstała. – Zawołam Patryka. Jeszcze tylko jedno pytanie.

– Tak?

– Gdzie był pani syn minionej nocy?

Balbina zachłysnęła się powietrzem, jakby uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia.

– Nie wiem – odparła. – Jego proszę zapytać.

5

W czasie gdy Lena rozmawiała z Adamską, Marcel i Dawid udali się do sąsiadów. Najpierw złożyli wizytę Mielcarzom, ale zarówno Tomasz, jak i Barbara twierdzili, że niczego nie słyszeli i nic w nocy nie wzbudziło ich podejrzeń. Zrezygnowani skierowali się do domu Reginy Nowak.

Wolski zapukał do drzwi i odsunął się o krok. Po chwili w progu stanęła sąsiadka Adamskich. Pomimo wczesnej pory była gotowa na nadchodzący dzień. Miała na sobie czerwony golf i plisowaną spódnicę. Gestem zaprosiła policjantów do środka, poprowadziła ich do kuchni i nastawiła wodę na gaz.

– Zrobię panom kawy – oznajmiła. – Napijcie się?

– Chętnie.

– Taka pora, że tylko kubek mocnej kawy może postawić człowieka na nogi.

Kobieta była przygotowana. Na stole postawiła dwa kubki z nasypaną wcześniej mieloną kawą. Uśmiechnęła się, wzięła do ręki szmatę i starła okruszki z blatu.

– Co tam u Adamskich się wydarzyło? – zagadnęła niby od niechcienia. – Pogotowie, policja, chyba coś poważnego?

Nie było sensu ukrywać przed nią prawdy. Marcel odchrząknął.

– Jerzy Adamski został zamordowany – oznajmił.

Tego Nowakowa się nie spodziewała. Mokra szmata wysunęła się jej z rąk i plasnęła na płytki.

– Wreszcie szlag trafił tego starego ochlapusa – mruknęła. – Ale żeby od razu zamordowany? Kto by pomyślał! Mateczko najświętsza! Takie rzeczy w naszej spokojnej wsi?

– Chcielibyśmy zapytać, czy słyszała pani coś podejrzanego minionej nocy – odezwał się Sadowski. – Zakładamy, że do Adamskich ktoś się włamał. Jerzy Adamski prawdopodobnie przyłapał złodzieja, który dźgnął go nożem i uciekł z miejsca przestępstwa.

– Och. – Nowakowa załamała ręce. – Włamywacz? U nich?

– Balbina Adamska twierdzi, że słyszała niepokojące dźwięki dochodzące z parteru, lecz kiedy zeszła na dół, sprawca uciekł.

– Ale oni są biedni jak myszy kościelne. Czego miałby szukać u nich włamywacz, panie władzo? – Pokręciła głową z niedowierzaniem. – Na pewno nie pieniędzy.

Regina wyłączyła czajnik i zalała kubki wrzącą wodą. Wolski od razu sięgnął po kubek i upił łyk kawy.

– Wracając do naszego pytania – odezwał się. – Czy wczoraj zauważyła pani coś podejrzanego?

– To znaczy?

– Może ktoś obcy kręcił się wokół domu Adamskich?

Nowakowa namyśliła się chwilę.

– Ja nie jestem wścibska – zaznaczyła. – Ale coś przyszło mi do głowy.

– Co takiego?

– Wczoraj kiedy nosiłam drewno do domu, Adamski z kimś się kłócił.

Policjanci ożywili się.

– Z kim? – spytał Dawid. – Znała pani tę osobę?

– Ciemno było. Na początku niczego nie widziałam. Słyszałam tylko, że stary z kimś drze

koty, ale potem rozpoznałam tego pijaczynę.

– Kogo ma pani na myśli?

– No, Macieja Kosika. Tego starego ochlapusa.

– Kłócili się?

– Ano. Mówili coś o pieniądzech, ale nie słyszałam wszystkiego. Potem przyszła jego żona i stary Adamski wygonił ją do domu.

Marcel położył łokcie na blacie, marszcząc brwi.

– Taki właśnie jest Adamski – wyjaśniła Regina. – Zwyczajny cham. Nie ma szacunku do kobiety. Nawet do własnej żony. Ja wam powiem, że nie raz słyszałam, jak on ją obraża. Kłócili się często. To znaczy... trudno to nazwać kłótnią. On się na nią darł, a ona potulnie słuchała wyzwisk. Gdybym ja miała takiego męża, uciekłabym od niego, gdzie pieprz rośnie.

– Wczoraj też się kłócili?

– Nie. On tylko kazał jej iść do domu. Kłócił się z Kosikiem o pieniądze. Mówiłam już.

– Słyszała pani coś więcej?

– Kosik mówił coś o ich synu, Patryku. Nie słyszałam wszystkiego, ale na pewno wymieniali jego imię.

– Rozumiem.

– Adamska poszła do domu – ciągnęła Nowakowa. – A oni we dwóch stali jeszcze chwilę na dworze, a potem i ja poszłam do domu, bo zmarzłam strasznie.

– Potem nic pani nie widziała?

– Coś tam widziałam. Ale nie wiem, czy to ważne.

– Proszę powiedzieć.

– Muszę panom powiedzieć, że mam taki życiowy dylemat. Mój mąż jest kierowcą i niedługo wraca z trasy i... myślę o tym, żeby od niego odejść. On ciągle na wyjazdach, a ja sama jak palec w domu siedzę. Mam dosyć samotności. Podjęłam decyzję, że chcę rozwodu, ale to wcale nie jest takie proste, jak się wydaje. Tyle lat razem... No i przez to spać w nocy nie mogę. Kładę się, ale oka nie zmruję, więc wstaję i snuję się po domu.

– Dzisiejszej nocy też nie mogła pani spać?

– Owszem. Bardzo często nie prześpię nocą ani minuty. I kiedy mówicie, że tam włamanie było... Mogło tak być, nie mówię, że nie, ale...

– Ale...?

Regina się zawahała.

– Jak można włamać się do domu, w którym pali się światło?

– Słucham?

– Na zdrowy rozum, panie władzo. Jeśli jest pan włamywaczem i chce pan okraść jakiś dom, raczej czeka pan, aż właściciele wyjdą albo zasną głębokim snem, co nie?

– Owszem – odparł Wolski. – To logiczne.

– No właśnie. A Adamscy nie spali.

Marcel uniósł brwi.

– Przez całą noc paliło się u nich światło – wyjaśniła Regina. – Wniosek chyba jest prosty, prawda?

6

Patryk Adamski stał oparty plecami o płot i obserwował policjantów kręcących się po obejściu. Na widok komisarz Rudnickiej skrzyżował ramiona i otworzył usta, ale nie dała mu dojść do słowa.

– Musimy pogadać.

– Wolalbym najpierw sprawdzić, jak czuje się matka. Z tego co widziałem, słabo z nią. Lena podrapała się w skroń.
– Jak na osobę, która właśnie straciła męża, trzyma się nieźle – mruknęła.
– Chcę się z nią zobaczyć.
– Za parę minut. Najpierw pogadamy.
– Ktoś zabił mojego ojca. – Patryk postąpił krok naprzód, stanął naprzeciwko Rudnickiej i hardo spojrzął jej w oczy. Komisarz poczuła woń trawionego alkoholu. – Sądzi pani, że mam ochotę na pogawędkę z policją? Nie możemy przełożyć tej rozmowy? Przyjdę na komisariat, jak matka dojdzie do siebie.

Rudnicka zastanowiła się chwilę. Jasne, że mógłby przyjść na komisariat i tam złożyć zeznania, ale wiedziała, że w ciągu tych kilku godzin, zanim młody Adamski zjawi się na komisariacie, może się sporo wydarzyć. Wolała, aby nie miał czasu na rozmyślania o tym, jaką wersję wydarzeń przedstawić policji.

– Sądzę, że powinno ci zależeć, żebyśmy znaleźli tego, kto zabił twojego ojca. Patryk się zawahał.
– Dobrze – zgodził się niechętnie. – Byle szybko.
– Gdzie byłeś tej nocy?
– U kumpla – odpowiedział bez wahania. – Dam pani jego adres.
– A jeśli dogadałeś się z kumplem, żeby zeznał na twoją korzyść?
– Słucham? – Zaśmiał się ponuro. – Po co? Chyba nie sądzi pani, że mógłbym zabić własnego ojca.

– Jakie mieliście stosunki z ojcem?
– Żartuje pani?
– Odpowiedz.
– Z nim miałem znacznie lepsze stosunki niż z matką.
Rudnicka zapaliła papierosa i przyjrzała się chłopakowi.
– Nie należał do łatwych osób, co? – zapytała.
– Dogadywaliśmy się. Był okres w moim życiu, kiedy dużo się kłóciliśmy, ale to już minęło.

– Minęło?
– Dojrzałem i uznałem, że kłótnie do niczego nie prowadzą.
– Całą noc spędziłeś u kumpla?
– Calutką.
– I wróciłeś dopiero teraz?
– Matka napisała mi wiadomość, żebym jak najszybciej zjawił się w domu. Ten esemes mnie zaniepokoił. Szybko się zawiązałem i jestem.

– Co robiłeś u tego kumpla?
– Graliśmy na konsoli. Trochę wypiliśmy. On ma wolną chatę, bo starzy wyjechali na narty.

– Twoja matka twierdzi, że do waszego domu było włamanie, twój ojciec przyłapał złodzieja na gorącym uczynku, a ten dźgnął go nożem.

– Brzmi wiarygodnie. Ale nie wiem, co ten cały złodziej mógł ukraść. My nic nie mamy.
– Wczoraj odwiedził twoich rodziców Maciej Kosik.

Patryk drgnął.
– Czego chciał? – spytał.
– Twoja matka dała mu pieniądze, prawda?

Lena była pewna, że Adamski wiedział o sprawie. Zagryzł wargi i pokręcił głową

z rezygnacją.

– Bo jest głupia – mruknął. – Co do tego ojciec miał rację. To kretyńka. Nie powinna dawać temu pijakowi kasy. Wiadomo przecież, że taki Kosik nie pójdzie na policję, tylko zgarnie kasę i ją przepije. – Splunął. – Matka niby taka mądra, ale nie przyszło jej do głowy, że dojdziecie do tego, że Kosik ściemnia. I to ściągnęłoby na nas kłopoty.

– Jakie kłopoty?

– Podejrzenia, że śmierć Kariny to nasza wina.

– Nie jest tak?

– Nie.

Rudnicka powiodła wzrokiem dookoła. Karetka już dawno odjechała, za to nadciągnęli mieszkańcy Białych Brzegów. Zbili się w niedużą grupkę i obserwowali. Lena miała ochotę powiedzieć im, że po przedstawieniu, ale się powstrzymała. Spojrzała na Adamskiego.

– Sądzisz, że Kosik mógłby mieć coś wspólnego ze śmiercią twojego ojca? – spytała.

– Dlaczego?

– Twoja matka twierdzi, że poprzedniego wieczoru doszło tu do awantury. Domagał się, żebyś odwołał zeznania obciążającego jego bratanka.

– Nigdy w życiu bym tego nie zrobił. Ten chuj ją zabił, jestem tego pewien.

– Twoi rodzice odmówili.

– I słusznie. – Adamski podrapał się w skroń. – Sądzi pani, że to on? Że Kosik przyszedł do nas w nocy?

– Nie wydaje mi się. Wersja z włamywaczem jest nieco naciągana. Na drzwiach nie ma śladów włamania.

– Sam nie wiem, czy Kosik byłby zdolny kogoś zabić. Chyba że pijany...

Rudnicka pomyślała, że to odpowiedni moment.

– Twoja matka nie wezwała pomocy od razu – powiedziała.

– Co to znaczy?

– Kiedy przyjechaliśmy na miejsce, twój ojciec nie żył od kilku godzin. Jak myślisz, dlaczego zwlekała?

Patryk wyglądał na zaskoczonego.

– Nie wiem. Czy... czy jeśli wezwałyby pomoc wcześniej, ojciec by żył?

– Wątpię.

– Jest jeszcze jeden człowiek, który nienawidził mojego ojca.

Lena wyprostowała plecy.

– Kto taki? – spytała.

– Henryk Cieślak – odparł Patryk. – Ojciec Kariny. Uważał, że jej śmierć to nasza wina.

7

Minęło kilka minut, zanim Baśka zorientowała się, że mąż ją obserwuje. Pochłonęło ją oglądanie serialu o życiu bogatych kobiet. Na ekranie pojawiały się drogie limuzyny, szampan lał się strumieniami, wszystko rozgrywało się w kosztownie urządzonych wnętrzach. Tomaszowi zrobiło się niedobrze, odchrząknął, zakrywając pięścią twarz.

Baśka spojrzała w jego stronę.

– Kogo moje oczy widzą? – zapytała, podkurczając kolana pod brodę.

– Musimy porozmawiać.

– Teraz nie mam czasu.

Wyrwał z jej rąk pilota i wyłączył telewizor, co skomentowała głośnym jęknięciem.

– A teraz masz?

– Oglądam, do cholery.

Baśka nie miała ochoty na rozmowę z mężem. Sporo myślała o ich związku, a ostatnie wydarzenia pokazały, że ich małżeństwo jest bardzo kruche. Od dawna nie układało się między nimi, a w sumie jedynym, o czym mogli porozmawiać, był pozew rozwodowy.

– Wyjaśnij mi łaskawie, co ty wyprawiasz? – zapytał.

– O czym ty mówisz?

– Dlaczego powiedziałaś policji, że skrzywdziłem Natalię?

Wzruszyła ramionami.

Prawda była taka, że Baśce zależało na odsunięciu podejrzeń od siebie. Najlepszym sposobem było zrzucenie winy na męża. W gruncie rzeczy, gdyby trafił do więzienia, wcale by się nie przejęła. Miałyby święty spokój i cały dom dla siebie.

– Nie mamy o czym gadać – odburknęła. – Natalia się znalazła i wszystko skończyło się dobrze. To znaczy... może nie do końca, ale na pewno niedługo się wybudzi.

– Powiedziałaś policji, że twoim zdaniem to ja ją zabiłem.

– Mylisz się – zaoponowała. – Nadmieniłam jedynie, że tego wieczoru nie było cię w domu i że chciałeś się jej pozbyć. Wnioski nasuwają się same. Ja ich tylko trochę naprowadziłam.

– Przecież to był twój pomysł.

– Ale oni tego nie wiedzieli.

– To ty chciałaś zrobić jej krzywdę. Pamiętasz, jak spotkałyście się przy kapliczce? Chciałaś, żebym wziął nóż i czekał w lesie. To wszystko był twój pomysł, a potem zrzuciłaś winę na mnie. Jak mogłaś, Baśka? Jak mogłaś zrobić coś takiego?

Baśka przekrzywiła głowę. Jeśli Natalia wsypałaby ją policji, nie miałaby skrupułów. Tomasz odwaliłby całą brudną robotę, a ona wciąż miałaby czyste ręce.

– Ty też święty nie jesteś. Nie pamiętasz, jak rozważałeś, w jaki sposób się jej pozbyć?

– Naprawdę sądziłaś, że mógłbym ją zabić?

– Czemu nie?

Tomasz miał ochotę ją uderzyć. Zaciśnięte pięści wsunął w kieszenie bluzy. Baśka bez mrugnięcia okiem wpakowałaby go za kratki i nawet by nie zapłakała. Nie mógł uwierzyć, że jeszcze niedawno sądził, że kocha tę dziewczynę.

– Musiałam coś zrobić – powiedziała. – Ta nowa policjantka krzywo na mnie patrzyła, więc wymyśliłam, jak uniknąć podejrzeń. Bałam się, że naprawdę pomyślą, że jej coś zrobiłam, a przecież ja byłam wtedy w domu. Zresztą, tylko żartowałam, kiedy mówiłam, że najlepiej byłoby się pozbyć Natki. Przecież nie zrobiłabym jej krzywdy.

Potrafiła perfekcyjnie kłamać. Była w tym dobra. Potrafiła omotać człowieka, owinać go sobie wokół palca.

– Nie żartowałaś.

– Idź już. – Machnęła ręką. – Chcę obejrzeć serial.

– A ja chcę z tobą porozmawiać.

– Już wystarczy. Nie mam ochoty na rozmowy.

Barbara sięgnęła po laptopa i położyła go sobie na kolanach. Ta ostentacja rozwścieczyła Tomasza. Poczul, jak krew uderza mu do głowy, i niewiele myśląc, wyrwał jej laptopa z rąk i rzucił o podłogę. Górna klapa przełamała się na pół. Ekran zamigotał, a potem zgasł.

– Zdurniałeś?! – Baśka poderwała się z kanapy. – Coś ty zrobił?

– Powiedziałem, że musimy porozmawiać.

– Niby o czym?

– O nas!

– To chyba jasne, że musisz się wyprowadzić.
– Widzę, że szybko podjęłaś decyzję.
– Żebyś wiedział. Nie zamierzam żyć z kimś takim jak ty. Ta sprawa z Kariną pokazała, że nie pasujemy do siebie.

– Szkoda, że dopiero teraz na to wpadłaś. Jak cię rznąłem, nie miałaś takich problemów. Uderzyła go w twarz. Niebyt mocno. Ledwie poczuł.

– Jesteś świnią! – warknęła. – Szczerze mówiąc, nie wierzę, że jesteś niewinny.

– Zwinęli jakiegoś dzieciaka, który był z Kariną tamtej nocy.

– To nic nie znaczy.

– To znaczy tyle, że policja uznała mnie za niewinnego i wypuściła. Jesteś moją żoną. Powinnaś się cieszyć.

Baśka z odrazą mierzyła go wzrokiem.

– Jesteś nienormalny. Nie zdziwiłabym się, gdybyś to ty zabił Karinę.

– Nie zrobiłem jej krzywdy.

– Zawsze ci się podobała.

– Bredzisz.

– Sądzisz, że nie widziałam, jak na nią patrzyłeś? Gdyby ta suka rozłożyła przed tobą nogi, nie wahałbyś się ani chwili.

– A może ty zabiłaś ją z zazdrości?

– Nie bądź głupi...

Milczeli przez chwilę, przyglądając się sobie.

– Nie wierzę w twoją niewinność – odezwała się Baśka. – Co? Zapłaciłeś Sadowskiemu, żeby cię puścił?

– Nie rozśmieszaj mnie.

– Przecież to łatwo załatwić, prawda?

– Jesteś w błędzie.

– Dałeś mu kasę?

– Mam na niego tyle haków, że nie musiałbym płacić.

– Jasne.

– Zresztą, dla Sadowskiego wystarczającą zachętą byłaby flaszka czystej.

Baśka cofnęła się o krok.

– To fakt – przyznała już nieco łagodniej. – Ten facet z każdym tygodniem stacza się coraz bardziej.

8

Rudnicka podkreśliła ogrzewanie w samochodzie. Wolski siedział obok z zamyśloną miną, Dawid zaś zajął miejsce z tyłu, uchylił boczną szybę i strzepnął popiół z dopalającego się papierosa.

– Co sądzicie? – spytała komisarz.

Kilka minut wcześniej policjanci wymienili się informacjami, jakie uzyskali podczas rozmowy z Balbiną Adamską oraz Reginą Nowak. Sadowski zaciągnął się, po czym wysunął głowę przez okno i wypuścił dym.

– Na moje oko są dwie osoby, które miały motyw, żeby pozbyć się Adamskiego – powiedział. – Henryk Cieślak i Maciej Kosik.

– Henryk zrobił na mnie dobre wrażenie – odezwał się Marcel. – Kulturalny, wykształcony człowiek. Nikt nie pomyślałby, żeby ktoś taki mógł zabić.

– Miał motyw.

– Wcześniej pokłócił się z Adamskim o krzyż. Może było tak, że przyszedł do niego znowu i tym razem zamiast walnąć go krzyżem, użył noża? – Wolski podrapał się po brodzie. – Cieślak mógł nie myśleć racjonalnie. Stracił córkę. Tuż pod płotem Adamskich rozegrała się tragedia. Mógł obwiniać o to wszystko Jerzego. Przyszedł do niego, wywiązała się kłótnia i stracił nad sobą panowanie.

Dawid przyznał Wolskiemu rację.

– To dobry motyw – powiedział. – Był na Jerzego wściekły. Załamany po śmierci córki mógł szukać zemsty.

– Jerzy miał trudny charakter. Wszyscy, z którymi rozmawialiśmy, to potwierdzają. Może Henryk nie poszedł do niego ze złymi zamiarami, ale potem sprawy potoczyły się błyskawicznie. Sadowski wyrzucił niedopałek i zasunął szybę.

– Z drugiej strony nie odpuszczalbym Kosikowi. Szemrany typ zawsze szuka okazji, żeby małym kosztem wyjść na swoje. Wierzcie mi, znam go.

– Jego bratanek siedzi na dołku – odezwała się Rudnicka. – Zeznania Adamskiej i Nowakowej się pokrywają. Kosik był wczoraj u Jerzego i zażądał, żeby jego syn odwołał zeznania obciążające Damiana.

– Damian przyznał się do winy – zauważył Marcel.

– Kosik nie musi tego wiedzieć. – Lena zredukowała bieg i ostrożnie wzięła zakręt. – Miałoby to sens. Kosik, wściekły na młodego Adamskiego, idzie do jego starych, wszczyna awanturę, ale odchodzi z niczym. Wraca do domu, wypija kilka piw, zamroczony alkoholem znów wybiera się do Adamskich i domaga się odwołania zeznań. Klóćą się i tragedia gotowa.

– Gdyby był bardzo pijany, nie dałby Jerzemu rady.

Obie teorie brzmiały prawdopodobnie. Lena zastanowiła się, a potem wrzuciła kierunkowskaz.

– Pojedziemy do Kosika – oznajmiła i chwilę później zaparkowała pod jego domem.

Przeszli przez podwórko. Dawid zapukał do drzwi, lecz nikt nie otworzył.

– Wchodzimy? – zapytał.

– Chyba powinniśmy zaczekać. – Marcel przestąpił z nogi na nogę. – Lepiej poczekajmy.

– Wchodzimy – odparła Rudnicka.

Sadowski nacisnął klamkę, a drzwi ustąpiły. W nozdrza uderzył ich odór alkoholu i zatechła woń starych petów. Kosik chrapał w zapadniętym fotelu z nogami na ławie. W tle grał telewizor, przyciszony do minimum.

Rudnicka podeszła do mężczyzny i trąciła go czubkiem buta.

– Ej – powiedziała. – Budzimy się.

Kosik wciągnął głośno powietrze, chrapał i otworzył oczy. Zamrugał kilkukrotnie, jakby się zastanawiał, czy stojąca nad nim policjantka nie jest wytworem wyobraźni, po czym ściągnął nogi ze stołu i wyprostował plecy.

– Co, do... – stęknął. – Która godzina?

Rudnicka nie odpowiedziała, zgarnęła zalegające na sąsiednim fotelu ciuchy i przysiadła na podłokietniku.

– Pan wybaczy, że wpadliśmy tak bez zapowiedzi – rzuciła drwiąco. – Ale mamy sprawę do obgadania.

– Drzwi były otwarte – usprawiedliwił się Wolski.

– Może i były. – Kosik przetarł oczy. – Ale to nie znaczy, że możecie włączyć tutaj bez pozwolenia.

– Spokojnie, panie Kosik. – Dawid sięgnął po słoik stojący na ławie. Żółta woda z utopionymi petami. – Chcemy tylko porozmawiać.

– Bratanka mi wypuście, to pogadamy. Póki siedzi na dołku, nie mam o czym z wami gadać.

– Panie Kosik...

– Wstydziłbyś się swoich zamykać.

– Wykonuję swoją pracę.

Kosik nic na to nie odpowiedział. Sięgnął po puszkę, potrząsnął nią, ale okazała się pusta. Westchnął ciężko i sięgnął za fotel, gdzie jakoś uchował się czteropak tyskiego. Wyjął jedno piwo i pociągnął zawleczkę. Upił łyk i wierzchem dłoni otarł usta.

Sadowski obserwował mężczyznę z nieodgadnioną miną. Zapalił papierosa i głęboko się zaciągnął.

– Dasz jednego? – zapytał Maciej. – Mnie już wyszły.

– Co pan robił wczoraj wieczorem? – Dawid wyciągnął w jego kierunku paczkę. Kosik wyjął papierosa, obejrzał go z każdej strony, a potem wsunął między spierzchnięte wargi.

– O co chodzi?

– Niech pan odpowie na pytanie.

– A nic, co miałbym robić?

Sadowski strząsnął popiół do słoika.

– A dokładniej? – spytał.

– W domu byłem, o tak jak teraz sobie siedziałem.

– Cały wieczór?

– No tak, a bo co?

– Czyli nie byłeś z wizytą u Adamskich?

Kosik stropił się i nerwowo oblizał wargi. Zapalił papierosa, unikając wzroku policjantów.

– No może i byłem – przyznał po namyśle. – To nie zbrodnia, co?

– O której? – zapytała komisarz.

– Nie wiem.

– Mniej więcej.

– Może po dziewiątej.

– Po co pan do nich poszedł?

– Moja sprawa. O co wam chodzi?

– W chwili gdy wbił pan Adamskiemu nóż w serce, przestała to być tylko pańska sprawa.

Teraz to także nasza sprawa.

– Co zrobiłem Adamskiemu?

– Zamordował go pan.

Kosik upił łyk piwa. Spojrzał na policjantów, jakby miał nadzieję, że to wszystko to tylko kiepski żart.

– Ktoś zaciukał Adamskiego? – spytał.

– Na śmierć.

– Nieźle.

– Bawi to pana?

– Ależ skąd – odparł Kosik. – No i dobrze. Doigrał się. Już dawno modliłem się, żeby ktoś go sprzątnął. Szkoda, że dopiero teraz, a nie jakieś czterdzieści lat temu.

Lena uniosła brwi.

– Wygląda pan na zadowolonego – powiedziała. – To ciekawe.

– Cieszę się, że ktoś go kropnął. Co za nowina! Ten dzień nie mógł się lepiej zacząć! – Napił się piwa i zarechotał pod nosem, odstawił puszkę na blat i nagle spoważniał. – Ale wy

chyba nie sądzicie, że to ja?

Policjanci odpowiedzieli mu milczeniem. W pomieszczeniu zrobiło się gęsto od papierosowego dymu.

– Myślicie, że to ja? – Kosik niemal zachłysnął się powietrzem. – No co wy?! Nie jestem mordercą!

– Podobno się kolegowaliście.

– Za dużo powiedziane. Lubił sobie wypić jak i ja.

– Pił pan z kimś, kogo pan nie znosił?

– Co począć, skoro mieszkam sam? Nie mam do kogo gęby otworzyć, więc wybredny nie jestem, jak się ktoś trafi, nie wybrzydzą. Poza tym po wódeczce on jakiś przyjemniejszy się wydawał. Pogadać można było, tylko nie o Balbinie. Czuły na jej punkcie był, jakbym zaczął temat, toby mi w ryja dał. Ja to myślę – Kosik podrapał się w brodę – że on też mnie nie znosił, ale lubił wypić, więc przychodził.

– Po co poszedł pan wczoraj do Adamskiego?

Kosik zastanowił się, jakby dotarła do niego powaga sytuacji.

– Pogadać. – Machnął ręką. – Nie sądziłem, że cokolwiek ugram, ale pomyślałem, że spróbuję. Ale to złośliwe bydlę. Wiedziałem, że nie pójdzie na układ.

– Jaki układ?

– Chodzi o mojego bratanka.

– Konkrety proszę.

Maciej napił się piwa i bezmyślnie gapił się w telewizor.

– Nie mogę powiedzieć – odparł.

– Wiemy, że Balbina Adamska zaproponowała panu pieniądze za złożenie fałszywych zeznań.

– Ach, to jak wiecie... Nie chciałem mówić, żeby nie miała problemów i żebyście się do niej nie przyczepili... Dobrze jej życzyć przez wzgląd na przeszłość.

– Mhm...

– No więc chciałem, żeby ten ich, pozał się Boże, synalek odwołał zeznania. To w końcu przez niego Damian trafił do aresztu. Powiedziałem im, że oddam tę forszę, no bo jeszcze jej nie wydałem, ale schowałem, powiedziałem, że oddam, jak synuś odwoła zeznania i wypuszczą Damiana. Nie zgodzili się. To znaczy Adamski się nie zgodził, po złości. Wstrętne bydlę.

– Nawet gdyby Patryk zmienił zeznania, przypuszczam, że nic by to nie zmieniło.

Kosik ze zdumieniem spojrzął na komisarza.

– Mam przejebane, jak brat się dowie – mruknął. – Łeb mi urwie. Choleryk z niego, na pewno się wścieknie... Miałem chłopakiem się zająć, a tu proszę. Przecież on ze mną tamtego wieczoru był, to jak miał ją zgwałcić?

– Mamy świadków, którzy widzieli Karinę w towarzystwie pańskiego bratanka.

– Hmm, może na chwilę zniknął mi z oczu. Trochę popiliśmy, jak to na festynie, takie tam, ale jestem pewien, że on nikogo nie zgwałcił.

– Skąd ta pewność?

W odpowiedzi Kosik napił się piwa.

– Dobrze, przejdźmy dalej – powiedziała Rudnicka. – Jak potoczyła się rozmowa z Adamskim?

– No mówiłem, że się nie zgodził. Chciałem pomóc bratankowi. Żeby nie poszedł siedzieć. – Kosik machnął ręką. – Pał licha pieniądze. Jakoś dam radę, ale najważniejsze, żeby chłopak wolny był.

– Adamski się nie zgodził. Co było dalej?

– Ano nic. Trochę mu nawtykałem i poszedłem do domu.

Nie powinnam oceniać ludzi po wyglądzie, ale ten Kosik nie wygląda mi na osobę zdolną zabić kogokolwiek, pomyślała Rudnicka.

– Nie wrócił pan już do Adamskich? – spytała.

– Niby po co?

– A może było tak, że kiedy Adamski nie zgodził się na pana propozycję, pan się zdenerwował... – Lena wstała i przeszła się po pokoju. – W końcu wziął pan bratanka do siebie, a ten, będąc pod pańską opieką, wylądował w areszcie. Sam pan mówił, że brat nie byłby z tego zadowolony, więc przyszedł pan do domu, przemyślał sprawę i wrócił do Adamskiego, sądząc, że kolejna rozmowa przyniesie lepszy skutek. Tyle że znowu spotkał się pan z odmową. Wkurzyło to pana i...

– I niby co? Dźgnąłem Adamskiego i dałem dyla? A potem spokojnie przekimałem sobie w fotelu?

– Był pan w szoku, nie wiedział, co robić, więc wypił pan trochę, żeby się znieczulić.

Wskazała puste puszki po piwie i uśmiechnęła się złośliwie.

– Brednie – podsumował Kosik. – Byłem u Adamskiego raz. Potem wróciłem do domu. Niech pani sprawdzi jakieś tam odciski palców czy co tam robicie, to się przekonacie, że mówię prawdę.

– Zrobimy to, może być pan pewien.

– I dobrze, bo ja nikogo nie zabiłem.

9

Odgłosy prowadzonej szeptem rozmowy docierały do niej powoli, jakby zza ściany. Oczy miała zamknięte, czuła dziwny zapach, znała go, ale zmęczony mózg nie wysyłał żadnej podpowiedzi, do jakiego miejsca można go przypisać. Ciało miała sztywne, obolałe i odrętwiałe. Spróbowała podnieść rękę, ale zdołała poruszyć jedynie palcem wskazującym, a i to kosztowało ją mnóstwo energii. Ciało odmawiało posłuszeństwa. Było słabe.

Zmusiła się, by unieść powieki.

– Budzi się – powiedział ktoś.

Natalia pomyślała, że zna melodię tego głosu. Delikatną i łagodną. Z pewnością już kiedyś go słyszała.

Otworzyła oczy. Obraz był zamazany, rozmyty. Dłuższą chwilę zajęło jej przyzwyczajenie się do światła.

– Obudziłaś się, kochana.

Osoba siedząca obok łóżka dotknęła jej dłoni. Przygarbiona postać trzymająca w ręku różaniec.

– Dzień dobry, Natalio – powiedział inny głos.

Z drugiej strony łóżka stała pielęgniarka w białym kitlu. Obserwowała pacjentkę czujnym wzrokiem.

– Natalio, słyszysz mnie?

– T... tak.

Na twarzy pielęgniarki pojawił się uśmiech, spojrzała w kartę, zdjęła okulary, które zawisły na drobnym łańcuszku na szyi, nachyliła się i poświeciła Natalii w oczy. Pachniała środkiem antybakteryjnym.

– Wszystko w porządku?

– Gdzie ja jestem?

– W szpitalu.

Natalia musiała wyglądać na zaskoczoną, bo kobieta położyła dłoń na jej ramieniu i powiedziała coś, co zamiast uspokoić pacjentkę, wprawiło ją w jeszcze większe osłupienie.

– Nie martw się. Wszystko w porządku. Musisz odpoczywać.

– Dlaczego w szpitalu?

– Jak się czujesz?

Dobre pytanie, pomyślała Natalia. Ciało ją bolało, a w ustach miała tak sucho, że czuła, jak język drapie o podniebienie. Była zdezorientowana i zagubiona. Nie miała pojęcia, w jaki sposób trafiła do szpitala ani jak długo tu przebywała. Ostatnie dni bądź tygodnie zwały się w ciemną plamę.

– Co mi się stało? – spytała.

– Och, dojdziemy do tego. Teraz pójdę po doktora. Musi cię zbadać.

I zniknęła za drzwiami.

– Nie pozwolili mi siedzieć przy tobie.

Usłyszała głos dobiegający z drugiej strony szpitalnego łóżka. Z wysiłkiem odwróciła głowę w tamtą stronę i zobaczyła Arkadię Ząbek, przerzucającą różańcowe koraliki. Gospoia ucałowała krzyż i włożyła różaniec do plastikowego pudełka.

– Pani Arkadia...

– Nawet nie wiesz, ile musiałam namawiać pielęgniarkę, żeby przymknęła na mnie oko. Chciałam tylko przy tobie posiedzieć. To nic złego, prawda?

Pielęgniarka długo nie zgadzała się na odwiedziny kogoś spoza rodziny. A przecież Arkadia chciała pomodlić się o zdrowie Natalii, która nie miała nikogo bliskiego. Dopiero ten argument trafił do oddziałowej. Ale oprócz modlitwy Arkadia miała drugi powód, by czuwać przy nieprzytomnej dziewczynie, o którym nie mogła powiedzieć pielęgniarkom.

– To modlitwa pomogła ci wrócić do zdrowia – powiedziała. – Widzisz? Bóg może zdziałać cuda.

– Pani Arkadio, jak tu trafiłam?

– Och, w samą porę?

– Nie pamiętam...

– Jakieś dzieciaki znalazły cię w starej mleczarni. Byłaś nieprzytomna. Nie znam się na medycznych sprawach, drogie dziecko, ale lekarze mówili, że kiepsko z tobą było. Na całe szczęście się obudziłaś. Bóg nad tobą czuwał, kochana.

Co, do licha, mogłam robić w starej mleczarni?, przemknęło Natalii przez głowę. Za licealnych czasów zdarzało się, że popijała tam piwo ze znajomymi, ale już dawno wyrosła z tego typu rozrywek. Po co tam poszła? Czy dlaczego trafiła do szpitala?

Arkadia troskliwym gestem położyła dłoń na głowie Natalii.

– Nie pojmuję, dlaczego porwałaś się na taki krok. – Gospodyni pokręciła głową, oczy się jej zaszkliły. – Jesteś młoda i przed sobą całe życie.... Moje biedne dziecko!

– Ale... Nie wiem. Mam mętlik w głowie.

– To zrozumiałe. Po tym wszystkim, co przeszłaś, to cud, że żyjesz. Na szczęście... Na szczęście...

– Co się stało?

– Nie pamiętasz?

Natalia zacisnęła usta. Nie pamiętała.

– Ojej, naprawdę nie wiesz, co chciałaś zrobić, Natalio?

– Nie.

– Próbowalaś odebrać sobie życie.

Natalia zamrugała nerwowo. Chciała się zabić? Roześmiałyby się, gdyby miała siłę, ale

zamiast tego na jej twarzy pojawił się grymas. To jakaś pomyłka! W jej życiu wydarzyło się wiele złego, najpierw straciła rodziców, a potem przyjaciółkę, ale na pewno nie odebrałaby sobie życia.

– Chciałam popełnić samobójstwo? – spytała z niedowierzaniem.

– Dziecko...

– Pani Arkadio, ja nigdy bym...

– Ciii. No już. – Starsza kobieta pogładziła ją po włosach. – Nie przejmuj się. Już wszystko dobrze. Najważniejsze, że w porę cię znaleźli.

Arkadia uśmiechała się do niej niczym troskliwa matka. Gdyby Natalia wiedziała, jaki był prawdziwy powód tej wizyty, z pewnością wyrzuciłaby ją za drzwi. Była zbyt naiwna, by podejrzewać gosposię o złe zamiary.

– Pewnie jesteś słaba – powiedziała Arkadia. – Zaraz przyjdzie lekarz, zajmie się tobą i będziesz odpoczywać. Musisz dużo odpoczywać.

– Nie czuję się dobrze.

– Wiem, dziecko, wiem.

– Przepraszam, ale nic nie pamiętam...

– Spokojnie. – Arkadia przysunęła się bliżej. – Co się wydarzyło? – zapytała półszepem.

– Dlaczego chciałaś to zrobić?

– Nie wiem. – Natalia pokręciła głową. – Naprawdę nie pamiętam... Przepraszam.

Usiłowała za wszelką cenę wydobyć z głowy jakieś wspomnienie, powód, dla którego chciała odebrać sobie życie, ale czuła tylko tępy ból w potylicy i to była jedyna rzecz, której była pewna.

Gosposia odchrząknęła i splotła dłonie na kolanach. Była zadowolona z przebiegu tej rozmowy. Skoro Wiśniewska niczego nie pamięta, nie będzie mogła zeznawać przeciwko proboszczowi. Jeżeli wszystko dobrze pójdzie, wszyscy dowiedzą się, że chciała się zabić. Nikt nie powiąże tej sytuacji z księdzem. Szkoda jej było tej biedaczki, ale musiała za wszelką cenę bronić dobrego imienia plebanii. Obmyśliła już plan, który pomoże oczyścić księdza z zarzutów. Najważniejsze, by dziewczyna była przekonana, że chciała się zabić, a proboszcz odwołał swoje zeznania.

Natalii nagle coś się przypomniało.

– Co ze sprawą Kariny? – spytała przytomnie. – Znaleźli sprawcę?

Arkadia spojrzała na nią ostro.

– Jeszcze nie. – To pytanie wzbudziło podejrzliwość gosposi. Miała nadzieję, że dziewczyna nie odzyska pamięci. – Odpoczywaj. Myślami będę przy tobie.

– Naprawdę chciałam się zabić?

– Och, tak. Połknęłaś jakieś świństwo.

– Nic z tego nie rozumiem.

– Nie myśl o tym. Teraz powinnaś skupić się na tym, żeby wyzdrowieć. Pamiętaj, że zawsze możesz na mnie liczyć.

Natalia pomyślała, że Arkadia nie ma powodu, by kłamać. Ale mimo wszystko nie mogła oprzeć się wrażeniu, że coś tutaj nie gra.

10

Henryk Cieślak stał w szlafroku oparty o kuchenny blat. Ramiona skrzyżował na piersi i z odrazą patrzył na policjantów.

– Nie macie sprawcy – mruknął rozdrażniony. – No tak. A czego mogłem się spodziewać po polskiej policji?

Wcześniej zachowywał się w stosunku do funkcjonariuszy uprzejmie, teraz zionął nienawiścią. Miał prawo być sfrustrowany brakiem postępów w śledztwie. Miał prawo też być wściekły na Jerzego Adamskiego i dlatego teraz do jego drzwi zapukała trójka policjantów.

– Proszę mi wierzyć, że odnalezienie człowieka, który przyczynił się do śmierci pańskiej córki, jest naszym priorytetem – zapewniła Rudnicka, usiadła przy stole i zabębniła paznokciami w blat.

– Przychodźcie z samego rana, żeby powiedzieć mi, że nie zamknęliście jeszcze tego zwyrodnialca? Ile to dni już minęło? Czym wy zajmujecie się na tej komendzie? Pierdżicie w stolki i nic nie robicie, a ten potwór jest na wolności! Może już dawno zdążył uciec za granicę.

– Na komisariacie.

– Słucham?

– Pracujemy na komisariacie, nie na komendzie – wyjaśniła komisarz, a Cieślak poczerwieniał ze złości.

– Jeden pies.

– To zasadnicza różnica.

Mężczyzna machnął lekceważąco ręką.

– Gdzie pańska żona?

– W sypialni.

– Chcemy z nią porozmawiać.

– To niemożliwe.

– Nalegam.

Henryk zagryzł dolną wargę.

– Ale najpierw porozmawiamy z panem.

– O czym? – Cieślak rozłożył szeroko ręce. – Jeśli nie znaleźliście winnego śmierci Kariny, nie mamy o czym rozmawiać.

– Myli się pan.

Henryk spojrział na Dawida i Marcela, którzy stali w przejściu, jakby chcieli zagrozić mu drogę ucieczki.

– Dobrze. O co chodzi?

– Co pan robił minionej nocy?

– Słucham? – Cieślak uniósł brwi. – Pyta pani, co robiłem w nocy? Że niby jestem o coś podejrzany?

– Proszę odpowiedzieć.

– Nie odpowiem, dopóki nie wyjaśnicie, o co chodzi.

Rudnicka westchnęła.

– Jerzy Adamski został zamordowany – wyjaśnił Sadowski.

Cieślak zamrugał ze zdumienia, a na jego twarz wypłynął szeroki uśmiech.

– No proszę – rzucił. – Doskonale.

– Chyba nie przepadał pan za Adamskim – zauważyła komisarz.

– Nienawidziłem go. A po śmierci Kariny znenawidziłem go jeszcze bardziej.

– Z jakiego powodu?

Cieślak podrapał się w skroń.

– Kto go zabił? – spytał.

– Na to pytanie szukamy odpowiedzi.

– Sądźcie, że ja?

– Na razie nie ferujemy wyroków. To zwykle rutynowe pytanie.

– Nie, nie. Wy myślicie, że to ja.

Rudnicka założyła nogę na nogę.

– Podobno się pokłóciliście.

– Co nie znaczy, że go zabiłem. To była zwykła kłótnia.

– O co?

– O to. – Henryk wskazał wsparty o ścianę krzyż.

– Krzyż?

– Chciałem postawić go tam, gdzie umarła moja córka. Żeby wieś nie zapomniała o Karinie. Zresztą... w miejscach wypadków samochodowych stawia się krzyże, prawda? Dlaczego więc ja bym nie mógł?

– Jest pan wierzący?

– Teraz to już sam nie wiem. Jeśli Bóg istnieje, dlaczego pozwolił mojej córce umrzeć?

Dobre pytanie, pomyślała Rudnicka.

– Podobno uderzył pan Adamskiego – powiedziała.

– Zdążył się poskarżyć?

– Uderzył go pan czy nie?

– Pewnie, że tak. Walnąłem go krzyżem. Nie jestem z siebie dumny, ale niczego innego nie miałem pod ręką.

Henryk nie wyglądał na człowieka, którego gnębią wyrzuty sumienia.

– Walnąłem go, bo mnie zdenerwował – wyjaśnił. – Zawsze działał mi na nerwy.

– Zdenerwował pana, bo nie zgodził się na postawienie krzyża?

– A co by mu zależało? Po złości to zrobił i tyle. Nawet nie pomyślał, jak ja się czuję. O tym, że moje dziecko nie żyje. Jakoś staram się trzymać, ale jest ciężko.

Cieślak uciekł wzrokiem w stronę okna. Rudnicka rozumiała go. Śmierć dziecka to dla rodzica miazdzący cios.

– Gdyby Adamski był inny, może bym go żałował – powiedział Henryk. – No bo zawsze człowieka szkoda, prawda? Ale z nim jest inaczej. Nie czuję żadnego smutku. Nawet nie wybieram się na pogrzeb.

Marcel wystąpił krok naprzód.

– Panie Cieślak, o nic pana nie oskarżamy – odparł. – To rutynowa wizyta. Wiemy o pańskiej kłótni z denatem, dlatego tu jesteśmy. Nikt nie twierdzi, że to pan go zabił.

Henryk nie wierzył w dobre intencje policjantów. Podszedł do kuchennego okna i wpatrywał się w widok za szybą. Gdy znaleziono ciało Kariny, jeszcze wierzył, że policji uda się złapać sukinsyna, który ją skrzywdził, ale dzisiaj już tej nadziei nie miał.

– Jasne – mruknął. – Zamiast szukać mordercy Kariny, zajmujecie się starym Adamskim. Słyszałem, że trzymacie na dołku jakiegoś chłopaka.

– Nie możemy o tym rozmawiać.

– Czyżby? – Henryk uśmiechnął się blado. – Błędzicie po omacku, a starego Adamskiego wypuściliście z aresztu, zamiast mu się lepiej przyjrzeć. Na pewno miał coś na sumieniu. Mógł wiedzieć coś, czego nie powinien. Dlatego ktoś go sprzątnął.

Komisarz Rudnicka chrząknęła znacząco, żeby uciąć te dywagacje.

– Dopuszczamy możliwość, że śmierć Jerzego Adamskiego miała związek ze śmiercią pańskiej córki – oznajmiła. – Pan również miał motyw, by go zabić.

– Doprawdy?

– Powiedział pan, że go nienawidził.

– To niczego nie dowodzi.

– Owszem – przyznała. – Ale to, co powiedział pan przed chwilą, już tak.

– Nie rozumiem, do czego pani zmierza?

– Uważa pan, że Adamski mógłby mieć związek ze śmiercią Kariny?
Henryk patrzył na nią nieufnie, jakby węszył podstęp.

– Owszem – odparł. – Tak myślę.

Marcel spojrział na Lenę i pomyślał, że Cieślak dał się złapać w pułapkę.

– Według pana Adamski miał coś na sumieniu? – ciągnęła komisarz.

– Właśnie to powiedziałem.

– Zabronił panu postawić krzyż upamiętniający Karinę. Właściwie dlaczego?

– Adamski jest... to znaczy był złośliwy.

– Wkurzyło to pana?

Cieślak wzruszył ramionami. Pętla wokół niego zaciskała się coraz bardziej.

– Co pan robił minionej nocy, panie Cieślak?

– Byłem w domu z żoną.

– Na pewno?

– Nie mam powodów kłamać.

– A może Adamski tak pana wkurzył, że poszedł pan do niego?

– Absurd!

– Nie chciał pan go zabić, ale sprawy wymknęły się spod kontroli. Pokłóciliście się. Sądził pan, że Jerzy może kryć sprawcę, ale on się zapierał, nie chciał z panem rozmawiać, a pan nie wytrzymał.

– Dość. To jakieś brednie.

– Tak pan sądzi?

– Proszę wyjść.

Komisarz uporczywie wpatrywała się w Cieślaka.

– Dobrze – mruknęła niespodziewanie. – Dziękuję za rozmowę.

Henryk odprowadził policjantów do drzwi, a gdy wyszli, zaryglował zamki i wyjrzał przez okno, by się upewnić, czy wsiadają do samochodu i odjeżdżają przed jego domu.

11

Dochodziła dziesiąta rano, a Marcel miał wrażenie, jakby nadchodził wieczór. To będzie długi dzień, pomyślał, wysiadając z samochodu. Zanurkował na tylne siedzenie po reklamówkę ze śniadaniem i ruszył do domu Leny Rudnickiej, który stanowił tymczasowe centrum dowodzenia. Cała trójka była przemarznięta, głodna i spragniona kawy, dlatego mieli tutaj chwilę odsapnąć i przeanalizować sytuację.

Wszedł do środka, zamknął drzwi za sobą i odwiesił kurtkę na wieszak. Poczuł, jak przenika go przyjemne ciepło. Dawid obiecał, że rozpali w piecu, i słowa dotrzymał.

– Ktoś chętny na świeże bułki? – Marcel uniósł torbę wypełnioną bułkami i rogalikami. – Jezu, jak to pachnie...

Rudnicka zamieszła jajecznicę, a Wolski poczuł, że żołądek wywraca mu się na drugą stronę.

– Mieszkacie tu razem? – zapytał Dawid, zapalił papierosa i usiadł przy stole.

– Bez podtekstów – odbąknęła Lena. – Marcel po prostu tutaj śpi.

– Sam – zaznaczył Wolski. – Pani komisarz wciąż jest odporna na mój urok osobisty.

– Jezu. – Rudnicka starała się zignorować zaczepkę, zsunęła jajecznicę na talerze, postawiła na stole półmisek z pomidorami, masło i truskawkowy dżem do rogalików.

– Ale ucza. – Dawid klasnął w dłonie, zdusił niedopałek w popielniczce i zabrał się do jedzenia.

Lena zajęła miejsce naprzeciwko Wolskiego, który nie mógł oprzeć się wrażeniu, że

komisarz błądzi myślami gdzieś daleko. Nabrała jajecznicy na widelec, lecz zawiesiła go w połowie drogi do ust.

– W sprawie Adamskiego dopatrujemy się czegoś podejrzanego – odezwał się Dawid. – W obecnej sytuacji to zrozumiałe, ale co, jeśli się mylimy i śmierć Jerzego nie ma związku ze śmiercią Kariny? Może to naprawdę było włamanie?

– Sąsiadka twierdzi, że w nocy paliło się u nich światło – odparł Marcel. – Czy to nie dziwne? Włamywacz wszedł do oświetlonego domu? Nie chce mi się w to wierzyć.

Policjanci pokiwali głowami.

– Henryk ma słabe alibi – ciągnął Wolski. – Za to ma dobry motyw. Zresztą, jego żona jest na silnych lekach. Gdyby powiedzieć jej, że widziała w nocy przebiegające przez podwórko stado jednorogów, istnieje prawdopodobieństwo, że też by to potwierdziła.

– Tak sądzisz? – Sadowski ugryzł spory kęs bułki i popił kawą.

– Ojciec, który stracił ukochaną córkę, jest zdolny do wszystkiego.

Dawid zgodził się z tym stwierdzeniem.

– Czyli co? – spytał. – Zwijamy go?

– Może na dołku zmięknie i się przyzna.

– Nie – zaproponowała Rudnicka. – Zostawcie go.

– Niby dlaczego?

– Bo to nie on.

– Skąd ta pewność? – Sadowski uniósł brew.

Rudnicka odłożyła widelec, dopiła kawę i wstała od stołu.

– Daj Cieślakowi obserwację – powiedziała. – Tak na wszelki wypadek.

– Ale...

– Możecie tutaj zostać, Marcel ma klucze.

Marcel i Dawid spojrzeli po sobie.

– Dokąd się wybierasz? – zapytał Sadowski.

Lena odwróciła wzrok, wsunęła ręce w rękawy kurtki i zaciągnęła suwak.

– Mam pewną teorię – odparła. – Ale muszę pomyśleć.

– To może podzieli się nią z nami i coś wymyślimy?

Wolski posmarował rogalika dżemem. Pracował z Leną na tyle długo, by wiedzieć, że nie zgodzi się na taką propozycję. Gdy już coś postanowiła, nie sposób było jej od tego odwieść.

– Daj Cieślakowi obserwację – powtórzyła i zatrzasnęła za sobą drzwi.

– Kurwa – mruknął pod nosem Sadowski. – Rozumiesz coś z tego?

Wolski już dawno zorientował się, że komisarz lubi pracować sama. Owszem, przyzwyczała się do jego towarzystwa, ale miał świadomość, że czasem potrzebuje samotności. Teraz pewnie wpadła na jakiś trop, ale według niej było zbyt wcześnie, by się nim podzielić.

– Wróci – odparł Wolski. – Wróci i wszystko wyjaśni. Nie mamy się czym martwić.

– Nie mamy?

– Zadzwoń po chłopaków. Niech obserwują Cieślaka na wszelki wypadek.

– A potem co?

– Poczekamy na Lenę.

Zjedli śniadanie, sprzątnęli talerze ze stołu, pozmywali, a Marcel przygotował po jeszcze jednym kubku kawy. Usiadł na kanapie, sprawdził telefon, ale Lena nie dała żadnego znaku życia. Dawid przyglądał mu się z zaciekawieniem, zapalił papierosa i odchrząknął.

– Jak z wami jest? – spytał.

– To znaczy?

– No... Mieszkacie razem.

- To nie tak.
- Ona ma męża.
- Nie jesteście kochankami, jeśli o to ci chodzi.

Dawid podrapał się po głowie. Właśnie o to mu chodziło. I raczej nie uwierzył Wolskiemu. Między tą dwójką ewidentnie była jakaś chemia.

– Jasne – bąknął. – Nie musisz mi się tłumaczyć.

– To nie jest tak, jak myślisz. Wiem, jak to wygląda, ale zapewniam cię, że tylko się przyjaźnimy.

– Wiesz, co sobie pomyślałem, jak zobaczyłem Rudnicką po raz pierwszy? Pomyślałem, że ktoś taki jak ona nie mógł tak nawywiać w miejskiej, że przenieśli ją na to zadupie. A potem się przekonałem, jak bardzo się myliłem. Lenę można lubić albo nienawidzić. Innej opcji nie ma.

– Masz rację.

– A ty ją więcej niż lubisz. Widzę to.

Marcel odwrócił wzrok.

– Jeśli jest tak jak mówię, zacznij działać – ciągnął Sadowski. – Nie przegap tej chwili, bo potem może być za późno. Wiem coś o tym. Gdybym wcześniej się ocknął, wciąż miałbym żonę, a teraz zostałem sam.

– Ale...

– Poza tym chyba tylko ty potrafisz do niej dotrzeć.

– Nie sądzę, by ktokolwiek potrafił.

– Mylisz się, młody. Obserwowałem was i wiem, że jeśli Rudnicka ma kogoś posłuchać, to tylko ciebie.

Wolski sięgnął po paczkę papierosów i zapalił jednego.

– Co z twoją żoną? – zmienił temat.

– Zostawiła mnie. – Dawid wzruszył ramionami, lecz w jego głosie było słychać żal. – Czasami tak bywa, nie?

– Macie dzieci?

– Nie. I może dlatego poszło gładko. Po prostu spakowała się i wyszła, zabierając ze sobą parę lat życia.

– Przykre.

– Masz rację, młody, to cholernie przykre, ale zasłużyłem sobie.

– Odeszła przez alkohol?

Sadowski spojrział na niego spod oka. Domyślał się, że prędzej czy później będzie musiał porozmawiać z kimś o swoim problemie, nie przypuszczał jednak, że tym kimś okaże się młody gliniarz z Łodzi, którego znał raptem kilka dni.

– Może tak – przyznał. – Pewnie tak.

– Nie jesteś pewien?

– Kiedyś nie piłem aż tyle.

– Powiedziała ci, dlaczego odeszła?

– A co tak dopytujesz, młody, co?

– Jeśli nie chcesz o tym gadać, nie musimy.

Dawid potrzebował chwili, by zebrać myśli.

– Wiem, że mam problem – mruknął. – Staram się jakoś sobie z nim poradzić.

– Powinieneś iść na leczenie.

Sadowski zaśmiał się ponuro, kręcąc głową.

– Na pewno. Już lecę.

– Sądzisz, że poradzisz sobie sam?

– Jasne, że tak.

Marcel wyglądał na nieprzekonanego.

– Próbowaleś już odstawić? – spytał.

– Niby po co?

– Bo przeszkadza ci w życiu.

– Raczej, że pomaga. Nic nie wiesz o moim życiu. Przyjechałeś z wielkiego miasta i sądzisz, że pozjadałeś wszystkie rozumy, bo służyłeś w miejskiej komendzie. Życie na wsi wygląda kompletnie inaczej, ale skąd ty możesz o tym wiedzieć? Niedługo zwiniesz manatki i wrócisz do tej swojej Łodzi, a ja tu zostanę.

– Zawaliłeś robotę, bo się upiłeś. Przypuszczam, że to nie pierwszy raz.

– Daj spokój.

– Przecież widzę.

Sadowski wziął kubek i upił łyk herbaty.

– Rzadko mi się zdarza zawalić robotę – odparł. – Poza tym rzadko mamy tutaj jakąś poważną sprawę. Dopiero teraz. Może właśnie o to chodzi. Człowiek się rozleniwia, prawda? Skoro nie masz nic porządnego do roboty, po co się starać?

– Wiesz, czasem... – Wolski się zawahał – ...czasem wolałbym pracować w jakimś spokojnym miejscu. Na przykład tutaj, w Białych Brzegach.

– Tu nic się nie dzieje – prychnął Dawid. – Żadnych medialnych zabójstw ani seryjnych morderców. Nuda. Wiesz, czym najczęściej się zajmowałem?

– Mogę tylko przypuszczać.

– Rodzinne awantury albo bójki po pijaku, skradzione rowery i sąsiedzkie waśnie. Jeden skarży na drugiego, że muzyka za głośno gra, że psy zagryzają kury, że ktoś włamał się do stodoły i wyniósł worek drewna.

Marcel pomyślał, że jeśli miałby zostać w policji, właśnie tym mógłby się zajmować. Pewnie wychodziłoby mu to znacznie lepiej niż ściganie morderców i sprawców gwałtów, ale zachował tę myśl dla siebie. Bał się, że Sadowski go wyśmieje.

– Mój ojciec zginął podczas jednego ze śledztw – rzekł.

– Słyszałem. Przykro mi.

– Chciałem tylko powiedzieć, że czasem lepiej, kiedy niewiele się dzieje. Coś, co ty odbierasz jako wadę małej miejscowości, dla kogoś innego byłby zaletą.

– Mówisz o sobie, prawda?

W odpowiedzi Wolski się uśmiechnął, a potem zaciągnął się papierosem.

– Gdybyś kiedyś chciał porozmawiać albo potrzebował pomocy, wiesz, gdzie mnie szukać – powiedział, strząsając popiół.

Dawid wyglądał na zaskoczonego. Po raz pierwszy ktoś zaproponował mu wsparcie i wyciągnął do niego pomocną dłoń.

– Mówiłeś poważnie o tym, że chciałbyś tu zostać? – spytał.

– Oficjalnie jestem na urlopie. Zawsze mógłbym wystąpić o przeniesienie. Myślę, że na komendzie nikogo by to nie zdziwiło. Mój ojciec był komendantem, ale też dobrym człowiekiem. Wszyscy go szanowali i podziwiali. Czasem miałem przez niego przesrane. – Wolski uśmiechnął się krzywo. – Wiesz, syn komendanta. Pupilek komendy.

– Rozumiem.

– Kumple sądzili, że ojciec mi wszystko załatwił.

– Przejmowałeś się tym? Przecież nikt nie zdał za ciebie testów.

– Nikogo to nie obchodziło.

Dawid zamyślił się nad słowami Wolskiego.

– Mógłbym pogadać z szefem – zaproponował. – Myślę, że chętnie by cię przyjął, ale nie wiem, jak jest z wakacjami. Może ktoś od ciebie, mógłby to popchnąć z góry.

– Dzięki. – Marcel wciągnął dym do płuc. – Ale jeszcze nie podjąłem decyzji.

Marcel dopalił papierosa i zdusił niedopałek. W tle było słycać szum rozmowy w telewizyjnym studiu.

– O cholera! – krzyknął nagle Sadowski i poderwał się z krzesła.

– Co się stało?

– Zapomniałem... Wczoraj był u mnie Patryk Adamski – odparł, pocierając skronie.

Wyjął z kieszeni komórkę, wybrał numer i przyłożył do ucha. Odczekał kilka sygnałów i wsunął telefon z powrotem do kieszeni spodni.

– Rudnicka nie odbiera – mruknął. – Cholera jasna! Zbieramy się!

– O co chodzi?

Sadowski już miał na sobie kurtkę. Spojrzał na Marcela, zagryzając wargi.

– Patryk był wczoraj u mnie, żeby powiedzieć... Oni kłamali, rozumiesz? Kiedy mówili, że nie wiedzieli o zwłokach Kariny. Byli tam wcześniej. Pamiętasz szpadel, który znaleźliśmy? To stary Adamski chciał zakopać ciało, żeby odsunąć podejrzenia od syna.

– Ale...

– Wiesz, kto miał motyw, by pozbyć się starego Adamskiego?

Marcel nie musiał odpowiadać. Młody Adamski miał powód, by pozbyć się ojca. Jerzy wiedział, kto zabił Karinę.

– Od początku kręcił, żeby odsunąć od siebie podejrzenia – wyjaśnił Sadowski, zakładając buty. – Nawet kiedy przyznał się do winy, uznaliśmy, że chce wyciągnąć ojca z więzienia. To on zabił Karinę! A teraz pozbył się ojca, jedyne go świadka. Dlatego do mnie przyszedł. Żebym go powstrzymał! A ja, zamiast zareagować, zalałem się w trupa.

12

Lena Rudnicka zatrzymała samochód, zaciągnęła ręczny hamulec i długą chwilę siedziała za kierownicą, wsłuchując się w pracujący silnik. Przekręciła kluczyk w stacyjce, ucichł szum nawiewu, który tłoczył do wnętrza ciepłe powietrze. Odchyliła głowę na zagłówek.

Do Białych Brzegów przyjechała z myślą, że zyska kilka miesięcy na poukładanie spraw, wyciszenie i powrót do formy. Nie chciała tu być, ale skoro nie miała wyjścia, zamierzała wykorzystać ten czas jak najlepiej. Ale teraz coś się zmieniło. Niechęć do wiejskiej społeczności ustąpiła i Lena zaczynała dostrzegać plusy mieszkania w niewielkiej miejscowości.

Schyliła się do samochodowego schowka i wyjęła fiolkę leków. Okrągłe tabletki zagrzechotały. Pomyślała, że jeszcze niedawno stała nad przepaścią. Nie radziła sobie ze stresem. Czowała się przytłoczona, ale udawało jej się wytrwać w postanowieniu. Od dobrych kilku tygodni była czysta, nie wzięła ani jednej tabletki, a od przyjazdu do Białych Brzegów zupełnie o nich zapomniała. Pomyślała, że wieś podziiałała na nią kojąco, a Krzysztof był daleko. Miała świadomość, że odejście od męża nie będzie proste, ale wykonała już pierwszy krok. A to bardzo dużo.

Wróciła myślami do sprawy Kariny Cieślak. Dla mieszkańców wsi był to wielki szok. Zginęła jedna z nich, mieszkanka Białych Brzegów, która jeszcze niedawno przychodziła na mszę w kościele i z uśmiechem mówiła „dzień dobry”. A teraz nie żyła.

Czy Lena podejrzewała kogoś z rodziców? Nie. Cieślakowie od początku starali się mówić prawdę. Zależało im na znalezieniu sprawcy.

Co innego z przyjaciółkami Kariny. Małżeństwo Mielcarzów okazało się kruche. Od początku mataczyli w sprawie. Nie przyznali się, że Karina jechała z nimi samochodem na

impresę, tłumaczyli się tym, że obawiali się osądzenia o udział w sprawie. Słabe wytłumaczenie, gdyby jednak zastanowić się głębiej, żadne z nich nie miało motywu, by zrobić Karinie krzywdę. Rudnicka skreśliła Baškę z listy podejrzanych, Tomasz natomiast, choć próbował pokazać się z innej strony, był słaby. Czy z frustracji i potrzeby dominacji mógłby zgwałcić dziewczynę? Oczywiście.

Rudnicka pomyślała o drugiej przyjaciółce Kariny, Natalii. Dziewczyna wiele w życiu przeszła. Śmierć rodziców na pewno odcisnęła na jej psychice piętno, ale Natalia ze śmiercią Kariny nie miała nic wspólnego.

Początkowo Lena podejrzliwie podchodziła do wikarego Jacka. Zagubiony i sfrustrowany młody ksiądz zakochał się w dziewczynie ze wsi. Odciski butów pozostawione na miejscu zdarzenia wskazywałyby na niego... Ale był jeszcze pewien szczegół, którego istnienie uświadomiła sobie po wyjściu od Cieślaków.

Właściwie rozwiązanie sprawy mieli na wyciągnięcie ręki. Teraz wybrała numer Wolskiego.

- Już wiem, o co w tym wszystkim chodzi.
- My też...
- Jadę do Adamskich. Bądźcie jak najszybciej.
- Właśnie do nich jedziemy.

Rudnicka się rozłączyła.

Adamscy. Jak mogła to przeoczyć?

To oni odkryli zwłoki dziewczyny obok własnego płotu i kłamali już podczas pierwszej rozmowy z policją. Teraz stary Adamski nie żyje. A morderca był blisko, bardzo blisko, tylko oni prowadzili śledztwo w złym kierunku.

13

Patryk pogłaskał matkę po głowie. Nie pamiętał, kiedy ostatnio zdobył się na tak czuły gest. Ich relacje były trudne. Był bardziej związany z ojcem, którego uważał za autorytet. Ale teraz oboje znaleźli się w trudnej sytuacji, matka potrzebowała wsparcia, a Patryk, choć czuł się zagubiony, wiedział, że właśnie został głową rodziny.

Balbina wydała z siebie ciche stęknienie.

– Nie wiem, jak to się stało – szepnęła.

Była emocjonalna, przejmowała się drobnostkami, płakała na komediach romantycznych. Ojciec powtarzał, że jest głupia. Kto płacze na filmach? Nie wiesz, że to tylko fikcja, mówił, śmiejąc się pod nosem. Kręcił głową, a Patryk jak ostatni dureń powtarzał jego słowa. Dopiero teraz uświadomił sobie, że nie powinien. Matka kochała go i zrobiłaby dla niego wszystko, a on naśmiewał się z niej tylko po to, by przypodobać się ojcu. Chciał, by Jerzy był z niego dumny.

Ojciec nauczył go wielu rzeczy, pokazał, jak rąbać drewno, rozpalić w piecu, uczył drobnych napraw i prawd o życiu. Powtarzał, że kobietę należy trzymać krótko. Kobieta powinna słuchać męża, a obowiązkiem mężczyzny jest utrzymanie rodziny. Patryk ślepo w to wierzył, nawet nie zdając sobie sprawy, że w gruncie rzeczy ich rodzinę utrzymywała matka. Pracowała w hurtowni ryb, a potem przychodziła do domu, sprzątała i gotowała im obiad.

Poczuł, jak do oczu napływają mu łzy. Już nie musiał się ich wstydzić ani obawiać się śmiechu ojca. Matka szlochała teraz, wtulona w jego pierś.

- Spokojnie – powtarzał, gładząc ją po włosach.
- To wszystko wydarzyło się tak szybko.
- Wiem, mam. Nie myśl o tym.
- Kiedy nie mogę...

– Nie przywrócisz ojcu życia.

Zastanawiał się, jak będzie wyglądało ich życie. Myśl o tym, że teraz będzie im znacznie lżej, zawstydziła go. W głębi duszy kochał ojca, ale dopiero kiedy ten zmarł, Patryk uświadomił sobie, jak zły miał na nich wpływ. Matka tego nie zrozumie, pomyślał. Mąż ją szykanował, ale i tak go kochała. Słuchała jego poleceń, przyrządzała potrawy, które lubił, sprzątała, bo ojciec cenił porządek. Robiła wszystko, by go zadowolić. Być może tak było jej wygodniej. Nie myśleć, o tym, co by było, gdyby odszedł. Pogodziła się z losem.

Drgnął, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

– Kto to może być? – zdziwiła się Balbina, unosząc głowę. – Spodziewasz się kogoś?

– Pójdę sprawdzić. Zaczekaj tutaj.

Przeszedł korytarzem. Uchylił drzwi, a potem wszystko potoczyło się nadzwyczaj szybko. Dwóch policjantów, z którymi już miał okazję niejednokrotnie się spotkać, doskoczyło do niego.

Większy – Dawid Sadowski – podciął mu nogi. Patryk runął na podłogę, rozbijając sobie przy tym nos, z którego pociekła strużka ciemnej krwi. Drugi z policjantów sprawnie założył mu kajdanki na ręce.

– Co wy robicie? – stęknął, nie mogąc ruszyć żadną z kończyn. Młody gliniarz siedział mu na plecach. Po chwili wstał i pociągnął chłopaka do góry.

– Jesteś zatrzymany pod zarzutem gwałtu ze skutkiem śmiertelnym na Karinie Cieślak oraz zamordowania własnego ojca, Jerzego Adamskiego.

– Pan zwariował? – Patryk w osłupieniu patrzył na Sadowskiego. Był przerażony.

– Pogadamy na komendzie.

– Jezu...

– Co się tutaj dzieje? – W korytarzu pojawiła się zgarbiona postać Balbiny Adamskiej.

– Zabieramy syna na komisariat – wyjaśnił Marcel. – Musimy z nim porozmawiać i wyjaśnić parę kwestii.

– Na komisariat? Przecież on nic nie zrobił!

– To się okaże. Mamy podejrzenie, że jest winny śmierci pani męża.

– Mój syn jest niewinny!

– Rozumiem, że to dla pani trudna sytuacja, ale mamy uzasadnione podejrzenia...

– Nie było go w domu, kiedy to się stało!

Sadowski wyprostował plecy i popatrzył na Adamską.

– Za dużo zbiegów okoliczności – odparł. – Gdy ktoś zabił pani męża, syna nie było w domu. Nie było go również, kiedy pod waszym płótem umierała Karina Cieślak. Alibi ma słabe. To, że spędzał czas u kolegi, nie brzmi przekonująco.

– Kolegę łatwo można przekupić – dodał Wolski. – Ale poprosić, żeby zeznawał na korzyść pani syna.

– Ale...

Przed domem rozległy się kroki. Po chwili w progu stanęła komisarz Rudnicka. Popatrzyła na zakutego w kajdanki Adamskiego, uśmiechnęła się do Marcela, po czym przeniosła wzrok na przerażoną Balbinę.

– Czemu go zakuliście? – spytała.

– Wybacz, Lena, zapomniałem powiedzieć ci o jednej bardzo ważnej rzeczy – tłumaczył się Dawid. – Wtedy już wczoraj dorwalibyśmy tego sukinsyna, a Jerzy Adamski pewnie by żył...

– Przerwał, zdając sobie sprawę, że nie powinien mówić tego przy Balbinie i Patryku.

– Okej. Powiesz mi później. I zdejmij chłopakowi te bransolety.

– Słucham?

– Założyłeś je nieodpowiedniej osobie.

– Co?

W dusznym korytarzu zapadła ciężka cisza.

Balbina odchrząknęła.

– To ja go zabiłam – wyznała. – To ja zabiłam Jerzego.

14

Adamska ukryła twarz w dłoniach. Trwała w tej pozycji kilka długich sekund, a potem położyła otwartą dłoń na stole i wbiła wzrok w podłogę, jakby nie miała śmiałości spojrzeć na syna.

Patryk palił papierosa za papierosem. W pomieszczeniu było duszno, dym gryzł w płuca i drażnił oczy. Rudnicka uchyliła okno. Balbina, ubrana jedynie w cienką bluzkę, aż się wzdrygnęła. Oddychała nierówno, dłonie jej drżały.

– Mamo? Nie mówiłaś poważnie, prawda? Nie zabiłaś ojca? Powiedz im, że tego nie zrobiłaś. – Patryk spojrział na policjantów. – Oni czekają na wyjaśnienia, słyszysz? Powiedz, że nie zabiłaś...

– Zrobiłam to.

– Mamo, przestań!

Rudnicka podeszła bliżej.

– Pani Balbino. Proszę powiedzieć, co się wydarzyło.

– Kiedyś kochałam męża, ale ta miłość już dawno straciła moc. Miałam dość poniżania... Coś we mnie pękło.

– To był wypadek? – zapytał Wolski.

Adamska oblizwała spierzchnięte wargi i podniosła wzrok.

– Nie – odparła. – Byłam świadoma swoich czynów.

– Przestań, do cholery! – Patryk ze złością zdusił niedopałek. – Jak możesz coś takiego mówić?!

Matka zdawała się nie zwracać na niego uwagi. Patrzyła prosto na policjantów.

– Kiedyś Jerzy był inny, ale z biegiem lat życie z nim stawało się coraz cięższe. Znosiłam jego obelgi, byłam na każde jego skinienie. Robiłam to dla syna, żeby w szkole albo na wsi nie wytykano go palcami. Nie odeszłam od Jerzego tylko z jego powodu. Ale wczoraj... powiedziałam sobie „dość”. Och, nie chciałam, żeby tak się stało!

Przerwała na chwilę, aby wydmuchać nos, po czym zgmiotła chusteczkę w kulkę i zamknęła ją w dłoni.

– Kiedy mój mąż rozmawiał z Kosikiem, odesłał mnie do domu jak jakiegoś psa – mówiła dalej. – Czekałam na niego. Chciałam, żebyśmy wreszcie szczerze porozmawiali. Musiałam go o coś zapytać. Była jedna rzecz, która nie dawała mi spokoju, ale gdy Jerzy wrócił do domu, wszystko potoczyło się zupełnie inaczej, niż planowałam. Wrzeszczał. Był wściekły, że dałam Kosikowi pieniądze. Wyzywał mnie od najgorszych. Zawsze zależało mu na pieniądzach, a wczoraj zobaczyłam w jego oczach coś... Wystraszyłam się. W jednej chwili upewniłam się co do swoich przypuszczeń. A kiedy mu o tym powiedziałam... – Balbina załamała ręce. – Wciąż nie mogę uwierzyć w to, co się stało.

– Pani mąż, Jerzy... – Rudnicka zawiesiła głos. – To on, prawda? On jest winien śmierci Kariny?

Adamska pokiwała głową.

– Kiedy zorientowała się pani, że to on?

– Zawsze wierzyłam mężowi. W naszej rodzinie to on miał decydujące zdanie, więc kiedy powiedział, żebym skłamała policji, posłuchałam. Rano kazał mi zeznać, że ja odkryłam ciało

tamtej dziewczyny.

– Nie wydawało się to pani podejrzanę?

– Wtedy nie. Byłam zdenerwowana. Zwłoki Cieślakówny tuż pod naszym płotem, policja... To wszystko mnie przytłoczyło. Dopiero potem zaczęłam się zastanawiać. Pytałam Jerzego, skąd wiedział o Karinie, ale on mnie zbywał. Wiedziałałam, że coś jest nie tak. Czułam to. Wiedział o zwłokach Kariny wcześniej. Skąd? Przecież poprzedniego dnia zalał się w trupa. Gdybym go nie obudziła, spałby do południa. Wygoniłam go na dwór, żeby nakarmił kury, lecz zanim wyszedł, powiedział, że za naszym płotem są zwłoki. I kazał mi trzymać gębę na kłódkę. Wniosek jest jeden, prawda? To on musiał ją zabić.

Patryk poderwał się z krzesła.

– Nie. To nieprawda. Ojciec był tam wcześniej – wyznał. – W nocy. Ze mną.

Patrzył na matkę ze smutkiem. Spodziewał się, że Balbina będzie zaskoczona, lecz ona tylko pokiwała głową.

– Wiem, synku – odparła. – Nie jestem tak naiwna, jak sądzisz.

– Skąd mama wie?

– Słyszałam, że spiskujecie za moimi plecami. Czułam, że coś przede mną ukrywacie. Kiedy znaleziono ciało Kariny, poszłam cię obudzić, ale twój pokój był pusty. Przestraszyłam się, że coś się stało, że tobie też grozi niebezpieczeństwo. Gdy powiedziałam ojcu o swych obawach, zbył mnie. Wydawał się spokojny, jakby wiedział, że nic ci nie jest.

– Byliście przy ciele Kariny tamtej nocy? – zapytała komisarz nieco zbity z tropu.

– Mówiłem o tym panu Sadowskiemu. – Patryk sięgnął po papierosa i widząc pytającą minę komisarz Rudnickiej, opowiedział, jak znalazł Karinę i powiadomił ojca. – On chciał ją zakopać – dodał. – Nie mogłem na to pozwolić. Nie umiałem... Karina... – Potarł oczy i wziął głęboki wdech. – Ojciec był pewien, że policja oskarży nas o morderstwo, dlatego usiłował pozbyć się ciała.

– Ale nie dał rady.

W oczach Patryka pojawiły się łzy. Starł je ze złością i zapalił kolejnego papierosa.

– Ojcu wcale nie obchodziło wasze dobro – powiedziała Rudnicka. – Chciał chronić siebie, mam rację, pani Balbino?

– Zawsze dbał tylko o własny tyłek. Kiedy wczorajszego wieczora powiedziałam mu, że znam prawdę, wie pani, jakie było jego pierwsze pytanie?

– Tak?

– Czy poszłam już na policję. Nie interesował go los tamtej dziewczyny, nie obchodziło go, co czują jej rodzice. Obawiał się jedynie konsekwencji.

– Ale przecież wypuściliście go z aresztu – zauważył Patryk.

– To był błąd – przyznała Rudnicka.

– Wtedy poczuł się bezkarny. – Balbina westchnęła ciężko. – Śmiał się, że drugi raz go nie zamkniecie. O wszystkim mi opowiedział, choć ciężko nazwać to rozmową. Krzyczał, że upił się na festynie, a ta głupia cipa sama się napatoczyła. Podobno stała z jakimś chłopakiem, ale zawołał go starszy facet i tamten zostawił Karinę samą. Była pijana i zamiast iść w stronę wsi, do domu, skręciła w naszą uliczkę. A on poszedł za nią...

– Nie dam rady tego słuchać... Ojciec nie mógł...

– Synku...

– On... nie...

– Wiecie państwo. – Balbina zwróciła się do policjantów. – Ja i mój mąż od dawna ze sobą nie sypialiśmy. Myślałam, że Jerzy już nie ma takiej potrzeby, ale jakiś czas temu odkryłam różne świństwa, jakie ogląda w internecie. To go nie usprawiedliwia. Oczywiście, że

nie. Okazał się potworem. Karina opierała się, ale była zbyt pijana, nie miała siły. Jerzy powiedział, że łatwo poszło, ale...

– Tak, pani Balbino? – Rudnicka przysunęła się bliżej.
– Mówił, że chciał dać jej nauczkę, że lekceważyła Patryka i należała jej się kara. Chciał jej udowodnić, że nie można tak traktować mężczyzn z rodziny Adamskich, tylko...

– Tak?
– Nie dał rady. Nie był młodzieniaszkiem, a do tego wypił dużo alkoholu.
– Czyli... – Patryk mówił niemal szeptem. – Kiedy poszedł tam ze mną...
– Myślę, że twój ojciec nie zdawał sobie sprawy z tego, co zrobił – powiedziała komisarz.
– Gdy dotarło do niego, że Karina nie żyje, postanowił udawać, że o niczym nie wie.

– Jerzy nie wiedział – potwierdziła Balbina. – Gdy Patryk zawołał go w nocy na dwór, uzmysłowił sobie, że zostawił Karinę na śmierć. Mówił, że żyła, kiedy odchodził.

– Dlatego próbował zakopać ciało – domyślił się Marcel. – Żeby pozbyć się dowodów.
– On chciał uciec. Dlatego tak się wściekł o pieniądze, które dałam Kosikowi. A ja chciałam go ratować... Nie mieliśmy wielu oszczędności, ale w ostatnim czasie udało mi się trochę odłożyć. Jerzy wiedział o tych pieniądzach.

Rudnicka popatrzyła na Balbinę i pomyślała, że jej współczuje. W ciągu kilku dni życie tej kobiety wywróciło się do góry nogami.

– Byliśmy w kuchni i wziął ze stołu nóż – powiedziała Adamska. – Zapytał, co zrobię. Wiem, że opowiedział mi to wszystko tylko dlatego, że mnie również zamierzał się pozbyć. Wystraszył się, że pójde na policję.

– A planowała pani?
– Nie wiem. Nie wiedziałam, co począć. Jerzy również się wahał. Wiecie państwo, jakkolwiek to zabrzmiało, on nie był mordercą. Nie chciał robić mi krzywdy. Ale potem wszystko potoczyło się bardzo szybko. Klóciliśmy się, wsunął nóż do tylnej kieszeni spodni i mnie uderzył. Niezbyt mocno. Mówił, że mnie nienawidzi, że zmarnowałam mu życie, że się mną brzydzi. Potem uderzył mnie znowu, a ja nie wytrzymałam... – Balbina rozplakała się. W pomieszczeniu zapadło milczenie. Nikt nie miał odwagi się odezwać. – Złapałam nóż z kuchennego stojaka i...

– Nie musi pani kończyć – powiedział Wolski.
– Jerzy się tego nie spodziewał. Zgiął się w pół, krzyknął jeszcze „Ty suko!” i zrobił parę kroków, a potem upadł w korytarzu. Sparaliżowało mnie. Stałam i patrzyłam, a on umierał. Wyjęłam nóż z jego kieszeni i odłożyłam na miejsce.

– Nie wezwwała pani pomocy od razu.
– Siedziałam w kuchni i płakałam. Zabiłam własnego męża. Ale po tym, co zrobił tamtej dziewczynie, nie zasługiwał na to, żeby żyć.

15

Trzy godziny później, kiedy już po wsi rozniosła się wieść o tym, że Balbina Adamska zabiła własnego męża, ksiądz Jacek siedział przy stole w jadalni z kubkiem miodowej herbaty. Chciał się pomodlić, ale nie miał odwagi zwrócić się do Najwyższego. Tyle złego wydarzyło się w ostatnich dniach...

Usłyszał kroki na ganku. Po chwili w jadalni pojawiła się Arkadia. Stała w progu i spojrzała na wikarego niepewnym wzrokiem.

– Księżę Jacku, byłam u Natalii – powiedziała, odwieszając płaszcz.
– Jak ona się czuje?
– Lepiej. Nie potrafi przypomnieć sobie ostatnich dni, ale trzyma się nieźle.
Coś w głosie gosposi zaniepokoiło Jacka.

– Arkadio? – spytał, ale unikała jego wzroku. Przeszła do kuchni, nalała sobie herbaty z imbryczka i upiła łyk. – Mam nadzieję, że nie popełniłaś żadnego głupstwa?

Wprawdzie właśnie w tym celu poszła do szpitala, ale w drodze powrotnej na plebanię uzmysłowiła sobie, jak nierozsądnie postąpiła. Przez cały czas ufała proboszczowi i chciała chronić dobre imię Kościoła. Nawet za cenę ludzkiego życia.

– Arkadio?

Dopiero teraz spojrzała na księdza. Jej oczy przepelnione były trwogą.

– Zapłacę za mój grzech, księże Jacku – powiedziała. – Zasluguję na karę i jestem pewna, że w swoim czasie Bóg mnie pokarze. Powinam pójść na policję i opowiedzieć im o wszystkim.

– Wszyscy się pogubiliśmy.

– Nie chciałam, żeby ktokolwiek dowiedział się o tym, co zrobił ksiądz proboszcz. – Arkadia przeszła parę kroków i usiadła naprzeciwko wikarego. Dłonie splotła na kolanach. – Ksiądz Leopold to dobry człowiek. Wiem o tym, bo pracuję u niego tyle lat. On naprawdę nie zamierzał nikogo skrzywdzić, a to, co wydarzyło się tamtej nocy... kiedy zginęli rodzice Natalii... Jestem pewna, że ksiądz proboszcz bardzo tego żałuje.

– Chciałaś dobrze, Arkadio, ale...

– Nie w ten sposób.

Jacek pokiwał głową. Po części rozumiał motywację Arkadii. Plebania była dla niej wszystkim i obawiała się, że jeśli proboszcz Leopold pójdzie do więzienia, jej życie legnie w gruzach.

– To, co ksiądz proboszcz zrobił Natalii, nie mieści mi się w głowie – szepnęła i załkała cicho. – Biedna dziewczyna. Przeżyła śmierć obojga rodziców, a teraz coś takiego.

– W życiu każdego człowieka nadejdzie chwila, kiedy zapłaci za swoje błędy.

Pomyślał o Karinie i o decyzji, jaką podjął. To dla niej chciał zrzucić sutannę i rozpocząć świeckie życie. Teraz Kariny już nie ma, ale pragnienie, by odejść z Kościoła, stało się silniejsze. Jego żarliwe modlitwy i błagania o przywrócenie wiary nie przyniosły efektu. Może właśnie tak miało być. Może Bóg daje mu wolną drogę.

– Masz rację, Jacku – odezwała się gosposia. – Również i ja zapłacę za swoje błędy, ale ty nie powinieneś się zadręczać.

– Co Arkadia ma na myśli?

– Wiem, co księdzu chodzi po głowie. Wie ksiądz, kiedyś myślałam, że księdza powołanie jest tak mocne, że daje księdzu siłę na modlitwę i zaangażowanie w życie Kościoła. Ale myliłam się, prawda?

Jacek uznał, że nie ma sensu kłamać.

– Myliłaś się, Arkadio.

– Jeśli czujesz, że powinieneś porzucić posługę, zrób to.

– Tak Arkadia myśli? Sam nie wiem...

– Zrób to, zanim będzie za późno. I bez sutanny możesz być dobrym katolikiem.

Jej słowa sprawiły, że poczuł się silniejszy. Potrzebował wsparcia, ale nigdy nie przypuszczał, że dostanie je od Arkadii Ząbek. Wyciągnął do niej rękę. Podała mu dłoń, a on zamknął ją w swojej.

– Dziękuję – szepnęła.

Rozległo się pukanie do drzwi. Arkadia i Jacek zdziwieni spojrzeli po sobie. Nie spodziewali się gości.

– Otworzę – powiedziała gosposia i po krótkiej chwili wprowadziła do jadalni mężczyznę. Henryk Cieślak przyniósł ze sobą zapach wiatru. – Zostawię panów. – Arkadia uśmiechnęła się blado i zniknęła w swoim pokoju.

– Pochwalony – rzekł Cieślak, trzymając dłonie w kieszeniach kurtki.
– Dzień dobry, panie Henryku. Napije się pan czegoś?
– Dziękuję. Przyszedłem tylko na chwilę. Jadę na komisariat.
– Tak. – Jacek spuścił wzrok. – Słyszałem, że policja znalazła sprawcę.
– Starego Adamskiego. – Henryk prychnął z pogardą, jakby chciał dać do zrozumienia, że od początku wiedział, kto jest odpowiedzialny za śmierć jego córki. – Ale przyszedłem w innej sprawie.

– Rozumiem.

Mężczyźni przez chwilę patrzyli na siebie. Jacek żałował, że nie wstał od stołu. Henryk górował nad nim i wikary nie czuł się z tym komfortowo. Cieślak wyjął z kieszeni kurtki szkicownik i rzucił na stół.

Jacek przełknął ślinę. Znał ten zeszyt.

– Wie ksiądz, co to jest? – spytał Henryk.

– Wiem.

– I wie ksiądz, co jest w środku?

Wikary skinął głową. Nie miał odwagi, by spojrzeć mężczyźnie w oczy.

– Jest tam księdza portret – wyjaśnił Cieślak. – Niejeden.

– Mogę to wyjaśnić.

– Nie musi ksiądz.

Jacek zmarszczył brwi i spojrzał na Henryka, który wykrzywił usta w ponurym grymasie.

– To są sprawy mojej córki – powiedział.

– Myślałem, że jest pan wściekły.

– To były wasze sprawy i waszymi powinny pozostać.

– Nie rozumiem.

– Moja żona o niczym nie wie.

– Ja i pańska córka...

Henryk uniósł dłoń.

– Nie byłem wściekły. Byłem wstrząśnięty tym, że tak mało wiedziałem o własnym dziecku. Ale ufałem Karinie i wiem, że nie zrobiłaby czegoś, czego później by żałowała. Musiała być księdza pewna.

– Kochałem ją.

– Odwzajemniała to uczucie. – Cieślak przesunął szkicownik po stole. – Dlatego powinienesz to wziąć.

Wikary nie zwrócił uwagi na nagłe przejście na ty. Pustym wzrokiem wpatrywał się w zeszyt.

– Nie mogę.

– Rysowała dla ciebie. Powinienesz to zatrzymać.

Jacek podniósł wzrok na Henryka.

– Dziękuję.

– Będę się zbierał. Czekaają na mnie na komisariacie.

– Panie Henryku?

– Tak?

Wiary wstał, zawahał się i podszedł do Cieślaka.

– Nie chciałem jej wykorzystać – rzekł. – Naprawdę ją kochałem. Byłem gotów odejść z Kościoła.

– Wiem. Tak jak mówiłem, moja córka była mądrą kobietą. Nie dałaby wciskać sobie kitów.

– O tak. Wyczuwała kłamstwo na kilometr.
Na wspomnienie Kariny obaj się uśmiechnęli. Uścisnęli sobie dłonie.
– Powodzenia, Jacku. – Cieślak ruszył w kierunku drzwi. – Mam nadzieję, że znajdziesz własną drogę.

16

Komendant uważnie wpatrywał się w siedzącego po drugiej stronie biurka Marcela Wolskiego.

– Dlaczego o to prosisz? – zapytał.
– Jeżeli to problem...
– Nie – przerwał mu Dziedzic. – Chciałbym wiedzieć, co skłoniło cię do podjęcia takiej decyzji.

Jeszcze pół godziny temu Marcel nie potrafiłby odpowiedzieć. Sam nie był przekonany do tego pomysłu, lecz teraz, siedząc naprzeciwko komendanta, wiedział, że to jedyna droga, by wyjść na prostą i odzyskać równowagę psychiczną. Dlatego poprosił Dziedzica o pracę w białobrzeskim komisariacie.

– Marcel, wszystko u ciebie w porządku? – spytał komendant.
Wolski podniósł wzrok. Nic nie było w porządku. Jego ojciec zginął, matka odchodzi od zmysłów, a kobieta, która była dla niego ważna, okazała się mieć jeszcze bardziej spaprane życie, niż dotychczas sądził.
– Tak – odparł. – Wszystko dobrze, szefie.
– Muszę przyznać, że zaskoczyła mnie twoja prośba.
– Liczę, że rozpatrzy ją pan pozytywnie.
– Bardzo mi miło, że chcesz u nas pracować, ale... chłopaku, w Łodzi mógłbyś zrobić karierę, coś osiągnąć, a u nas? Sam wiesz, jak to wygląda. Sprawa Cieślakówny to wyjątek. Ty jesteś młody, potrzebujesz wyzwania...

– W tym sęk, szefie, że chyba już nie potrzebuję.
Komendant opadł na oparcie fotela i z namysłem potarł podbródek. Trudno było mu pojąć decyzję Marcela Wolskiego. Zazwyczaj spotykał się z odwrotną sytuacją. Młodzi policjanci prosili o przeniesienie, słali pisma i wyjeżdżali do większych miast. Jeszcze żaden nie wystąpił o przydział do Białych Brzegów.

– Przemyśl to jeszcze.
– Gdybym nie był pewien, nie byłoby mnie tutaj. – Wolski wyjął paczkę papierosów i miętosił ją w dłoniach. – Wie pan o moim ojcu. Zresztą wszyscy wiedzą... Po prostu... Chodzi o to, że wystarczy mi już wyzwania. Potrzebuję spokoju. Spokojnej służby i spokojnego życia, tylko tyle.

– Myślisz, że w Białych Brzegach odnajdziesz równowagę?
– Nie wiem, ale jeśli nie spróbuję, nigdy się tego nie dowiem.
– Niczego nie mogę ci obiecać.
– Wiem.
– Spróbuję dowiedzieć się czegoś na górze, ty wystąpisz o przeniesienie, ale decyzja nie zależy tylko ode mnie.
– Oczywiście.
– I mam nadzieję, że jesteś naprawdę pewien, że tego chcesz.
– Jak niczego innego, szefie.

Marcel pomyślał o Rudnickiej, o tym, że ona prędzej czy później wróci do Łodzi, a on zostanie tutaj. Wiedział, że Lenie nie spodoba się jego decyzja i z pewnością zrobi wszystko, by

odwieść go od pomysłu pozostania na wsi, dlatego postanowił jej o niczym nie mówić. Przynajmniej na razie. Pożegnał się z komendantem i ruszył pustym korytarzem, a wtedy jak spod ziemi wyrosła Lena Rudnicka. Ze skrzyżowanymi ramionami na piersi zastąpiła mu drogę.

– Byłeś u starego.

Patrzyła podejrzliwie, a on nie był najlepszym kłamcą. Odwrócił wzrok, udając, że szuka zapalniczki.

– Byłem – przyznał od niechcienia.

– Oficjalne zebranie mamy za sobą, więc po co do niego poszedłeś?

– Komendant chciał ze mną porozmawiać.

– Niby o czym?

– Och, Lena, daj spokój. Czy to przesłuchanie?

– Mój policyjny nos wietrzy ściemę, więc lepiej mów prawdę.

Marcel wsunął dłonie w kieszenie spodni i się uśmiechnął.

– Ty też nie mówisz mi wszystkiego – mruknął.

– Nie podoba mi się twój ton.

– Daj spokój. – Objął ją ramieniem. – Co z Damianem?

– Zmieniasz temat.

– Nauczyłem się tego od ciebie.

Rudnicka była pewna, że Wolski coś ukrywa. Gdyby go przycisnęła, w końcu powiedziałaby jej o co chodzi, ale postanowiła odpuścić. Każdy ma swoje tajemnice. Wyszli na zewnątrz. Lena zapięła kurtkę pod szyję i zapaliła papierosa, po czym wciągnęła dym do płuc.

– Dawid wypuścił Damiana. Kiedy Czajka porównał materiał biologiczny i okazało się, że krew na kurtce Kariny należała nie tylko do niej, ale również do Jerzego Adamskiego. Przypuszczam, że skaleczył się kołkiem, którym zgwałcił Karinę.

– Gdyby nie kilka zbiegów okoliczności, wsadzilibyśmy niewinnego człowieka do więzienia.

– Damian sam nie był pewien, czy zrobił Karinie krzywdę.

– To była niepotrzebna śmierć. – Marcel pokręcił głową i zapalił papierosa. – Karina wyszła na spotkanie z koleżankami, chciała tylko miło spędzić czas...

– Natalia wróciła do domu, a Baśka i Karina zadzwoniły po Tomasza. Chciały jechać na imprezę, ale przeszkodził im Dawid, który się upił i potrzebował transportu. Zanim Tomasz pozbiarał Sadowskiego, dziewczynom minęła ochota na zabawę, wróciły do wsi i się rozstały. Gdyby Tomasz był bardziej roztropny, toby podwiózł Karinę do domu i dziewczyna by żyła.

– Dlatego Tomasz i Barbara kłamali.

– Obawiali się, że będą podejrzani o zabicie koleżanki – przyznała Lena. – Ale nie tylko Mielcarzowie mieli szansę zapobiec śmierci Kariny.

– Patryk i Damian.

– Oboje z nią rozmawiali. Mogli zaproponować, że odprowadzą ją do domu.

– Patryk miał taki pomysł.

– Jasne, ale pijana dziewczyna kazała mu się gonić, a on zamiast jej pomóc, poszedł do kumpli.

– Czyli jeśli kobieta mówi, że cię nie chce, myśli coś odwrotnego?

– Nie odnoś tego do wszystkich przedstawicielek płci pięknej.

– Może tylko do jednej.

Rudnicka wyrzuciła niedopałek i przygniotła go butem. Podeszła do Wolskiego, zadarła lekko głowę, by spojrzeć mu w oczy.

– Nie zadałeś mi najważniejszego pytania – powiedziała.

– Kiedy na ciebie patrzę, przychodzą mi do głowy rzeczy, których wolałbym nie wypowiadać na głos.

– O matko.

– Zarumieniłaś się.

– Wcale nie.

– Lena Rudnicka spiekła raka.

– Pieprz się, Wolski.

Prawda była taka, że miał rację.

– No dobrze, więc zapytam – odezwał się Marcel. – Jak doszłaś do tego, że to Jerzy jest winien śmierci Kariny?

– Odpowiedź była na wyciągnięcie ręki.

– Powiesz sama, czy mam zgadywać?

– Buty.

– Buty...

– Pamiętasz ślady wokół ciała? Założyliśmy, że sprawca miał na nogach trapery. Ślady nie były wyraźne, ale na to wskazywało.

– Ale przy ciele były dwie osoby: Jerzy i Patryk. Dlaczego nie było śladów Patryka?

– Chłopak mówił, że nie próbował ratować Kariny, ponieważ wiedział, że dziewczyna nie żyje. Nawet nie podszedł do ciała.

– Czyli sądzisz, że ślady Patryka zmieszały się potem ze śladami policjantów?

– I do tego zasypał je śnieg.

– A ślady Jerzego?

– Przypuszczaliśmy, że ksiądz był obecny na miejscu zbrodni, bo również nosił takie buty. Ale to nie był on, tylko Jerzy Adamski. Miał na nogach takie trapery, kiedy umarł.

– Nie zwróciłem uwagi.

– No właśnie. – Trąciła go łokciem. – Dlatego stanowimy niezły zespół. Dopełniamy się.

Marcel przełknął ślinę. Czyżby Lena odgadła powód jego wizyty u komendanta Dziedzica?

17. TYDZIEŃ PÓŹNIEJ

Zaczynało się przejaśniać, kiedy Marcel Wolski zaparkował jaguara przed bramą osiedla loftów przy ulicy Tymienieckiego w Łodzi. Zaciągnął ręczny, zgasił silnik, wyciągnął kluczyki ze stacyjki i pomachał nimi przed nosem Leny. Ze złością mu je wyrwała i wrzuciła do kieszeni kurtki.

– Jak minęła podróż? – spytał Wolski. – Ja jestem zachwycony.

– Wal się.

Zachichotał jak mały chłopiec.

– Przegrałaś zakład – powiedział. – Dobrze wiedziałaś, co mogę wygrać.

– Ciesz się, bo już nigdy nie będziesz miał okazji jeździć moim wozem.

Rudnicka denerwowała się niczym małe dziecko, któremu zabrano ulubioną zabawkę. Lubiła swój samochód i nienawidziła jeździć na miejscu pasażera. Wolski o tym wiedział, dlatego tak cieszyła go wygrana zakładu.

Lena trzasnęła drzwiami.

– A ty dokąd? – zapytała.

– Idę z tobą.

– Nie. Inaczej się umawialiśmy.

Powiódł wzrokiem po luksusowych budynkach dawnej przędzalni. Nie miał zamiaru

puszczać jej samej do dawnego mieszkania. Nie kiedy tuż za progiem mógł czekać na nią Nawrocki. Marcel obiecał Lenie, że pomoże jej wydostać się z tego bagna, i zamierzał dotrzymać słowa. Nie wybaczyłby sobie, gdyby coś jej się stało.

– Nie pozbędziesz się mnie.

– Marcel, mówię poważnie.

– Ja również. Myślisz, że jestem idiotą, który puści cię samą prosto w łapy tego sukinsyna? Mowy nie ma.

Lena zagryzła wargi. To był zły pomysł. Nie miała pojęcia, dlaczego w ogóle przyjęła propozycję Wolskiego. Po zamknięciu śledztwa Marcel nie mówił o niczym innym. Codziennie nalegał, by zabrała rzeczy od Krzysztofa. Wprawdzie jeszcze nie była na to gotowa, ale presja wywierana przez Marcela sprawiła, że właśnie stała tutaj, nie mogąc zrobić kroku naprzód.

Bała się.

– Lena?

– Wszystko w porządku.

– Nie kłam.

– Pójdę tam sama. Muszę z nim porozmawiać.

Wolski głośno wypuścił powietrze z płuc.

– Nie masz z nim o czym rozmawiać.

– Mylisz się.

– Przerabialiśmy już ten temat.

W ostatnich dniach mieli sporo wolnego czasu, który poświęcili na rozmowy. Choć oboje trzymali się wyznaczonej granicy, zbliżyli się do siebie. Rudnicka nie wiedziała, co o tym myśleć, ale nie potrafiła tego powstrzymać. Zależało jej na Wolskim, chciała, żeby był blisko, a jednocześnie bała się, że go skrzywdzi. Co do jednego nie miała wątpliwości – nie zasługiwała na kogoś takiego jak on.

Pociągnął ją za rękę. Zrobiła kilka kroków i przystanęła. Popatrzyła na budynek. Pomyślała, że być może już nigdy więcej nie przekroczy bram tego osiedla. Tak byłoby najlepiej, ale wiedziała, że to wcale to nie będzie proste. Znała swojego męża wystarczająco dobrze, by zdawać sobie sprawę z tego, że nie odpuści. Prawdopodobnie nie spodziewał się, że Lena kiedykolwiek od niego odejdzie, a ona bez pomocy Wolskiego pewnie by się nie odważyła. I dlatego właśnie na nim może skupić się gniew prokuratora.

– Chodźmy – powiedział. – Spakujesz rzeczy, a ja przypilnuję, żeby ten bydlak dał ci spokój.

– A co potem?

– Słucham?

– Co będzie potem?

– Wrócimy do Białych Brzegów i...

– Nie o to pytam, Marcel.

Wolski popatrzył na nią z niepokojem. On już wiedział, co będzie potem, ale nie chciał jej wystraszyć. Nie chciał, by teraz odpuściła. Musiał zrobić wszystko, by zrobiła pierwszy krok i zabrała rzeczy ze starego mieszkania. A potem wszystko się ułoży. Być może był naiwny, ale tak właśnie myślał.

– Nie jesteś tego pewna? – zapytał.

Przez chwilę zawiesiła wzrok w przestrzeni za jego plecami, jakby starała się powściągnąć emocje.

– Boję się o ciebie – wyznała w końcu.

– O mnie?

– Boję się, że przez to wszystko Krzysztof będzie się na tobie mścił, że zrobi ci krzywdę. Tego boję się najbardziej.

– Nic mi nie będzie. – Podeszedł bliżej i złapał ją za ramiona. – Potrafię o siebie zadbać.

– Czyżby?

– A jak nie, to po prostu dam mu w pysk.

Kąciki ust jej drgnęły, choć nie było jej do śmiechu.

– Okej – mruknęła. – Chodźmy. Miejmy to za sobą.

Kiedy wchodzili po schodach, klucze od mieszkania coraz bardziej ciążyły Lenie w kieszeni kurtki. Z wahaniem zatrzymała się przed drzwiami. Liczyła na to, że w mieszkaniu nikogo nie zastanie. Zasuwy szcęknięły, przełknęła ślinę, spojrzała na Wolskiego, który kiwnął głową, dodając jej otuchy.

Wewnątrz unosił się drażniący zapach odświeżacza powietrza. Ta woń zawsze będzie jej się kojarzyła z Krzysztofem, który kilka razy dziennie spryskiwał mieszkanie. Twierdził, że świeży zapach działa kojąco na jego nerwy, ale Lena miała co do tego wątpliwości.

Przeszła szerokim korytarzem. Na ścianach wisiały abstrakcyjne obrazy. Krzysztof je uwielbiał, ale jej zdaniem były paskudne. Nie miała pojęcia, dlaczego komukolwiek mogą się one podobać.

Czuła, że coś jest nie w porządku. Intuicja podpowiadała jej, by wzięła nogi za pas, lecz ona szła naprzód. Stała w progu salonu połączonego z kuchnią i zamarła. Oblała się zimnym potem. Miała wrażenie, że serce zaraz wyskoczy jej z piersi. Najchętniej chwyciłaby Wolskiego za rękę i uciekła, ale nie mogła okazać słabości. Wzięła głęboki oddech i podniosła wyżej głowę. Pora zrobić to, co wychodziło jej najlepiej. Pora wyłączyć emocje.

– Kochanie! – Krzysztof odstawił kieliszek i dźwignął się z fotela. Miał na sobie jasnoniebieską koszulę z plamką przy mankiecie, co stanowiło dla Leny sygnał, że mąż wpadł w alkoholowy ciąg. Zaniedbany strój był tego pierwszą oznaką. – Co tutaj robisz, kochanie? Nie spodziewałem się ciebie.

Pozornie uprzejmy ton jego głosu sprawił, że Rudnickiej zrobiło się niedobrze.

– Och, wybacz. Nie uprzedziłem cię, że mamy gościa – ciągnął Krzysztof. – Ale nie miałam pojęcia, że dzisiaj przyjedziesz!

Mężczyzna siedzący na fotelu naprzeciwko Nawrockiego odchrząknął i wstał. Kiedy widziała go ostatni raz, był cięższy o jakieś trzydzieści kilogramów i miał włosy na głowie. Teraz mógł ważyć mniej więcej tyle, co ona; miał zapadnięte policzki, a jego łysa czaszka pokryta była siatką plam wątrobowych. Poprawił okrągłe druczane okulary na nosie i zrobił krok w stronę Leny.

Oto on. Seweryn Zalewski. Ojciec Leny Rudnickiej, który przed dwudziestoma pięcioma laty zamordował matkę swoich dzieci.

– Dzień dobry, córeczko.

Nie odpowiedziała. Inaczej wyobrażała sobie to spotkanie. Przez lata wałkowała w głowie, jak się zachowa, gdy spotka ojca. Rozważała wiele wariantów, zastanawiała się, czy najpierw z nim porozmawiać, czy od razu zakończyć sprawę. Tyle że w każdej rozważanej opcji miała przy sobie służbowego glocka, z którego zamierzała strzelić mu w głowę.

Chciała go zabić, a dziś nie wzięła ze sobą broni.

– Co on tu robi? – zwróciła się do Krzysztofa.

– Nie bądź na mnie zła, kochanie. Pan Seweryn przyszedł tutaj, ponieważ sądził, że zastanie cię w domu. Było mu bardzo przykro, kiedy okazało się, że chwilowo mieszkasz gdzie indziej, więc zaprosiłem go na lampkę wina. Odmówił, ale nie pogardził herbatą z cytryną.

Rudnicka przeniosła wzrok na ojca. Jej twarz pozbawiona była emocji, a głos zimny jak

lód.

– Skąd miałeś mój adres? – zapytała.

– Szukałem kontaktu do ciebie...

– Nie odpisywałam na twoje zasrane listy z więzienia, więc mogłeś się domyślić, że nie chcę mieć z tobą do czynienia.

– Masz rację. Przepraszam, że przyszedłem. Chciałbym porozmawiać z tobą na osobności. Mam ci wiele do opowiedzenia, córciu, nawet nie wiesz, jak bardzo za tobą...

– Skąd miałeś adres?

Zalewski wyprostował plecy.

– Twoja siostra mi dała – odparł.

– Wiedziałam, że ta głupia cipa nie potrafi trzymać języka za zębami.

– Chciała dobrze. Byłem u niej parę dni temu. Długo rozmawialiśmy. Minęło tyle lat...

– Bo się, kurwa, zaraz wzruszę.

Atmosfera w pokoju była tak gęsta, że można by kroić ją nożem. Rudnicka czuła za sobą oddech Marcela. Jego obecność dodawała jej sił.

– To jak? – Nawrocki rozłożył dłonie. – Może usiądziemy i porozmawiamy?

– Zamknij się, Krzysiek! – warknęła Rudnicka.

– Widzi pan. Pańska córka już dawno przestała być małą, niewinną dziewczynką. Zrobiła się strasznie wulgarna. Śmiem przypuszczać, że to sprawka tego młodzieńca za jej plecami.

– Powiedziałam, żebyś się zamknął.

– Nie chcę się kłócić – odezwał się Seweryn. – Jeśli to nie najlepszy moment, przyjdę innym razem.

– Nie będzie innego razu.

– Madziu, wiem, że...

– Nie nazywaj mnie tak.

Kiedy była małą dziewczynką, ojciec zwracał się do niej w ten sposób. Znienawidziła tego człowieka i zabroniła wszystkim używania jej pełnego imienia.

Seweryn pokiwał głową.

– Zmieniłaś nazwisko na panięskie mamy – powiedział. – Twoja siostra o wszystkim mi opowiedziała. Wiem, że masz do mnie wielki żal, ale zapewniam cię, że jeśli zgodzisz się ze mną porozmawiać, wszystko ci wyjaśnię. To wcale nie jest tak, jak myślisz.

– A czy moja kochana siostra mówiła ci, że jedyne, o czym marzę, to wpakowanie ci kulki prosto w łeb?

– Masz prawo mnie nienawidzić.

– Och, dziękuję za pozwolenie. A teraz się wynoś z mojego domu.

Krzysztof gwizdnął.

– Zaproponowałem panu Sewerynowi, że może zatrzymać się tu na parę dni – powiedział.

– Dopóki nie znajdzie pracy i nie wynajmie mieszkania.

– To prawda. Krzysztof był taki miły, że zgodził się mnie przygarnąć. Mógłbym zatrzymać się w naszym domu, ale wolałbym być bliżej centrum. Jeśli ci to przeszkadza, już mnie tu nie ma.

Rudnicka miała wrażenie, że mimowolnie bierze udział w jakiejś drugorzędnej komedii. To nie mogło dziać się naprawdę.

– Poza tym chyba to już nie jest twój dom, kochanie – ciągnął Krzysztof. – No? Po co dzisiaj przyjechałaś? Bo chyba nie na spotkanie z dawno niewidzianym tatusiem?

Wolski, który z bijącym sercem, przyglądał się całej sytuacji, zrobił krok w stronę Leny. Gdyby wiedział, że wizyta zakończy się w ten sposób, zrobiłby wszystko, by Lena nie

przyjechała do Łodzi. Ale nie mógł tego przewidzieć.

– Marcel, zabierzesz z sypialni moje rzeczy? – zapytała, nie spuszczać wzroku z ojca. – Poczekam na zewnątrz.

– Jasne.

Wyszła, a Marcel przez kilka długich sekund stał w bezruchu. Czuł, że powinien coś powiedzieć, ale nic nie przychodziło mu do głowy, więc ruszył do sypialni Leny. Ściągnął z szafy walizkę i wrzucił do niej ubrania, z komody zgarnął kosmetyki, upchnął je i zasunął walizkę. Już miał skierować się do wyjścia, kiedy zatrzymał go głos Krzysztofa, dobiegający z salonu.

– To jeszcze nie koniec!

Wolski cofnął się, odstawił walizkę na bok i omiótł wzrokiem pokój. Seweryn stał odwrócony tyłem i wpatrywał się w widok za oknem. Krzysztof uśmiechnął się ponuro, napotkawszy wzrok Marcela.

– No co? – spytał. – Myślisz, że wygrałeś?

– Jeśli sądzisz, że to jakaś pieprzona gra, grubo się, kurwa, mylisz.

– O! Mówiłem! – Krzysztof zwrócił się do Seweryna. – Ten chłopak ma zły wpływ na pańską córkę! Jakiegoż to słownictwa używa, proszę posłuchać! – Upił łyk wina, wstał i podszedł do Wolskiego. Ich twarze dzieliły centymetry. – Zadowolony jesteś z siebie? Cieszysz się, że rozbijasz małżeństwo?

– Nie bądź śmieszny.

– Ona do mnie wróci. Prędzej, niż myślisz.

– Nie chce mi się z tobą gadać.

Chwycił walizkę, a wychodząc, napotkał wzrok Seweryna. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że ojciec Leny posłał mu porozumiewawcze spojrzenie.

18

Lena czekała oparta o maskę samochodu. I choć z jej twarzy trudno było cokolwiek wyczytać, zdradzał ją sposób, w jaki paliła papierosa. Zaciągała się głęboko i nerwowym ruchem strząsała popiół na ziemię.

Wolski bez słowa schował walizkę do bagażnika i stanął naprzeciw Leny. Otwartą dłonią przejechał po twarzy, jakby szukał odpowiednich słów. Ale w takiej sytuacji nie było odpowiednich słów. Chociaż prędzej czy później ojciec Leny znalazłby ją w Białych Brzegach, Marcel czuł się winny, że ich spotkanie nastąpiło dzisiaj. To miał być ich wspólny dzień. Na wieczór zaplanował kolację, kupił szampana, mieli świętować jej pierwszy krok do wolności.

Ale los miał wobec nich inne plany.

– To moja wina – powiedział Marcel. – To ja naciskałem, żebyśmy przyjechali do Łodzi.

Promienie zimowego słońca padały na ich twarze. Marcel sprawiał wrażenie szczerze zaniepokojonego, ale ona nie miała do niego żalu. Jej głowę zaprzętało coś zupełnie innego.

– Naprawdę nie dasz mu nawet jednej szansy? – zapytał.

– Szansy na co?

– Na rozmowę.

– Uważasz, że mam z nim o czym rozmawiać?

– Powinnaś dać mu szansę, żeby mógł się wytłumaczyć.

Oczy Leny zapłonęły gniewem.

– Wytłumaczyć? – spytała wyzywająco. – Mam dać mu szansę, by mógł mi wytłumaczyć, dlaczego zabił moją matkę? Marcel, czy ty siebie słyszysz?

– Źle mnie zrozumiałaś...

– Czy ty dałbyś szansę temu skurwielowi, który zastrzelił twojego ojca?
Marcel cofnął się, a Lena błyskawicznie pożałowała swoich słów. Rana po stracie ojca wciąż była świeża.

– Przepraszam – bąknęła. – Nie powinnam tego mówić.

– Dałbym mu szansę.

– Słucham?

– Chciałbym porozmawiać z Bogdanem Mazurkiem, który zabił mojego ojca.

Rudnicka wyjęła z ust papierosa i spojrzała na żarzącą się końcówkę.

– O co byś go zapytał?

– Zapytałbym go, co czuł.

– Co czuł?

– Spytałbym go, co czuł, gdy trafił mojego ojca. Czy czuł satysfakcję? Czy był zadowolony? A może wręcz odwrotnie? Może był przerażony? Bo wcale nie chciał zabić?

– Tacy ludzie jak on nie mają sumienia.

– A ja wierzę, że mają. – Marcel w zamyśleniu potarł podbródek. – Wierzę, że kiedyś uświadomią sobie, co zrobili. Może niektórzy z nich wciąż są z siebie dumni, ale chciałbym wierzyć, że część z nich żałuje swoich czynów. Mam nadzieję, że tak jest. Czy gdybym znenawidził Bogdana Mazurka, byłbym lepszym człowiekiem? Mógłbym pragnąć zemsty, ale co by to zmieniło?

– Gadałbyś inaczej, gdyby Mazurek żył. Ale on dawno leży w piachu, więc nic nie możesz zrobić.

– Myślisz, że pragnąłbym jego śmierci, wiedząc, że gdzieś w Polsce siedzi w więzieniu i gra w karty z kolegami spod celi?

– Tak właśnie myślę.

Marcel nigdy nie patrzył na to sposob. Nie pragnął niczyjej śmierci, nie nosił w sobie nienawiści. Od śmierci ojca minęło niewiele czasu, starał się poukładać sobie pewne sprawy. Czy tak musiało się stać? Czy ojciec musiał umrzeć?

Nie mógł cofnąć czasu. Nie mógł tego przewidzieć. Ale nie potrafił sobie wybaczyć tego, że w dniu, w którym zginął Andrzej Wolski, strasznie się pokłócili. Wiele by dał, by naprawić swój błąd. Cofnąć się w czasie i powiedzieć ojcu, jak bardzo go kochał.

– Nie zamierzam z nim dyskutować, Marcel – burknęła Rudnicka, wdeptując niedopałek w ziemię, i dodała: – Spotkam się z nim tylko raz.

Podniosła głowę i twardo popatrzyła na Wolskiego. Jej oczy płonęły żądzą zemsty.

MIEJSCE AKCJI

Białe Brzegi powstały z połączenia dzielnicy Tomaszowa Mazowieckiego i przyległej do niej wsi. Budynek, z wyjątkiem jednego, istnieją naprawdę. Staralam się wiernie oddać układ ulic i krajobraz tego miejsca. Na potrzeby książki wymyśliłam komisariat w Białych Brzegach. W rzeczywistości dawno temu został zlikwidowany.

Wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń jest przypadkowe, a nazwiska bohaterów są fikcyjne.

OD AUTORKI

Za nami już czwarta część przygód komisarz Leny Rudnickiej i sierżanta Marcela Wolskiego. W najśmielszych snach nie przypuszczałabym, że historia, którą przez długi czas trzymałam w głowie, ujrzy światło dzienne. Nie ma niczego piękniejszego niż wzięcie do ręki własnej książki, przekartkowania jej, poczucia zapachu papieru. Jednak choć to moja historia, mam świadomość, że nie należy ona do mnie. Należy do Was, drodzy Czytelnicy, bo to dzięki Wam, dzięki Waszym wiadomościom i komentarzom, mam poczucie, że to co robię, ma jakikolwiek sens.

Dziękuję Wam z całego serca.

Podziękowania należą się również: recenzentom, blogerom i instagramerom książkowym, redaktorom portali internetowych, dzięki którym moje książki mogą dotrzeć do szerszego grona Czytelników; Zbigniewowi Zawadzkiemu, który przeprowadził mnie przez cały proces wydawniczy; Wydawnictwu Prószyński i S-ka, a przede wszystkim Annie Derengowskiej, która uwierzyła w historię o Lenie Rudnickiej, oraz mojej redaktorce Joannie Habierze, która zwraca uwagę na rzeczy, których ja nie dostrzegam.

Jestem również wdzięczna moim Rodzicom za wsparcie, jakie otrzymuję od nich każdego dnia.

Dziękuję Siostrze, bo to ona była pierwszą czytelniczką *Porywu*, czyli pierwszego tomu o Lenie Rudnickiej.

Dziękuję mojej Babci, która zawsze ze mną była i wspierała mnie w każdym momencie życia.

I na koniec pragnę podziękować mojemu narzeczonemu Tomkowi, bo to dzięki niemu powstała ta książka. To on motywował mnie do pracy; wspierał, kiedy marudziłam, i znosił różne nastroje, które pojawiały się podczas pisania tego tomu. To dzięki Tobie mogłam go w ogóle napisać. Dziękuję Ci za to, że jesteś.

Kinga Wójcik
Listopad 2020